

*Bestsellerowa powieść z cyklu
o MAJOR KAMIEŃSKIEJ*

ALEKSANDRA
MARININA

**WIECZNY
ODPOCZYNEK**



**WIECZNY
ODPOCZYNEK**

ALEKSANDRA
MARININA
WIECZNY
ODPOCZYNEK

Przełożyła
Aleksandra Stronka



Tytuł oryginału: *Реквием*

Copyright © Aleksandra Marinina, 1998

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Stronka, 2019

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska

Korekta: Alicja Laskowska

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Fotografie na okładce: © gus-nwanya / Unsplash

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

eISBN 978-83-66431-37-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Rozdział 1

Mężczyzna wyglądał na niezadowolonego i zmęczonego, ale pod maską niechęci i rozdrażnienia na młodej, ładnej twarzy Barsukow wyraźnie dostrzegał skrywany strach i silne napięcie. Nie ulegało wątpliwości, że przed chwilą ktoś znowu do niego zadzwonił.

– Co jeszcze? Dlaczego wróciłeś?

– Chciałem zapytać o numer pańskiego telefonu. Nie stacjonarnego, tylko komórkowego. – Barsukow ruchem głowy pokazał aparat leżący na ławie koło kanapy.

– Po co ci?

– Bez obaw, nie zamierzam pana rujnować i korzystać z drogiej sieci. W razie potrzeby zadzwonię na stacjonarny. Niech mi pan tylko poda numer.

Starał się mówić swobodnie, żeby nie wzbudzać niepotrzebnego niepokoju w rozmówcy. Artyści są przewrażliwieni na swoim punkcie, niczego nie dają sobie powiedzieć, na każde słowo reagują bardzo nerwowo.

Nawet nie wyciągnął notesu, żeby zapisać numer, zwyczajnie go zapamiętał, nie było w tym nic trudnego. Właśnie ten numer powtarzał w pamięci, idąc, a raczej biegnąc przez ciemne, pogrążone w zimowym mroku osiedle w stronę dużego, położonego na uboczu domu sławnego piosenkarza.

Barsukow usłyszał kroki na schodach, trzasnęły drzwi.

– To ja! – rozległ się w holu donośny męski głos.

– Zmywaj się – rzucił półgłosem poirytowany pan domu. – Chyba widzisz, że mam gościa. No dalej, jazda stąd.

Nastia Kamińska wciąż nie mogła się przyzwyczać do tego, że teraz jeździ do pracy nie na Pietrowkę, tylko gdzie indziej. Już od trzech miesięcy wysiada z metra nie na Czechowskiej, ale na innej stacji, po czym idzie nie w stronę dużego żółtego budynku Głównego Urzędu Spraw Wewnętrznych Moskwy, tylko ku odrapanej jasnozielonej dwupiętrowej willi. Teraz tutaj ma swój pokój. Szefa też ma innego. Byłaby niesprawiedliwa, mówiąc, że nowy szef jest gorszy od lubianego i swojskiego Pączka Gordiejewa. Nie jest gorszy. Jest po prostu inny. Nastia zna go od lat, to znakomity profesjonalista, a przy tym uczciwy i przyzwoity człowiek, który traktuje ją wspaniale, ale... To nie Gordiejew.

Robiła, co mogła, żeby się oswoić ze zmianami. Nie była pewna, czy postąpiła słusznie, zmieniając pracę, uległa jednak naciskowi obu szefów: poprzedniego, Wiktora Aleksiejewicza Gordiejewa, oraz nowego, Iwana Aleksiejewicza Zatocznego. Ten ostatni szukał kogoś kompetentnego do swojego nowo utworzonego wydziału informacyjno-analitycznego, Gordiejew zaś usiłował trzymać Anastazję z dala od burzliwych przetasowań kadrowych, na które zanosilo się w urzędzie. Obaj zgodnie twierdzili, że najwyższa pora, by Kamińska otrzymała stopień podpułkownika, i dlatego musi przejść na stanowisko, które jej to umożliwi. Na Pietrowkę zawsze będzie mogła wrócić, wystarczy, że powie słowo.

Choć minęły już trzy miesiące, Nastia nie przyzwyczała się do tego, że sejf stoi teraz nie z lewej strony, nieopodal biurka, tylko pod przeciwległą ścianą, a także do tego, że nie da się zagotować wody na kawę, nie wstając z miejsca, bo gniazdko jest koło okna, a nie tuż za plecami. No cóż, może to i lepiej. Jeśli wziąć pod uwagę siedzący tryb życia, który prowadzi, dodatkowy ruch na pewno się przyda.

Zbliżała się już dziesiąta, więc Nastia zamierzała wstawić wodę, żeby wypić drugi kubek porannej kawy. W tej samej chwili została jednak wezwana przez Zatocznego. W pokoju prócz generała był jeszcze młody mężczyzna w mundurze z naszywkami kapitana służby wewnętrznej.

– Poznajcie się – powiedział Iwan Aleksiejewicz oschle. – Nowy pracownik Paweł Michajłowicz Diużyn. A to Anastazja Pawłowna Kamińska – nasza najlepsza analityczka. Będzie pańskim opiekunem

podczas pierwszego roku pracy. To wszystko, Pawle Michajłowiczu. Proszę się zapoznać z nowym miejscem pracy, Anastazja Pawłowna wezwie pana, gdy tylko będzie wolna.

Na twarzy kapitana odmalowało się lekkie zdziwienie, wstał jednak posłusznie i opuścił pokój. Przez jakiś czas Zatoczny siedział wpatrzony w zamknięte drzwi, potem przesunął spojrzenie na Nastię. Obojętność i powściągliwość zniknęła jak ręką odjął, teraz jego twarz wyglądała jak zwykle, tyle że była nieco zatroskana.

– Oto pani pierwszy uczeń. – Uśmiechnął się. – Spełniam złożone obietnice. Jak tylko wyszkoli pani dwóch przyzwoitych analityków, będzie pani mogła odejść, gdzie zechce, w razie gdyby tutaj się pani nie spodobało.

– Skąd on przyszedł? – zapytała Nastia. – I co w ogóle potrafi?

– No cóż, o tym, co potrafi, powie mi pani sama za parę dni. A przyszedł z wydziału kadr GUWD[1] obwodu moskiewskiego. To panią zadowala?

– W zupełności. – Nastia z ulgą skinęła głową. – Kadrowiec ma zwykle wyrobiony nawyk pracy z dokumentami, bo nie musi zawierać osobistej znajomości z figurantem. Potrafi też czytać między wierszami. Mogę odejść?

– Nie – odparł Zatoczny gwałtownie i pokazał ręką krzesło. – Proszę usiąść, Anastazjo. Chcę pani zaproponować materiał, który posłuży do edukacji Diużyna. Z góry uprzedzam, że może się okazać jałowy, więc niech pani nie próbuje za wszelką cenę wyciągnąć z niego interesujących nas przestępczych elementów. Nie przeczę, że one tam są. Faktu istnienia denata nie da się podważyć, ale może się okazać, że to nie nasza działka. I jeszcze jedno. Proszę zachować szczególną uwagę i sumiennie potraktować zadania, bo sprawa może dotyczyć mojego syna.

Nastia podniosła zdumiony wzrok na szefa.

– Maksima? Czyżby miał jakiś związek z denatem?

– Bezpośredni. Zabity mężczyzna nie był wprawdzie jego przyjacielem, ale studiowali razem i byli w tej samej grupie. Parę dni temu Maksim przybiegł do domu blady i przerażony. Opiekun roku im oznajmił, że ktoś zabił ich kolegę, Saszę Barsukowa.

– A pan podejrzewa, że Maksim wiedział o kryminalnych powiązaniach

kolegi i sam też był w coś zamieszany?

– Niczego nie podejrzewam! – Głos Zatocznego znowu stał się oschły i surowy. – Nie mam podstaw do jakichkolwiek podejrzeń. Ale do tego, żeby się nie przejmować, też nie. Każdemu z nas mogą się przytrafić różne rzeczy. Nasze dzieci nie są wyjątkiem. Zbyt dużo czasu poświęcałem i poświęcam pracy, więc nie wiem, czy znam syna jak swoje pięć palców. Chłopak niebawem skończy dziewiętnaście lat, to dorosły mężczyzna, ma swoje życie. Dla mnie jest wprawdzie nadal dzieckiem, ale to nie powinno przysłonić obiektywnej rzeczywistości. Dość już o tym, Anastazjo. Wróćmy do sprawy. Syn wspominał, że Sasza Barsukow spotykał się z dziewczyną, która straciła rodziców i mieszka teraz z dziadkiem. Sytuacja jest trudna, bo dziesięć lat temu rodzice dziewczyny zostali zabici, i to nie przez kogoś obcego, tylko przez owego dziadka, który odsiedział wyrok i wrócił do wnuczki. Nasuwa się więc przypuszczenie, że Barsukow uległ wpływowi kryminalisty. To pierwsza rzecz. Poprosiłem o akta sprawy z archiwum.

Generał poderwał się lekko zza biurka, otworzył sejf i położył przed Nastią dwie opasłe teczki. Patrząc na niego, Nastia znowu poczuła ledwie zauważalne ukłucie tego, co przyjęto nazywać chorobliwą zazdrością. Ona nie potrafiłaby tak zwinnie wstać, przeważnie poruszała się ciężko i niezgrabnie, mimo że była względnie młoda (miała zaledwie trzydzieści siedem lat) i należała do osób bardzo szczupłych. W odróżnieniu od Zatocznego nigdy nie uprawiała sportu, w dodatku często bolały ją plecy i dostawała zadyszki...

– Proszę się z nimi zapoznać. W jednej teczce są materiały sprawy karnej, a w drugiej akta skazanego Niemczinowa. Nie będę pani pouczał, co i jak czytać, bo zna się pani na tym lepiej ode mnie. Teraz druga rzecz. Ma pani świetną pamięć, więc zakładam, że nie zapomniała pani sprawy Siergieja Gradowa, jesień dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

– Pamiętam – odparła zdziwiona Nastia. – Nie sądziłam jednak, że pan ją zna.

– W tamtych czasach jeszcze się nie znaliśmy, ale wtedy po raz pierwszy o pani usłyszałem. Nie mogłem nie znać sprawy, bo Gradow, jak pani wiadomo, był deputowanym i miał duże szanse, by zostać liczącym się politykiem. Nie o niego tu jednak chodzi. Pamięta pani chłopaka, którego przysłano do pani na staż?

– Oczywiście. – Nastia kiwnęła głową, domyśliwszy się w końcu, ku czemu generał zmierza. – Chłopak studiował w Moskiewskim Instytucie Prawa MWD[2], tam gdzie pański syn. Udało nam się wtedy ustalić, że od samego początku, jeszcze zanim trafił na uczelnię, został zwerbowany przez struktury przestępcze, które umieściły go potem w naszej resortowej uczelni, żeby mieć swoje oczy i uszy w milicyjnych szeregach. Sądzi pan, że to nie był jedyny taki przypadek?

– Nie mogę nie uwzględniać tej ewentualności. Biorąc pod uwagę stanowisko, które piastuję, muszę pamiętać, że mój syn to łakomy kąsek dla zainteresowanych osób. Skoro jego kolega z uczelni jest powiązany z kryminalistami, nie wolno mi zamykać na wszystko oczu i sądzić, że Maksim mieszka w wieży z kości słoniowej, jego zamiary są czyste i niewinne, natomiast cała reszta studentów stąpa po grzesznej ziemi. Wokół jest tyle głupoty, chciwości, zdrady i brudu, że nawet bliskie nam osoby są nimi dotknięte. Wszyscy jesteśmy równi przed Bogiem. Ma pani jakieś pytania?

– Owszem. Nie jestem już oficerem operacyjnym, a to oznacza, że nie mam uprawnień, by prowadzić sprawę. Jak rozwiążemy tę sytuację?

– Nie będzie pani prowadziła sprawy zabójstwa Barsukowa. Pani zadaniem jest analiza materiałów pod kątem ujawnienia powiązań studentów ze światem przestępczym. Może zresztą chodzić nie tylko o studentów, ale też o pracowników uczelni. Wykładowców, oficerów będących opiekunami roku, kadrowców i tak dalej. W dodatku nie tylko w jednym instytucie, ale i na innych uczelniach MWD, ich zaś jest sporo.

Nastia skrzywiła się. Łatwo powiedzieć: będzie pani robiła to i to, inni zrobią co innego. A niby jak mają się podzielić? Skoro zabójstwo szeregowego milicjanta Aleksandra Barsukowa wiąże się z przeniknięciem mafii do instytutu, trudno będzie wytyczyć granicę między interesami różnych służb. Śledczy i wywiadowcy szybko pokażą właściwe miejsce jakiejś Kamieńskiej, która się wtrąca w nie swoje sprawy i płacze pod nogami. Zatoczny powinien to wiedzieć, a nie przydzielać jej zadania w tak niefrasobliwy sposób, jakby wysyłał do kiosku po papierosy.

Smętna mina Nastii nie uszła uwagi Iwana Aleksiejewicza. Po raz pierwszy tego ranka generał uśmiechnął się nagle swoim słynnym

uśmiechem, kiedy to jego oczy zamieniały się w dwa małe słoneczka i ogrzewały rozmówcę niespodziewanym ciepłem, któremu mało kto potrafił się oprzeć.

– W ramach rekompensaty przekażę pani miłą wiadomość. Śledztwo w sprawie zabójstwa Barsukowa powierzono pani znajomemu, Olszańskiemu, a wywiadowców przydzielono spośród pani dawnych kolegów. Mam nadzieję, że uda się pani z nimi dogadać.

No cóż, pomyślała Nastia, teraz to co innego. Kostia Olszański nie będzie robił problemów, jeśli nikt nie naruszy reguł gry, a o chłopcach nawet nie ma co mówić.

Zabrała teczki z biurka i otwierała już drzwi pokoju, żeby wyjść, gdy zatrzymał ją kpiący głos Zatocznego.

– A Maksim?

– Co Maksim? – Odwróciła się zdziwiona.

– Nie chce pani z nim porozmawiać?

– Chcę. Ale niezręcznie mi o to prosić. Zresztą już pewnie został przesłuchany na Pietrowce. Pan zaś prosił o delikatność...

Iwan Aleksiejewicz roześmiał się, ale w jego śmiechu pobrzmiwały niewesołe nuty.

– Znam panią wystarczająco długo, Anastazjo, by wiedzieć, że nigdy nie czuje się pani niezręcznie, jeśli w grę wchodzi sprawa. Proszę nie mydlić mi oczu. Na kiedy wezwać Maksima?

– Najpierw chcę przejrzeć materiały – odparła oględnie.

– Dobrze. Po południu, od drugiej do siódmej, Maksim jest na uczelni. Przed ósmą będzie tutaj.

Nastia ruszyła do swojego pokoju, z trudem dźwigając teczki, które wyślizgiwały jej się z rąk, i zachodząc w głowę, dlaczego tak spokojnie pozwala Zatocznemu rozporządzać swoim czasem. Szef już zdecydował, że rozmowa z Maksimem odbędzie się dzisiaj o ósmej, ona nie miała nic do powiedzenia. Nie zapytał jej, jakie ma plany, co zamierza robić i w ogóle czy będzie o ósmej w pracy. Zdecydował i koniec. Gordiejew był inny. No cóż, trudno, każdy szef ma swój styl. W dodatku Iwan Aleksiejewicz Zatoczny zdobył nad nią jakąś niepojętą władzę. Nastia mogła się na niego gniewać, obrażać, chwilami czuła niemal nienawiść, mimo to nie potrafiła oprzeć się urokowi generała i czegokolwiek mu odmówić.

Rozłożywszy teczki na biurku w swoim pokoju, dokończyła przerwane zajęcie, to znaczy parzenie kawy, po czym z kubkiem w rękach zaczęła przeglądać dokumenty. Sprawa karna dotycząca zabójstwa małżeństwa Niemczinowów w 1987 roku nie była zawiła. Typowe zabójstwo na tle obyczajowym, jakich tysiące. Na lotnisku odbywała się huczna impreza alkoholowa. W pewnej chwili doszło do kłótni, w trakcie której pijany Niemczinow senior zastrzelił z broni myśliwskiej syna i synową. Wystraszywszy się swojego czynu, podpalił dom, żeby zatrzeć ślady, po czym ruszył na stację, zamierzając wrócić do miasta. Pociągi podmiejskie kursowały widocznie rzadko, bo mężczyzna długo czekał na peronie. W tym czasie sąsiedzi, którzy usłyszeli odgłosy strzałów i zobaczyli, że z domu wydobywa się dym, wezwali milicję, i Wasilij Pietrowicz Niemczinow, rok urodzenia 1931, został zatrzymany na peronie, gdzie cierpliwie czekał na pociąg. Od razu przyznał się do winy, ani razu nie zmieniając zeznań podczas śledztwa i rozprawy sądowej. Skazany z artykułu 102 za umyślne zabójstwo z okolicznościami obciążającymi (zabójstwo dwóch i więcej osób) na dwanaście lat pozbawienia wolności w kolonii karnej o zaostrzonym rygorze, został wypuszczony warunkowo po dziewięciu latach, ponieważ „uczciwą i rzetelną pracą oraz przestrzeganiem zasad regulaminu udowodnił swoją poprawę”. I to właściwie wszystko.

W sprawie karnej nie było niczego ciekawego, ale Nastia odniosła wrażenie, że coś jest mgliście... Nie, nie znajome, raczej nielogiczne. Może to właśnie dawno niespotykana prostota sprawy sprawiła, że z akt wyzierał i kłuł w oczy pewien brak logiki. Ale na czym on polega? Gdzie? Na której stronie? Było to tylko wewnętrzne odczucie.

Nastia wiedziała, że w takiej sytuacji należy oderwać myśli i zająć się czymś innym, by potem znowu wrócić do czytania. No cóż, przejrzymy tymczasem akta osobowe skazanego W.P. Niemczinowa. Podczas przebywania w areszcie śledczym pobił współwięźnia. To niedobrze. Potem się jednak okazało, że ów wielokrotnie karany współwięzień dręczył i szykanował dwudziestoletniego chłopaka, anemicznego i słabowitego, więc Niemczinow pobił go, szczerze mówiąc, nie bez racji. To już lepiej. Prawo właściwie nie zezwala na umieszczanie w jednej celi recydywistów z osobami wcześniej niekaranymi, ale kto by przestrzegał przepisów? Zatrzymanych umieszcza się tam, gdzie jest miejsce. Wiele

aresztów znajduje się w rozpaczliwej sytuacji, budynki od dawna nie są remontowane, cele wyglądają fatalnie, sufity przeciekają, kanalizacja nie działa, trudno więc mówić o jakimkolwiek komforcie. A tym samym o prawie.

Co jeszcze? Podczas odbywania kary Niemczinow dał się poznać wyłącznie z dobrej strony. W aktach są same podziękowania za przekroczenie norm pracy... A jednak nie, w szóstym roku odsiadki Wasilij Pietrowicz trafił do karceru, i to aż na trzydzieści dni. Ciekawe za co? Znowu za to samo, pobił współwięźnia. Oto wyjaśnienie Niemczinowa: „Przyznaję się, że dzisiaj w zakładzie numer dwa pobiłem więźnia Fiałkowa. Fiałkow regularnie poniżał nowego osadzonego, Griekowa, odbierał mu jedzenie, stosował przemoc fizyczną i groził przymusowym kontaktem homoseksualnym. Osadzony Griekow jest wątłej postury i nie potrafi się bronić. Przyznaję się do winy. Więzień W.P. Niemczinow, artykuł sto dwa, skazany na dwanaście lat”.

Bardzo ciekawy dokument. Motyw wciąż ten sam: obrona słabszego, tego, kto nie potrafi się bronić. Ale co za styl! Większość więźniów napisałaby: „odbierał żarcie i groził, że go wydyma”. Albo „wyrucha”. Tymczasem Wasilij Pietrowicz napisał wyjaśnienie normalnym językiem, nie używając gwary więziennej i bez błędów gramatycznych. Czy to jedynie poza? A może przez pięć lat pobytu w kolonii karnej nie przesiąkł specyficzną subkulturą zeków?

Sprawa wygląda jednak dziwnie. Wszystko wskazuje na to, że Niemczinow to postać złożona. Z jednej strony kłótnia po pijaku i zabójstwo syna oraz synowej, z drugiej użycie przemocy w obronie słabszych, z trzeciej sumienna praca i poprawna wypowiedź pisemna. Taki typ może się okazać bardzo mądry i niebezpieczny. Niewykluczone, że podczas dziewięciu lat odsiadki nawiązał ścisłe kontakty ze światem przestępczym, a teraz, będąc na wolności, poluje na młodych milicjantów w rodzaju Saszy Barsukowa.

Nastia była tak pochłonięta pracą, że nie zauważyła upływu czasu. Gdy zamknęła drugą teczkę, okazało się, że dochodzi czwarta. Warto by coś zjeść, tylko co? I gdzie? Na Pietrowce mogła pójść do stołówki, bar też był otwarty przez całą dobę. Tutaj, w tej niewielkiej willi, na razie są tylko pokoje służbowe. Pracownicy przynoszą ze sobą kanapki albo odwiedzają pobliską restaurację. Można w niej oczywiście smacznie

zjeść, i to za niewielkie pieniądze, ale najpierw trzeba tam dotrzeć. A przedtem jeszcze się ubrać... Anastazja Kamieńska pracowała w pocie czoła, gdy nie musiała wstawać od biurka, jednakże wszelki wysiłek fizyczny napawał ją wstrętem. Wolała siedzieć głodna niż wkładać buty, ciepłą kurtkę, schodzić po schodach i wlec się śliskim chodnikiem trzysta metrów do miejsca, w którym serwowano posiłki. Gdyby miała pewność, że wyjdzie z pracy o szóstej, wolałaby oczywiście cierpieć głód, póki nie znajdzie się w domu, ale ponieważ wszystko wskazywało na to, że nie uda jej się stąd wyrwać przed dziewiątą, musiała się przemóc i wyjść z biura. No i dlaczego, ofiaro losu, nie zabrałaś rano kanapek? Przecież zamierzałaś to zrobić, doskonale pamiętam, mąż też przypominał ci parę razy, nawet wyjął z lodówki ser i szynkę. Twoje lenistwo znowu wzięło górę.

Wzdychając gorzko, Nastia wciągnęła kozaki, owinęła szyję długim, ciepłym szalem, zapięła kurtkę, zwlokła się z drugiego piętra i wyszła na zewnątrz. Płuca od razu wypełniło rześkie, mroźne powietrze, a oślepiające słońce sprawiło, że oczy zaczęły łzawić. W tym roku zima zachowywała się jak należy i surowo przestrzegała kalendarza. Do końca listopada panowała chłodna, słotna jesień, a pierwszego grudnia wieczorem chwycił mróz. Natomiast dzisiaj, drugiego grudnia, na ulicach skrzył się śnieg. Gdyby nie było tak ślisko, major milicji Anastazja Kamieńska mogłaby uznać życie za całkiem znośne.

Ostrożnie przesuwając nogi, żeby się nie poślizgnąć, wolno dotarła do restauracji o dziwnej nazwie Pragnienie, która bardziej pasowała do pawilonu Wino i Woda z dawnych radzieckich czasów. Już położyła rękę na klamce, gdy nagle się rozmyśliła, pokonała jeszcze parę metrów dzielących ją od stacji metra Krasnosielskaja, kupiła gazetę, sztangę papierosów i dopiero potem wróciła do restauracji. Zaczekała, aż kelner postawi przed nią sałatkę warzywną i solidną porcję frytek, po czym otworzyła gazetę i pograżyła się w lekturze artykułu na temat zalet zimowego wyjazdu na narty w Alpy. Równie dobrze mogła czytać o życiu na Marsie, bo nigdy nie jeździła na nartach i nie wybierała się w Alpy, a dźwięczne nazwy różnych marek sprzętu narciarskiego zupełnie nic jej nie mówiły. Tego rodzaju lektura nie zmuszała jednak do myślenia, bo nie budziła żadnych skojarzeń, a mechaniczne składanie liter pozwalało się odprężyć. W tym czasie, jak zauważyła Nastia, mózg się oczyszczał,

po czym nierzadko udawało jej się ujrzeć stary problem w nowym świetle.

Już prawie skończyła jeść frytki i czytać artykuł, gdy tuż przed jej nosem pojawił się nowy talerz, z szaszłykami. Z niezadowoleniem podniósłszy wzrok, zdążyła zwymyślać w duchu kretynów, którzy beczelnie dosiadają się do zajętych stolików w sytuacji, gdy nie brakuje wolnych miejsc, i od razu się rozjaśniła. Przed nią siedział Jura Korotkow z wesołym uśmiechem na okrągłej twarzy.

– Jak mnie tutaj znalazłeś?

– Też mi zadanie! – prychnął, ściągając jednocześnie parę frytek z jej talerza. – Przyszedłem, pchnąłem drzwi, przekonałem się, że są zamknięte, poszedłem do Iwana i zapytałem, gdzie jesteś. Dalej wiadomo. Już od piętnastu minut siedzę przy sąsiednim stoliku i czekam, aż w końcu mnie zauważysz. Ale ty jak zwykle nie raczysz zwracać uwagi na otoczenie. Podają tu świetne frytki, muszę sobie zamówić.

– Chcesz? – Nastia podsunęła mu swój talerz. – Częstuj się, wzięłam za dużo, chyba się przeliczyłam z siłami.

Korotkow przesunął talerz z powrotem w stronę Nastii i pokręcił głową.

– Jedz, chudzino, bo aż przykro na ciebie patrzeć.

– Nieprawda – zaoponowała. – Odkąd przeniosłam się do Iwana, przytyłam dwa kilo.

– Co, spokojne życie?

– No... w sumie tak, jeśli porównać z Pietrowką.

– Pewno się nudzisz?

– Nie wiem, Jurik – wyznała szczerze. – I tak, i nie. Nie mogę się przyzwyczaić, wszystko wokół jest inne, ludzie też są inni, no i was nie ma w pobliżu. Ale praca jest ciekawa, lubię i potrafię ją wykonywać. Najważniejsze, że nie robię niczego pod biurkiem, jak u Pączka, tylko oficjalnie, dostaję za to wynagrodzenie i nikt nie posyła mi krzywych spojrzeń. Moralnie jest łatwiej, rzecz jasna.

– A za trzy miesiące zostaniesz podpułkownikiem i mnie prześcigniesz – dodał Korotkow. – Dobra, koleżanko, zostawmy te smutne tematy. Przyjechałam do ciebie z pewną sprawą.

– Barsukow?

– Zgadza się. Pączek powiedział, że dogadał się z twoim Iwanem na

temat naszej współpracy. Tak?

– Owszem. – Nastia kiwnęła głową. – Mów, co wiesz.

– A co za to dostanę? – Jura chytrze zmrużył oczy.

– Przecież nie chciałeś frytek. – Nastia się uśmiechnęła. – Niczego innego nie mam.

– No oczywiście, wykorzystujesz moją bezinteresowność. W porządku, słuchaj. Aleksander Barsukow, rok urodzenia siedemdziesiąty ósmy, student drugiego roku Moskiewskiego Instytutu Prawa naszego kochanego MWD, został znaleziony martwy niedaleko własnego domu w piątkowy wieczór. Dzisiaj mamy już wtorek, ale informacji rzucających światło na sprawę praktycznie brak. Chłopak mieszkał z rodzicami, rodzina jest przyzwoita i spokojna, nikt jednak nie wie, gdzie był w piątek i skąd wracał. Nawiasem mówiąc, syn twojego ulubionego generała dobrze go znał.

– Wiem. Mów dalej.

– Maksim Zatoczny zeznał, że Barsukow był w piątek na uczelni i nie opuścił żadnych zajęć. Zajęcia drugiego roku odbywają się po południu...

– Wiem – znowu przerwała mu Nastia. – Kończą się koło siódmej wieczorem.

– A niech cię. – Korotkow machnął ręką strapiony. – Pracować z tobą to żadna przyjemność. Ja ci opowiadam wszystko jak głupiec, a ty już o tym wiesz. Po co w takim razie pytasz?

– Paru rzeczy nie wiem. Na przykład gdzie znaleziono zwłoki i jak chłopak zginął.

– Ktoś go zastrzelił. Teraz to najłatwiejszy sposób, broni jest w bród, nikomu nie żal wyrzucić pistoletu, zawsze można zdobyć nowy. Barsukow został zabity koło przystanku autobusowego między pierwszą a drugą w nocy. Przyjechał autobusem ze stacji metra, wracał do domu. Znaleźliśmy kierowcę autobusu, który go sobie przypomniał, bo pasażerów miał niewielu, dosłownie parę osób, a chłopak był w mundurze. Dziesięć po pierwszej autobus zatrzymał się na przystanku, Barsukow wysiadł, ale nie poszedł do domu. Za kwadrans druga znalazł go mężczyzna wracający samochodem. Taka to, Nastiu Pawłowna, prosta historyjka.

– Mówisz, że był w mundurze? W takim razie ktoś mógł go wziąć za

milicjanta, prawda? Abstrakcyjnego, a nie konkretnego Saszę Barsukowa.

– Owszem – przyznał Korotkow, energicznie przeżuując ostatnie kęsy szaszłyka. – Ktoś, kto ukrywa się przed milicją, mógł go zauważyć i uznać, że milicjant zjawiał się po jego duszę. Niewykluczone, że Barsukow zobaczył coś, wtrącił się, uznając to za milicyjny obowiązek, i zarobił kulkę. Mógł też trafić na świra, który nienawidzi gliniarzy i marzy, żeby wybić do nogi nasze plemię. Nie ma sensu gdybać, trzeba brać się do roboty.

– To prawda. – Nastia z westchnieniem wstała, myśląc ze smutkiem, że czeka ją kolejny bohaterski wyczyn: musi dotrzeć do willi i wdrapać się na drugie piętro. – Chodźmy, mój ty słoneczny promyczku.

– Już wiesz dokąd? – Korotkow drgnął.

– Dokąd, dokąd... Do biura. Przejrzymy materiały dotyczące dziadka dziewczyny Saszy. A o ósmej powinien się zjawić Zatoczny junior.

Wyszli z restauracji i wolno ruszyli w stronę jasnozielonego budynku.

– Na co liczysz z młodym Zatocznym, Asiu? – zapytał Korotkow. – Rozmawiałem z nim dwukrotnie, w niedzielę i wczoraj, w poniedziałek. Powiedział wszystko, co wie. Spotkałem się też z dziewczyną, Lera Niemczinową. Nie ma pojęcia, dokąd Barsukow pojechał po zajęciach na uczelni w piątek.

– A ty jej oczywiście uwierzyłeś. – Nastia uśmiechnęła się lekko.

– Ty też uwierzysz, gdy ją zobaczysz. Nawiasem mówiąc, nie rób ze mnie kretyna, który nie pomyślał o dziadku kryminaliście. Od razu poruszyłem ten temat z Lera. I wiesz, co mi powiedziała?

– Domyślam się. Że Sasza w ogóle nie zna jej dziadka. Albo zna tylko z widzenia. W każdym razie obaj nie utrzymywali ze sobą żadnych kontaktów. Zgadza się?

– Masz głowę nie od parady, Aśka, ale nawet ty nie zawsze wszystko przewidzisz. Jak chcesz wiedzieć, Lera powiedziała, że Sasza starał się unikać jej dziadka, rzucał tylko krótkie „dzień dobry”, „do widzenia” i w ogóle z nim nie rozmawiał. Dziadek jednak polubił młodego mężczyznę, więc na okrągło dawał wnuczce do zrozumienia, że ma dobrego i przyzwoitego chłopaka. Innymi słowy, dziadek kryminalista okazywał życzliwość Saszy i traktował go jak odpowiednią partię dla swojej ukochanej wnuczki. Czujesz, czym to pachnie? Odkąd to

człowiek, którego parszywe psy zapuszkowały na dwanaście lat, marzy o tym, żeby jeden z nich wszedł do jego rodziny?

– Pewnie odkąd zaczął się interesować parszywymi psami. Rozmawiałeś z dziadkiem?

– Jeszcze nie, zostawiłem go sobie na deser. Na razie ograniczam się do wnuczki.

– Słusznie – przytaknęła Nastia. – Jeżeli dziadek nie ma z tym nic wspólnego, to nigdzie się nie ulotni, a jeżeli jest zamieszany, pośpiech może go spłoszyć. Ponieważ wnuczka zapewnia, że dziadek nie kontaktował się z Barsukowem, nie masz żadnych podstaw, by sądzić, że facet zna powody zabójstwa.

Pchnęła masywne drzwi prowadzące do willi i zaczęła wolno wspinać się po stopniach.

– Ciężko? – zapytał Korotkow z żartobliwym współczuciem. – Na Pietrowce jeździłaś windą.

Tak, jeszcze przez jakiś czas będzie musiała pomęczyć się z tą chorobą: porównywać i tęsknić. Co pięć minut pod byle pretekstem przypominała sobie, jak to było albo wyglądało na Pietrowce. W końcu dziesięć lat, a nawet trochę ponad, to nie w kij dmuchał. Wszystko tam jest swojskie i miłe sercu, a tutaj...



Każdy nowy dzień w życiu osiemnastoletniej Lery Niemczinowej do obrzydzenia przypominał poprzedni. Pobudka o siódmej, o ósmej wyjście do instytutu medycznego, o dziewiątej zaczynały się zajęcia, o czwartej Lera wracała do domu. Nie lubiła siedzieć w czytelni, więc wypożyczała książki i przygotowywała się do seminariów i egzaminów w domu. Wyjątek stanowiło prosektorium, gdzie chodziła wieczorami. Koledzy z roku uważali ją za domatorkę, która nie bierze udziału we wspólnych rozrywkach i wyprawach do barów, nie wybiera się też na imprezy do osób, które mają wolną chatę. Gdyby jednak Lerę zapytać, czy kocha swój dom, odpowiedź mogłaby się wydać dziwna. Można nawet powiedzieć, że niedorzeczna.

Lera Niemczinowa kochała swój dom, a jednocześnie go nienawidziła. Kochała, bo było to mieszkanie, w którym spędziła dzieciństwo

z ubóstwianymi rodzicami. Kiedyś była tutaj szczęśliwa. W pokoju stał fortepian taty, na półkach leżały jego nuty i płyty znanych w tamtych latach piosenkarzy, którzy wykonywali jego utwory. Ściany w pokoiku dziewczyny były obwieszane starymi plakatami koncertowymi, na nich zaś olbrzymimi literami czernił się napis: GIENNADIJ NIEMCZINOW. Dopiero niedawno obok licznych portretów ojca zaczęły się pojawiać zdjęcia i plakaty innego mężczyzny. Wzeszła gwiazda piosenkarza Igora Wildanowa, którego Lera uwielbiała choćby za to, że był jedyną osobą w Rosji i w ogóle na całym świecie, która do tej pory wykonywała pieśni jej ojca. Wildanow miał bez wątpienia talent, ale Lera raczej nie potrafiła ocenić skali jego zdolności, bo widziała i wiedziała tylko jedno: Igor był nieziemsko piękny, wyglądał jak księżę z jej dziecięcych snów, w dodatku pamiętał i cenił twórczość Giennadija Niemczinowa. Cała reszta się nie liczyła. Mógł nie mieć głosu, a nawet słuchu, mógł się okazać miernym wykonawcą – Lera nawet by tego nie zauważyła, bo księżę dziecięcych i dziewczyczych marzeń śpiewał pieśni skomponowane przez jej ojca, tym samym przenosząc ją w czasy, gdy rodzice żyli, cały świat wydawał się kolorowy i radosny, ona zaś była niesłychanie szczęśliwa. Dopiero w domu, w swoim pokoju, otoczona plakatami, zdjęciami i sączącą się z magnetofonu muzyką, mogła odciąć się od rzeczywistości i przynajmniej na jakiś czas pograć się w atmosferze złudnego, iluzorycznego spokoju. Dlatego kochała swój dom.

Ale równie mocno go nienawidziła. Dlatego że był w nim dziadek. Straszny, odrażający, obleśny i prymitywny typ, który dziesięć lat temu kilkoma strzałami po pijaku pozbawił ją tamtego szczęśliwego świata, w którym żyła. Straciła wszystko. Matkę, ojca, ciepło i tkliwość, a także przyjaźń rówieśników. Miała osiem lat, piętno dziecka z rodziny alkoholików, którzy pozabijali się w pijanym widzie, przywarło do niej na dobre. Dzieci są głupie i okrutne, obraziły Lerę, więc ona też się obraziła. Została odszczepieńcem, odsunęła się od wszystkich i nawet z upływem lat przepaść między nią a resztą dzieci się nie zmniejszyła. W klasie zapomniano o powodach jej sieroctwa, ale Lera nie zapomniała zdrady kolegów. Nie zapomniała i nie wybaczyła. Aż do ukończenia szkoły, co nastąpiło w ubiegłym roku, trzymała się na uboczu. Była całkiem sama. Nie licząc oczywiście starej cioci Ziny, kuzynki nieżyjącej babci. Zaraz po śmierci rodziców ciocia Zina przyjechała z głuchej

provincji do Moskwy, żeby się zaopiekować Lerą. Chciała ją zabrać do siebie, ale dziewczynka kategorycznie odmówiła wyjazdu, krzyczała jak opętana, urządzała sceny, rozbijała naczynia i dwukrotnie uciekała z dworca, kładąc kres wszelkim próbom zmiany miejsca zamieszkania. Gdy ciocia Zina uświadomiła sobie daremność swoich wysiłków, postanowiła osiedlić się w Moskwie. Nie zostawi przecież dziecka na pastwę losu! Nie odda też do internatu, skoro żyją krewni, niechby i nie najbliżsi...

Lera spędziła z ciocią Ziną dziewięć lat, póki nie zjawił się dziadek. Nazajutrz po jego powrocie krewna wyjechała na prowincję. Nawet jej przez myśl nie przeszło, żeby zostać pod jednym dachem z zabójcą. Przed odjazdem zaproponowała Lerze, żeby jej towarzyszyła, ale dziewczyna tym razem też odmówiła.

– Nie boisz się z nim mieszkać? – zapytała płaczkliwie ciocia Zina. – To przecież straszny człowiek, nie miał litości dla rodzzonego syna i cię osierocił.

– Tutaj jest mój dom – odparła Lera twardo. – Nigdzie stąd nie wyjadę. Gdy dziadek zacznie podskakiwać, wsadzę go z powrotem do więzienia, nic mnie przed tym nie powstrzyma.

Jednakże dziadek się pilnował. Początkowo Lera wciąż mu się przyglądała, spodziewając się oznak „niewłaściwego zachowania”, wulgarności, skłonności do przemocy, pijaństwa czy czegoś w tym stylu. Z wielką przyjemnością poszłaby na skargę do dzielnicowego... Dzielnicowy był godny zaufania, nawiasem mówiąc, mieszkał w tym samym domu, Lera go dobrze znała. Gdy tylko pojawił się dziadek, stróż prawa zapowiedział jej, że w razie czego ma się nie wstydzić i walić do niego jak w dym. Ale nic się nie działo. Dziadek w ogóle nie pił, nie podnosił na nią głosu, był uprzejmy, spokojny i sumienny, zatrudnił się jako portier w dwóch miejscach naraz, pracował na zmiany i jeszcze dorabiał, krótko mówiąc, przynosił pieniądze, wprawdzie niewielkie, ale przynosił. Lery to jednak nie obchodziło. Regularnie dostawała tantiemy za piosenki ojca, obie z Ziną utrzymywały się z nich przez dziewięć lat. Lera świetnie poradzi sobie bez pieniędzy dziadka. Mężczyzna ma prawo tu mieszkać, to jego mieszkanie, kupione za jego pieniądze dawno temu, jeszcze przed urodzeniem Lery. Ale to prawo materialne. Co się zaś tyczy prawa moralnego, pozwalającego mu mieszkać razem z wnuczką, którą

w wyniku pijackich ekscesów uczynił sierotą, to tutaj sprawa nie jest taka prosta.

Zdaniem Lery Niemczinowej dziadek nie miał prawa nie tylko do tego, żeby z nią mieszkać, ale też do tego, żeby w ogóle żyć. Gdyby był uczciwym człowiekiem, już dawno by umarł. Tacy jak on nie powinni chodzić po ziemi. Ale skoro prymitywny, odrażający dziadek tego nie rozumie i nadal zatruwa jej życie swoją obecnością, powinien przynajmniej wiedzieć, co się dzieje. Powinien czuć się wciąż winny za to, co już zrobił, a mieszkanie z Lerą musi wywoływać w nim dyskomfort.

Lera nie poszła na pogrzeb Saszy Barsukowa. Nie dlatego, że okropnie przejęła się jego śmiercią. Zwyczajnie nie miała ochoty i nie uważała tego za potrzebne. Owszem, martwiła się, ale z całkiem innego powodu. Kim był dla niej Saszka? Adoratorem, wielbicielem, nikim więcej. Na pewno nie narzeczonym! Tylko dziadek ze swoimi anachronicznymi wyobrażeniami może sądzić, że skoro chłopak odprowadza dziewczynę do domu, wstępuje na herbatę i przynosi jej kwiaty, to ona musi koniecznie za niego wyjść. Lera tak nie sądziła, co więcej, podobnie jak większość współczesnych dziewcząt, nie uważała, że intymna zażyłość stanowi podstawę do wyciągania poważnych wniosków. Fakt, że podczas nieobecności dziadka regularnie sypiała z Saszą Barsukowem, wcale nie oznaczał, że powinna zjawić się na pogrzebie chłopaka albo przynajmniej się z nim pożegnać. Dziadek na szczęście nie wiedział, jak daleko zaszły sprawy, same spotkania z Saszą wystarczyły, by odważył się zrobić uwagę wnuczce.

– Kiedy pogrzeb? – zapytał, gdy wrócił o dziesiątej rano po dwudziestoczworgodzinnej zmianie.

– Dzisiaj – odparła Lera spokojnie.

– O której?

– Już się zaczął – rzuciła obojętnie.

– A ty? Dlaczego jesteś w domu?

– Nie pójdę. Nie mam tam nic do roboty.

– Ale przecież to twój kolega i przyjaciel, Leroczko. Jak możesz?

– Zamknij się – zimno wycedziła dziewczyna. – Nie będziesz mnie uczył. Znalazł się wzór cnót i moralności.

Dziadek w milczeniu się rozebrał i zamknął w swoim pokoju. Lera

westchnęła z satysfakcją. Znakomicie. Nikt jej nie będzie rozkazywał, a on w szczególności.

Wtedy, rok temu, nawet się nie spodziewała, że tak łatwo sobie z nim poradzi. Musi tylko wciąż przypominać, co zrobił, i dawać do zrozumienia, że mu nie wybaczyła. Wtedy będzie do rany przyłóż. Szczerze mówiąc, z nim jest łatwiej niż z ciocią Ziną, która miała wprawdzie poglądy tak samo zacofane jak on, ale w odróżnieniu od niego uważała, że ma prawo robić Lerce uwagi, a nawet ją pouczać. Inna sprawa, że odkąd zaczęła się litować nad nieszczęsną sierotką, robiła to przez dziewięć lat, na wiele rzeczy przymykając oczy i wybacząc dziewczynce to, za co dzieci zazwyczaj się karze. Mimo że dziadek chyba w ogóle się nad nią nie litował, Lera szybko doszła do wniosku, że może nim manipulować, wykorzystując do tego jeśli nie litość, to poczucie winy. I osiągnęła w tym mistrzostwo. Dziadek chodził jak na sznurku i nie ośmielał się pisać słowa. O Boże, jak ona go nienawidziła!

Dziadek wykonywał wszystkie prace domowe, sprzątał mieszkanie, robił zakupy i gotował. Już na początku Lera mu oznajmiła, że skoro nie może uniknąć mieszkania pod jednym dachem z zabójcą swoich rodziców, nie zamierza po nim sprzątać i go obsługiwać. Dziadek w milczeniu się podporządkował, tylko błysnął groźnie oczami. Ale co tam! Czy Lera miałaby się przestraszyć jego spojrzenia?! Sama też umie piorunować wzrokiem, i to nie gorzej niż on.

Dzień, w którym odbył się pogrzeb Barsukowa, spędziła w domu, nie poszła nawet do instytutu. Leżała na kanapie w swoim pokoju, słuchała cudownego głosu Igora Wildanowa, który śpiewał piosenki jej ukochanego tatusia, spoglądała na zdjęcia i plakaty na ścianach, połykała łzy i zastanawiała się, co powinna dalej robić. Jak mu pomóc?

[1] GUWD (Gławnoje uprawlenije wnutriennich dieł) – Główny Urząd Spraw Wewnętrznych (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] MWD (Ministerstwo Wnutriennich Dieł) – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Rozdział 2

Nowa praca obok mnóstwa plusów miała też jeden istotny minus. Major Kamińska straciła uprawnienia, by wzywać osoby, z którymi chciała porozmawiać. Wezwania mogli wysyłać śledczy, a zaproszenia oficerowie operacyjni, ona tymczasem już od trzech miesięcy była właściwie nikim. Potrzebujesz kogoś i chcesz mu zadać parę pytań? Bądź łaskawa się z nim umówić, a potem ubierz się, zejdź z drugiego piętra, wsiądź do metra i jedź, gdzie musisz. I przez cały czas na piechotę. Walcz z lenistwem, zapomnij o ćmiących plecach. Skończyło się słodkie życie. Dawniej byłeś oficerem operacyjnym z Pietrowki, już sam ten fakt pozwalał ludziom sądzić, że masz prawo zadawać im pytania. Teraz jesteś głównym ekspertem-konsultantem w wydziale informacyjno-analitycznym i nie masz żadnych praw, wyłącznie obowiązki.

Nastia Kamińska ze spokojem przyjmowała fakt istnienia obowiązków, ale brak uprawnień nieustannie ją irytował. Dzisiaj na przykład musiała tłuc się Bóg wie gdzie na umówione spotkanie z mężczyzną, którego zeznania złożone do protokołu przed dziesięciu laty w sprawie zabójstwa małżonków Niemczinowów wprawiły ją w lekkie zdziwienie. W dodatku nie była pewna, czy miało ono jakiegokolwiek podstawy. Może świadek wyrażał się inaczej, a śledczy, sporządzając protokół, sformułował jego wypowiedź w określony sposób. Niewarta skórka wyprawki. Tracić pół dnia na drogę tam i z powrotem, żeby zadać głupie pytanie i nie otrzymać ciekawej odpowiedzi... Nastia pocieszała się tylko słabą nadzieją, że pytanie nie okaże się jednak głupie.

Świadek, któremu zamierzała je zadać, miał akurat urlop i przebywał w domu wypoczynkowym pod Moskwą. Spotkanie zostało wyznaczone na pierwszą, ale ponieważ Nastia nigdy przedtem tam nie była, nie

udało jej się wyliczyć co do minuty czasu przejazdu i znalazła się na miejscu o wiele wcześniej, kwadrans po dwunastej. Najgorsze przewidywania, które zazwyczaj się spełniają, tym razem też się sprawdziły i drzwi pokoju, którego numer miała zapisany na kartce, okazały się zamknięte. Usiadła więc w holu na pierwszym piętrze, czekając na pojawienie się mężczyzny, i otworzyła książkę, którą ze sobą zabrała, żeby zabić czas w pociągu podmiejskim. Książka była nudna, humor autora wydawał się naciągany, mimo to Nastia sumiennie wodziła wzrokiem po linijskich tekstach, bo już dawno doszła do wniosku, że skoro książka się sprzedaje, musieli się znaleźć czytelnicy, którzy dostrzegli w niej coś ciekawego i pociągającego. Dlaczego ona nie miałyby spróbować tego odszukać?

Gdy za kwadrans pierwsza w holu pojawił się mężczyzna w dresie i z nartami w rękach, Nastia nie miała żadnych wątpliwości, że to właśnie on, Aleksander Władimirowicz Biełkin. Nigdy nie widziała go ani na żywo, ani na zdjęciach, umówiła się na spotkanie przez telefon, jednakże głos i sposób wystawiania się pozwolił jej stworzyć obraz rozmówcy: silny, wysportowany, poruszający się sprężystym krokiem. W protokole przesłuchania sprzed dziesięciu lat znalazła się informacja, że Biełkow jest pilotem wojskowym. Ciekawe, czym teraz się zajmuje? Skoro się nie roztył i nie zdziaśniał, chyba nie zajął się prywatną.

– Przepraszam, czy pan Aleksander Władimirowicz? – zawołała półgłosem.

Mężczyzna odwrócił się ku niej i zerknął na zegarek. Jego surowa twarz o twardych, grubych rysach, pokryta kropelkami potu, wyrażała niezadowolenie.

– Anastazja Pawłowna? Do umówionej godziny brakuje jeszcze kwadrans.

– Przepraszam, źle obliczyłam czas i przyjechałam nieco wcześniej.

– A ja sobie obliczyłem, że przed pani przybyciem zdążę wziąć prysznic po biegu narciarskim.

– Oczywiście – powiedziała pośpiesznie. – Mam tutaj poczekać?

Biełkin się rozchmurzył, mocno zarysowane wargi drgnęły w uśmiechu.

– Chodźmy do mojego pokoju.

Nawet nie zaczekał na jej odpowiedź, odwrócił się i szybko ruszył

długim korytarzem w stronę swoich drzwi. Nastia wsunęła książkę do torby i poszła za nim.

Biełkin zajmował dwupokojowy apartament. Jeden pokój pełnił funkcję salonu (wyściełane meble, telewizor), drugi był najwyraźniej sypialnią. Mężczyzna zostawił Nastię w salonie i zniknął w łazience. Pojawił się z powrotem równo o pierwszej, tym razem w dżinsach i cienkim wełnianym swetrze. Miał starannie uczesane włosy, które nie zdążyły jeszcze wyschnąć po kąpieli.

– Słucham panią uważnie – powiedział, siadając w fotelu naprzeciwko.

– Aleksandrze Władimirowiczu, moje pytanie może się panu wydać dziwne, bo dotyczy bardzo odległych wydarzeń. Mam na myśli zabójstwo pańskich sąsiadów, Niemczinowów, na letniku.

– Tak. I co?

– Może pan sobie przypomnieć i opowiedzieć, co się tam stało?

– Chwileczkę. – Na twarzy Biełkina znowu odmalowało się niezadowolenie, tym razem pomieszane z niepokojem. – Przecież powiedziała pani, że pracuje w MWD. Zgadza się?

– Owszem. Mogę pokazać legitymację.

– Poproszę – powiedział dobitnie, wyciągając rękę.

Uważnie przestudiował dokument i przyjrząwszy się zdjęciu, go zwrócił.

– Nie rozumiem sensu pani pytań. Skoro pracuje pani w MWD, musi mieć dostęp do akt sprawy karnej. Wszystko jest tam napisane. Co nowego chce pani ode mnie usłyszeć?

– W aktach jest informacja, że to właśnie pan wezwał wtedy milicję.

– Owszem, wezwałem.

– Dlaczego?

– Dlatego że usłyszałem strzały, a chwilę później zobaczyłem, że z okien sąsiedniego domu wydobywa się dym. Połączyłem jedno z drugim i uznałem, że to powód, by wezwać milicję. Dziwi to panią?

– Ależ nie... – Nastia się uśmiechnęła. – Chciałam zapytać, dlaczego nie wezwał pan milicji do razu po usłyszeniu strzałów. Dlaczego czekał pan, aż wybuchnie pożar?

– Bo w strzałach nie było niczego szczególnego. Na naszym osiedlu można je usłyszeć co najmniej trzy razy w ciągu godziny. Każdy ma broń myśliwską, niedaleko jest duża polana, na której urządzono coś

w rodzaju strzelnicy, można tam potrenować, wypróbować sztucer. Poza tym w pobliżu znajduje się las, a wtedy akurat był środek sezonu. Strzały to nie powód. Ale strzały w połączeniu z pożarem to zupełnie co innego. Odpowiedziałem na pani pytanie?

Tak, tyle że to nie było pytanie, które najbardziej interesowało Nastię. Nie wypada jednak od razu przechodzić do rzeczy, najpierw trzeba przygotować grunt.

– Czy milicja szybko się zjawiała?

– Dość szybko. – Biełkin kiwnął głową. – Po jakichś pięciu minutach. Odległości nie są tam duże.

– Co pan powiedział milicjantom, gdy przyjechali?

– Że sąsiadów odwiedził jakiś mężczyzna. Zapytali, jak wyglądał, więc go opisałem.

– Co było potem?

– Po jakimś czasie poproszono mnie, żebym przyjechał do komisariatu, przyjrzał się pięciu mężczyznom i powiedział, czy jest wśród nich ten, którego widziałem u sąsiadów. Rozpoznałem go.

– To wszystko?

– Owszem.

No cóż, chyba tak właśnie było. W protokole okazania napisano: „Świadek A.W. Biełkin wskazał zatrzymanego W.P. Niemczinowa, twierdząc, że widział go u sąsiadów niedługo przed tragedią”. To niezrozumiałe. Zupełnie niezrozumiałe.

– Aleksandrze Władimirowiczu, od ilu lat ma pan domek letniskowy?

– Od osiemdziesiątego drugiego roku.

– Sam go pan postawił?

– Nie, kupiłem gotowy. Od spadkobierców jakiegoś profesora. Pilnie potrzebowali pieniędzy, wyjeżdżali na stałe do Kanady, więc udało mi się kupić niedrogo.

– Dobrze znał pan sąsiadów, Niemczinowów?

– Niezbyt dobrze. Oczywiście widywaliśmy się dość często. Ale nic poza tym. Nie odwiedzali mnie ani nie zapraszali do siebie.

– A co pan o nich wiedział?

– Praktycznie nic, tylko to, że Giennadij był znanym kompozytorem, pisał piosenki. Ale o tym wiedziało całe osiedle. Wszystkie panienki biegały do niego po autograf.

Nastia drgnęła. Znanym kompozytorem? Nieźle! Czy to czasem nie ten Niemczinow, który... Zgadza się, to chyba on. Wtedy, w osiemdziesiątym siódmym roku, jeszcze nie było zwyczaju, żeby podawać do publicznej wiadomości nieprzyjemną prawdę na temat gwiazd. Wiele znanych osób popełniało samobójstwa, umierało z przedawkowania narkotyków albo na skutek alkoholizmu, a gazety oględnie oznajmiały, że ten czy ów zginął tragicznie, odszedł przedwcześnie. O kompozytorze Giennadiju Niemczinowie też pojawiła się skąpa wzmianka: „Odszedł od nas w rozkwicie sił twórczych”. Ponieważ do zabójstwa doszło na letnisku, sprawą zajmowało się nie miasto, lecz obwód. To dlatego Nastia nie poznała wtedy żadnych szczegółów. Słyszała tylko, że Niemczinow został zabity i tyle.

– A do kogo należał domek Niemczinowów? Do kompozytora czy do Wasilija Pietrowicza? – W tym momencie Nastia zaatakowała. Ostrożnie, wyglądając zza węgła i nie do końca wiedząc, co chce uzyskać. Ale ów diabelski brak logiki nie dawał jej spokoju. Brwi Biełkina uniosły się lekko w geście zdziwienia.

– Wasilija Pietrowicza? A kto to taki?

– Niemczinow senior, ojciec Giennadija. Zapomniał pan, jak się nazywa?

– Przedtem też nie wiedziałem. Znałem tylko Giennadija i Swietę, no i oczywiście ich córkę Leroczkę. Była małym dzieckiem.

– Aleksandrze Władimirowiczu – powiedziała Nastia z napięciem w głosie. – To bardzo ważne, dlatego proszę, żeby się pan dobrze zastanowił, zanim udzieli odpowiedzi. Czy gdy zobaczył pan na sąsiedniej posesji gospodarzy, a z nimi mężczyznę, wiedział pan, że to ojciec Giennadija Niemczinowa?

– Nie miałem pojęcia.

– Nigdy przedtem go pan nie widział?

– Zdecydowanie. Nie widziałem.

– Jest pan tego pewien?

– Anastazjo Pawłowna, mam dobrą pamięć wzrokową. Na oczy też nie narzekam. Nie muszę chyba przypominać, kim jestem z zawodu.

– Pamiętam – wtrąciła Nastia. – Był pan pilotem wojskowym.

– W takim razie musi pani wiedzieć, że można polegać na moim wzroku. Niemczinowowie korzystali z domku przez okrągły rok, bo był

duży i ciepły. Mój domek nie jest tak przystosowany do zimy, ale co niedzielę wybierałem się tam, żeby pojeździć na nartach. Robię tak do dzisiaj. Latem mieszkam tam na okrągło. Gdybym choć raz zobaczył tamtego mężczyznę, tobym go zapamiętał.

A więc na tym polegał brak logiki, który zwrócił uwagę Nastii. Czytając akta sprawy, od razu zauważyła, że sąsiad, Aleksander Władimirowicz Bielkin, mówił nie o Wasiliju Pietrowiczu Niemczinowie, ojcu właściciela posesji, tylko o mężczyźnie, który miał koło pięćdziesięciu pięciu lat, ciężko stąpał, był masywnie zbudowany, szpakowaty, ubrany w ciemne spodnie, sweter koloru bordo z dwoma białymi pasami z tyłu i z przodu. Niemczinow został zatrzymany na podstawie znaków szczególnych, przede wszystkim na podstawie opisu owego bordowego swetra w białe pasy.

– Czy dobrze się pan przyjrzał wtedy jego twarzy? – zapytała.

– Oczywiście. Zapamiętałem też głos. Rozmawiałem z nim.

– O czym?

– Chciał podlać kwiaty, wziął konewkę i zaczął szukać wody. Giennadij i jego żona byli w domku, a ja akurat doprowadzałem do porządku krzak porzeczek przy płocie. Widzę, że mężczyzna chodzi z konewką tam i z powrotem, wygląda przy tym na stropionego. Gdy mnie zauważył, przywitał się i zapytał, skąd bierzemy wodę. Pokazałem mu, gdzie na działce Gienny jest hydrant. Napełnił konewkę i zaczął podlewać kwiaty. Potem wrócił do domku.

– A potem?

– Co potem? To wszystko. Sąsiedzi byli w domku, a ja wróciłem do siebie. Usiadłem na kanapie i oglądałem telewizję, nadawano akurat serial *Siedemnaście mgnień wiosny*, więc starałem się nie przegapić żadnego odcinka. Gdy usłyszałem strzały, nie zwróciłem na nie uwagi. Resztę już pani mówiłem.

– Czy wtedy, dziesięć lat temu, ktoś panu zadawał podobne pytania?

– Nie. Właściwie nie rozumiem, czemu pani je zadaje. Przecież zabójca został ujęty, okazał się nim mężczyzna, którego widziałem na posesji Niemczinowów. Co tutaj może być niejasne?

– Nic. – Nastia westchnęła. – Zwłaszcza że podczas śledztwa i na rozprawie sądowej Niemczinow przyznał się do zabójstwa.

– W takim razie po co traci pani czas?

– Chce pan zapytać, dlaczego zabieram go panu?

– To też. – Biełkin się uśmiechnął. – Może sądzi pani, że czas kogoś, kto ma urlop, nie jest cenny?

– Nie, wcale tak nie sądzę. Aleksandrze Władimirowiczu, czy nie wydało się panu dziwne, że ojciec właściciela posesji nie wie, gdzie jest hydrant?

– Nie. – Biełkin zaczął się irytować, i to bardzo wyraźnie. – Widziałem tego mężczyznę po raz pierwszy, dla mnie to był zwyczajny gość, więc uznałem za naturalne, że czegoś nie wie. Nie rozumiem, do czego pani zmierza. Uważa pani, że złożyłem fałszywe zeznania?

Nastia roześmiała się serdecznie. Wreszcie do niej dotarło, dlaczego Biełkin się denerwuje. No oczywiście, jej pytania mogą sugerować, że sprawdza jego słowa i im nie dowierza.

– Bardzo przepraszam – powiedziała łagodnie. – Nie chciałam, żeby pan tak pomyślał. Chodzi o coś innego. Musi pan wiedzieć, że posesja należała nie do Giennadija, tylko do jego ojca, Wasilija Pietrowicza. Był pan ich sąsiadem przez pięć lat i przez ten czas ani razu nie widział prawdziwego właściciela. A gdy nagle się zjawił, okazało się, że nawet nie wie, gdzie na działce wykopano studnię artezyjską. To znaczy, że tam nie bywał. Nasuwa się więc pytanie: czemu?

– Pytanie jest oczywiście ciekawe, ale to nie ja powinienem być jego adresatem. Już pani mówiłem, że znałem sąsiadów tylko z widzenia, mówiliśmy sobie „dzień dobry” i pożyczaliśmy czasem różne narzędzia, nic poza tym. Nie mam pojęcia, dlaczego ojciec Giennadija nie przyjeżdżał na letnisko. Nie orientuję się w ich rodzinnych sprawach.

Głos Biełkina był nadal surowy, ale irytacja zniknęła. Nastia odniosła nawet wrażenie, że mężczyzna zaczął popatrywać na nią z ciekawością. A przynajmniej nieco życzliwiej. Zerknęła na zegarek i wstała.

– Pewnie musi pan iść na obiad. Dziękuję za poświęcony czas.

Biełkin posłał jej kpiące spojrzenie i nagle rzucił ostro:

– Proszę usiąść, pani major. Jeszcze nie skończyliśmy.

Nastia osłupiała ze zdumienia i posłusznie osunęła się z powrotem na fotel. Biełkin milczał, przypatrując jej się jak robakowi pod mikroskopem. Jego natarczywy wzrok sprawił, że poczuła się nieswojo.

– Zręcznie mnie pan usadził – zażartowała nieszczercze, próbując otrząsnąć się z zakłopotania. – Wydał pan rozkaz, a ja go potulnie

wykonałam, mimo że panu nie podlegam. Siła przyzwyczajenia piętnastu lat służby.

– Tak długo pani pracuje?

– Owszem, włożyłam mundur zaraz po studiach. A pan?

– Mam więcej wysługi niż lat życia. Czas udziału w działaniach bojowych liczy się potrójnie. Niech pani nie unika tematu. Dlaczego zainteresowała panią tak stara sprawa?

– Bez powodu. – Nastia wzruszyła ramionami. – Latem ubiegłego roku Wasilij Pietrowicz Niemczinow opuścił kolonię karną, a ponieważ mieszka teraz w Moskwie, chcę wiedzieć, czego się po nim spodziewać. Wzięłam akta z archiwum, zaczęłam je przeglądać i natknęłam się na pańskie zeznania. Postanowiłam to i owo uściślić. Trudno zignorować fakt, że człowiek latami nie przyjeżdża na swoje letnisko, podczas gdy jego syn, synowa i wnuczka bywają tam regularnie, a potem ni z tego, ni z owego zjawia się, pije wódkę razem z synem i jego żoną, chwyta za broń i zabija kompanów od kieliszka. Nawiasem mówiąc, czy Giennadij i Swietłana lubili imprezować?

– Na ten temat nie potrafię niczego konkretnego powiedzieć, ale rzeczywiście często kogoś gościli. Nie stronili od alkoholu. Tak więc nie ma w tym nic dziwnego, że Giennadij pił wódkę razem z żoną i z ojcem. Jeśli jednak nie daje pani spokoju fakt, że ojciec nagle zjawił się na letnisku, to może był ku temu powód. Na przykład jakieś rodzinne święto.

– Rodzinne święta bywają co roku, mimo to ani razu nie widział pan Niemczinowa seniora – zaoponowała Nastia z uporem. – Dlaczego akurat wtedy zjechali się na letnisko? Jaki szczególny powód mógł ich do tego skłonić?

– Niech pani zapyta ojca, sama pani przed chwilą powiedziała, że jest teraz w Moskwie. Dlaczego tylko mnie pani wypytuje?

– To nieprawda, panie pułkowniku. – Nastia się uśmiechnęła. – Nie wypytuję. Chciałam wyjść, bo to, czego pragnęłam się dowiedzieć, już mi pan powiedział. Ale pan mnie nie puścił. Więc teraz kolej na pana, żeby powiedzieć czemu. Dlaczego mnie pan zatrzymał?

– Czekam – odparł Biełkin krótko.

Lekko podniósł się z niskiego fotela, przespacerował po pokoju, postać chwilę przy oknie, po czym odwrócił się do Nastii, opierając łokcie

o parapet.

– Chcę sprawdzić, czy umie pani słuchać, i czekam, aż zada mi pewne pytanie. Ale wnioskując z pani zachowania, chyba się nie doczekam.

Nagle Nastię ogarnęła złość. Na co on sobie pozwala, ten pułkownik? Owszem, to prawda, że walczył, że jest lotnikiem, który brał udział w działaniach bojowych, i że dostał mnóstwo nagród, ale czy to mu daje prawo, by podważać profesjonalizm osób wykonujących mniej heroiczną pracę? Czy to, że potrafisz szybko biegać, daje ci prawo, by sądzić, że ten, kto nie biega, lecz skacze, jest zupełnym zerem, mimo że skacze lepiej, niż ty biegasz? Nastia wstała z fotela, wprowadziła nie tak elegancko jak Biełkin, ale płynnym ruchem, by nie sprawiać wrażenia osoby niezdarnej.

– Nie doczeka się pan – powiedziała spokojnie. – Ale nie dlatego, że nie chcę zadać panu tego pytania. Dał mi pan przecież jasno do zrozumienia, że cudze tajemnice rodzinne pana nie obchodzą. Stąd wniosek, że raczej nie zechce pan odpowiedzieć na moje pytanie.

– Niech mi je pani zada, to odpowiem. Chyba rzeczywiście pora kończyć rozmowę, w przeciwnym razie pojawi się ryzyko, że zostanę bez obiadu.

Nastia nabrała powietrza do płuc, jak przed skokiem do wody. Nie znosiła, gdy ktoś ją egzaminował, ale niestety nie zawsze mogła uniknąć tego typu sytuacji. Teraz też wpakowała się przez nieuwagę, pozwoliła pułkownikowi, by przejął inicjatywę w rozmowie, wskutek czego będzie musiała udowadniać swoje kompetencje zawodowe. Nie wątpiła, że Biełkin myśli o tym samym. Powiedział, a nawet podkreślił, że ma świetną pamięć wzrokową. A więc pamięta wiele osób, które odwiedzały letnisko Niemczinowów, mimo że minął szmat czasu. Może ktoś zna odpowiedź na pytanie? Wasilij Pietrowicz też jej oczywiście nie zna, ale gdyby niczego nie ukrywał, informacja pojawiłaby się w materiałach sprawy karnej. W protokołach przesłuchań przynajmniej raz przewinęłoby się zdanie: „Tamtego dnia przyjechałem z synem na letnisko, mimo że przedtem tam nie bywałem, bo...”. Ale się nie przewinęło. Owszem, Niemczinow senior przyjechał, nikogo jednak nie interesowało, czy bywał tam wcześniej, bo nie ma to bezpośredniego związku z zabójstwem. Po co więc go o to pytać? Skoro nie powiedział wtedy, teraz też nie powie. Małżonkowie Niemczinowowie nie żyją. Lera

Niemczinowa była wtedy ośmioletnim dzieckiem, a zatem jej też nie ma sensu pytać. Co innego, jeśli chodzi o przyjaciół rodziny. W dodatku takich, którzy przyjeżdżali na letnisko i mogą wiedzieć, czy ojciec tam bywał, a jeśli nie, to dlaczego.

– Może mi pan podać nazwiska? – zapytała Nastia obcesowo, pomijając wszystkie pośrednie ogniwa.

– Znam tylko jedno. Poznałem je całkiem niedawno. Widziałem tego mężczyznę wiele razy u Niemczinowów, dlatego dobrze go zapamiętałem. Gdy się pojawił na ekranie telewizora, nie miałem najmniejszej wątpliwości, że to on.

– Nazwisko – powtórzyła Nastia z naciskiem. – Obiecał pan je podać.

– Nie zapamiętałem. Występował w programie o Igorze Wildanowie. Jest taki znany piosenkarz, może pani słyszała?

– Słyszałam. Co ten człowiek robił w audycji?

– Opowiadał o Wildanowie. O tym, jak ciężko pracuje, jak wyglądają jego próby, jak krytycznie ocenia swoją twórczość i tak dalej. Odniosłem wrażenie, że to ktoś w rodzaju osobistego menadżera. Zdaje się, że w świecie artystów taka osoba nosi miano impresaria. To wszystko, Anastazjo Pawłowna, czas minął. Za dziesięć minut zamkną mi stołówkę.

Razem opuścili pokój, Bielkin ruszył schodami na drugie piętro, gdzie znajdowała się stołówka, a Nastia zeszła na dół i powlokła się na pociąg. Nadzieja, że dotrze na dworzec autobusem, się nie sprawdziła. Jeśli wierzyć rozkładowi jazdy, autobus odjechał parę minut temu, a następny będzie dopiero za półtorej godziny. Czekanie mija się z celem, zresztą jest zimno.

W ciągu czterdziestu minut Nastia pokonała trzy kilometry dzielące dom wczasowy od dworca, i nie mogła się sobie nadziwić. Przecież chodzenie pieszo jest zdrowe, bo czyste, zimne powietrze sprawia, że płuca się oczyszczają, a myśli porządkują. Więc dlaczego ona nie lubi spacerować? Dawniej, gdy pracowała jeszcze na Pietrowce, Zatoczny regularnie wyciągał ją na poranne spacerunki w parku Izmajłowskim. Za każdym razem potwornie nie chciało jej się iść, ale potem zawsze była zadowolona, że się wybrała. W ciągu trzech ostatnich miesięcy ani razu nie spacerowała z Zatocznym, lecz to rozumiała. Gdy byli w różnych resortach, sprawa wyglądała inaczej. Teraz łączą ich relacje szefa

i podwładnej. Etyka służbowa nie pozwala. Poza tym nie ma takiej potrzeby, bo codziennie się widują i mogą omówić wszystko na miejscu.

Ci Niemczinowowie to jednak ciekawa rodzinka. Znany kompozytor zajmował przestronny, ciepły dom letniskowy wybudowany przez ojca, przyjmował tam gości, urządzał huczne biesiady. A niepozornego tatusia trzymał z boku. Czyżby się go wstydził? Chyba tak. W wielu rodzinach zdarza się, że dzieci wyrywają się w świat, nawiązują liczne znajomości, po czym udają, że w ogóle nie mają rodziców, bo nie chcą ich przedstawiać eleganckiemu otoczeniu. Przodkowie się nie udali. Mają nieodpowiednie wykształcenie, proste maniere, wygląd też pozostawia sporo do życzenia.

Jednakże ta prosta historyjka nieszczególnie pasuje do obrazu Wasilija Pietrowicza Niemczinowa. Jak to się ma do nienagannej wypowiedzi pisemnej bez żadnego błędu ortograficznego czy składniowego? Do normalnego języka, którym się posługiwał podczas szóstego roku pobytu w kolonii karnej? Niemczinow senior nie przypomina niewykształconego prymitywa, mimo że nie ma wyższego wykształcenia, a zanim trafił do aresztu, był tylko robotnikiem, choć z wysokimi kwalifikacjami. Wykapany Gosza ze słynnego filmu *Moskwa nie wierzy łzom*. No a co z podziękowaniami za wyteżoną pracę i wzorowe zachowanie w kolonii? To znaczy, że umie nad sobą panować i bezwzględnie przestrzega zasad, nawet jeśli mu nie odpowiadają. Trudno uwierzyć, że taki człowiek nie potrafi zachować się w towarzystwie, jeśli mu na tym zależy. Nastia przypominała sobie zdjęcia, które widziała w aktach sprawy. Ogolony na łyso i posępny Wasilij Pietrowicz Niemczinow nie robił wrażenia wiejskiego, nieokrzesanego chłopca, którego znany muzyk mógłby się wstydzić.

Dotarła do rozwidlenia i na chwilę się zatrzymała. Z tego miejsca na dworzec prowadziły dwie drogi: ta, którą szła, i ścieżka skrajem lasu. Drogą jest spokojniej, ale dalej, przez las krócej, tylko trochę strach. Chociaż czego właściwie się bać? Jest biały dzień, dopiero wpół do trzeciej. Nastia zdecydowanie skrzyła w stronę lasu.

Już parę minut później z satysfakcją stwierdziła, że dokonała słusznego wyboru. W lesie było cicho i niesłychanie pięknie. Głowa stanowczo odmawiała analizowania starego zabójstwa, zresztą podobnie jak niedawnego. Boże, dlaczego całe jej życie to trupy, śmierć, czyjeś ły

i nienawiść? Są ludzie, którzy żyją inaczej. Na przykład ogrodnicy... Albo leśnicy w rezerwach. Pracują z cudownym materiałem, nie dość, że dobrym, to jeszcze pięknym. I żadnej nienawiści. Żadnego gniewu.

Jej myśli krążą nie wokół tego, co trzeba. Co to za mazgajstwo? Teraz powinna myśleć wyłącznie o zadaniu otrzymanym od Zatocznego. Ono zaś polega wcale nie na tym, żeby odkryć powody, dla których Wasilij Pietrowicz Niemczinow nie bywał na własnym letnisku. Należy się dowiedzieć, czy wypuszczony na wolność Niemczinow nie próbował wciągnąć w przestępczą działalność młodego milicjanta, studenta uczelni resortowej MWD, Saszy Barsukowa, a jeśli próbował, to czy chodzi o pojedynczy przypadek, czy też o jeden z etapów operacji przeniknięcia struktur kryminalnych do milicji. Tylko to powinno ją interesować, a nie jakieś sentymenty związane ze skomplikowanymi relacjami ojca i syna. Patrzcie państwo, Niemczinow nie bywał na letnisku! No i co z tego? Rodzice Nastii też mają letnisko i jaki z niego pożytek? Nastia była tam zaledwie raz, z grzeczności, pojechała siedem lat temu, żeby obejrzeć nabytek. Nikt jej nie zaciągnie na letnisko, bo jest istotą miastową, przyroda jej nie pociąga. Musi mieć gorącą wodę, kawę i koniecznie telefon pod ręką. Komputer też jest mile widziany. I żadnych komarów czy innych równie uroczych krwiożerczych owadów. Jednym słowem, jej miejsce jest w kawalerce przy szosie Szczołkowskiej. Tam czuje się wygodnie i swojsko.

Myśli znowu pobiegły w niewłaściwą stronę. Nie, leśna cisza i zaśnieżone drzewa stanowczo nie sprzyjają konstruktywnemu myśleniu. A więc co trzeba zrobić? Po pierwsze: spotkać się z Lerą Niemczinową i wypytać ją o relacje Barsukowa z dziadkiem. Po drugie: umówić się z Wasilijem Pietrowiczem, poznać go i z grubsza ocenić. Po trzecie: zainteresować się instytutem, w którym studiował Barsukow. Maksim Zatoczny już podał nazwiska studentów, którzy mogą wiedzieć więcej niż on na temat Barsukowa. Teraz Jura Korotkow z nimi pracuje, musi wyjaśnić sprawę zabójstwa. Nastia włączy się nieco później, gdy gorączkowa atmosfera pierwszych dni śledztwa nieco ostygnie.

A jednak dlaczego Niemczinow nie bywał na swoim letnisku, a potem nagle przyjechał i zabił syna oraz synową? Bzdura, pomyślała Nastia z irytacją. Czemu wciąż przychodzą mi do głowy różne głupstwa? Jakie to ma znaczenie? Żadnego. Nie bywał na letnisku piętnaście lat temu,

tymczasem Sasza Barsukow został zabity w ubiegłym tygodniu. Nawiasem mówiąc, ciekawe, czy Wasilij Pietrowicz wybrał się teraz na letnisko? Domek wciąż stoi, po pożarze go odbudowano i nie wystawiono na sprzedaż. Wszystko wskazuje jednak na to, że Niemczinow nadal się tam nie pokazuje, inaczej pułkownik Biełkin na pewno by o tym wiedział. No cóż, nic dziwnego, kto chciałby wracać na miejsce, gdzie po pijaku zabił dwie osoby. W dodatku nie obce, nie byli to przypadkowi kompani od kieliszka, tylko rodzice jedynej wnuczki.

Opamiętaj się, Anastazjo, ofuknęła się w duchu. Niemczinow chyba rzucił na ciebie jakiś urok. Jeszcze go ani razu nie widziałas, a nie możesz przestać o nim myśleć. ...

Gdy pokazał się peron, Nastia ze zdziwieniem skonstatowała, że to już dworzec.



Do tej pory przechodziły ją dreszcze, gdy zbliżała się do jego domu. Pierwszy raz zjawiła się tutaj trzy lata temu, była wtedy jeszcze piętnastoletnią smarkulą. Łatwo zdobyła adres, każdy słynny piosenkarz ma swoich fanów, którzy wiedzą o nim wszystko, poczynając od adresu, a kończąc na ulubionym kolorze prezerwatyw. Lera należała do fanek, ale nie takich jak inne. Przynajmniej jej zdaniem. Dla całej reszty sława Igora Wildanowa stanowiła wystarczający powód, by uznać go za obiekt uwielbienia. Dla niej jego popularność nie miała znaczenia. Liczyło się tylko jedno: Igor wykonywał piosenki jej ojca, przedłużając tym samym dawno minione życie. Istniała też jeszcze jedna przyczyna, do której Lera nie lubiła się przyznawać, ale o której nie potrafiła zapomnieć. Wildanow był atrakcyjny, w dodatku jawił się jej jako piękny książę z dziewczyczych snów. Stanowił wierną kopię pierwszego i jedyne go wybranka, którego widziała w marzeniach. Szkicowała jego portrety, nikomu ich wprawdzie nie pokazując, i robiła to, gdy miała dziewięć, dziesięć, dwanaście, a nawet czternaście lat. A gdy skończyła piętnaście, nagle po raz pierwszy zobaczyła Igora w telewizji i podobieństwo wymyślnego i wymarzonego obrazu do żywego i namacalnego mężczyzny ją oszołomiło.

Ale myśl, żeby go odwiedzić, nie zrodziła się jeszcze w jej głowie.

Pojawiła się dwa miesiące później, gdy Lera usłyszała *Requiem*, jedną z pieśni ojca, w wykonaniu Wildanowa. Wtedy zdobyła pewność. Nie chodziło wyłącznie o chęć, żeby przy nim być, ale o prawo do tego, bo była przecież córką kompozytora, którego piosenki wykonywał.

Zdobyła adres i śmiało ruszyła do domu, w którym mieszkał piosenkarz. Ależ była naiwna, sądząc, że wejdzie tam bez problemu! Takie fanki jak ona trzyma się w bezpiecznej odległości od idola, dlatego wystają na ulicy koło domu, czekając, aż ich bożyszcze zjawi się przynajmniej na chwilę, idąc w stronę samochodu. W tym czasie można nie tylko zobaczyć go z bliska, ale też poczuć zapach jego wody toaletowej, dotknąć rękawa kurtki, poczuć na sobie roztargnione i znużone spojrzenie, a jeśli się uda, zdobyć nawet autograf. W tamtej chwili przy wejściu kręciło się jakieś piętnaście rozentuzjasmowanych małolat. Gdy zauważyły niepewnie zbliżającą się nieznaną, wbiły w nią niespokojne spojrzenia. Czy to jeszcze jedna rywalka? Bo przecież im więcej osób tłoczy się pod drzwiami, tym mniejsze szanse na to, by, po pierwsze, precyzyjnie się w pobliże idola, gdy raczy się pokazać, a po drugie, zostać zauważoną. Ale Lera od razu zrobiła wyniosłą minę, pewnym krokiem wparowała do środka, jakby tak miało być, jakby nie szła do Wildanowa, tylko do kogoś innego. Nie dotarła jednak do windy. W holu siedział ni to portier, ni to stróż, ni to ochroniarz, potężny drab z pustym wzrokiem. Znał się na swojej robocie, więc natychmiast zareagował na widok młodej dziewczyny.

– Hej, panienko, ty do kogo? – zapytał niespodziewanie wysokim głosem.

Lera poczuła się urażona, słysząc niefrasobliwe określenie. Co ten facet sobie myśli? Niech sobie nazywa panienkami tamte przepychające się przy drzwiach idiotki. Ona, Lera, nie jest jedną z nich.

– Do Wildanowa – odparła oschle, starając się ukryć strach, który ją nagle ogarnął.

– Wzywał cię? – drażył dalej facet.

– Tak – skłamała, wstydząc się jednocześnie własnej głupoty. Po co kłamać, skoro ochroniarz może sprawdzić każde jej słowo? Tuż przed nim stoi telefon.

– A jeśli do niego zadzwonię i zapytam? – zapytał kpiąco.

Lena nabrała powietrza do płuc i powiedziała:

– Niech mu pan powie, że przyszła córka kompozytora Niemczinowa.
Facet się zachnął, ale w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania.
Od niechcienia podniósł słuchawkę i wybrał numer.

– Wiaczesław Olegowicz? Mówi dyżurny. Do Igora przyszła dziewczyna,
twierdzi, że jest córką jakiegoś kompozytora...

– Niemczinowa – natychmiast wtrąciła Lera. – Giennadija
Niemczinowa.

– Giennadija Niemczinowa – powtórzył posłusznie. – Nie wiem, zaraz
zapytam. Jak się nazywasz? – zwrócił się do Lery.

– Waleria Niemczinowa.

– Waleria – rzucił do słuchawki. – Aha, dobrze.

Odłożywszy słuchawkę, przez chwilę przyglądał się Lerze
z niedowierzaniem pomieszanym z ciekawością.

– Możesz iść – wycedził w końcu. – Piąte piętro.

– A mieszkanie?

– Ktoś ci otworzy.

Lera wjechała windą na piąte piętro i gdy automatyczne drzwi się
rozsunęły, od razu zobaczyła mężczyznę, który stał przodem do niej.
W pierwszej chwili go nie poznała.

– Leroczka? – zapytał poruszony, a ona od razu przypomniała sobie
jego głos.

– Wujek Sława!

No oczywiście, to przecież wujek Sława, przyjaciel taty! Lera nie
widziała go siedem lat, odkąd zabrakło rodziców, ale gdy jeszcze żyli,
odwiedzał ich co parę dni. Coś takiego, kto by pomyślał?! Gdyby
wiedziała, że wujek Sława jest bliskim znajomym Igora Wildanowa, już
dawno poznałaby swojego pięknego księcia. Doszłoby do tego nie teraz,
tylko dwa miesiące temu, gdy po raz pierwszy go zobaczyła i zrozumiała,
że to On. Straciła aż dwa miesiące! Od dwóch miesięcy, a dokładnie od
sześćdziesięciu ośmiu dni przez dwadzieścia cztery godziny na dobę
marzyła o spotkaniu z Nim i budowała plany, jeden osobliwszy od
drugiego, jak nawiązać znajomość i zwrócić na siebie uwagę.

Z bliska Wildanow okazał się jeszcze przystojniejszy niż w telewizji.
Ujął Lerę czarującym uśmiechem i przytłumionym, subtelnym głosem.
Bardzo się bała, że znany piosenkarz okaże się zarozumiały i potraktuje
ją wyniośle, ale tak się nie stało. Szkoda tylko, że wujek Sława wciąż

przeszkadzał. „Leroczko, kochanie...”. Rozmawiał z nią, jakby była dzieckiem. Tymczasem ona jest już dorosła i samodzielna, ma piętnaście lat. W jej wieku Julia wyszła za mąż. Najgorsze jest to, że Igor w ślad za wujkiem widzi w niej małą dziewczynkę, a nie młodą kobietę.

I oto już od trzech lat Lera jest przyjaciółką Igora. Mieszka, rzecz jasna, u siebie. Ani ciocia Zina, ani zniechęcony dziadek nawet się nie domyślali, że zna gwiazdora estrady, w dodatku odwiedza go w domu. I to ze dwa, trzy razy w tygodniu. Najpierw, przez pierwsze dwa lata, siedziała jak myszka w kącie i przyglądała się swojemu idolowi, biegała do sklepu, parzyła i serwowała kawę, rozmawiała z wujkiem Sławą, odbierała telefony, gdy Igor wychodził albo wyjeżdżał i prosił, żeby popilnowała na wypadek, gdyby ktoś ważny szukał kontaktu. Rano zmywała naczynia po hucznych imprezach (na które jej oczywiście nie zapraszano) i jeździła po mieście, wykonując powierzone zadania. W milczeniu łykała łzy, gdy spotykała dziewczyny, które Igor zaciągał do łóżka. W milczeniu znosiła jego pobłażliwe „kotku”, dziwiąc się, jak jej wybranek może nie widzieć, że ona go kocha i że jest najlepsza na świecie, sto razy lepsza od dziwek, z którymi sypia. Pewnie potrzebuje trochę czasu, żeby zrozumieć, z jaką niezwykłą istotą ma do czynienia. Czekala więc cierpliwie, aż w końcu nadszedł jej dzień. Rok temu wreszcie do tego doszło. Uczyła się w jedenastej klasie, gdy została kochanką Igora Wildanowa.

Wujek Sława był przerażony. Dowiedział się o tym pierwszy, bo miał klucze od mieszkania Igora, a także od jego domu za miastem, więc w każdej chwili mógł się zjawić. No i się zjawił, gdy Lera z Igorem siedzieli akurat w wannie pełnej piany.

– Na głowę upadłeś? – wrzasnął. – Ona jest przecież niepełnoletnia! Zgnijesz w więzieniu!

– Nie nudź – odparł Igor leniwie, bawiąc się pianą i nasuwając śnieżnobiałą czapkę na głowę Lery. – Teraz przepisy są humanitarne. Dziewczyna ma siedemnaście lat, więc nie jest już nieletnia i może się bzykać, z kim chce. Dobrowolnie, rzecz jasna. No a ty, kotku, robisz to z nieprzymuszonej woli, prawda?

Lera patrzyła na niego oczami błyszczącymi ze szczęścia i umierała z zachwytu. Tak, nie jest taka jak inne dziewczęta. One włóczą się całymi stadami za Igorem, nie odstępują go na krok, tymczasem on

wybrał tylko ją i pozwolił jej się do siebie zbliżyć.

Niezmałcone szczęście trwało tydzień. Jakies dziesięć dni później pojawiły się kolejne dziewczyny. W dodatku Igor wyjeżdżał na występy i można było tylko się domyślać, co tam wyczyniał. Nie mówiąc już o tym, że nie zamierzał dawać Lerze kluczy do swojego mieszkania i kategorycznie zabronił przychodzić bez pozwolenia. Najpierw musiała zadzwonić i zapytać, czy może wpaść. I bynajmniej nie zawsze słyszała upragnione „możesz”.

Mimo to wciąż go kochała i była mu wierna jak pies. Spoglądała z podziwem. Wszystko znosiła. Ze wszystkim się godziła. Bo wiedziała, że Igor nie jest z żadną dziewczyną dłużej niż miesiąc, tymczasem z nią nie rozstaje się już od roku. To znaczy, że ona jest inna, wyjątkowa. To sprawiało, że była w siódmym niebie.

A potem wydarzyło się nieszczęście. I tylko ona, Lera, mogła pomóc Igorowi. Najpierw myślała, że sprawa jest bardzo prosta. Trzeba tylko zapytać dziadka, nawet nie zapytać, tylko zażądać odpowiedzi. Ale już w następnej chwili okazało się, że nie potrafi z nim rozmawiać. Dzielił ich mur obcości, który sama pieczołowicie wznosiła i codziennie umacniała. Dziadek nie ośmielał się pisnąć słowa, a co dopiero ją indagować: „Gdzie byłaś?”, „Dokąd się wybierasz?”, „Co słychać na uczelni?”. Każdego dnia zamieniali ze sobą zaledwie parę zdań. Zazwyczaj dziadek pytał nieśmiało:

– Co wolisz na kolację, Leroczko: podsmażane ziemniaki czy gotowany makaron?

A Lera opryskliwie odpowiadała:

– Wszystko mi jedno.

Na tym ich konwersacja się kończyła. Jak więc teraz zarzucić go pytaniami? Ma powiedzieć: „Dziadku, powiedz, proszę, czy...”. Nie, to wykluczone. Nigdy nie zwróci się do niego grzecznie i nie powie „proszę”. On jest jej wrogiem po wieczne czasy, a spoiwem wzniesionego przez nią muru są milczenie, opryskliwość i oschłość. Jeśli Lera odpuści i zrobi wyłom w murze, niedługo cała konstrukcja się zawali i znienawidzony, odrażający dziadek wejdzie jej na głowę. Nie, nie i jeszcze raz nie.

Postanowiła więc zwrócić się do Saszy Barsukowa, który od pewnego czasu ją podrywał. Chłopak jeszcze się uczy, ale to przyszły oficer milicji, będzie pracował w wydziale kryminalnym, już teraz ma stopień

szeregowego. Jest wprawdzie dopiero na drugim roku, ale czegoś już się chyba nauczył. Lera musiała oczywiście pójść z nim do łóżka, w dzisiejszych czasach ze świecą szukać bezinteresownych wielbicieli.

Sasza jednak zginął, zanim się czegokolwiek dowiedział. Trzeba zatem podjąć decyzję, co zrobić, żeby pomóc Igorowi. Tylko jak mu pomóc?

Rozdział 3

Już od dawna Nastia Kamińska nie była w tak dobrym humorze, który na dodatek jej nie opuszczał, to znaczy nie zmieniał się co dwie, trzy godziny, tylko wydawał się stabilny. Mimo że nie było szczególnych powodów do radości, Nastia zachowywała pogodę ducha. Niebagatelny wpływ na jej nastrój miał nowy pracownik, Paweł Michajłowicz Diużyn.

Zdaniem Nastii Paweł był człowiekiem absolutnie niepoważnym, to jest nie odpowiadał utrwalonemu w jej wyobraźni obrazowi solidnego urzędnika. O ludziach takich jak Diużyn mówiła, że są szczerzy do bólu i nie zważają na konwenanse. Już pierwszego dnia znajomości Paweł zapytał:

– Czy to prawda, że twój ojciec wykłada na katedrze strategii operacyjno-wywiadowczej?

– Nie ojciec, tylko ojczym – poprawiła go delikatnie. – A czemu?

– Jeden gość potrzebuje pomocy, w sesji zimowej będzie zdawał egzamin u twojego krewniaka.

Bezceremonialność Diużyna zaskoczyła Nastię. Przez wszystkie lata pracy nikt nigdy nie ośmielił się zwrócić do niej z podobną prośbą, mimo że na Pietrowce było sporo osób, które studiowały na uczelni, gdzie pracował Leonid Pietrowicz. Wystarczył tylko raz, by próby wykorzystania protekcji definitywnie ustały. Pewnego dnia zagadnął Nastię naczelnik jednego z wydziałów, który chciał zadbać o interesy syna. Odpowiedziała wtedy krótko i dobitnie.

– Nic z tego. Jeśli pańskiemu synowi brak wiedzy z podstawowego przedmiotu, powinien się pan wstydzić. Proszę usiąść z chłopakiem i z nim popracować. A jeśli to niemożliwe, niech go pan przyśle do mnie na konsultacje przed egzaminem. Bo nie zamierzam prosić o nic ojczyma.

Naczelnik się obraził i opowiadał po całej Pietrowce, że Kamińska to wredna zdzira. Sprawa była przykra, ale wszyscy dobrze zapamiętali lekcję. Potem już nikt nie próbował dostać w ten sposób oceny na egzaminie.

Kapitan Diużyn nie pracował jednak na Pietrowce, nie znał Nastii oraz jej kolegów i nie odebrał smutnej nauczki. Dlatego nie widział nic złego w tym, że chce zadbać o przyjaciela.

– A co, twój kumpel jest słabowity i ułomny? – zapytała wrogim tonem.

– Nie może sam się nauczyć?

– Brak mu czasu. – Diużyn wdał się w wyjaśnienia. – Studiuje przecież wieczorowo, no i tyra jak wół. Kiedy ma się uczyć?

– Jest facetem. Niech zaciśnie zęby i wykuje materiał.

– Naprawdę nie może. Zaharowuje się na śmierć, nie ma wolnej chwili.

– Mimo to moja odpowiedź brzmi nie – powiedziała Nastia stanowczo.

– Ale dlaczego?

Na twarzy Diużyna odmalowało się szczere zdumienie, jakby spodziewał się wszystkiego, tylko nie odmowy. Był przygotowany na dodatkowe pytania, na przykład o nazwisko kolegi, numer grupy i datę egzaminu, liczył się też z tym, że zostaną postawione pewne warunki dotyczące określonej sumy albo szeregu przysług, krótko mówiąc, Paweł Michajłowicz Diużyn gotów był na wszystko, tylko nie na owo kategoryczne „nie” bez żadnych wyjaśnień i usprawiedliwień.

– Bo nie. – Kamińska wzruszyła ramionami. – Nigdy przedtem tego nie robiłam, więc teraz też nie zrobię.

– A dlaczego nie robiłaś? – z nieukrywaną ciekawością zapytał Paweł. – Nie dogadujesz się z ojczymem?

Obcesowość Diużyna sprawiła, że Nastia dosłownie zaniemówiła. Dzisiaj się poznali, a on nie dość, że narzuca się z prośbami, to jeszcze wtyka nos w rodzinne sprawy.

– Wyjaśnię ci, Pasza, skoro nie rozumiesz – powiedziała spokojnie. – To wstyd, żeby ktoś nie znał podstawowego przedmiotu. Wstyd i hańba. Człowiek, który zamierza zawodowo walczyć z przestępczością, nie może nie znać strategii operacyjno-wywiadowczej. Zresztą musi też znać pozostałe przedmioty. Wiesz, czym się różni wywiadowca od lekarza czy inżyniera? Oni mogą nie znać szczegółów powstania Spartakusa albo daty pierwszego posiedzenia Stanów Generalnych, bo to nie wpływa na

umiejętność trafnego postawienia diagnozy i zalecenia terapii ani na niezawodność konstrukcji. Tymczasem wywiadowca powinien umieć wkręcić się do każdego środowiska, podtrzymać konwersację z rozmówcą i zdobyć jego przychylność. Bo nigdy nie wiesz, z kim jutro będziesz miał do czynienia: z filozofem, historykiem, kloszardem, pisarzem, muzykiem, duchownym czy fizykiem jądrowym. Dlatego nawet gdyby mój ojczym wykładał kulturoznawstwo albo religioznawstwo, też bym go nie poprosiła. Masz jeszcze jakieś pytania?

– Mam – odparł Diużyn pogodnie, bez cienia pretensji w głosie. – A ty sama wiesz coś na temat Stanów Generalnych czy twoje wysokie wymagania dotyczą tylko innych?

– Pierwsze posiedzenie Stanów Generalnych zwołano w 1302 roku. Mam opowiadać o Spartakusie czy nie trzeba?

– Wystarczy – natychmiast odparł Paweł. – Wycofuję pytania. A więc jeśli chodzi o egzaminy, nie dasz się przekabacić. No to w jakiej dziedzinie jesteś użyteczna?

– Co masz na myśli? – Nastia nie zrozumiała.

– Chodzi mi o twoje możliwości. Znasz kogoś w światku lekarskim albo potrafisz załatwić wizy w jakiejś ambasadzie?

Nastia parsknęła śmiechem. Nagle prostolinijność Diużyna przestała ją irytować, bo jego zachowanie było tak szczere i naturalne, że nie potrafiła się nań gniewać.

– Nie mam żadnych układów, Pasza – odparła z uśmiechem. – Wybacz, ale do niczego ci się nie przydam.

– Teraz przesadziłaś – oznajmił z przekonaniem. – Takie rzeczy się nie zdarzają. Każdy ma kontakty i znajomości, choć wiele osób tego nie docenia i nie potrafi wykorzystać. Masz męża?

– Rano jeszcze miałam – zażartowała Nastia.

– Kim jest?

– Matematykiem.

– A widzisz, to znaczy, że może dawać korepetycje jakimś durniom.

– Paszeńka, mój mąż się tym nie zajmuje, ma pełno innych zajęć.

– Nie szkodzi, zajmie się, jak będzie potrzebował pieniędzy. Na temat ojczyma już rozmawialiśmy. A twoja mama?

– Mama jest lingwistką, specjalizuje się w metodyce nauczania języków obcych.

– Więc to też potencjalny korepetytor. – Diużyn kiwnął głową z satysfakcją. – A mówisz, że jesteś bezużyteczna! Co z rodzeństwem?

– Mam przyrodniego brata, to syn ojca z drugiego małżeństwa.

– Kim jest?

– Bankierem.

– O! I nadal twierdzisz, że...

– Dosyć, Pasza, przestań – powiedziała Nastia ze śmiechem. – Opowiadam ci o mojej rodzinie wcale nie po to, żebyś wyciągał daleko idące wnioski. Cierpisz na niedosyt informacji, to normalne dla oficera kadrowego. Chcesz jak najwięcej ze mnie wyciągnąć, bo nie masz dostępu do moich akt osobowych. Poszłam ci na rękę, żebyś się nie denerwował. Ale będziesz miał ze mnie tylko jedną korzyść: spróbuję nauczyć cię podstaw pracy analitycznej. Na nic innego nie licz.

– W porządku – przytaknął kapitan zgodnie. – W takim razie chodźmy się uczyć.

Rozmowa toczyła się w pokoju Diużyna. Ponieważ dzielił go z trzema innymi oficerami, proces wspólnej pracy musiał odbywać się u Nastii, rzecz jasna. Jej bowiem, jako głównemu ekspertowi-konsultantowi, przysługiwało osobne pomieszczenie. Znalazłszy się w pokoju Nastii, Diużyn zdumiał ją jeszcze bardziej. Jego otwartość i rozbijająca szczerowość okazały się niczym w porównaniu z tym, co teraz zrobił.

Ledwo przestąpił próg, gwałtownie pociągnął nosem parę razy, po czym ruszył ku drzwiom.

– Zaraz wracam – rzucił, wypadając na korytarz.

Wrócił parę minut później. Szczelnie zamknął za sobą drzwi, odszukał wzrokiem klucz tkwiący w zamku i go przekręcił.

– Po co? – zapytała Nastia, której ten gest zupełnie się nie spodobał, bo sugerował rzecz nieprzyjemną i niepotrzebną: wspólne opijanie znajomości.

– Zaczekaj, zaraz zobaczysz.

Wyjął z kieszeni cienką cerkiewną świecę i pudełko zapalek. Gdy tylko knot się zapalił, płomień od razu zadrżał, a świeca zaczęła skwierczeć i kopcić.

– Tak przypuszczałem. – Paweł pokręcił głową. – Wygląda to nieciekawie. Widzisz, jak świeca kopci? Pole jest tutaj niedobre.

– A gdzie jest dobre? – zapytała Nastia drwiąco, obserwując owo

niezrozumiałe przedstawienie.

– Tam, gdzie płomień jest równy i przypomina odwróconą kroplę. Ale nie martw się, wszystko da się naprawić. Masz święconą wodę?

– Co?!

– No oczywiście. Aleś ty ciemna, Nastiu. A jeszcze niedawno mówiłaś, że oficer milicji powinien wiedzieć wszystko i umieć podtrzymać rozmowę na każdy temat. Wygląda na to, że potrafisz tylko filozofować, a o normalnym życiu nie masz zielonego pojęcia.

– Skończ ten cyrk, bardzo cię proszę – powiedziała Nastia z gniewem. – Musimy zająć się pracą.

– Robota nie zając, nie ucieknie. Nawiasem mówiąc, praca w takiej atmosferze jest bardzo szkodliwa. Nie wiem, jak możesz w ogóle zebrać myśli w tym pokoju. Trzeba jak najprędzej podjąć środki zaradcze.

– Na przykład jakie?

– Po pierwsze, skropić wszystkie kąty święconą wodą. Potem przejść się ze świecą po pokoju i zaczekać, aż płomień wypali zło, które się tutaj nagromadziło. A jeśli to nie pomoże, wtedy trzeba będzie przynieść ramkę. Weź pod uwagę, że póki świeca nie przestanie kopcić i płomień się nie wyrówna, nie będę tutaj pracował.

– Słuchaj no, Diużyn – powiedziała Nastia ostro. – Nie mam święconej wody i nie zamierzam chodzić po pokoju ze świecą. Nie musisz też przynosić żadnych ramek. Każdy człowiek ma hysia na jakimś punkcie, więc nie mogę ci tego zabronić. Ale bądź tak dobry i nie próbuj mnie zarazić swoją manią. Dość mam swoich obsesji.

– Ale przecież świeca kopci – zaproponował Paweł z uporem. – To nie przypadek. Nie powinna kopcić. I płomień nie jest równy.

– To wina przeciągu.

– Nie ma tutaj przeciągu, okno i drzwi są zamknięte.

– A więc воск jest zanieczyszczony.

– Ale w innym pokoju świeca nie kopciła i płomień był równy. Воск nie ma z tym nic wspólnego. No proszę, zobacz tylko, co się dzieje! I skwierczy! Może jesteś siedliskiem zła?

– Ja?

Zaskoczona Nastia zapomniała, że zamierzała włączyć grzałkę, by zrobić kawę.

– Owszem, ty. Może pomieszczenie jest w porządku, tylko fale zła,

które emitujesz, tworzą takie pole.

– Dość, wystarczy! – wybuchnęła Nastia. – Mam tego powyżej uszu! Natychmiast zdmuchnij świecę i bierzmy się do pracy.

– Ale proszę...

Nagle głos kapitana zrobił się płacziwy i bardzo poważny. Przed Nastią stał przystojny mężczyzna w dobrze dopasowanym mundurze zielono-brązowego koloru (Diużyn był kapitanem służby wewnętrznej, a nie milicji), trzymał w ręce świecę i spoglądał ze smutkiem. Wyglądał całkiem głupio, ale Nastii nie było do śmiechu. Kipiała ze złości.

– Możesz nie wierzyć, twoja sprawa – powiedział cicho. – Ale pozwól mi zrobić to, co uważam za stosowne. Inaczej nie będę mógł pracować w tym pomieszczeniu.

Niespodziewanie złość ją opuściła i nawet zrobiło jej się żal Pawła.

– Dobrze, rób, co chcesz. – Machnęła ręką. – Tylko nie hałasuj i mi nie przeszkadzaj.

Zaparzyła sobie duży kubek kawy i zajęła się opracowaniem roboczego programu, który zamierzała przedstawić wieczorem Zatocznemu. Diużyn gdzieś wychodził, wracał, krążył po pokoju a to ze świecą, a to z buteleczką, skrapiając wodą wszystkie kąty. Za oknem szybko się ściemniało. Jedyne zdanie, które wypowiedziała Nastia, brzmiało:

– Możesz włączyć światło?

Jakiś czas później Diużyn wreszcie oznajmił:

– Koniec. Teraz da się żyć. Zobacz, jaki równy płomień. Nie kopci i nie skwierczy.

Nastia podniosła głowę i spojrzała na świecę. Płomień rzeczywiście był równy, podobny do odwróconej kropli. Pewnie można to jakoś wyjaśnić, ale teraz najbardziej interesowała ją praca powierzona przez Zatocznego. Nie była zła na Diużyna, nie miała już jednak ochoty tłumaczyć mu sensu zadania. Może to i dobry chłopak, ale jak to się mówi, dobry człowiek to nie zawód.

– Niedługo szósta – powiedziała, wracając do swoich schematów. – Zaczniemy jutro.

– Dobrze – skwapliwie przytaknął Diużyn i od razu się ulotnił.

Wieczorem, demonstrując program Zatocznemu, Nastia zebrała się na odwagę i zapytała:

– Iwanie Aleksiejewiczu, czy z głową Diużyna wszystko w porządku?

– A o co chodzi? Kiepsko kojarzy?

– Jeszcze nie wiem – wyznała. – Nie sprawdzałam jego umiejętności w tym zakresie. Facet ma jednak pełno dziwactw. Jakieś pola, aura, świece, woda święcona... Dzisiaj to zniosłam, ale jutro mogę stracić cierpliwość. Nie boi się pan?

Zatoczny uśmiechnął się, odchylił w fotelu i od niechcienia przesunął palcami po skroniach.

– Będzie pani musiała dalej to znosić, Anastazjo. Podobno Diużyn to rozgarnięty chłopak, choć niepozbawiony pewnych obsesji.

– Doprawdy?

– Niech się pani nie martwi, to nie wariat. Jeśli chodzi o psychikę, nic mu nie dolega. Zdaniem lekarzy chłopak z natury jest bardzo wrażliwy na różnego rodzaju pola. Zasięgnąłem konsultacji medycznej, zanim go zatrudniłem. Okazuje się, że jest grupa osób, i to podobno niemała, która wyczuwa pola. Wszyscy ci ludzie twierdzą, że należy spać w określonej pozycji, głową zwróconą na północ albo na zachód, już dokładnie nie pamiętam. Większość z nas śpi tam, gdzie stoi łóżko, i nie zwraca uwagi na te subtelności. Ale bywają tacy, którzy nie mogą spać, jeśli łóżko jest niewłaściwie ustawione. Krótko mówiąc, Anastazjo, niech pani spróbuje nie zwracać uwagi na dziwactwa naszego kapitana. Pani zadaniem jest nauczyć go pracy analitycznej. Jeśli się okaże, że Diużyn nie ma do tego predyspozycji, wtedy zastanowimy się, co z nim zrobić.

Słowa Zatocznego wcale nie uspokoiły Nastii. Łatwo powiedzieć: facet nie jest świrem, na resztę niech pani nie zwraca uwagi. To przecież ona każdego dnia będzie miała do czynienia z ową „resztą”, a nie generał. Będzie musiała to znosić i się z tym godzić. I co najważniejsze, nie irytować się i nie wpadać w złość.

Wbrew oczekiwaniom Nastii dziwactwa Diużyna nie wyprowadzały jej z równowagi. Mimo że było ich sporo, Paweł zjednał ją swoją otwartością i pogodą ducha. Poza tym bardzo się zdziwiła, gdy wsłuchiwała się w swój wewnętrzny głos i nagle stwierdziła, że podświadomie próbuje przypomnieć sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszała albo czytała o biopolach i o ludziach, którzy byli na nie szczególnie wrażliwi. Nie miała, rzecz jasna, żadnej usystematyzowanej wiedzy, bo nigdy nie interesowała się tym problemem, ale z zakamarków pamięci co rusz wyłaniały się biopatogenne strefy i pasma, które „stanowią przejaw

jedynej substancji tworzącej cały wszechświat”. Udało jej się nawet przypomnieć sobie, wprawdzie nie bez trudu, tytuł książki, która o tym traktowała: *Kosmos i zdrowie*. Trafiła na nią przypadkiem i przez jakieś czterdzieści minut bezmyślnie kartkowała, czekając na kogoś. Było tam i o wskaźnikach w kształcie litery L, i o siatkach pasm Carry’ego, i o wielu innych rzeczach, które w tamtej chwili wydały jej się niepotrzebne, nieciekawe i bezpodstawne. Jednakże teraz, obserwując Pawła, coraz częściej skłaniała się ku myśli, że każdy, kto zajmuje się tym problemem, nie może być ostatnim kretyńcem, więc jeśli jej, zatwardziałej materialistce, owa nauka wydaje się szarlatanerią, to może chodzi nie o naukę, do której nie ma przekonania, tylko o nią samą, jej niewiedzę i ograniczone horyzonty?

Już w dzieciństwie (pod wpływem mamy i ojczyma, rzecz jasna) Nastia dobrze przyswoiła sobie prostą prawdę: Jeśli czegoś nie wiesz, to wcale nie oznacza, że tego nie ma i że to niemożliwe. Dlatego zawsze ogarniała ją śmiech, a niekiedy czuła nawet odrazę, gdy słyszała: „To niemożliwe. Nic mi o tym nie wiadomo”.

Podobne argumenty wydawały jej się bliskie Czechowowskiemu „to niemożliwe, nikt tego nigdy nie widział”. Dobrze pamiętała pogardliwe zdziwienie śledczego, któremu przekazała materiały dotyczące grupy Saulaka. Saulak i jego ludzie wykorzystywali metody programowania neurolingwistycznego, wykonując polecenia wysoko postawionych urzędników, którzy pragnęli pozbyć się politycznych konkurentów. Śledczy nigdy nie słyszał o tej metodzie i uznał materiały Nastii za kompletną bzdurę, o czym nie omieszkał jej powiadomić. Gdy jednak wybuchł skandal z lekarzem z Nowosybirsk, który też wykorzystywał tę metodę w bardzo brzydkich celach, Prokuratura Generalna włączyła nieufnego śledczego w skład zespołu zajmującego się tą sprawą. Nastia do tej pory nie potrafiła opanować śmiechu na myśl o nietęgiej minie, która musiała pojawić się na jego surowej twarzy. Ona też, zanim spotkała Saulaka, nie słyszała o programowaniu neurolingwistycznym. No i co z tego? Zwróciła się do specjalistów i wszystkiego się dowiedziała. Okazało się, że ów problem jest analizowany nawet w instytucie naukowo-badawczym MWD Rosji. A zatem żadnej pseudonaukowej fantastyki.

Dlatego z absolutnym spokojem potraktowała nieprzezwyciężony

pociąg Pawła Michajłowicza Diużyna do stref biopatogennych, mówiąc sobie, że brak wiedzy to nie argument. Powód jej dobrego nastroju był zupełnie inny, mimo że pierwszy impuls dał oczywiście Paweł. Do Nastii dotarła prawda, która była tak oczywista, że aż wstyd przyznać. Bo wszyscy ją znają. Ale znają obiektywnie, jak gdyby z boku, w oderwaniu, nie posługując się nią i sobie jej nie uświadamiając. Tymczasem ona rzeczywiście okazała się niesłychanie prosta: ludzie bywają różni. I chociaż raczej trudno znaleźć kogoś, kto by to podważył, na świecie jest bardzo mało ludzi, którzy kierują się ową prawdą. Tak się jakoś składa, że wszyscy się z nią zgadzają, ale prawie nikt jej nie stosuje. A przecież jeśli dopuścić do siebie tę prostą myśl i uczynić ją częścią swojego światopoglądu, odbiór otaczającej rzeczywistości natychmiast się zmienia. Wiele rzeczy staje się nie tylko jasne i klarowne, ale też śmieszne. Właśnie ta śmieszna strona bawiła Anastazję Kamińską i dlatego nie opuszczał jej radosny nastrój.

Wbrew obawom Paweł Diużyn okazał się osobą zdolną i chociaż sam nie wysuwał żadnych oryginalnych pomysłów, rozumiał to, co mu Nastia tłumaczyła. Chwytał wszystko od razu, w pół słowa, więc praca z nim stanowiła przyjemność. Jak zwykle bywa, prywatne zadanie polegające na tym, żeby się dowiedzieć, czy syn generała Zatocznego nie znalazł się w sferze zainteresowania przestępców, szybko przerodziło się w obszerny program badania „czystości” milicyjnych uczelni w Moskwie. Uczelnie zaś były trzy, nie licząc akademii. Tak więc praca okazała się wyteżona i żmudna. Z jednej strony studenci. Kim są ich rodzice i krewni, kto ich skierował na uczelnię, jakie są wyniki testów psychologicznych, a jeśli wyniki były niezadowolające, a delikwent dalej studiował... I tak dalej. Z drugiej strony wykładowcy. No i jeszcze działalność finansowo-gospodarcza uczelni. Ze szczególnym uwzględnieniem środków pozabudżetowych. Skąd się biorą, kim są sponsorzy. Gdzie są robione zakupy dla stołówki, gdzie nabywany jest sprzęt do pracowni komputerowych, a także środki techniczne. Kierunków nie brakowało, dlatego Nastia i dzielny kapitan nie mogli wszystkiemu podołać. Ale to przecież nie było ich zadanie. Oni mają stworzyć rozbudowany program, jego wdrożeniem zajmą się inni funkcjonariusze. Nastia i Paweł będą musieli podsumować i przeanalizować wyniki ich pracy.

– Co to takiego? – zapytał Paweł, przyglądając się, jak Nastia pisze na

komputerze tekst przypominający ankietę.

– Materiał pomocniczy dla zbierających informacje – wyjaśniła cierpliwie. – Żeby nie musieli zapamiętywać wszystkich pytań, na które chcemy otrzymać odpowiedzi. Zamiast tego wypełnią ankietę podczas analizy akt osobowych studentów. To nam ułatwi pracę. Wprowadzimy dane do komputera, potem on wszystko policzy i dostaniemy poglądowy materiał.

– Mogę zerknąć?

Nastia wróciła na początek dokumentu i się odsunęła, pozwalając Diużynowi rzucić okiem na ekran. Paweł szybko przebiegł wzrokiem kolejne punkty, sięgnął po myszkę i ustawił kursor przy jednej z cyfr.

– Tutaj dodałbym prawne podstawy funkcjonowania spółki. Ważna jest przecież nie tylko nazwa instytucji, w której pracują rodzice studentów, ale też skąd się wzięła. Różne połączenia, podziały, zmiany nazw, spółki córki.

– Słusznie. – Nastia kiwnęła głową. – To logiczne. Jeszcze jakieś pomysły?

– Pomysłów brak, są tylko pytania.

– No to pytaj.

Paweł zadawał pytania, a Nastia odpowiadała na nie wyczerpująco, nie irytując się, bo wiedziała, że powinna go uczyć. Każdy nauczyciel życzyłby sobie takich uczniów jak Diużyn, Nastia nie powinna narzekać, bo Paweł ma poukładane w głowie, a na dodatek interesuje go to, co do niej trafia. Gdyby tylko nie te jego dziwactwa...

Za każdym razem w tym miejscu Nastia uśmiechała się i udzielała sobie reprimendy. Co ją obchodzą jego dziwactwa? Przeszkadzają w pracy? Nie. Nie pasują do rangi oficera? Też nie. To nie do wiary, jak mocno zakorzenione są stereotypy: oficer milicji powinien być wzorem normalności. Kto ją wymyślił, tę sławetną normalność? Norma to najbardziej powszechna cecha, a tego, co jest mniej powszechne, nie uważa się za normę. Kto jednak powiedział, że coś, co nie mieści się w normie, jest złe? Dla osób z jasnymi włosami normą powinny być niebieskie albo szare oczy. Zielone albo piwne występują rzadziej, ale czy można powiedzieć, że piwnooka blondynka nie jest ładna? Praktyka dowodzi, że blondynki z piwnymi oczami uważane są za atrakcyjniejsze i cieszą się większym powodzeniem u mężczyzn. No i proszę, czym

skutkuje brak normy.

Tymczasem Paweł za każdym razem w tym samym miejscu pytał z niepokojem:

– Czemu się śmiejesz? Mówię głupstwa, tak? Robię z siebie durnia?

– Ależ skąd, Pasza – zapewniała pośpiesznie. – Uśmiecham się do swoich myśli. Humor mi dopisuje.

≡

Korotkow przesłuchał Niemczinowa krótko po zabójstwie Saszy Barsukowa, ale głęboko nie drążył. Był tego samego zdania co Nastia: Jeśli facet jest zamieszany w zabójstwo adoratora wnuczki, nie powinni go spłoszyć. Póki nie czuje zagrożenia, nigdzie nie ucieknie.

Nastia uznała, że odwiedzi Lerę Niemczinową, gdy Wasilija Pietrowicza nie będzie w domu. Wiedziała, że w instytucie, w którym uczył się Barsukow, stanowisko zastępcy kierownika jednego z wydziałów zajmuje kobieta, więc postanowiła się za nią podać. Nawet jeśli Aleksander wspominał o kierownicze, na pewno nie pokazywał jej zdjęcia, a Nastia świetnie pasowała do opisu wysokiej blondynki koło czterdziestki. Musi tylko zmienić imię, bo Sasza mógł je wymienić.

Mieszkanie Niemczinowów lśniło sterylną czystością, co z jakiegoś powodu nie spodobało się Nastii. Chociaż co złego jest w sterylności? Chwilę później już wiedziała: Sterylność nie idzie w parze z przytulnością. Wygląda to tak, jakby lokatorzy postawili sobie za punkt honoru nie zostawiać najmniejszego pyłku, nie chcąc prowokować drugiej osoby do uwag. Wymuszony porządek – oto właściwe określenie.

– Macie tu idealny porządek – zauważyła, wchodząc do pokoju. – To twoja zasługa?

Lera nie odpowiedziała. W milczeniu wpatrywała się w Nastię ładnie podkreślonymi oczami, w których nie było ani cierpienia (w końcu zginęła bliska jej osoba), ani smutku, ani złości. Nastia nie dostrzegła w nich niczego, chyba jedynie lekką irytację, która drżała i ginęła w błękitnej toni.

– Nazywam się Aleksandra Wasiljewna, jestem zastępcą kierownika wydziału, na którym studiował Sasza Barsukow. Mogę ci zadać parę

pytań?

– Na jaki temat? – zapytała Lera chłodno. – Już mnie przesłuchiowano kilka razy, byłam nawet u śledczego.

– Przesłuchiowano cię w związku z zabójstwem, a ja mam inne pytania.

– Nic nie wiem – szybko odparła dziewczyna. – Wszystko, co wiedziałam, już powiedziałam, niczego nowego pani nie usłyszy.

– Zaczekaj. – Nastia ją powstrzymała. – Chciałam zapytać o coś innego. Sasza odpowiadał w grupie za zakup podręczników i pomocy naukowych. Zbierał od wszystkich pieniądze, a potem kupował książki. Dwa dni przed śmiercią koledzy dali mu pieniądze na dwutomowy podręcznik z prawa karnego. Każdy wyłożył po sześćdziesiąt tysięcy. Sasza nie zdążył kupić podręczników, ale w milicji mi powiedziano, że nie znaleziono przy nim pieniędzy. To znaczy, owszem, jakieś miał, ale chyba własne. Ze dwieście albo trzysta tysięcy. A na podręczniki zebrał prawie dwa miliony. Nie wiesz, gdzie się podziały?

– Sądzi pani, że je ukradłam? – obruszyła się Lera. – I myśli, że zabiłam Saszę? Oczywiście, zabiłam, żeby przywłaszczyć pieniądze. No dalej, niech pani wzywa śledczego czy kogo tam się wzywa w takich przypadkach. Że też pani nie wstyd!

– Stop, stop. – Nastia podniosła rękę w pojednawczym geście. – Nikt cię nie oskarża, ale ponieważ przyjaźniłaś się z Saszą i spotykaliście się niemal codziennie, to może wiesz, co zrobił z pieniędzmi. Na przykład kupił tobie albo komuś innemu prezent. Może je zgubił albo przegrał na loterii. Tak czy inaczej, jestem pewna, że powiedziałaby ci o tym. Przypomnij sobie, proszę.

Dziewczyna gniewnie się odwróciła, ale chwilę później odzyskała panowanie nad sobą. Teraz znowu spoglądała spokojnie i chłodno.

– Nic mi nie wiadomo o żadnych pieniądzach – powiedziała. – Nie dostawałam od Saszy żadnych prezentów.

– Jak to? Nawet kwiatów?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nigdy nie przynosił kwiatów.

– A czekoladek? Kosmetyków? Może płyty albo kasety?

– Nie. To nie ten typ. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Sasza przyniósł mi jakiś prezent. – Lera uśmiechnęła się lekko. – Był jeszcze

dzieckiem. Nie umiał zabiegać o względy dziewczyny.

– Był od ciebie młodszy? – zainteresowała się Nastia.

– Starszy o rok.

Jasne, pomyślała Nastia. Dziewczyna uważa się za dorosłą i wielce doświadczoną, w jej oczach Sasza Barsukow był niedojrzałym smarkaczem. No to czemu, mili państwo, się z nim spotykała? Można by założyć, że zgodziła się na podobny „mezalians” z rozpaczy. Na bezrybiu, jak to się mówi.... Można by tak założyć, gdyby była brzydka. Ale jest przecież urocza, trudno uwierzyć, żeby cierpiała na brak wielbicieli. Pewnie stoją w kolejce po jeden jej uśmiech. Więc czemu wybrała Saszę Barsukowa, który był dzieckiem i nie miał pojęcia o podrywaniu dziewcząt? Chyba jednak nie wypada drażnić dalej tego tematu, mimo że jest bardzo ciekawy. Nastia udaje jednak Aleksandrę Wasiljewnę, podpułkownika milicji, i przyszła się dowiedzieć czegoś o pieniądzach studentów, które zebrano na podręczniki. O tym więc musi rozmawiać.

– Przypomnij sobie, proszę, czy Sasza nie wspominał o urodzinach albo o jakiejś rocznicy któregoś z kolegów.

– Nie – odparła Lera bez wahania.

– Nawet się nie zastanowiłaś – zauważyła Nastia. – Wiem, że chcesz się mnie jak najprędzej pozbyć, przyszłam jednak do ciebie nie dla rozrywki. Chłopcy wyłożyli pieniądze, to dla nich spora suma, więc powinni wiedzieć, czy dostaną w końcu swoje podręczniki, czy też pieniądze ostatecznie przepadły i muszą się znowu składać.

Przez chwilę Lera milczała, zapatrzona w okno.

– Nie mam czego sobie przypominać. Sasza nigdy nie rozmawiał ze mną o swoich kolegach. Nigdy. Wcale. Rozumie pani?

– Boże, czemu się złościysz? – Nastia postanowiła odegrać rolę troskliwej kwoki. – Co ja takiego powiedziałam? Skoro chłopak spotyka się z dziewczyną, to chyba naturalne, że rozmawiają o swoich bliskich, przyjaciółach i krewnych. Bo niby o czym mieliby rozmawiać?

– A pani oczywiście sądzi, że nie potrafimy znaleźć sobie innych tematów – rzuciła Lera pogardliwie. – Chłopak i dziewczyna nie mają ani serca, ani duszy, ani własnych pasji czy zainteresowań. Mogą rozmawiać tylko o ludziach, którzy ich otaczają. Wy, starsi, uważacie, że tylko wasze pokolenie cechuje się mądrością, młode zaś pozbawione jest rozumu.

Nastia ledwie powstrzymała uśmiech. Dziewczyna dała się łatwo sprowokować. Chyba ma duże kompleksy na punkcie swojej młodości, chodzi prawdopodobnie o to, że osoby, na których jej zależy, traktują ją jeszcze jak dziecko. Ona jest już oczywiście dorosła i chce, żeby ją odpowiednio traktować. Tymczasem z jakiegoś powodu nikt jej nie bierze na serio. W tej sytuacji nie powinna jednak szukać towarzystwa dzieciennego Saszy Barsukowa, lecz oglądać się za starszymi mężczyznami, tyle że oni pewnie nie doceniają jej dojrzałości, stąd nieustanna irytacja. Zabawna dziewczyna... Nie można traktować jej surowo, w końcu przeżyła straszliwą tragedię, tracąc oboje rodziców naraz, a potem jeszcze dziadka. Dziadka, który ponosi winę za jej nieszczęścia, który przestał być jej ukochanym dziadkiem i z którym musi teraz dzielić mieszkanie. Taki los może wypaczyć charakter. No dobrze, wracamy do głównego tematu rozmowy.

– Mimo to pomyśl, Lero, gdzie mogły się podziać pieniądze. Prawie dwa miliony. Czy Sasza nie kupował ostatnio jakichś kaset, książek albo ubrań? Bardzo cię proszę, postaraj się mi pomóc. Sama chyba rozumiesz, że gdy wrócę do instytutu, pod drzwiami mojego pokoju zastanę ze trzydziestu studentów liczących na to, że zwrócę im pieniądze. Nie każdy z nich ma rodziców, których może kolejny raz poprosić o sześćdziesiąt tysięcy. Wiele osób trafia do nas z powodu biedy, bo stypendium jest wyższe niż na uczelni cywilnej, mundur też bezpłatny, więc w ciągu czterech lat można zaoszczędzić na ubraniach. Dla nich strata sześćdziesięciu tysięcy to katastrofa. Co mam im powiedzieć? Że Lera Niemczinowa odmawia pomocy, bo jest nie w humorze? Że nie wie, co to są problemy finansowe, dlatego nie obchodzą jej ich żałosne tysiące?

Nastia mówiła niemal machinalnie, nie zastanawiając się nad słowami. Setki razy przeprowadzała podobne rozmowy, próbowała wyciągnąć potrzebną informację od przesłuchiwanego i zarzucała go nic nieznaczącymi, wręcz demagogicznymi frazesami. Sytuacja finansowa Saszy Barsukowa szczególnie ją ciekawiła, jego zabójstwem zajmowali się chłopcy z jej dawnego wydziału, oni zaś niczego nie przeoczą i pewnie już zdążyli sprawdzić tę hipotezę. W polu zainteresowania Nastii był dziadek Lery Niemczinowej. Musiała dowiedzieć się tylko jednego. Czy Wasilij Pietrowicz próbował uwikłać

Saszę w przestępcze machinacje, a jeśli tak, to czy inicjatywa wyszła wyłącznie od niego (wtedy niech się tym dalej zajmuje Jura Korotkow z zespołem), czy może było to częścią, małym elementem, jednym oczkiem szerokiej sieci zarzucanej przez dobrze zorganizowanych przestępców w wodach milicyjnego środowiska, żeby wyłowić, a potem zwerbować młodych i żądnych pieniędzy milicjantów. Cała kombinacja z Lerą służyła tylko temu, żeby skłonić ją do rozmowy o pieniądzach, a co za tym idzie, o rodzinnym budżecie, co pozwoliłoby płynnie i naturalnie przejść do tematu dziadka. Pierwszy krok w tym kierunku został uczyniony, Nastia zainscenizowała sytuację, w której mogła niefrasobliwie zauważyć, że dziewczyna nie wie, co znaczą problemy z pieniędzmi. Zobaczymy, jaki będzie dalszy rozwój wydarzeń.

W odpowiedzi na atak gniewu Lera spiorunowała Nastię wzrokiem.

– Nie ma pani prawa rozmawiać ze mną w ten sposób. Owszem, nie narzekam na brak pieniędzy i mogę żyć, niczego sobie nie odmawiając, ale drogo za to zapłaciłam. Wolałabym żyć znacznie skromniej, byleby nie być sierotą.

Teraz patrzyła na gościa wyzywająco i z niecierpliwym wyczekiwaniem. No oczywiście, pomyślała Nastia, dziewczyna spodziewa się pytań, na które chętnie odpowie, pokazując starej i wstrętnej babie jej miejsce. Opowie mi o swojej tragedii i będzie z satysfakcją obserwować zażenowanie i wstyd, które mnie ogarną z powodu własnej niedelikatności. Ona jest przecież nieszczęśliwa, znękana i nierozumiana, a ja ośmieliłam się robić jej wyrzuty. Ojej, wyszło bardzo nieładnie...

– Daj spokój, Lero – powiedziała Nastia nad wyraz ugodowo. – Czemu bez przerwy się złościysz? Wierz mi, że wcale nie chciałam cię urazić. Niepokoją mnie studenci, stąd może nazbyt emocjonalny ton wypowiedzi. Przepraszam, jeśli moje słowa cię dotknęły. Nawiasem mówiąc, czy to będzie duży nietakt, jeśli zapytam, skąd bierzesz pieniądze na życie?

Widząc lekki uśmiech na twarzy Lery, Nastia domyśliła się, że słusznie oceniła sytuację. Dziewczyna czekała na to pytanie i pałała chęcią, by na nie odpowiedzieć. Na dobrą sprawę Nastia doskonale знаła odpowiedź, ale był to niezbędny krok na drodze do upragnionego tematu – dziadka Lery. Musi więc cierpliwie wysłuchać tego, co dziewczyna ma

do powiedzenia.

– Pewnie pani nie wie – zaczęła Lera z nieskrywaną dumą – że jestem córką znanego kompozytora, Giennadija Niemczinowa...

Nastia słuchała jednym uchem, żeby nie stracić wątku rozmowy. Lera nie mówiła niczego nowego, wszystko to było znane już od paru dni. Sędziwa krewna Niemczinowów wystarała się o przyznanie formalnej opieki nad nieletnią córką nieżyjącego małżeństwa i przez wszystkie spędzone razem lata umiejętnie zarządzała pieniędzmi leżącymi na kontach w banku oszczędnościowym, na które stale wpływały tantiemy za piosenki ojca Lery. Dochody były znaczne, bo Giennadij Niemczinow zdążył napisać sporo utworów, w dodatku większość z nich stała się hitami. Potem nastąpił okres zastoju, moda na estradzie szybko się zmienia, więc Niemczinow poszedł w zapomnienie. Stare zasoby finansowe na razie jednak wystarczały, bo krewna opiekująca się Lerą gospodarowała nimi oszczędnie i rozważnie. A potem pieniądze znowu zaczęły się pojawiać, moda powróciła i nowe pokolenie wykonawców włączyło do swojego repertuaru melodyjne i smutne pieśni. Ściślej mówiąc, wykonawca był tylko jeden – Igor Wildanow, ale obecnie cieszył się tak niesłychaną popularnością, że wszystkie stacje radiowe i telewizyjne nadawały pieśni Giennadija Niemczinowa w jego wykonaniu, nie mówiąc już o koncertach.

Nastia udawała, że uważnie słucha, a tak naprawdę dyskretnie rozglądała się po pokoju i obserwowała młodą panią domu. Coś tu się nie zgadza... Dziewczyna jest ładna i bez wątplenia niegłupia. Nie żyje w biedzie, ubrana jest modnie i bynajmniej nie tanio, w uszach ma złote kolczyki z perłami, nieduże, ale eleganckie, świadczące o doskonałym guście, na palcu oryginalny pierścionek z białym oczkiem. Pewnie z cyrkonią, bo gdyby to był brylant, kosztowałby krocie. Taka dziewczyna powinna cieszyć się nieustającym powodzeniem młodych mężczyzn i przebierać w nich jak w ulęgałkach. Uważa się za dorosłą, więc na pewno pragnie spędzać czas ze starszym chłopakiem, zresztą ma ku temu możliwości. Ale z jakiegoś powodu wybiera Saszę Barsukowa. To jego obdarza względami, a teraz usiłuje udowodnić, że był to właściwie megalomaniak i Sasza w ogóle jej się nie podobał. Nie umiał się zalecać, myślałby kto. No i co? Mogła go przepędzić na cztery wiatry. Ale tego nie zrobiła. A na pogrzeb nie poszła, Korotkow tam był, usiłował

wyśledzić możliwe kontakty, Lery jednak nie zauważył. Nie przyszła się pożegnać ze swoim chłopakiem. Przypominało to sytuację, w której człowiek oddycha z ulgą, gdy nieproszony i siedzący do późnej nocy gość wreszcie postanowił się pożegnać. Dobre wychowanie nakazuje, żeby go odprowadzić do windy, ale gospodarze pośpiesznie podają mu płaszcz i szybko zatrzaskują za nim drzwi, żeby nie daj Boże nie zaczął nowego tematu. Nieproszony i natrętny gość. Nieproszony i natrętny Sasza Barsukow. A może jednak mile widziany? Przez dziadka Lery... Jura Korotkow wspominał przecież, że Wasilij Pietrowicz okazywał życzliwość Saszy i wciąż podkreślał, że chłopak jest dobrym towarzyszem dla jego wnuczki.

Czemu nie? Warto sprawdzić tę hipotezę. Wasilij Pietrowicz Niemczinow kontaktuje się z szeregowym milicjantem Aleksandrem Barsukowem, ale żeby ich spotkania nie rzucały się w oczy, organizuje je pod płaszczykiem odwiedzin Saszy u swojej wnuczki. Owszem, chłopak przychodzi do tego domu, ale przecież nie składa wizyty kryminaliście Niemczinowowi, tylko zaleca się do jego wnuczki i nie ma zielonego pojęcia, że jej dziadek to zabójca, który odsiedział dziewięć lat w kolonii karnej o zaostrzonym rygorze. Lera mu o tym nie powiedziała, wstydziła się, co można łatwo zrozumieć, a z dziadkiem Sasza w ogóle nie rozmawiał. Co go obchodził Niemczinow? Przecież nie do niego się zalecał. Do dziadka nie sposób się przyczepić, Sasza też jest czysty jak łąza.

Albo inna hipoteza. Niemczinow robił dopiero podejście do Barsukowa. Poznał chłopaka z Lerą i cierpliwie czekał na jego wizytę. Czekał, aż Sasza dojrzeje i zaufa dziadkowi swojej ukochanej, po czym zacząłby go powoli urabiać. Ta hipoteza też pasuje, ale odzwierciedla tylko skutki, tymczasem Nastię interesuje przyczyna pierwotna: dlaczego Wasilij Pietrowicz to robił? Sam, z własnej inicjatywy, mając na względzie jakieś swoje ciemne sprawy, czy na czyjeś polecenie? Niestety Lera nie może tego wiedzieć, trzeba to wydobyć od dziadka. Ale jak? Można by wprawdzie zadać szereg pytań Lerze, tyle że nie wolno tego zrobić. No bo kim jest Nastia? Aleksandrą Wasiljewną, zastępczynią kierownika wydziału, na którym studiował nieżyjący chłopak, przyszła w sprawie zaginionych pieniędzy. Czy może więc zapytać z głupia frant, gdzie i w jakich okolicznościach Lera poznała Saszę Barsukowa? Czy chłopak

zaglądał do mieszkania pod jej nieobecność? Nastia mogła zapytać o wiele rzeczy, gdyby przedstawiła się jako funkcjonariuszka wydziału kryminalnego. Ona jednak już nią nie jest, ani na podstawie fikcyjnej historyki, ani na podstawie oficjalnych dokumentów. Z tych ostatnich wynika, że pracuje na stanowisku eksperta-konsultanta. A według zmyślonej historyjki jest pracownikiem uczelni. Jak więc miałyby wytłumaczyć swoje zainteresowanie szczegółami życia osobistego Lery Niemczinowej, żeby to brzmiało prawdopodobnie i żeby nie wystraszyć dziadka, gdyby poznał treść ich rozmowy?

– Masz piękny pierścionek – powiedziała nagle. – Mogę obejrzeć?

Zachowała się jak typowa kobieta: przerwała smutną opowieść rozmówcy, żeby zainteresować się ładnym cackiem. Zdziwiona Lera umilkła i wyciągnęła rękę nad stołem. Nastia jak urzeczona przywarła wzrokiem do kamienia mieniącego się kolorami tęczy w jaskrawym świetle żyrandola. Coś takiego... Dziwne rzeczy zdarzają się na tym świecie!

Rozdział 4

Zotow z irytacją odepchnął nogą ciemnoniebieską koszulkę z toporną aplikacją, która poniewierała się na podłodze w korytarzu. Z pokoju dobiegały dźwięki podkładu muzycznego do nowej piosenki. Igor robił próbę „obrazu”.

– Znowu masz chlew w całym mieszkaniu! – zawołał Zotow z gniewem, uchylając drzwi do pokoju. – Wszędzie porozrzuciłeś ubrania.

Igor Wildanow stał przed lustrem, uważnie wpatrując się w swoje odbicie i szukając pozy, która najbardziej by pasowała do ostatnich akordów pieśni. Na dźwięk głosu Zotowa odwrócił się, uśmiechnął wesoło i machnął ręką.

– Wyluzuj, stary. Jak przyjdzie Lerka, to posprząta. A w ogóle – cześć. Mógłbyś się najpierw przywitać, zamiast wrzeszczeć od progu. Przyniosłeś kasetę?

– Owszem. – Wiaczesław Olegowicz kiwnął głową. – Masz, zobacz, jak pracują mistrzowie. Ucz się, póki masz od kogo.

– O rany, daruj sobie te morały. – Igor się skrzywił. – Sam jestem mistrzem, ode mnie też można się uczyć.

Zotow westchnął i w milczeniu wsunął kasetę do odtwarzacza. Chłopak myśli, że zjadł wszystkie rozumy. Ale talentu rzeczywiście można mu pozazdrościć. Gdyby jeszcze miał trochę oleju w głowie, byłby wręcz bezcenny. Ciekawe, czemu natura tak niefrasobliwie rozdaje swoje dary? Po co temu skończonemu idiocie taki talent? Po co mu fenomenalna muzykalność i nieprzeciętny artyzm? Przecież na co dzień nie potrafi sklecić paru sensownych zdań i gdyby nim stale nie dyrygować, nie przejdzie nawet dwóch kroków, żeby się nie potknąć i nie narobić głupstw. Jednym słowem, idiota.

Na ekranie pojawił się znany amerykański piosenkarz. Kiedyś był

ulubieńcem publiczności, bo oprócz głosu miał też gładką gębusię. Z wiekiem się roztył, teraz ważył co najmniej półtora centnara, nie zrezygnował jednak z koncertów, a jego występy nadal przyciągały tłumy wielbicieli. Tusza nie pozwalała mu tańczyć i żywiołowo wymachiwać rękami podczas śpiewu, nie chciał wyglądać śmiesznie, więc musiał radykalnie zmienić repertuar i styl zachowania na scenie. Teraz stał właściwie nieruchomo, podkreślając treść i emocjonalny nastrój piosenki jedynie sugestywnymi ruchami głowy i mimiką, tylko od czasu do czasu pozwalając sobie na nieznaczny, ale bardzo wymowny ruch ręką. Jego mistrzostwo było rzeczywiście godne podziwu, w każdym razie Zotow z Igorem zrozumieli treść piosenki, mimo że Igor wcale nie znał angielskiego, a Wiaczesław Olegowicz potrafił wprawdzie dobrze czytać po angielsku, nie radził sobie jednak z mówieniem i z odbiorem tekstu słuchanego.

Wildanow obejrzał półgodzinne nagranie, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Nie, Sława, ja tego za nic nie potrafię – wycedził ze smutkiem, gdy ekran zgasł. – Może dajmy sobie spokój z nową aranżacją? Zaśpiewam *Requiem* jak zwykle, przecież dawniej też było dobrze. Jak myślisz?

– Nie. – Zotow pokręcił głową. – To już przeszłość. Nie możesz bazować na tym samym repertuarze. Jeśli chcesz po niego sięgać, musisz co pewien czas zmieniać aranżację. W wieku dwudziestu pięciu lat nie możesz śpiewać tak jak osiemnastolatek, a w wieku trzydziestu lat powinieneś śpiewać inaczej niż przed pięciu laty.

– Dlaczego nie mogę? – obruszył się Igor. – Przecież śpiewam. To nadal ja, głos mi się nie zmienił. Czemu się mnie czepiasz?

Zotow nalał sobie wody mineralnej do szklanki i wypił duszkiem jej zawartość. Znowu wszystko od początku. No i dlaczego trzeba tłumaczyć temu tępakowi wszystko po dziesięć razy, zanim zrozumie? Nie, w tej samej chwili zganił się w duchu, nie mogę wpadać w złość, muszę być cierpliwy. Dobrowolnie wziąłem ten ciężar na swoje barki, więc nie wypada porzucać go w pół drogi. W końcu to nie wina Igora, że brak mu rozumu. Rozum jest jak talent, jeden go ma, a drugi nie. Z jakiegoś powodu przyjęto uważać, że nie każdy musi mieć talent, ale wszyscy muszą być mądrzy. Brak zdolności postrzegany jest jako coś oczywistego, podobnie jak kolor włosów czy oczu, tymczasem brak

rozumu stanowi wadę. Dlaczego? To niesłuszne, przecież wszystko jest wrodzone, zarówno talent, jak i intelekt. Gdy człowiek zostanie obdarzony czymś przez naturę, powinien być wdzięczny, gdy jednak zostanie przez nią pominięty, nikogo nie wolno za to winić.

– Z upływem czasu każdy nabiera doświadczenia i mądrzeje, Igor. Czytający książkę piętnastolatek widzi i rozumie jedno, ale gdy wraca do niej po pięciu latach, dostrzega coś innego. W wieku trzydziestu lat człowiek odnajduje w książce to, czego nie zauważył i nie zrozumiał wcześniej. Jego życie obfituje w szereg zdarzeń, on zaś je przeżywa i analizuje, więc gdy wraca do przeczytanej lektury, spogląda na nią zupełnie innymi oczami. Rozumiesz? Z piosenkami jest tak samo. Piętnastolatek słyszy w piosence co innego niż osoba starsza. W dodatku wykonawca piosenki też nie stoi w miejscu. Mijają lata, w jego życiu wciąż coś się dzieje, a to z kolei powoduje, że artysta martwi się i cierpi. Jesteś żywym człowiekiem, a nie nagrany raz na zawsze płytą, dojrzewasz, więc powinieneś śpiewać swoje piosenki inaczej. Rozumiesz?

– Na mój gust robisz z igły widły. – Igor gwałtownie zerwał się z kanapy, podszedł do szerokiej, niskiej ławy, która stała na środku pokoju, i chwycił leżący na niej plik plakatów. – Co to według ciebie jest? No pytam się, co to jest? Woroneż, Niżny Nowogród, Astrachań, Kemerowo – czy to nic nie znaczy? Ja przecież wciąż występuję i, łaskawie zauważ, nie przed pustą widownią. Mam mnóstwo fanów, którzy mnie kochają, uwielbiają i przychodzą na moje koncerty. Czego jeszcze chcesz?

Zotow wstał i bez słowa ruszył do kuchni. Panował tu taki sam bałagan jak wszędzie. Dobrze, że Lera wpada ze dwa, trzy razy w tygodniu i doprowadza wszystko do ładu, w przeciwnym razie już po miesiącu nie dałoby się zrobić kroku w lokum geniusza, żeby nie natknąć się na spodnie, brudny kubek czy poniewierającą się na podłodze płytę kompaktową. Przez pewien czas Wiaczesław Olegowicz podejrzewał, że Igorowi brak piątej klepki, bo jego wychowanek robił wrażenie pełnego dzikusa. Nie czytał książek, pisał z błędami i nie rozumiał najprostszyc rzeczy, na przykład tego, że przynajmniej czasami należy zmywać po sobie naczynia i wieszać ubrania do szafy. Parę lat temu Zotow zaprosił znajomego psychiatrę, przyprowadził go do

Igora, przedstawiając jako swojego przyjaciela. Panowie posiedzieli razem przy kawie, gawędząc o różnych rzeczach, a potem psychiatra oznajmił Wiaczesławowi, że z głową chłopaka wszystko w porządku i że nie stwierdził żadnej niepełnosprawności intelektualnej, nawet w stopniu lekkim. Dodał też, że istnieje takie pojęcie jak „głupota salonowa”. Ona właśnie cechuje Igorka. Do tego dochodzą jeszcze błędy wychowawcze z okresu wczesnego dzieciństwa. Chłopak od małego nie został nauczony porządku ani czystości, nie wpojono mu ogłady i potrzeby czytania książek, oto więc skutki. Zotow poznał Igora, gdy ten miał już piętnaście lat i było za późno, żeby cokolwiek zmienić. Mały włóczęga, który uciekł z domu w wieku dziewięciu lat i regularnie przeplatał wolność z pobytem w zakładach poprawczych dla niepełnoletnich oraz internatach, zdążył na dobre zapomnieć rodziców, podobnie jak oni zapomnieli o nim, topiąc rozum w wódce. W ciągu lat tułaczki Igorek wbił sobie do głowy, że najważniejsza w życiu jest wolność. Ona zajmuje pierwsze miejsce, na drugim miejscu są pieniądze, a zatem bezcenną wolność warto poświęcać tylko wtedy, gdy ofiarę rekompensuje forsa, a nie jakieś wątpliwe walory w postaci wykształcenia, zdrowego stylu życia albo czystych ubrań. Igor został u Zotowa tylko dlatego, że ten mu obiecał pieniądze. I to duże. Uprzedził wprawdzie chłopaka, że będzie musiał dołożyć starań i ciężko pracować, nauczyć się nut i gry na pianinie, bo na to, żeby zajmować się wokalem, jest jeszcze za wcześnie, trzeba poczekać parę lat, aż skończy się mutacja. Igorowi nie spodobały się, rzecz jasna, liczne warunki. Kaprysił, targował się, odmawiał i uciekał, ale w końcu się poddał, jako że Zotow wyłożył jeszcze jedną kartę, tym razem atutową. Wyglądało to już poważnie, więc chłopakowi nie pozostało nic innego, jak tylko przyznać słuszność opiekunowi. Powzdychał trochę nad utraconą wolnością, po czym niechętnie zabrał się do nauki nut. Ależ to było dawno...

Igor nie potrafi stawiać przed sobą ambitnych celów. Nie potrafi i koniec. Od dzieciństwa przywykł zadowalać się byle czym, dziękował losowi za kawałek chleba i dach nad głową, a o restauracjach i pałacach nawet nie myślał. Owszem, lubił pieniądze i gotów był ponieść dla nich pewne ofiary, ale gotówka była mu potrzebna tylko do jednego: żeby zapewnić sobie upragnioną wolność. Chłopak nie marzył o wygodach

i luksusie albo o władzy czy dochodowym biznesie, pragnął czuć się wolny, spać do późna, nie chodzić do pracy i bzykać laski, które mu się podobają, a nie te, na które go stać. Pojęcie wolności mieściło w sobie tylko ów ubogi zestaw walorów. Skąd Igor Wildanow miałby wziąć inny? Przecież w duszy nadal pozostał małym włóczęgą.

Jednakże Zotow potrafi stawiać ambitne cele. I wie, że Igor ma dość potencjału, by je osiągnąć, tyle że ów potencjał trzeba wydobyć z głębi jego lenistwa umysłowego, a następnie umiejętnie pobudzić. Teraz chłopak daje koncerty, za które dostaje dwa, najwyżej trzy tysiące dolarów, tymczasem trzeba zadbać o to, żeby publiczność wypełniała cały stadion czy halę sportową. Takie koncerty mogą przynieść ze dwadzieścia tysięcy. Potrzebne są występy za granicą. I nie tysiące, ale miliony fanów. To jednak wymaga pracy, żeby nie doszło do sytuacji, w której zdobycie nowych sympatyków spowoduje utratę starych. Póki Igorek jest nieziemsko przystojny, będą go kochały nowe generacje nastolatek, ale jeśli nie połączy swojego uroku z czymś jeszcze, nastolatki dojrzeją, powychodzą za mąż i przestaną przychodzić na jego koncerty. Ładny chłopak z młodzieńczym stylem śpiewania przestanie je pociągać, będzie się wydawał naiwny i pospolity. Piosenkarz musi dojrzewać razem z fanami, wtedy ci, którzy kiedyś go pokochali, już nie opuszczą szeregów słuchaczy, no i zasili je też nowe pokolenie. Wówczas pojawią się stadiony i setki tysięcy dolarów. Ograniczony Igor ich nie potrzebuje, ale Zotow wręcz przeciwnie – dostaje trzydzieści procent od każdego koncertu. Tak się umówili niegdyś z Igorem.

W grę wchodzi jednak nie tylko pieniądze. One mają drugorzędne znaczenie, najważniejsze jest to, że Wiaczesław Olegowicz Zotow postawił na Igora całe swoje życie, wszystko, co potrafił i wiedział. Zaopiekował się piętnastoletnim brudnym włóczęgą z uduchowionymi oczami i niezwykłymi zdolnościami, wyciągnął go z gówna i pozwolił zamieszkać u siebie, bo dostrzegł w nim wyjątkowy talent, taki, jakiego jemu zabrakło. Zotow miał wszystko: wykształcenie muzyczne, subtelny, wyszukany gust, dobry głos i szaloną, nieprzewyciężoną żądzę śpiewania. Nie potrafił tylko sprawić, żeby go słuchano. Chciał śpiewać, gotów był robić to przez okrągłą dobę, ale z jakiegoś powodu nie było chętnych, żeby go słuchać. Publiczność szybko się nudziła, nie słyszała i nie rozumiała uczuć, które Sława Zotow wkładał w każdą

artykułowaną nutę. Początkowo myślał z oburzeniem, że to tępe, pozbawione wrażliwości muzycznej istoty. Potem zrozumiał, że wina leży po jego stronie. Tylko mu się wydaje, że angażuje się w piosenkę, że wkłada w nią całą duszę. Tak naprawdę nikt tego nie słyszy i nie może usłyszeć, bo Sława nie ma dość talentu, by dotrzeć do publiczności. Nagrywał swoje piosenki na taśmę, po czym uważnie ich słuchał. Brzmiały bezbarwnie i rzeczywiście nieciekawie, mimo że technika śpiewu była nienaganna. Nie bez powodu książka wielkiego Carusa *Tajemnice wypowiedzi wokalnej* przez lata stanowiła elementarz Zotowa, którego nauczył się na pamięć. Nad jego głosem pracowali też wspaniali nauczyciele. Oni właśnie mu go postawili i pokazali, jak najlepiej się nim posługiwać, ale nie dali owej drobnostki, bez której mechanizm zwany piosenkarzem nigdy nie zacznie działać. Nie dlatego, że nie potrafili albo nie chcieli, ale dlatego, że ten dar pochodzi od Boga. Albo ktoś go ma, albo nie ma. Gdy ma, ludzie płaczą, słuchając piosenki, a gdy nie ma, nie słyszą ani piosenki, ani wykonawcy.

Mały włóczęga miał ową drobnostkę. Podobnie jak słuch absolutny, zaczątki wrodzonej muzykalności i zdrowe struny głosowe, co pozwalało liczyć na przyjemny, choć nie gromki głos. Chłopak lubił śpiewać, nucił bez przerwy i wydawało się, że śpiewanie przychodzi mu tak łatwo jak oddychanie. Co prawda w wieku piętnastu lat głos już mu się załamywał i często zamiast normalnego dźwięku z gardła wydobywał się kiks, ale Zotow się nie martwił. Ważne było coś innego: nawet gdy Igorek mruczał pod nosem, Wiaczesławowi Olegowiczowi napływały łzy do oczu. To było najważniejsze, cała reszta to kwestia techniki i wykształcenia.

Tak więc Zotow podzielił się z chłopcem wszystkim, co sam wiedział i potrafił. Wbijał mu do głowy podstawy muzyki, zdradzał tajemnice władania aparatem głosowym, zmuszał do ciągłego grania gam, żeby ćwiczyć palce, które były nieposłuszne i nienawykłe do szybkich i precyzyjnych ruchów, zabraniał głośno śpiewać, póki głos się nie wzmocni, uczył nucić półgłosem przy własnym akompaniamencie. Szczególnie uciążliwa okazała się dla Igora konieczność oglądania długich filmów z nagraniami koncertów znanych śpiewaków operowych. Nie rozumiał, po co ma oglądać i słuchać „tego przestarzałego chłamu, który przyzwoici piosenkarze już dawno wyrzucili ze swojego repertuaru, bo nikt go nie słucha”. Zotow, tracąc cierpliwość, dzień w dzień

tłumaczył, że trzeba się uczyć od mistrzów, a nie od rzemieślników, i że od samego początku należy starać się opanować umiejętność pracy wyłącznie głosem.

– Stojąc nieruchomo, sprawić, żeby do słuchacza dotarł sens i nastrój utworu, to wyższa szkoła jazdy, która powinna być twoim celem – powtarzał. – Zawsze zdążysz się nabiegać i namachać rękami. Do tego nie potrzeba dużo rozumu.

Ale Igorowi odpowiadała opcja niewymagająca myślenia. Podczas przymusowych seansów wideo drzemał po kryjomu albo otwarcie ziewał. Jego idolem był biegający po scenie Michael Jackson. Zotow pozostawał jednak nieugięty.

– Nie będziesz śpiewał tak jak on i nie będziesz wykonywał podobnych piosenek. Nigdy. Jasne? – mówił stanowczo. – Takich jak Jackson są tysiące, zarówno w Ameryce, jak i w Rosji. Wszyscy skaczą po scenie. Chcesz być jednym z nich? Chcesz zginać w tłumie?

Igorek wzruszał ramionami, bo nie miał pojęcia, co w tym złego i dlaczego nie powinien być jednym z nich. Może to i tłum, ale towarzystwo jest doborowe.

– Musisz być wyjątkowy, jedyny, tylko w ten sposób zdobędziesz sławę, a co za tym idzie, pieniądze.

Ale wywody Wiaczesława Olegowicza docierały do Igora tylko wtedy, gdy opiekun tłumaczył mu wszystko na palcach i z ołówkiem w rękach.

– Gdy jesteś jednym z wielu, ludzie nie wiedzą, dlaczego mają cię pokochać, skoro kochają już Iwanowa czy Morozowa i chodzą na ich koncerty. Jesteś taki sam jak tamci, więc co za różnica, kogo będą słuchać, no a do nich już się przyzwyczaili. Gdy jest was wielu, odbiorcy, którym podoba się wasz styl śpiewania i repertuar, podzielą się mniej więcej równo. Im będzie was więcej, tym mniej fanów przypadnie na każdego. A w związku z tym mniej publiczności na sali, mniej pieniędzy za występy. Gdy zaś jesteś jedyny, to wszyscy, którym się podobasz w naszym kraju, będą niepodzielnie twoi.

Wyjaśnienia na takim poziomie docierały do Igora, tyle że nie zawsze się z nimi zgadzał. Zotow wykazywał jednak godną pozazdroszczenia wytrwałość, a chłopak nie potrafił długo się opierać. I nie chodziło bynajmniej o słabość charakteru. Upór wymaga argumentacji, podobnie jak każda obrona stanowiska, z tym zaś Igor miał wyraźne problemy.

Brakowało mu kreatywności i elastyczności umysłu, żeby przytaczać wciąż nowe dowody na swoją korzyść, więc w końcu Zotow go pokonywał.

Był pewien, że teraz też uda mu się przekonać Igora.



Nastia zmarzła na kość. Właściwie nie było w tym nic dziwnego, bo zimą, jesienią i wiosną zawsze marzła. Zawsze, gdy temperatura spadała poniżej dwudziestu pięciu stopni. Była osobą ciepłolubną. Jednakże w tym pomieszczeniu rzeczywiście panował chłód, dwie pracownice siedziały w kożuszkach narzuconych na ramiona i co rusz przykładają ręce do kubków z wrzątkiem. W budynku archiwum GUWD od trzech dni nie działało ogrzewanie i dlatego wszyscy musieli się męczyć.

Zamknawszy opasłe akta sprawy karnej, którą umorzono przed wielu laty, Nastia zapięła futrzaną kurtkę, włożyła rękawiczki i od razu wsunęła ręce głęboko do kieszeni. Znalazła wszystko, czego szukała, mimo to nic się nie wyklarowało. Pierścionek, który zobaczyła na palcu Lery Niemczinowej, był bardzo podobny do skradzionego podczas zabójstwa sprzed niemal dziesięciu lat. Popełniono je jakieś pół roku po śmierci rodziców Lery. Pojawia się jednak pytanie, czy to ten sam pierścionek, czy może tylko bardzo podobny? Zabójstwem zajmował się wydział Gordiejewa, toteż Nastia nieźle pamiętała okoliczności sprawy. Przepięstwo pozostało niewyjaśnione. Zabita kobieta była żoną ważnego urzędnika z Ministerstwa Finansów, jej ciało znaleziono w bramie domu, w którym mieszkała, i już w trakcie wstępnych czynności śledczych szybko ustalono, że poukładane i dostatnie życie rodzinne dawno znudziło denatkę, więc oddawała się niewinnym rozrywkom z młodymi i starszymi mężczyznami. Po obejrzeniu majątku załamany małżonek stwierdził, że zginął pierścionek z dużym brylantem, który podarował żonie z okazji trzydziestej rocznicy ślubu. Niestety nie udało się ustalić pełnego grona kochanków i przygodnych partnerów zabitej, bo przeważnie byli to przypadkowi znajomi. Jednakże kradzież cennego klejnotu pozwoliła nie wykraczać poza ramy hipotezy zabójstwa z powodów rabunkowych, więc funkcjonariusze, jak to się mówi, poruszyli niebo i ziemię, żeby znaleźć zaginiony pierścionek. Ale mijały

kolejne tygodnie, a on nigdzie się nie pokazał, ani u podejrzanych, ani u paserów, ani w lombardach, ani w urzędzie celnym. Przepadł jak kamień w wodę. W głowach wywiadowców zakiełkowała oczywiście nieśmiała myśl, że pierścionek w ogóle nie zginął, tylko został ukryty przez męża denatki. Tę hipotezę też skrupulatnie sprawdzono, mimo to pierścionek się nie znalazł. I oto dziesięć lat później pojawił się na szczupłym palcu młodej dziewczyny. Choć może jest tylko bardzo podobny? Nastia znalazła w archiwum zdjęcia ofiary z owym pierścionkiem na ręce, jego szczegółowy opis sporządzony przez męża i krewnych, a nawet szkic wykonany na podstawie relacji osób, które widziały go z bliska i dobrze zapamiętały. Znaków szczególnych było tam do licha i trochę, łącznie z wygrawerowanym na prośbę męża napisem od wewnątrz. Na przeszkodzie stanęła drobna rzecz: należało zdjąć pierścionek z delikatnej dłoni Lery Niemczinowej i go uważnie obejrzeć. I to tak, żeby dziewczyna tego nie zauważyła, w przeciwnym razie powie dziadkowi, tymczasem jego rola w całej historii jest na razie zupełnie niejasna...

W drodze z archiwum do pracy Nastia wstąpiła na obiad do Pragnienia i pałaszując frytki, pograżyła się w lekturze kupionej koło metra gazety. Po wypiciu kawy rześko ruszyła w stronę willi, w której mieścił się urząd, ze zdziwieniem konstatując, że jej życie bardzo się zmieniło. Kto by pomyślał, że będzie codziennie jadała obiady i na dodatek czytała prasę, czego przedtem nie miała w zwyczaju. Nastia Kamieńska zawsze była obojętna wobec polityki (zaangażowała się tylko jeden jedyny raz w osiemdziesiątym dziewiątym roku podczas Pierwszego Zjazdu Deputowanych) i nie czytała wiadomości politycznych, ale przecież gazety zawierały całe mnóstwo innych ciekawych rzeczy.

Na biurku czekała na nią sterta dokumentów. No tak, w grudniu ministerstwo organizuje kolegium poświęcone rocznemu bilansowi. W materiałach musi się znaleźć rozdział na temat wyników walki z przestępczością zorganizowaną. Najpierw trzeba przygotować referat dla Zatocznego, a potem zrobić skróconą wersję informacji analitycznych dla ministra.

Właśnie kreśliła kolejną tabelę, gdy drzwi szeroko się otworzyły i na progu stanął uśmiechnięty od ucha do ucha Korotkow.

– Jak tam frytki? Smakowały?

– Skąd wiesz? – zdziwiła się. – Znowu podglądałeś?
– Nie, Wanieczka mi powiedział, że raczyłaś zjeść frytki z grzybami, po czym się ulotniłaś.

– Wanieczka? Kto to taki?

– Masz ci los! – Korotkow jednym ruchem przysunął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem. – Kelner. Wanieczka to kelner z Pragnienia, który cię dzisiaj obsługiwał.

Nastia wbiła zdumiony wzrok w Jurę. Kelner? Coś takiego, ona już od trzech miesięcy się tam stołuje, ale do tej pory nie zainteresowała się imieniem kelnera.

– Twój lekceważący stosunek do otaczającego cię życia wciąż mnie zadziwia – powiedział Jura z wyrzutem. – Nawet ja już wiem, że zawsze siadasz przy stoliku koło okna w głębi sali i że ów stolik obsługiwany jest albo przez Iwana, albo przez Igora. Obaj doskonale cię pamiętają i wiedzą, że zawsze zamawiasz to samo: frytki i cappuccino. Przechodziłem w pobliżu, więc wpadłem i zapytałem, czy byłaś dzisiaj. No i Wanieczka mi zameldował, że zjadłaś obiad nie dalej jak trzydzieści minut temu. Wstyd, moja droga! I to ma być wywiadowca.

– Jaki tam ze mnie wywiadowca, Jura. – Nastia machnęła ręką z uśmiechem. – Muszę się zajmować papierami, cyframi i schematami. A przy okazji, pamiętasz sprawę zabójstwa Sołowiowej?

– Sołowiowej? – Korotkow zamyślił się, marszcząc czoło. – Kiedy to było? W ubiegłym roku?

– Nie, w marcu osiemdziesiątego ósmego.

– Dobre sobie! To przecież zamierzchła historia. Przypomnij mi w paru słowach.

– Żona odpowiedzialnego urzędnika ministerialnego. Zginął też pierścionek z dużym brylantem, którego nie znaleziono.

– Aha, coś mi świta. A czemu pytasz? Dopadła cię znowu nostalgia za przeszłością?

– Raczej za teraźniejszością. Wczoraj odwiedziłam Lerę Niemczinową, Jurik. Udawałam zastępczynię kierownika wydziału, na którym studiował Sasza Barsukow, i próbowałam wyciągnąć od dziewczyny coś na temat finansów jej wielbiciela. Prezenty, zakupy, wydatki i tak dalej.

– I co o niej powiesz? – Korotkow się ożywił i zaczął wiercić się na krześle, szukając wygodniejszej pozycji. – Prawda, że urocza? Szczera

niczym anioł. Nie sposób jej nie wierzyć.

– Wręcz przeciwnie, Juroczka. Ta dziewczyna to wspaniała aktorka. Nie dlatego, że ma coś do ukrycia, ale dlatego, że już dawno podzieliła ludzkość na tych, którzy są jej przydatni, i bezużyteczną resztę. Ty jesteś mężczyzną, w dodatku koło czterdziestki, a więc w odpowiednim wieku. Cholernie przystojny major milicji to dla niej potencjalny obiekt do flirtu. Dlatego była wobec ciebie miła i czarująca. Mnie uznała za osobę nieprzydatną, więc zachowywała się inaczej.

– Daruj sobie, Asiu! – obruszył się Korotkow. – Jaki flirt? Czyś ty oszalała? Po pierwsze, nie dałem jej najmniejszego powodu, a po drugie, jak sama zauważyłaś, niedługo stuknie mi czterdziestka, więc dziewczyna jest dla mnie za młoda.

– Skąd niby miała wiedzieć, że nie jest w twoim typie?

– Przecież nie ukrywam wieku...

– I co? Ty wiesz, że młode dziewczyny nie są dla ciebie i że nudzisz się z nimi, bo są jeszcze głupie i nie mają doświadczenia. Ale Leroczka uważa się za dojrzałą kobietę, która potrafi zainteresować nawet mężczyzn w średnim wieku. Zresztą nie tylko ona tak sądzi, wszystkie dziewczęta popełniają błąd, myśląc w ten sposób. Dlatego usiłowała cię oczarować. Ale nie to jest najważniejsze. Widziałeś pierścionek na jej palcu?

– Nie, nie zwróciłem uwagi. A miała go?

– Nie wiem. – Nastia wzruszyła ramionami. – Może nie miała, gdy z nią rozmawiałeś. Ale wczoraj miała. Dlatego wspomniałam o zabójstwie Sołowiowej.

Korotkow zakotłosał się na krześle i gwizdnał przeciągle.

– No proszę! Jesteś pewna, że to pierścionek Sołowiowej?

– No właśnie o to chodzi, że nie. Na pierwszy rzut oka jest podobny, ale trzeba mu się uważnie przyjrzeć. Nie miałam powodu prosić jej, żeby go zdjęła i mi pokazała. No bo niby z jakiego powodu?

– Słusznie. Chcesz, żebym spróbował? A może zrobimy to oficjalnie?

– Wolałabym nie. Obawiam się dziadka.

– Ależ, Asiu, on przecież nie ma żadnego związku z zabójstwem Sołowiowej, bo siedział wtedy w areszcie za zabicie syna i synowej. Czego się boisz?

– Nie wiem. – Nastia westchnęła i wyjęła papierosa z paczki. – Nie

wiem, Jurik. Ten Niemczinow przyciąga mnie jak magnes, choć jednocześnie boję się go ruszyć. Różne nedorzeczne przypuszczenia chodzą mi po głowie.

– Na przykład?

– Że Wasilij Pietrowicz jest naprawdę związany z zorganizowaną grupą przestępczą i umyślnie wciągał Saszę Barsukowa w swoje sprawy, ale skoro to grupa, niewykluczone, że jest w niej ten, kto maczał palce w zabójstwie Sołowiowej i zabrał pierścionek. Niemczinow wszedł w jego posiadanie w wyniku jakichś wzajemnych rozliczeń, a potem podarował ukochanej wnuczce. Jeśli zaczniemy otwarcie interesować się pierścionkiem, dziadek może się zaniepokoić. To chyba nie jest nam potrzebne?

– Oczywiście, że nie – przyznał Jura. – Ale jak się ciebie posłucha, aż strach patrzeć w kierunku dziadka, mimo że wszystkie twoje przypuszczenia to tylko wytwór wyobraźni. Niewykluczone, że facet jest czysty, wie jednak coś ważnego. Jak zamierzasz wyjaśnić zabójstwo Barsukowa, unikając kontaktów z dziadkiem Lery?

– Nawiasem mówiąc, zadanie wyjaśnienia zabójstwa należy do ciebie, nie do mnie – zażartowała Nastia. – Skierowałeś pytanie pod niewłaściwy adres. Ja mam przeprowadzić analizę infiltracji kryminalnej moskiewskich uczelni MWD. Tak brzmi moje zadanie. Muszę na przykładzie Moskwy opracować metodę zbierania informacji oraz ich analizy, by potem w ten sam sposób można było skontrolować wszystkie milicyjne uczelnie. Zabójstwo Barsukowa to tylko pretekst, impuls do sformułowania problemu.

Nastia leniwie się przeciągnęła i wyłączyła monitor komputera. Pozwoli oczom trochę odpocząć, bo wieczorem robią się czerwone jak u królika.

– Co powiesz na to, Jura, żeby wysłać do Lery młodego przystojniaka?

– Jestem za, tylko nie wiem, po co. Żeby obejrzał pierścionek?

– Uhm. Czy Lera widziała naszego Miszanię?

– Owszem. – Korotkow westchnął. – Kandydat odpada.

– Może weźmiemy Igora Lesnikowa? – zasugerowała Nastia.

– Nie ma go w Moskwie, wróci najwcześniej za dwa tygodnie.

– Szkoda. Kto jeszcze jest przystojny? Na nijakiego Leroczka się nie skusi.

– Wybacz, koleżanko. – Jura rozłożył ręce. – Nie mamy dziesiątków

Alainów Delonów na składzie. Docenkow i Lesnikow to cały strategiczny zapas naszego wydziału. Ale twój... jak mu tam... no ten dziwak, który biega ze święconą wodą. Może jego poprosimy? Ma odpowiedni wygląd: wysoki, przystojny, z gładką fizjonomią, no i jest w odpowiednim wieku.

– Nic z tego. – Nastia się skrzywiła i zgasiła papierosa. – Nasz Paweł Michajłowicz nigdy nie wykonywał zadań operacyjnych. Nie da sobie rady.

– Wszyscy kiedyś zaczynają, zawsze jest ten pierwszy raz – zauważył Korotkow filozoficznie. – Przecież nie wymagamy od niego niczego szczególnego, nie chodzi o strzelanie, bieg z przeszkodami czy przeniknięcie do środowiska przestępców. Facet ma tylko poznać dziewczynę, pozalecać się do niej, oczarować miłymi słówkami i pod wiarygodnym pretekstem obejrzyć pierścione. To wszystko!

– On nie musi tego robić, Jura – zaoponowała Nastia z uporem. – Pracuje w centrali, a nie w wydziale kryminalnym. Jeśli coś pójdzie nie tak, nawet nie będzie można wyciągnąć w stosunku do niego konsekwencji.

Jura gwałtownie wstał, odsunął krzesło i zrobił parę kroków, nie spuszczając oczu z Kamińskiej.

– Czemu mi się tak przyglądasz? Coś nie w porządku z fryzurą? – zażartowała Nastia.

– Nie, patrzę i myślę, że się zmieniłaś.

– No i co, jaka teraz jestem?

– Inna. Obca. Nieznana.

– Doprawdy?

– Stałaś się nieprzyzwoicie ostrożna. Utraciłaś entuzjazm i umiejętność podejmowania ryzyka. Co się z tobą stało, koleżanko? Jakby cię ktoś podmienił. Chyba nawet przytyłaś.

– Dwa kilogramy – potwierdziła Nastia ze śmiechem. – Mówiłam ci o tym parę dni temu, ale nie zwróciłeś uwagi. Frytki, które codziennie jadam na obiad, nie uchodzą mi płazem. Poza tym mniej się denerwuję. Muszę przyznać, że praca analityczna dostarcza znacznie więcej przyjemności, gdy wchodzi w zakres obowiązków służbowych i jest legalnie wynagradzana, niż gdy wykonuje się ją po kryjomu i na osobiste polecenie szefostwa. A co do reszty, to zawsze byłam okropnym tchórzem, panikowałam z byle powodu. Przez trzy miesiące, odkąd nie

pracujemy razem, zdążyłeś już zapomnieć, jaka naprawdę jestem. Nawiasem mówiąc, entuzjazm mnie nie opuścił. Weźmy na przykład Niemczinowa. Facet nie daje mi spokoju, bez przerwy o nim myślę i zastanawiam się, co zaszło dziesięć lat temu. Nie mogę wyrzucić go z głowy.

– Coś mi się zdaje, że mydlisz mi oczy – surowo oznajmił Korotkow. – Przyznaj się, że masz romans z Zatocznym. Dlatego jesteś spokojna i szczęśliwa, podoba ci się idiotyczna praca przy biurku nad głupimi, nikomu niepotrzebnymi papierami i dlatego przestałaś być wywiadowcą.

– Co?!

Ze zdumienia Nastia straciła dar mowy i przez chwilę zapomniała, że trzyma w ręce kubek z wodą, do którego zamierzała włożyć grzałkę. Kubek zaczął podejrzenie się przechylać, aż w końcu cienka strużka wody popłynęła na jej sweter i dżinsy.

– Oblewasz się – rzucił Jura cierpko, pokazując kubek.

Nastia się zreflektowała, postawiła kubek na biurko i zaniósła się niepohamowanym śmiechem.

– I ty nazywasz się wywiadowcą, Jura?! Powinieneś pisać teksty humorystyczne, a nie szukać zabójców i gwałcicieli. Sidney Sheldon i Jackie Collins mogłyby pozazdrościć ci wyobraźni. Naprawdę nie umywają się do ciebie.

– Udowodnij, że nie mam racji, to się uspokoję – powiedział z uporem.

– Nie zamierzam ci niczego udowadniać! – Nastia wytarła chusteczką łzy, które śmiech wycisnął jej z oczu, i włączyła wreszcie grzałkę. – Jeśli chodzi o Zatocznego, to wierutna bzdura. Wiesz przecież, Juroczka, że Czistiakow oświadczył mi się, gdy mieliśmy po dwadzieścia lat, a wyszłam za niego dopiero, gdy miałam trzydzieści pięć. Nie po to tak długo mu odmawiałam, żeby po ślubie wdawać się w romanse. Do tego czasu zdążyłam wykorzystać cały swój potencjał gwałtownych namiętności. Jasne?

– Na Pietrowce wszyscy uważają, że jesteś kochanką szefa.

– No i co z tego? Niech uważają, skoro są obrani z rozumu. Ale że ty tak pomyślałaś? Przecież znasz mnie nie od dzisiaj. No dobrze, uporządkujmy fakty. Jak powiedział bohater filmu *Szyrli-Myrli*, gotów jestem podzielić pańskie smutki, ale najpierw je wypunktujemy. Nic mnie nie łączy z Zatocznym. I koniec tego tematu. Papierkowa robota nie jest

wcale idiotyczna, to jednak moja opinia, masz prawo się z nią nie zgadzać. Nie powinieneś jednak narzucać mi swojego punktu widzenia. Umowa stoi? Teraz punkt trzeci, kwestia mojego spokoju i szczęścia. Owszem, te uczucia mi towarzyszą, ale co w tym złego? Kiedy przypominam sobie ubiegły rok, Juroczka, włosy stają mi dęba ze zgrozy. Mało brakowało, a popełniłabym wiele fatalnych błędów, najpierw w sprawie taty, a potem Loszki. Ledwo wydostałam się z przepaści, w którą sama wskoczyłam. To, co dobre, docenia się przez porównanie z tym, co złe, gdy zaś porównanie jest niemożliwe, dobre rzeczy traktuje się jako coś oczywistego i nieustannie podważa, poddając krytyce. Teraz mam wszystko za sobą, relacje z Loszką się ułożyły, ale przecież byliśmy o krok od rozvodu przez moją głupotę. Zasłużyłam sobie na szczęście. Masz jeszcze jakieś pytania?

Korotkow uśmiechnął się, wyciągnął rękę i dał Nastii lekkiego pstryczka w nos.

– A jednak jesteś strasznie zabawna, Asiu. Można lubić pracę wywiadowcy albo jej nie cierpieć, można poświęcić się tej robocie ze szczerem albo jej nienawidzić. Zarówno jedno, jak i drugie, łatwo zrozumieć. Ale jak można lubić papiery i cyfry? To przekracza zdolność pojmowania normalnego człowieka. Jakies niekończące się schematy, wykresy, procenty i diabli wiedzą, co jeszcze. No jak, powiedz mi, można to wszystko lubić? To przecież nudy na pudy.

– Dla ciebie nudy, a dla mnie przyjemność. Dlaczego sądzisz, że powinnam być taka jak ty? Twoim zdaniem tylko ty masz patent na prawdę, a ten, kto się od ciebie różni, jest w błędzie, więc trzeba go przerobić i wychować na nowo? A co się stanie, jeśli ja też zacznę myśleć podobnie? I dzień w dzień będę ci sączyć do ucha, że praca analityczna jest wspaniała, bo stanowi gwarancję postępu cywilizacyjnego i rozwoju ludzkości, ten zaś, kto tego nie rozumie, jest tępy i ograniczony. Spodoba ci się?

– Dość, dość, dość. – Korotkow podniósł ręce. – Poddaję się bez walki. Masz ciekawe argumenty. Skąd? Nowi znajomi czy nowe książki?

– Paweł Michajłowicz Diużyn, ten, którego uważasz za dziwaka. Na początku jego wyskoki wprawiały mnie w zdumienie i podobnie jak ty uważałam, że jest dziwny i głupkowaty. Ale im dłużej miałam z nim do czynienia, tym bardziej się przekonywałam, że nie jest dziwny, tylko

inny. Rozumiesz? Po prostu inny. Nie taki jak ty czy ja. Z jego punktu widzenia to my jesteśmy dziwni, bo nie rozumiemy i nie czujemy tego co on. Diużyn może się czuć bardzo niekomfortowo w jakimś konkretnym miejscu, więc zachodzi w głowę, jak cała reszta może tam spokojnie pracować, rozmawiać i nie czuć niczego szczególnego. Według nas to my jesteśmy normalni, Diużyn zaś odbiega od normy. Tymczasem Paweł uważa odwrotnie, no i kto ma rację?

– Wiadomo, że my. – Korotkow się roześmiał. – Nas jest dwoje, a on jeden. Skoro nas jest więcej, nasza opinia zwycięży, to podstawa demokracji. Chyba nie zaprzeczysz?

– Owszem, zaprzeczę. Demokrację wymyślili ludzie, gdy utworzyli społeczeństwo. Żeby nim jakoś pokierować. Tymczasem to, że się od siebie różnimy, jest kwestią natury, wychowania i doświadczeń życiowych, więc czy tego chcemy, czy nie, czy nam się to podoba, czy nie, musimy zaakceptować ten fakt. Nic na to nie poradzimy, żadna demokracja nie zlikwiduje różnic między ludźmi.

– Ojej, Asiu, zaczynasz filozofować. – Korotkow skrzywił się, wzdychając ciężko. – To nie moja działka. Jestem człowiekiem prostym i nieskomplikowanym, myślę przyziemnymi kategoriami i nie stawiam sobie wzniosłych pytań o przeznaczenie ludzkości. Chciałbym wyjaśnić zabójstwo Barsukowa i tylko to mnie nurtuje. Wróćmy więc do twojego normalnego Diużyna. A raczej do problemu pierścionka Lery. Może było tak, że Sasza Barsukow związał się z przestępcami, przez Niemczinowa albo jakoś inaczej, i w ramach zapłaty dostał ów pierścionek, a potem podarował go swojej dziewczynie.

– Niewykluczone – przyznała Nastia. – Ale nasze rozważania mają sens tylko wtedy, gdy to pierścionek należący do Tamary Sołowiowej. Bo jeśli tak nie jest, możemy wyrzucić naszą koncepcję do śmieci.

– Więc wyślijmy twojego Diużyna do Lery na zwiady. Trzeba wyjaśnić tę kwestię raz na zawsze, żeby nie zawracać sobie głowy głupimi hipotezami, które mogą nas zaprowadzić nie wiadomo dokąd. Wezwij tutaj Pawła Michajłowicza, zaraz go przygotujemy.

Pomysł nie wzbudził entuzjazmu Nastii, zawsze z obawą traktowała przypadki wykorzystywania amatorów w wyjaśnianiu przestępstw, ale nie mogła z ręką na sercu nie przyznać, że niekiedy też tak robiła. Korzystała z pomocy najprzeróżniejszych osób! Męża, brata Aleksandra,

jego żony Daszeńki, dawnego kryminalisty przewiskiem Bokr, fotoreportera i Bóg wie, kogo jeszcze. Nie odstręczał jej sam pomysł, tylko kandydatura Pawła. Chociaż kto wie, może to, że nie jest podobny do większości, okaże się korzystne. Kto wie...

– Dobrze – powiedziała stanowczo. – Zaraz zawołam Diużyna, żeby mu wytłumaczyć, czego chcemy. A do ciebie mam prośbę. Szukam mężczyzny, który ostatnio pojawia się przed kamerami razem z Igorem Wildanowem.

– Wildanowem? – Jurij uniósł brwi ze zdziwieniem. – Kto to taki? Ten piosenkarz?

– Zgadza się – potwierdziła Nastia. – Pomożesz?

– Dobrze, tylko po co? Wiesz przecież, koleżanko, że nie gram w ciemno, to nie w moim stylu.

– Dowiedziałam się, że mężczyzna, którego obecnie widuje się koło Wildanowa, był kiedyś częstym gościem na letnisku zamordowanych Niemczinowów.

– I co z tego?

– Chcę go popytać o dziadka. Czy to prawda, że nie bywał na letnisku, i dlaczego przyjechał tamtym razem, gdy zastrzelił syna i synową.

– Boże, po co się w tym grzebiesz?! To stara sprawa. Rozumiałbym, gdyby należało wyjaśnić tamto zabójstwo. Ale ono zostało przecież wyjaśnione, w dodatku Niemczinow odsiedział już wyrok i zdążył nawet wyjść na wolność.

Nastia wstała i zaczęła wkładać dokumenty do sejfów. Korotkow w milczeniu ją obserwował, czekając na wyjaśnienia. Nie wątpił, że nastąpią. W ciągu wszystkich lat spędzonych razem na Pietrowce Nastia nigdy nie traktowała go jak chłopca na posyłki, którego można wykorzystać, mówiąc, żeby poszedł „tam, nie wiem gdzie”. Zarówno Korotkow, jak i pozostali funkcjonariusze wydziału przyznawali, że w głowie Kamieńskiej zachodzą tylko jej znane procesy myślowe, więc często nie potrafili nadażyć za tokiem rozumowania Aśki, ona jednak ani razu nie pozwoliła sobie na coś, co można by uznać za uwagę typu: „Skoro nie rozumiesz, to trudno. Dostałeś zadanie, więc bierz się do roboty”. Zawsze wszystko wyjaśniała, cierpliwie i dokładnie, wykorzystując do tego nakreślone na kartce strzałki i kwadraciki, wyjaśniała dopóty, dopóki wywiadowcy nie zaczęli dziwić się własnej

głupocie oraz temu, że sami na to nie wpadli. To przecież oczywiste, jasne jak słońce!

Wreszcie wszystko, co niepotrzebne, zniknęło z biurka, pozostałe dokumenty znalazły się w teczkach ułożonych w zgrabny stosik. Nastia krytycznie zlustrowała przywrócony porządek i znowu zajęła swoje miejsce.

– Niemczinow to jedna z naszych hipotez w sprawie zabójstwa Barsukowa. Musimy jak najwięcej się o nim dowiedzieć, zanim go przesłuchamy. Może to bardzo doświadczony i niebezpieczny przestępca, więc jeśli go spłoszymy, nikt nam tego nie wybaczy. A przede wszystkim tobie, bo ja nie gram pierwszych skrzypiec w tej sprawie. Jest też jeszcze jeden szczegół, który chciałabym wyjaśnić. Wasilij Pietrowicz Niemczinow został zatrzymany na peronie, gdy czekał na pociąg do Moskwy. W aktach sprawy znalazłam plan osiedla i zauważyłam, że letnisko i dworzec są od siebie oddalone najwyżej o pięćset metrów, jeśli iść utwardzoną drogą. Tak więc nieśpiesznym krokiem można tam dotrzeć w ciągu dziesięciu minut, a szybkim jeszcze prędzej. Jednakże dziadka zatrzymano na peronie niemal półtorej godziny po zabójstwie. Muszę odszukać rozkład jazdy pociągów obowiązujący w tamtym roku i upewnić się, czy pociągi jeździły rzeczywiście w dużych odstępach czasu. W przeciwnym razie to ciekawe, dlaczego Niemczinow nie pojechał pierwszym pociągiem i gdzie się włączył przez półtorej godziny. Normalny człowiek powinien jak najprędzej uciekać z miejsca przestępstwa.

– Nie znam szczegółów. – Korotkow zmarszczył czoło. – Czy było to późnym wieczorem?

– Nie, moje słoneczko, w biały dzień, w telewizji akurat szedł serial *Siedemnaście mgnień wiosny*. W dodatku była sobota. Nie mam oczywiście domku letniskowego, ale nawet ja wiem, że podczas weekendu pociągi nie kursują tak rzadko, w promieniu trzydziestu kilometrów od Moskwy co dziesięć, piętnaście minut. Powtarzam, muszę odszukać rozkład i to sprawdzić, ale już teraz wiem, że nie wszystko tutaj jest przejrzyste.

– Jasne. – Jura kiwnął głową. – Przyjąłem informacje do wiadomości i podzielam obiekcje. No to wołaj swojego telepatę.

– Nie próbuj go tak nazywać, bo się obrazi – uprzedziła Nastia,

podnosząc słuchawkę telefonu.

Rozdział 5

Zotow lubił jadać obiady w drogich restauracjach, ale nigdy nie wybierał się tam na kolacje. W ciągu dnia klientów było niewiele, dzięki czemu nie opuszczało go poczucie wytworności i uprzywilejowania, które znikało, gdy robiło się tłoczno. Co to za przywilej, skoro jest dostępny całej rzeszy osób? Kolacje jadał zazwyczaj w domu, ale na obiady wolał przychodzić do hotelu Anglettere albo do innej restauracji tej samej kategorii.

Podjeżdżając do narożnego budynku na Łubiance, szybko zlustrował wzrokiem zaparkowane samochody i zauważył ciemnozielonego saaba. Lewczenko już jest, przywłókł się przed czasem, pewnie się niecierpliwi. Umówili się przecież na drugą, a teraz jest dopiero za dwadzieścia. Zotow z irytacją zerwał z rąk cienkie rękawiczki samochodowe i cisnął niczemu niewinne paski skóry na siedzenie pasażera. Ten sukinsyn nigdy w życiu nie zjawił się o ustalonej godzinie, nie dlatego, że nie umie być punktualny, ale dlatego, że lubi, by na niego czekać. Fakt, że stawiał się niemal pół godziny przed czasem, świadczy tylko o tym, że temat ich dzisiejszej rozmowy jest dlań bardzo ważny, ważniejszy od własnej dumy. Zotow wiele by dał, żeby dzisiaj było jak przedtem, chętnie poczekałby na swojego znajomego ze czterdzieści minut albo nawet godzinę. Bo wciąż nie wie, co ma mu odpowiedzieć.

Zamknął samochód i nieśpiesznym krokiem ruszył w stronę restauracji. Nobliwy szwajcar, pełniący jednocześnie funkcję szatniarza, z uprzejmym uśmiechem wziął od Zotowa okazały kożuszek od Versace, który ten kupił w Paryżu i codziennie uważnie oglądał w poszukiwaniu plamki albo choćby niewielkiej dziurki. Najważniejszą rzeczą, zdaniem Zotowa, było uchwycić odpowiedni moment i nie czekać, aż plamki nie da się już wywabić, a dziurka przybierze rozmiary pięści.

Lewczenko zajął oczywiście stolik, za którym Zotow nie przepadał, w dodatku usiadł przy ścianie, sprawiając, że jego towarzysz musiał ulokować się tyłem do sali. Co za sukinsyn! W ciągu ostatnich miesięcy już trzykrotnie jedli tutaj obiad i za każdym razem Zotow przychodził pierwszy i zajmował stolik, przy którym zawsze siadał. I wciąż podkreślał, że to jego ulubione miejsce, bo jest nieco na uboczu i w rogu, więc obaj rozmówcy mogą siedzieć przy ścianie, mając widok na całą salę. Było to ważne dla Zotowa, bardzo ważne, nie mógł siedzieć tyłem do drzwi, a zwłaszcza do obszernej sali, bo robił się nerwowy i niespokojny. Lewczenko nie puścił oczywiście jego słów mimo uszu, dzisiaj przylazł wcześniej i zajął takie miejsce, żeby Zotow poczuł się całkiem nieswojo. Co za głupota, gniewnie pomyślał Wiaczesław Olegowicz, z promiennym uśmiechem zmierzając w stronę Lewczenki. Jeśli chcesz, żeby ktoś zrobił ci przysługę, spraw, żeby cię polubił, a wtedy stanie na głowie. Ty zaś pragniesz, żebym się zdenerwował, bo myślisz, że jak będę rozkojarzony, sprawa pójdzie gładko. Nie pójdzie. W ogóle nie ruszy z miejsca.

– Wcześniej pan dzisiaj przyszedł – zauważył zamiast powitania, usiłując ukryć irytację. – Proszę wybaczyć, że musiał pan czekać, byłem pewien, że zjawię się pierwszy.

– Nic nie szkodzi – odparł Lewczenko protekcyjnym tonem. – Proszę siadać.

Zawsze to samo, pomyślał Zotow z oburzeniem. Przyszedłem dwadzieścia minut wcześniej, a muszę się usprawiedliwiać jak smarkacz, który coś przeszkrobał. Boże, jak mam się ciebie pozbyć, Lewczenko? Chyba mi się nie uda, wpadłem po same uszy. Pociesza mnie tylko myśl, że ty też babrzesz się w tym gównie.

Zgodnie z dawno przyjętym zwyczajem do interesu nie przystępowano, zanim kelner nie przyjął zamówienia. Jednakże dzisiaj Lewczenko postanowił widocznie naruszyć wszelkie możliwe zasady, które sam kiedyś narzucił partnerom. Najpierw się nie spóźnił, a teraz od razu przystąpił do rzeczy.

– Jakie nowiny mi pan przynosi, Sławoczka? Kiedy mogę się spodziewać materiału?

– Nie mam dobrych nowin, Nikołaju Stiepanowiczu. – Zotow westchnął. – Prześladowuje mnie pech, nic mi się nie udaje. Szczerze

mówiąc, wykorzystałem wszystkie swoje możliwości, żeby poznać los materiału. Przykro mi to mówić, ale chyba w ogóle nie zdołałem tego zrobić. Czy nie ma sposobu, żeby inaczej rozwiązać pański problem?

Oczy Lewczenki błysnęły spod krzaczastych brwi i mężczyzna się zachmurzył. Zotow przeraził się własnej odwagi. W ciągu długoletniej znajomości ani razu nie ośmielił się rozmawiać tym tonem z potężnym Nikołajem Stiepanowiczem. Od samego początku wszystko wyglądało tak, że Lewczenko formułował zadanie, a Zotow poruszał niebo i ziemię, żeby je wykonać. I wykonywał. Za co otrzymywał podziękowania, zarówno słowne, jak i w materialnej postaci, dającej się łatwo obliczyć. Ale długoletnia, dobrze zorganizowana współpraca ostatnio ustała. Może Zotow przestał mu odpowiadać, może zadania się zmieniły i powierzano je innym wykonawcom. Przez jakiś czas Wiaczesław Olegowicz pocieszał się nawet złudną nadzieją, że Lewczenko jest już na tamym świecie. Umarł albo coś mu się stało. Tymczasem Nikołaj Stiepanowicz jest cały i zdrowy, oto znowu się zjawił i żąda zdobycia materiału, którego potrzebuje do jakichś politycznych celów.

– Panu przykro mówić, Sławoczka, a mnie przykro słyszeć, że pieniądze, które w pana zainwestowałem, poszły na marne. Czyżby pan zapomniał...

Musiał przerwać, bo podszedł kelner z notesem i długopisem. Zotow szybko złożył zamówienie, nie zaglądając do menu, znał na pamięć jego zawartość. Natomiast Lewczenko jak zwykle się nie śpieszył, przewracał kolejne strony i stawiał niekończące się pytania kelnerowi. Wreszcie zostali sami i Nikołaj Stiepanowicz podjął swoją tyradę w miejscu, w którym ją przerwał. Była to jedna z jego osobliwości: nikt i nic nie było w stanie zbić go z tropu i zakłócić toku wypowiedzi.

– ... jak przyszedł do mnie młody, biedny i głupi, prosząc o pracę? Niczego pan nie potrafił, nawet śpiewać, mimo że przez długie lata pobierał pan nauki u fachowców. Znalazłem sposób, żeby pana wykorzystać, w dodatku taki, który zagwarantował panu godziwe zarobki. Nauczyłem pana pracować i zarabiać, wprowadziłem do towarzystwa, dzięki któremu wtedy żył pan dostatnio, a teraz może przepychać wszędzie swojego miernego protegowanego Wildanowa. I co dostaję w zamian? Co od pana słyszę? Żałosne, bezradne słowa, że jest panu przykro, bo czegoś tam nie zdoła pan zrobić. To nie jest

konstruktywna rozmowa, mój drogi. Żeby ze mną rozmawiać, musi pan zrewidować swój leksykon, nie chcę więcej słyszeć od pana podobnych słów. Wróćmy do sprawy. Jestem ponaglany, więc ja też pana ponaglam. Ma pan szczęście, że sytuacja nie jest podbramkowa, jeszcze trzy dni temu kryzys rządowy wydawał się nieunikniony i gdyby do niego doszło, materiał byłby niezwłocznie potrzebny, tym razem obeszło się jednak bez niego. Zdaniem moich analityków cisza potrwa do wiosny. Ma pan więc czas, ale proszę się nie łudzić, nie jest go wiele. Lubię z wyprzedzeniem zaopatrzyć się w broń i staram się nie odkładać niczego na ostatnią chwilę. Rozumie pan, Sławoczka?

– Rozumiem – odparł Zotow ledwo słyszalnie, tłumiąc złość i nienawiść. – Zrobię, co w mojej mocy.

Kelner podał przystawki i przez pewien czas mężczyźni w milczeniu pochłaniali wyszukane przysmaki.

– Krążą o panu zabawne plotki – znowu odezwał się Nikołaj Stiepanowicz, zręcznie odcinając szczypce i ogon olbrzymiego homara. – Słyszał pan, Sławoczka?

– O czym?

– O panu i pańskim podopiecznym, z którym nie rozstaje się pan ani na chwilę. Czy to prawda?

Zotow poczuł, jak ogarnia go wstręt, ale powstrzymał grymas odrazy. Co on wie, ten obleśny, chytry staruch?! Dla niego istnieją tylko dwa rodzaje bliskości: seks i partnerstwo biznesowe. Skoro dwaj mężczyźni nie są partnerami w biznesie, spędzają jednak dużo czasu razem, to znaczy, że chodzi o seks, inne opcje nie wchodzą w rachubę. Przyjaźń, przywiązanie, szacunek – te rzeczy są obce ograniczonemu Nikołajowi Stiepanowiczowi Lewczence. I nie ma sensu mu tego tłumaczyć. Ale nie można też pozostawić pytania bez odpowiedzi.

– Bzdury – odparł Zotow z udawaną obojętnością. – Rzeczywiście codziennie się widzimy, czasami spędzamy cały boży dzień razem, niekiedy spotykamy się zaledwie na pół godziny, wszystko zależy od harmonogramu jego prób, występów, nagrań i spotkań biznesowych. Spędzam z Igorem tyle czasu, ile przewiduje harmonogram. Nie mówiąc już o tym, że jestem przecież jego nauczycielem, i to od dzieciństwa, o czym pan doskonale wie. Poza tym, jak pan również wie, w sprawach łóżkowych preferuję kobiety, a nie mężczyzn. Czy moja odpowiedź pana

zadowala?

– Sławoczka! – Lewczenko zachichotał figlarnie i pogroził mu zaciśniętymi w dłoni szczypcami. – Wiem też o innych rzeczach. Gdy zaczął pan zawracać sobie głowę tym młodzikiem, miał pan żonę. Gdzie ona teraz jest? A potem ożenił się pan jeszcze raz i pańska druga małżonka też rozplynęła się we mgle. Kobiety odchodzą, a chłopak zostaje. Przyzna pan, że to wymowny obrazek. Nawiasem mówiąc, przyjacielu, co słyszeć u pańskich dzieci? Czy pozbył się pan ich ze swojego życia podobnie jak czarującej małżonki?

– Dzieci są zdrowe, dziękuję – odparł Wiaczesław Olegowicz powściągliwie.

– To były cudowne aniołki. – Lewczenko uporał się wreszcie z gigantycznym homarem i starannie wytarł palce serwetką. – Zawsze panu trochę zazdrościłem, bo moi synowie nie są, niestety, źródłem wielu radości. Nawet gdy byli nastolatkami, sprawiali wyłącznie kłopoty. Nie nadażalem wyciągać ich z komisariatów, do których trafiali za różne szaleństwa. A gdy wydorosleli... Ale właściwie nie wiadomo, co wyrosnie z pańskich aniołków. Ile lat ma starsza córka? Jeśli dobrze pamiętam, koło piętnastu?

– Wiosną skończy szesnaście – przytaknął Zotow.

– A chłopiec?

– Jedenaście.

– Niech pan trzyma rękę na pulsie – pouczającym tonem rzekł Nikołaj Stiepanowicz. – To niebezpieczny wiek, wszystko się może zdarzyć. Ale po co ja to panu mówię? Sam pan przecież wie.

Słowa Lewczenki były jak policzek wymierzony ręką unurzaną w gównie. Ciekawe, czy jest coś, o czym Zotow może rozmawiać z Lewczenką, nie czując odrazy i obrzydzenia? Mogłoby się wydawać, że dzieci to neutralny temat, ale okazuje się, że tak nie jest, sprośny staruch powiedział coś, co sprawiło, że Zotowa aż skrzyknęło.

W sumie obiad minął w miarę spokojnie. Lewczenko nie naciskał i nie straszył, ale gwoli sprawiedliwości należy przyznać, że nigdy nie stosował podobnych metod. Niezachwianie wierzył, że nikt nie ośmieli mu się przeciwstawić, a jeśli ktoś czegoś nie robi, to nie dlatego, że odznacza się arogancją czy odwagą, ale przez niedbałość i zapominalstwo. Wystarczy więc mu przypomnieć i go skarcić.

Najgorsze było to, że Lewczenko się nie mylił. Ludzie rzeczywiście nie mieli odwagi, żeby mu się przeciwstawić.

Gdy podano kawę, Zotow zapytał jednak:

– Nikołaju Stiepanowiczu, zależy panu na tym konkretnym materiale czy wystarczy dowolny, który pomoże osiągnąć cel?

Lewczenko zerknął nieufnie spod krzaczastych brwi i burknął:

– Odpowiada mi każdy materiał, byleby tylko był skuteczny. Nie sądziłem, Sławoczka, że ma pan tak szerokie kontakty oraz możliwości i potrafi zdobywać rozmaite materiały. Miło mnie pan zaskoczył. To znaczy, że lekcje, których panu kiedyś udzieliłem, nie poszły na marne. Niech pan grzebie, mój czuły i frywolny przyjacielu, szuka i przyniesie mi w dzióbku. Wezmę wszystko. Chcę jednak wiedzieć, gdzie jest tamten materiał i co się z nim stało, bo pieniądze można zarabiać, jak panu wiadomo, drogą wykorzystania materiałów, ale też dzięki ich niewykorzystaniu. Wiele zamożnych osób zapłaciłoby dzisiaj krocie za pewność, że materiał uległ zniszczeniu. A co się tyczy innych materiałów, to proszę, niech się pan wykaże inicjatywą i działa. Tutaj niczego panu nie narzucam. Czy to pana zadowala?

– W pewnym sensie. Jeśli nie będę miał związanych rąk, wierzę, że uda mi się panu pomóc.

Lewczenko wolno odstawił na spodek miniaturową filiżankę i z trudem wyjął gruby palec z kształtowego, eleganckiego uszka. Oczy przestały mu błyszczeć, jakby przed jego twarzą wyrósł matowy ekran pochłaniający światło.

– Niech się pan nie oszukuje, Sławoczka – powiedział z niedobrym uśmiechem. – I nie łudzi się, że mi pomoże. To ja panu kiedyś pomogłem, w dodatku wielokrotnie i wydatnie, więc teraz oczekuję rewanzu. Dlatego szkoda czasu na bezużyteczne pytanie, czy da pan radę to zrobić. Powinien pan pamiętać, że to pański obowiązek. I tyle. Musi pan zrobić, co każę. Dziękuję, serdecznie, obiad był wysmienity.

Mimo korpulentnej figury lekko wstał od stołu i ruszył przez salę ku wyjściu. Zotow obrócił się i patrzył w ślad za nim, myśląc z niezadowoleniem, że zachowuje się jak krnąbrny smarkacz wpatrujący się w dorosłego wujka z nadzieją, że ten zaraz uśmiechnie się i wykona przyjazny gest ręką, to zaś będzie oznaczać, że wszystko w porządku, że wujek zapomniał i wybaczył. Ale Lewczenko wyszedł, nie oglądając się.

Lera Niemczinowa leżała na kanapie w swoim pokoju, słuchając piosenek Igora Wildanowa, gdy zadzwonił telefon. Szybko sięgnęła po słuchawkę. Może to Igor?

Okazało się, że to rzeczywiście on.

– Cześć, kotku! Co słychać?

– Wszystko dobrze – odparła uszczęśliwiona. – A u ciebie?

– U mnie straszny bajzel – oznajmił Igor wesoło. – Przyjedź, trzeba ogarnąć mieszkanie, na wieczór zaprosiłem gości.

– Oczywiście – przytaknęła Lera. – Zaraz będę.

– A więc robimy tak. – Jego głos stał się rzeczowy. – Za dziesięć minut wychodzę, a ty zrobisz tutaj porządek. I kup coś do jedzenia dla gości. Przekąski, sałatki, sama wiesz. To na razie, kotku, pędzę.

– Zaczekaj! – pośpiesznie zawołała dziewczyna. – A klucze? Przecież ich nie mam, a ty wychodzisz...

– Ach tak, zapomniałem. Ale nie mogę na ciebie czekać, jestem umówiony. Zadzwoni do cerbera Sławki i się z nim umów, dobrze, kotku? Całuję, pa.

Lera zrzuciła ciepłą piżamę, w której chodziła po domu, i zaczęła się ubierać. Może się oczywiście nie wysilać, wybierając strój, bo przecież Igor wezwał ją nie na randkę, tylko do sprzątnięcia. Nie będzie go w domu, pewnie wróci nie tak prędko, w dodatku nie sam, nie zaprosił jej na imprezę nawet jako pomocy domowej, dlatego ubranie nie musi być wyszukane. Na przykład dzinsy i sweter. Makijaż też nie jest konieczny. Ale kto wie... A nuż Igor wpadnie do domu w środku dnia albo zadzwoni, podczas gdy ona będzie sprzątać, i poprosi, żeby została i pomogła przyjąć gości. Dlatego powinna być w formie, dla Igora zawsze musi wyglądać czarująco i uwodzicielsko.

Wyjęła z szafy wąskie spodnie skórzane i purpurową bluzkę z szyfonu, którą zawiązała tak, że talia pozostała odsłonięta. Wiedziała, że ukochanemu podoba się taki strój. Połączenie czarnego z czerwonym, fragment nagiego ciała, cienka tkanina opinająca wysunięty do przodu biust. No i nie będzie musiała się wstydzić przed gośćmi. Co prawda robienie porządków w takim ubraniu nie jest zbyt wygodne, ale można je

zdjąć i włożyć jakąś starą koszulkę Igora.

Lera starannie się umalowała, po czym ruszyła do przedpokoju i zaczęła wciągać kozaczki. W tej samej chwili znieawidzony dziadek wyłonił się ze swojego pokoju.

– Wrócisz niedługo? – zapytał.

– Nie twoja sprawa – odburknęła, zapinając suwak.

– Pytam, bo nie wiem, co z obiadem... Zjesz w domu?

– Nie.

– A kolację?

– Nie wiem.

– Więc chociaż zadzwoń, żebym wiedział, na którą ją zrobić.

– Zobaczę – odparła wymijająco, zarzuciła kożuszek, chwyciła torebkę i zatrzasnęła drzwi.

Sypał drobny, mokry śnieg, więc od razu pożałowała, że nie wyjrzała przez okno przed wyjściem. Powinna była wziąć okulary, żeby osłonić oczy, bo zaraz śnieg zmyje cały makijaż. W taką pogodę Lera wkładała zrobione na zamówienie lekko przyciemniane szkła. Ale przecież nie będzie po nie wracać... Dziadek zacznie ją wypytywać, po co wróciła i co się stało. Poza tym nie wolno wracać, bo to przynosi pecha. Chociaż podobno można temu zapobiec, spoglądając w lustro, zanim ponownie się wyjdzie. Ale po co ryzykować?

Postanowiła, że robi zakupy w swojej dzielnicy. Jakies pół roku temu przywiozła Igorowi przekąski ze sklepu znajdującego się koło jej domu, wtedy też spodziewał się gości i powierzył jej przygotowania. Wszyscy bardzo chwalili sałatkę krabową, koktajl z krewetek i saciwi, nikt nie chciał wierzyć, że są ze sklepu, że nie zrobiła tego doświadczona kucharka. Igorowi też smakowało, od tej pory za każdym razem, gdy prosił o zrobienie zakupów, Lera wstępowała do tego samego sklepu, a potem wlokła ciężkie torby przez całe miasto. Bała się wsiadać do przypadkowego samochodu, bo chodziły słuchy o niefrasobliwych pasażerach, których podli kierowcy wywozili w odludne miejsca, grabili, gwałcili, a nierzadko pozbawiali życia.

Metodycznie przemierzała olbrzymi supersam, wkładając do koszyka niezbędne sprawunki. Uregulowawszy rachunek, wzięła od kasjerki parę dużych reklamówek, odeszła na bok i zapakowała do nich zakupy. Okazało się, że toreb jest aż pięć: trzy weźmie do jednej ręki, a dwie do

drugiej. Trudno, to nie pierwszy raz, jakoś dotrze na miejsce. Najważniejsze, żeby nie zgubić paragonów, bo Igor, zwracając jej wydane pieniądze, sprawdza wszystko co do kopiejki. Nie ze skąpstwa, o nie, Igor jest bardzo hojny i dobry, po prostu nie znosi, gdy ktoś go oszukuje i wyłudza od niego pieniądze. Zawsze sprawdza paragony i rachunki. Nie żałuje pieniędzy, ale nimi nie szasta.

Była już w połowie drogi do metra, gdy usłyszała za sobą głos.

– Poświęci mi pani chwilę?

Stał przed nią atrakcyjny młody mężczyzna z notesem i długopisem w rękach. Wysoki, niebieskooki, z poważną miną. Chwilę? Czemu nie, Lera będzie mogła odłożyć reklamówki na chodnik i trochę odsapnąć, bo nie czuje już rąk. O niebezpieczeństwie nie ma mowy, jest południe i panuje spory ruch.

– Słucham – odparła z miłym uśmiechem.

– Muszę zadać pani jedno pytanie, które jednak może się okazać tak dziwne, a nawet szokujące, że najpierw powinienem udzielić pewnych wyjaśnień.

No proszę, pomyślała Lera z przerażeniem, wiedziałam, że tak będzie. Dziwne i szokujące pytanie. Pewnie to jakiś wariat, zaraz zapyta, jaki mam stosunek do grupowego seksu albo sadomasochizmu. No trudno, wokół jest pełno przechodniów, jakoś sobie poradzę.

– Prowadzę badania dotyczące wpływu promieniowania na ludzi – ciągnął tymczasem niebieskooki. – Już dawno odkryto, że różne konfiguracje geometryczne wysyłają odmienne promieniowanie. Słyszała pani o tym?

– Nie. – Lera pokręciła głową, nieco uspokojona.

– A o tym, że kiedyś był zwyczaj ustawiania na komodzie siedmiu słoników według wielkości? Uważano, że to przynosi szczęście.

– Oczywiście. – Roześmiała się. – To okropne mieszczaństwo. Teraz już nikt chyba tego nie robi. To było modne w czasach koronkowych serwetek.

– Ma pani rację. – Mężczyzna skinął głową. – Dzisiaj się tego nie robi, a szkoda. Naukowcy odkryli, że figurki słoników wysyłają promieniowanie, które rozchodzi się bardzo daleko. W dodatku to nie muszą być koniecznie słoniki. Nadają się każde figurki, a w razie ich braku można zrobić same kontury z drutu. Najważniejsze, żeby

pamiętać o podstawowej zasadzie: figurki należy ustawić według wielkości, od najmniejszej do największej, powinno ich być trzy, pięć, siedem, dziewięć albo ponad trzynaście. Czy to panią interesuje?

Czy ją interesuje? Boże, i to jak! Ten przystojny niebieskooki chłopak wie chyba coś szczególnego, więc jeśli ona, Lera, też się tego dowie, zdoła pomóc Igorowi. Sprawí, że nie opuści go szczęście i powodzenie. Jeśli uda jej się tego dokonać, stanie się dla swojego idola talizmanem sukcesu, a wtedy on już nigdy jej nie porzuci.

Kiwnęła głową skwapliwie.

– Proszę mówić dalej, to bardzo ciekawe.

– No więc badania wykazały, że emblematy ruchów religijnych i politycznych też wysyłają promieniowanie. Na przykład gwiazdy Salomona i Dawida, krzyż katolicki i prawosławny. Wysyłają promieniowanie skierowane prostopadle do ich powierzchni. A zatem człowiek, który nosi krzyż lub gwiazdę, albo po prostu widzi je przed sobą, podlega oddziaływaniu promieniowania, chociaż bardzo rzadko spotyka się osoby, które je naprawdę czują. Żeby tak było, trzeba być szczególnie wrażliwym, a takich ludzi jest niewielu. Ale jeśli czegoś nie czujemy, to nie znaczy, że tego nie ma. Rozumie pani?

– Oczywiście. – Lera znowu skinęła głową. – A co to za szokujące pytanie, które chciał pan zadać?

– Właśnie teraz przyszła na nie pora.

Stali na środku chodnika i wyraźnie przeszkadzali licznym przechodniom śpieszącym do metra. Niebieskooki się rozejrzył.

– Może odejdziemy na bok? – zaproponował. – Boję się, że tłum panią staranuje.

Nie czekając na jej zgodę, lekko chwycił leżące na chodniku wypakowane reklamówki i umieścił pod ścianą domu. Lera ruszyła za nim posłusznie.

– Czekam na pańskie pytanie – przypomniała.

– Są dane świadczące o tym, że swastyka też wysyła promieniowanie. W dodatku ma ono szczególny charakter, bo awers emituje promieniowanie szkodliwe, a rewers korzystne. Osoba, która nosi ów znaczek, odczuwa pozytywne skutki promieniowania, podczas gdy cała reszta skazana jest na oddziaływanie ujemne. Nie potwierdzono jeszcze tego empirycznie, dlatego zbieram niezbędny materiał.

– W jakim celu? Co chce pan z tym zrobić?

– Moja babcia i czterej członkowie rodziny zginęli w Oświęcimiu. Nie było mnie wtedy jeszcze oczywiście na świecie, ale nie jest mi to obojętne. Chcę zrozumieć, na czym polega zniewalająca i magnetyczna siła faszyzmu.

– Nie zajmuję się polityką – szybko odparła Lera, sięgając po reklamówki.

Co za szkoda! Już myślała, że niebieskooki mężczyzna da jej klucz do całkowitej i niepodzielnej władzy nad Igorem, ale on zajmuje się jakąś głupią polityką. Dobrze przynajmniej, że to nie zboczeniec.

– To nie polityka, szanowna pani, tylko czysta nauka. Nie badam ruchów politycznych, zajmuję się tylko problemem promieniowania. A zresztą jeszcze nawet nie zadałem najważniejszego pytania, pani zaś chce już odejść.

Zaraz poprosi o numer telefonu albo zaproponuje kolację wieczorem, pomyślała znudzona Lera. Cóż za rozczarowanie.

– No to niech je pan zada – powiedziała apatycznie. – Proszę.

Niebieskooki milczał przez chwilę, po czym wypalił:

– Rysowała pani swastykę w dzieciństwie?

Lera oblała się pąsem, policzki zaczęły ją palić. Dobrze pamiętała, jak będąc dziewięcioletnią dziewczynką, narysowała swastykę na szkolnej tablicy. Miała straszliwą ochotę to zrobić, no i zrobiła. Nauczycielka wezwała do szkoły ciocię Zinę, a potem ciocia długo uświadamiała Lerę, tłumacząc jej, jak wiele nieszczęść przyniósł ludziom faszyzm, zdejmowała z półki ciężkie tomy *Procesu norymberskiego*, pokazywała zdjęcia powieszonych i rozstrzelanych ofiar. Masowe egzekucje przeraziły dziewczynkę, bo o tym nie wiedziała. Ale najgorsze było co innego: nawet po tych opowieściach nadal miała ochotę rysować swastykę i nie mogła na to nic poradzić. Więc rysowała. Starła się tylko, żeby nikt tego nie widział. Brała kredę, czekała na okazję, aż w klasie nikogo nie będzie, rysowała na tablicy i od razu ścierała gąbką. Rozglądała się z poczuciem winy, znowu rysowała i natychmiast ścierała. Było jej wstyd, ale nie potrafiła się opanować, bo doznawała uczucia nieopisanego zachwyty, a jednocześnie przerażenia, gdy rysowała. Jakiś czas później wszystko minęło, nadeszły letnie wakacje i przez całe trzy miesiące nie było pod ręką ani tablicy, ani kredy. Lera

próbowała rysować swastykę na kartce, ale uczucie zachwytu i satysfakcji już się nie pojawiało, więc porzuciła to zajęcie, no a we wrześnie przyjemne doznanie odeszło w zapomnienie. Już do tego nie wracała.

– Milczy pani – skonstatował niebieskooki. – To znaczy, że moje pytanie było celne. Czuje się pani niezręcznie i nie wie, co odpowiedzieć. Proszę się nie martwić, olbrzymia liczba dzieci i nastolatków przez to przeszła. Sam też rysowałem swastykę, gdy miałem dwanaście czy trzynaście lat. I czułem przy tym nieopisaną radość, chociaż niewiele wiedziałem o faszyzmie. Trochę z książek, trochę z filmów, w tym wieku trudno jednak zrozumieć nieszczęścia innych. Rysowała pani na klatkach schodowych i ogrodzeniach?

– Na tablicy w klasie – przyznała Lera cicho. – A pan?

– A ja na klatkach schodowych. Próbowала pani rysować na kartce? Lera drgnęła. Czy on jest jasnowidzem? Jak się domyślił?

– Owszem.

– I co? Nie spodobało się pani?

– Skąd pan...

– To tylko potwierdza teorię. – Uśmiechnął się wesoło. – Ja też próbowałem rysować w zeszycie, ale nic z tego nie wyszło. Uczucie było zupełnie inne. A wie pani dlaczego? Promieniowanie rozchodzi się w kierunku prostopadłym do powierzchni linii. Już o tym wspominałem, lecz chyba nie zwróciła pani uwagi. Gdy rysuje pani na pionowej powierzchni – na ścianie, ogrodzeniu czy na tablicy w klasie – promieniowanie jest wysyłane w pani kierunku i podlega pani jego oddziaływaniu. Jeśli zaś rysuje pani w zeszycie, który leży na stole, a więc na powierzchni poziomej, promieniowanie rozchodzi się w górę i w dół, omijając panią. Proszę pomyśleć, dzisiaj w Moskwie trudno znaleźć dom bez namalowanej swastyki na klatce schodowej albo w windzie. Tak było zawsze, jeśli dobrze pamiętam. Głupio tłumaczyć to tym, że mamy wielką liczbę wyznawców ideologii faszyzmu, zwłaszcza że to dzieci i nastolatki, a nie dorośli. Musi być więc jakieś inne wyjaśnienie. Zgodzi się pani ze mną?

Lera kiwnęła głową w milczeniu, słuchając go jak zahipnotyzowana. Rozumiała wszystko, co mówił, bo sama przez to przeszła. Czyżby niepotrzebnie się wstydziła i jej dziecięce uczynki znajdowały tak

ciekawe wytłumaczenie? Oszaleć można!

– Teoria tłumaczy zarazem fakt, że ludzie noszący na piersi swastykę doświadczali uczucia komfortu psychicznego, a ci, którzy jej nie nosili, rozmawiając z osobą ze swastyką, doznawali rozmaitych negatywnych emocji, w szczególności niewytłumaczalnego strachu. Wspominałem już przecież o osobliwościach swastyki: negatywne promieniowanie emituje awers, czyli strona zwrócona do rozmówcy, pozytywne zaś skierowane jest w stronę osoby, która ją nosi. Dlatego właśnie zbieram materiał, chodzę po ulicach i pytam przechodniów, czy rysowali swastykę w dzieciństwie, a jeśli mają dzieci, to czy one też ją rysują i jak to tłumaczą.

– Pyta pan także dzieci?

– Oczywiście. Przepraszam, że panią zatrzymałem, chyba się pani śpieszy. W ramach rekompensaty za stracony czas chciałem pani coś podarować.

– Podarować? – powtórzyła Lera ze zdziwieniem pomieszanim z nieufnością. – Da mi pan broszurę na temat promieniowania czy kupi kwiaty?

– Ależ skąd, to banalne. – Niebieskooki się roześmiał. – Kwiaty i broszury dostają pospolite dziewczęta, pani zaś jest niezwykła, więc należy się pani wyjątkowy prezent.

– Skąd pomysł, że jestem niezwykła? – zapytała Lera, starając się nie dać po sobie poznać, że to określenie mile ją połechtało.

– Musi pani wiedzieć, że zaliczam się do nielicznej kategorii osób wrażliwych na promieniowanie, a także na inne rzeczy. Nie jestem oczywiście jasnowidzem, nie zamierzam kłamać, ale to coś podobnego. Czuję, że wysyła pani inne promieniowanie. Jest pani osobą wyjątkową, niepodobną do reszty. Czy ktoś już to pani mówił?

Niebieskooki mężczyzna budził coraz większą sympatię Lery. Przez całe życie musiała udowadniać swoją wyjątkowość, żeby zwrócić uwagę osób, które jej się podobały albo na których chciała zrobić wrażenie. Tymczasem ten przystojny i postawny młody mężczyzna od razu pojął, że ona nie jest taka jak wszyscy. Postanowiła, że z nim poflirtuje, zwłaszcza że ma dość czasu, jest dopiero południe, goście Igora przyjdą jak zwykle dopiero koło dziesiątej. Zdąży jeszcze ze sto razy posprzątać mieszkanie, przygotować przyjęcie i nakryć do stołu. Jeżeli uda jej się

oczarować tego ankietera, niewykluczone, że ten pomoże jej dźwigać torby.

– Czasami słyszałam, że jestem wyjątkowa, ale nie wierzyłam. A co pan dostrzega we mnie niezwykłego?

– Nie dostrzegam, lecz czuję – poprawił ją rozmówca. – Wszystko jest w pani niezwykle. Absolutnie wszystko, poczynając od imienia, a kończąc na kolejach losu. Chyba ma pani rzadko spotykane imię. I niezwykle los. Nie chcę wykrakać nieszczęścia, ale wydaje mi się, że dotknęła panią niejedna tragedia. Mam rację?



Chyba obrał właściwą drogę, dziewczyna nie pragnie się go pozbyć, mimo że zmierzała z ciężkimi torbami w stronę metra, a to znaczy, że gdzieś się wybierała. Udało mu się wzbudzić jej ciekawość.

– Mam na imię Waleria – powiedziała. – Nie myli się pan, to raczej rzadkie imię. A co się tyczy mojego losu, w wieku ośmiu lat straciłam rodziców, a niedawno zamordowano mojego narzeczonego. Chyba wisi nade mną jakieś fatum, bo wszyscy, których kocham, giną.

Głos jej drgnął, w oczach stanęły łzy.

– Możemy spróbować się z tym uporać – zaproponował Diużyn. – Nazywam się Paweł. Jeśli znajdzie pani chwilę, omówimy dokładniej koleje pani losu. Ale jeśli się pani śpieszy, wręczę obiecany prezent i nie będę się dłużej naprzykrzał.

Lera zerknęła na zegarek i się uśmiechnęła.

– Chyba mam trochę czasu. Możemy porozmawiać, byle nie za długo, bo dzisiaj czeka mnie jeszcze sporo roboty.

Paweł schował notes i długopis, po czym chwycił jej torby, dziwiąc się w duchu, jak to się stało, że dziewczyna przejęła inicjatywę. Niby nie jest nim zainteresowana, to raczej jemu zależy na rozmowie, ona tylko robi mu grzeczność, poświęcając swój cenny czas. Pewnie wszystkie ślicznotki mają w zanadrzu takie sztuczki.

Parę minut później siedzieli już w niedużym, przytulnym barze. Muzyka była chyba nieco za głośna, ale Pawłowi to nie przeszkadzało: miał dobry powód, by przysunąć się do nowej znajomej, niemal dotykając jej gęstych włosów. Na razie wszystko szło gładko, potrafił

zawierać znajomość z dziewczętami, a także prowadzić z nimi rozmowę, ale przecież jego zadanie nie polegało na tym, żeby poznać Lerę Niemczinową. Musi ją nakłonić do zdjęcia pierścionka, żeby sprawdzić, czy w środku jest jakiś napis. Właściwie już zaplanował, jak to zrobi. Najważniejsze, żeby dziewczyna nie utraciła zainteresowania promieniowaniem.

Podczas gdy popijali kawę, Lera relacjonowała smutne koleje swojego losu. Opowieść wywarła wrażenie na Diużynie, ale przez cały czas pamiętał o celu, który mu przyświecał podczas zawierania znajomości.

– Nie jestem w stanie zmienić pani życia. To, co się stało, już się nie odstanie – powiedział. – Mogę jednak udzielić pewnej rady.

– Jakiej?

– Niewłaściwie nosi pani pierścionek na palcu. Wystarczy to zmienić, a poczuje pani ulgę.

– Naprawdę? – zdumiała się Lera. – Dlaczego? Co ma do tego pierścionek?

– Musi pani wiedzieć – Paweł przystąpił do wyjaśnień – że pierścionek to obwód zamknięty, który wysyła silne fale promieniowania. Jeśli ma wypukłość albo zawieszkę skierowaną ku dołowi, promieniowanie jest zawsze szkodliwe, bardzo źle wpływa na zdrowie i emocje osoby, która go nosi. Gdy jednak wypukłość czy zawieszka zostanie skierowana w górę, promieniowanie jest zawsze korzystne. Oczko w pani pierścionku nie znajduje się w samym środku obwodu, zgodnie z zamysłem jubilera to kwiatek wystający ponad pierścionek. Więc dlaczego nosi go pani oczkiem skierowanym w dół?

– Nie wiem. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Tak mi się bardziej podoba.

– Szkoda. Zaraz pani pokażę, o co chodzi.

Wyjął z kieszeni kawałek miedzianego drutu i małą rolkę taśmy izolacyjnej. Wygiął drut tak, że powstała spirala z dwiema rączkami. Następnie otworzył notes, wyrwał kartkę i oderwał z niej dwa cienkie paski papieru.

– Ma pani zapałki? – zwrócił się do Lery.

– Nie, nie palę.

– Ja też, ale potrzebuję zapałek. Zaraz je przyniosę.

Ruszył do kontuaru i wrócił chwilę później z pudełkiem zapałek

w rękach.

– Co pan robi? Proszę przynajmniej tłumaczyć, żebym wiedziała, o co chodzi – powiedziała Lera.

– Robię czujnik promieniowania. Spirale zrobiłem z kawałka miedzianego drutu. Można wykorzystać drut stalowy albo aluminiowy, to nie ma większego znaczenia. Teraz muszę podładować czujnik, do tego potrzebuję fosforu z pudełka zapalek. Nacieram nim cienkie paski papieru, widzi pani? Potem owijam nimi rączki czujnika, a z wierzchu umieszczam taśmę izolacyjną.

– Po co?

– Żeby osłonić dłonie przed promieniowaniem. Mówiłem przecież, że jestem bardzo wrażliwy, więc jeśli będę trzymał czujnik gołymi rękami, wchłonę dawkę promieniowania. Pojawią się zawroty głowy i będę źle się czuł. No i już, gotowe. Proszę zdjąć pierścionek.

Lera posłusznie go zdjęła i podała Pawłowi.

– Teraz niech pani patrzy. Jeżeli promieniowanie jest korzystne, czujnik wychyli się w moją stronę, to znaczy w stronę tego, kto trzyma rączki. W przypadku promieniowania szkodliwego – w stronę pierścionka.

Lera uważnie obserwowała manipulacje Pawła, ale z jej ładnej twarzyczki nie schodził wyraz niedowierzania.

– Widzi pani? Gdy oczko skierowane jest w górę, pierścionek wysyła korzystne promieniowanie, gdy zaś obracam je w dół – szkodliwe.

– Nie mogę uwierzyć. – Lera pokręciła głową. – A może to tylko sztuczka? Może to pan porusza czujnikiem.

– Proszę. – Paweł ochoczo podsunął jej amatorski przyrząd. – Niech pani spróbuje sama. Proszę tylko nie zapominać, że podczas doświadczenia z oczkiem obróconym w górę musi pani patrzeć na górny punkt spirali, gdy zaś oczko będzie skierowane w dół, niech pani spojrzy w bok.

– Który?

– Wszystko jedno, byle nie na czujnik.

– A dlaczego?

– To skomplikowane, Walerio, musiałbym mieć parę godzin na dodatkowe wyjaśnienia. Proszę mi wierzyć na słowo. Istnieją określone zasady pomiaru fal szkodliwego i korzystnego promieniowania.

Dziewczyna powtórzyła eksperyment, teraz niedowierzenie na jej twarzy ustąpiło miejsca zakłopotaniu.

– Nic z tego nie rozumiem, on rzeczywiście wychyla się w różne strony – powiedziała, ze zdziwieniem przyglądając się czujnikowi. – Więc sądzi pan, że powinnam nosić pierścionek oczkiem obróconym w górę?

– Ma się rozumieć – odparł Diużyn stanowczo. – Nie uchroni to, rzecz jasna, pani bliskich od nieszczęść, ale zapewni pani zdrowie, a także uczucie pewności siebie i radości życia. Nawiasem mówiąc, proszę zwrócić uwagę, że mężczyźni noszący na co dzień garnitury i krawaty są znacznie mniej zdrowi, a jednocześnie bardziej nerwowi niż ci, którzy nie noszą krawatów i ubierają się swobodnie. Wystarczy, że przyjrzy się pani tym, których zna, a zrozumie, że mam rację.

– Dlaczego? – znowu zapytała Lera naiwnie.

– Dlatego, że zawiązany krawat to nic innego, jak zamknięty obwód z wypustką skierowaną w dół.

– No tak, rzeczywiście – wybąkała, szeroko otwierając oczy. – Niech pan powie coś jeszcze na ten temat.

Paweł roześmiał się serdecznie, rozbawiony bezpośrednią i naturalną reakcją dziewczyny, która jeszcze pół godziny temu usiłowała sprawiać wrażenie dorosłej i poważnej.

– Dobrze, zaraz zdradzę pani coś ciekawego. Gdy człowiek składa i podnosi dłonie, powstają źródła korzystnego promieniowania. Bo to też jest obwód zamknięty z wypukłością skierowaną w górę. No dalej, proszę spróbować.

Lera posłusznie złożyła dłonie przed sobą.

– I co teraz?

– Nic, niech się pani modli. To tradycyjna poza modlitewna katolików i muzułmanów.

– Ojej, rzeczywiście... Coś takiego, nawet nie sądziłam, że jest tyle przykładów na potwierdzenie pańskiej teorii.

– To nie ja ją stworzyłem, problemem wysyłanego promieniowania zajmuje się liczne grono naukowców. Ja jestem tylko amatorem, interesuje mnie głównie swastyka. Wiem jednak sporo na temat promieniowania. No a teraz obiecany prezent. Niech pani weźmie ten rysunek.

Diużyn znowu otworzył notes, wyrwał z niego jeszcze jedną kartkę

i zaczął szkicować prosty ornament składający się z linii załamujących się pod kątem prostym.

– Co to jest?

– Starogrecki meander. Takich ornamentów używano do dekoracji pomieszczeń. Rysunek wysłał promieniowanie w kierunku prostopadłym do płaszczyzny, na której został umieszczony. Gdyby zrobić z tego wzoru szlaczek na ścianie, cały pokój będzie osłonięty z góry promieniowaniem rozchodzącym się w kierunku poziomym. Powstanie coś w rodzaju parasola, który ochroni pokój przed pasami biopatogennymi. W takim pokoju będzie pani miała lepsze samopoczucie i nastrój.

Lera niepewnie obracała kartkę w dłoniach.

– Co mam z tym zrobić?

– Co pani chce. Ale radzę wypróbować to w pomieszczeniu, w którym najczęściej się pani denerwuje. Niech się pani zastanowi, czy kłóci się pani ze swoimi bliskimi i gdzie przeważnie do tego dochodzi. Albo gdzie w mieszkaniu boli panią głowa, gdzie traci pani humor. Może też pani zaproponować przyjaciołom, by poeksperymentowali. Jednym słowem, dałem pani prezent, zdradziłem małą, ale bardzo ważną tajemnicę. Tylko od pani zależy, jak ją wykorzysta.

Uregulował rachunek i pomógł Lerze się ubrać.

– Gdzie się pani wybiera z tymi torbami? – zapytał ze współczuciem, patrząc na ciężkie reklamówki. – Daleko?

– Daleko.

– Poradzi sobie pani czy mam pomóc?

– Tylko jeśli idzie pan w stronę metra – ustąpiła Lera. – Potem pojedę sama.

– Może lepiej złapię taksówkę?

– Nie, pojedę metrem – powtórzyła.

– Jak pani chce.

Diużyn wziął torby i odetchnął z ulgą, ciesząc się, że dziewczyna nie poprosiła, by ją odstawił na miejsce. To nie wchodziło w jego plany, musiał jak najprędzej wrócić do pracy albo przynajmniej zadzwonić do Kamieńskiej i ją zawiadomić, że wysiłki nie poszły na marne. Na wewnętrznej stronie pierścionka z dużym brylantem wygrawerowany był napis: „Mojej jedynej”.

Rozdział 6

– I co z tym zrobimy? – zapytał Jura Korotkow, przesuwając spojrzenie z Nastii na Diużyna.

– Dowiemy się, skąd Lera ma pierścioneł – odparła Nastia z westchnieniem.

– Też pomysł! – oburzył się. – Ciekaw jestem, jak zamierzasz tego dokonać. Dziadka nie wolno nam ruszać, wnuczki też nie, bo może zwierzyć się dziadkowi, że źli panowie z milicji wzięli ją na spytki.

– Chwileczkę – włączył się Diużyn – czy aby nie przesadzacie? Lera to wspaniała dziewczyna, nie wierzę, że orientuje się w przestępczych knowaniach dziadka. A zresztą jest przybita nieszczęściem...

– Niby jakim? – Nastia się zachmurzyła.

– Najpierw straciła rodziców, a teraz narzeczonego. Gdy o tym mówi, nie potrafi powstrzymać łez.

Krotkow prychnął, a Nastia nie potrafiła stłumić ironicznego śmiechu.

– Ty też dałeś się nabrać, Pasza. Jej rodzice zginęli dziesięć lat temu, każdy po takiej traumie już dawno odzyskałby równowagę i przestał płakać. A co się tyczy nieżyjącego narzeczonego, to wierutne kłamstwo.

– Jak to? Nie został zabity? – zapytał Diużyn z nieskrywanym zdziwieniem. – To znaczy, że Lera mnie okłamała? Czemu?

– Ależ zabito go, zabito – powiedział Korotkow wesoło. – Tyle że nie był żadnym narzeczoną, Lera tylko czasami szła z nim do łóżka. Nie raczyła nawet zjawić się na pogrzebie, a rozmawiając z Aską, stwierdziła, że nie traktowała go poważnie nawet jako wielbiciela.

– No to po co w takim razie... – powtórzył Diużyn zdumiony. – Jej łzy były przecież naturalne.

– Ta dziewczyna, Pasza, przyzwyczała się wykorzystywać swoją tragedię. „Ach, nie wie pan, jakie to okropne stracić rodziców,

w dodatku gdy mordercą okazuje się dziadek, z którym trzeba mieszkać pod jednym dachem. Ach, nikt mnie nie rozumie, nikt nie dostrzega, że jestem wyjątkowa, wszyscy możecie się przy mnie schować, bo nikt z was nie przeżył takiej tragedii jak ja”. Tak to mniej więcej wygląda – wyjaśniła Nastia spokojnie. – Lera Niemczinowa to dobra dziewczyna, nikt temu nie przeczy, całkiem możliwe, że jest miła i nie ma w niej ani krztyny podłości, ale to zwyczajna manipulantka. Nie chce przyjąć do wiadomości, że minęło już dziesięć lat i że jej usiłowania, by wyglądać na pogrążoną w nieszczęściu, są śmieszne. Wciąż odgrywa tragiczną i nierozumianą przez nikogo postać. A tutaj jeszcze nawinęła się śmierć Barsukowa, co za traf, na niej też można coś ugrać, mówiąc, że zginął narzeczony, i roniąc rzewną łezkę.

Diużyn popatrzył na nią z przyganą.

– Jesteś niebywale cyniczna, Kamieńska. To niemożliwe, żeby wszystko było tak, jak mówisz. Dlaczego widzisz w ludziach wyłącznie zło? I z góry podejrzewasz ich o nieszczerłość?

Nastia z ciekawością zerknęła na kolegę. Nie przypuszczała, że akurat Paweł okaże się tak wrażliwy, sądziła, że chłopak ma prostą i nieskomplikowaną osobowość.

– Lepiej myśleć o ludziach źle, Paszeńka, a potem cieszyć się, gdy okażą się wartościowsi, niż zakładaliśmy, niż od razu im ufać, a później pluć sobie w brodę – powiedział Korotkow pojednawczo. – Uznaj, że to przejaw naszego skrzywienia zawodowego. Niesłusznie naskoczyłeś na Aśkę, jest racjonalna, a nie cyniczna. No więc, moi kochani, ponieważ nie potraficie rozstrzygnąć wątpliwości, składam propozycję nie do odrzucenia.

– Jaką? – natychmiast zapytał Diużyn.

Korotkow nie odpowiedział, a Nastia powiedziała w zamyśleniu:

– Chyba masz rację, Jura. Na razie nie widzę innego wyjścia, skoro postanowiliśmy zachować jak najdalej idącą ostrożność wobec dziadka Niemczinowa.

– Ale jaką propozycję? – powtórzył Paweł niecierpliwie. – O czym wy mówicie?

Korotkow rozłożył ręce w teatralnym geście i zabawnie się skrzywił.

– O propozycji. Powiedziałem, że jest nie do odrzucenia. A więc sprawa zamknięta.

– Ale ja...

– Idź, Pasza – powiedziała Nastia półgłosem. – To już nie nasza sprawa. Nie wyjaśniamy przestępstw. Jesteśmy teraz gryzipiórkami. Jura wie, co robi.

Diużyn wyszedł z posępną miną, a Nastii zrobiło się głupio, bo sytuacja okazała się niezręczna. Gdy oboje z Jurą potrzebowali Pawła, wciągnęli go w sprawę, wysłali z zadaniem, a teraz robią mu wodę z mózgu, pozbawiają prawa głosu. Na jego miejscu każdy by się obraził.

– Co tak patrzysz? – obruszył się Korotkow. – Zrobiliśmy przykrość twojemu Paszeńce? Wrażliwiec się znalazł, myślałby kto. Przecież zaraz pobiegnie do Lery, żeby jej zameldować o naszych wątpliwościach, i co wtedy zrobimy?

– Dlaczego sądzisz, że jej powie?

– Dlatego, że zakochał się w niej jak sztubak, to przecież widać jak na dłoni! Ona jest teraz dla niego całym światem, uosobieniem wszelkich cnót. Nawiasem mówiąc, facet jest żonaty?

– Nie wiem. – Nastia wzruszyła ramionami. – To ma jakieś znaczenie?

– Całkiem możliwe. Jeśli się zabujał...

– Skąd ten pomysł?!

Korotkow przysunął krzesło do biurka Nastii, ujął jej dłonie w swoje, a następnie pocałował.

– Moja droga, uwielbiam cię, odkąd pamiętam, ale nigdy nie wiedziałem dlaczego. Dopiero teraz to zrozumiałem.

Nastia złagodniała i uśmiechnęła się ciepło.

– No dlaczego?

– Bo jesteś święta. W dosłownym znaczeniu tego słowa. W każdym człowieku widzisz najpierw osobowość, intelekt i charakter, a o tym, że ów człowiek ma jeszcze określoną płęć, przypominasz sobie, gdy się okazuje, w jakim stroju paraduje: męskim czy damskim. To wspaniała cecha, za którą szczerze cię kocham. Nie umiesz flirtować i nie rozumiesz innych, gdy to robią. Właśnie dlatego nie potrafisz dostrzec oznak zakochania, które rzucają się w oczy osobie doświadczonej.

– Takiej jak ty, co? – żartobliwie zapytała Nastia.

– Takiej jak większość mieszkańców naszej planety. Diużyn zakochał się w Lerze Niemczinowej. Jeśli tego nie zauważyłaś, uwierz mi na słowo.

– Dobrze – ustąpiła. – Wierzę. A w odpowiedzi na twoją rozbajającą

szczerść powiem, że potrafię flirtować jak mało kto, i skoro do tej pory o tym nie wiedziałeś, widocznie umiem to świetnie ukrywać.

– Poważnie?

– Oczywiście. Nawiasem mówiąc, co z moją prośbą?

– Znalazłem ci tego faceta. – Korotkow sięgnął do portfela i wyjął z niego kwadratową zieloną karteczkę. – Masz tutaj nazwisko, adres i telefonu. Co za to dostanę?

– Kawę i bułeczki wiedeńskie, mój bezinteresowny kolego. Wystarczy?

– W zupełności.



Wiaczesław Olegowicz Zotow wybierał się na biznesową kolację. Rozmowa nie zapowiadała się zbyt przyjemnie, więc odkładał ją już dwa tygodnie, nie zgadzając się na spotkanie i używając wiarygodnych pretekstów. Wymawiałby się w dalszym ciągu, gdyby nie Lewczenko. Facet przyparł go do muru, więc nie pozostawało mu nic innego, jak przyspieszyć rozwój wydarzeń.

Zotow miał się spotkać z kobietą. W drodze na umówione miejsce próbował zaplanować rozmowę i postanowił, czy powinien być uroczy i pełen seksapilu, czy przeciwnie: surowy i oschły. Dobra, pomyślał, wjeżdżając na strzeżony parking, podejmę decyzję w trakcie rozmowy.

Wystarczyło jedno spojrzenie na Ingę, by dojść do wniosku, że nonszalancja i oschłość nawet nie wchodzi w rachubę. Dama, z którą Zotow zamierzał zjeść kolację, była ubrana w długą wieczorową suknię z głębokim dekoltem, bił od niej zapach drogich perfum. Nie zdążyła się jeszcze odezwać, a on już usłyszał: „Bądź miły, dogadajmy się, przecież oboje odniesiemy korzyść”. No cóż, skoro ma być miły, to będzie, nie zamierza rezygnować z układów.

Inga podsunęła mu wypielęgnowaną dłoń do pocałunku i Zotow zauważył wspaniałe szmaragdy ozdabiające bransoletę i pierścień. Brawo, Inguszo, nie klepiesz biedy, sama stworzyłaś swój wizerunek. Ciekawe, jak potoczyłoby się życie Zotowa, gdyby ożenił się z nią swego czasu? A przecież niewiele brakowało...

– Witaj, kochanie – powiedziała głębokim, melodyjnym głosem, który od razu sugerował, że należy do piosenkarki. – W końcu się

spotkaliśmy. Zaczęłam już myśleć, że mnie unikasz.

Zotow dotknął ustami delikatnej ręki Ingi, wciągając znajomy zapach skóry. Boże, jak on ją kiedyś kochał! Ciekawe, gdzie to wszystko znika? Uczucia i pamięć przemijają, gasną nawet namiętności. A przecież tak się męczył i cierpiał, nie sypiał po nocach.

– Wyglądasz olśniewająco – powiedział szczerze. – Gdybym cię nie unikał, moja droga, narobiłbym wielu głupstw, zrujnowałbym ci karierę, a także życie osobiste. Który to już mąż? Czwarty?

– Piąty. – Roześmiała się nieco ochryple i eleganckim ruchem opadła na krzesło, które przysunął jej uprzedzająco grzeczny kelner. – Nie jesteś na bieżąco.

– Chcesz pobić rekord Liz Taylor?

– Daj spokój, daleko mi do niej! Nigdy nie wybiorę na męża kogoś młodszego od siebie, nie ciągnie mnie do chłopców. Ale ty, jeśli się nie mylę, nie ożeniłeś się po drugim rozwodzie?

– Niestety. – Westchnął żartobliwie. – Nawet się jeszcze nie rozwiodłem. Rozstaliśmy się, ale nie załatwiliśmy formalności.

– Czemu?

– Nie pali nam się. Załatwimy w razie potrzeby. Jestem na okrągło zajęty, żona w wiecznych rozjazdach, najpierw nie mogliśmy znaleźć czasu, żeby pójść razem do urzędu, a potem się przyzwyczailiśmy.

– To nie wypada, jak powiadają Anglicy. Prawna strona każdego problemu to fundamentalna rzecz. Która godzina? – zapytała nagle Inga.

– Za dwadzieścia ósma. Czekasz na kogoś?

– Ależ skąd. – Uśmiechnęła się, odsłaniając nienaganne zęby. – O ósmej zaczyna się tutaj to, co nosi nazwę muzyki na żywo. Będzie ona niewyszukana i głośna, ale pozwoli nam dyskretnie porozmawiać. A tymczasem opowiedz o sobie.

Do ósmej prowadzili niefrasobliwą pogawędkę, wspominając wspólnych znajomych i swoją młodość. Również o ósmej na podium wyszli muzycy i z rzeczowymi minami zabrali się do przygotowań, a dwie minuty później rozległa się tak ogłuszająca muzyka, że Zotow nie słyszał nie tylko Ingi, ale też samego siebie. W restauracji panował tłok, stoliki stały ciasno, więc rozmowa na delikatny temat podniesionym głosem byłaby rzeczą głupią i nierozważną. Wiaczesław Olegowicz wstał i podał rękę Indze. Ruszyli razem na parkiet.

Inga od razu przystąpiła do interesu. Położyła kształtne dłonie na ramionach partnera, niemal przycisnęła policzek do jego policzka i powiedziała:

– Polecono mi zaproponować ci umowę, Sława.

– Kto za tym stoi? Kogo dzisiaj reprezentujesz? – zapytał, mimo że dobrze znał odpowiedź.

– Och, kochanie, dzisiaj reprezentuję wiele osób, podobnie jak zawsze. Wiesz przecież, że moja specjalność to prowadzenie drażliwych negocjacji w imieniu osób, które nie mogą ich prowadzić. Codziennie wykonuję zlecenia dwóch, trzech mocodawców. Ale podczas naszej romantycznej kolacji występuję w imieniu Stelli. Wiesz, o czym zamierzam porozmawiać?

– Ta stara wiedźma chce złapać młodego męża? – na wpół twierdząco zapytał Zotow.

– Jesteś bardzo domyślny, kochanie. Z jedną małą poprawką: ona nie jest stara. Nie ma jeszcze pięćdziesiątki i wygląda po prostu wspaniale, nikt nie dałby jej więcej niż czterdzieści dwa lata.

– Co za różnica, skoro cały kraj zna jej prawdziwy wiek. Trzydziestolatkowie doskonale pamiętają, co śpiewała, gdy nosili jeszcze pieluchy, a to znaczy, że nie może być dwudziestopięcioletnią dziewczyną.

– I nie musi – Inga parsknęła cichym śmiechem, przytulając się do Zotowa. – Niech wszyscy wiedzą, że choć stuknęła jej pięćdziesiątka, wciąż jest tak atrakcyjna, mądra, piękna, seksowna i utalentowana, że zakochał się w niej na zabój atrakcyjny dwudziestopięcioletni piosenkarz. To sprawi, że ludzie znowu zaczną się nią interesować, bo przecież nie występuje od dwóch lat.

– To prawda – przyznał Zotow. – Stella ma niezwykły talent, trudno temu zaprzeczyć. Ale wszystkim już się opatrzyła. Trzydzieści lat ciągłych występów...

– No właśnie, kochanie – zagruchała Inga. – Trzeba odświeżyć jej wizerunek. Do tego potrzebny jest młody mąż, i to znacznie młodszy od niej. Nie chodzi jednak o pierwszego z brzegu Romea, musi to być ktoś popularny i znany. Stella nie chce, by rozeszły się plotki, że młody cwaniak wziął sobie za żonę starzejącą się gwiazdę, by przejąć jej pieniądze. Młody elegancik też musi być gwiazdą. Oczywiście nie takiej

wielkości jak moja klientka.

– Niby czemu? – zapytał Zotow, udając naiwnego.

Pomysł nie był mu obcy, słyszał, że wykorzystywano go w Hollywood, zresztą tutaj, w Moskwie, też doszło do paru takich przypadków. Oddać Igora tej nienasyconej harpii! Jeszcze dwa dni temu odpowiedziałby, w ogóle się nie zastanawiając: „Nic z tego!”. Ale dzisiaj...

– Dlatego że Stella musi mieć powód do działania. Po co jej gwiazda, której nie trzeba już wspierać?

– W takim razie powiedz mi, po co twoja Stella piosenkarzowi, którego nie trzeba wspierać? Co ona może mu ofiarować, skoro on wszystko ma?

– Bystrzak z ciebie. – Wargi Ingi lekko dotknęły płatka jego ucha. – Interesy z tobą to czysta przyjemność. No to co, przejdziemy do finansowej części umowy?

Taniec się skończył i Zotow odprowadził partnerkę do stolika. Zaraz wypiją parę kieliszków, zjedzą to i owo, a potem znowu pójdą na parkiet. Muszą omówić jeszcze mnóstwo szczegółów.



Zabawa trwała w najlepsze. Igor jak zwykle wpadł do mieszkania razem z całym towarzystwem koło dziesiątej wieczorem. Podniesione głosy sugerowały, że wszyscy byli już pod dobrą datą. Zanim przyszli, Lera zrobiła idealny porządek w mieszkaniu, przygotowała przystawki i napoje, po czym cierpliwie czekała, łudząc się, że przynajmniej tym razem Igor ją zaprosi. To by oznaczało, że uważa ją za swoją dziewczynę. Na razie jeszcze nigdy do tego nie doszło, ale może... kiedyś...

Siedziała w salonie uczesana, z jaskrawym makijażem, w obcisłych skórzanych spodniach i wyzywającej purpurowej bluzce, i czekała. Ale cud się nie zdarzył. Gdy tylko Igor przekroczył próg mieszkania, wrzasnął na całe gardło:

– Lerka, jesteś?

Wypadła jak burza do przedpokoju, posyłając gościom promienny uśmiech. Zawsze miała nadzieję, że ktoś powie: „Co to za ślicznotka, Igorzku? Dlaczego ukrywasz przed nami taki skarb?”. A Igor odpowie: „To moja Lera, poznajcie się. Lero, przyprowadziłem gości, pełnij obowiązki pani domu”.

Ale jeszcze nigdy tak się nie stało. Lera uśmiechała się i biegła się przywitać, Igor wręczał jej przyniesione butelki i na tym koniec. Mężczyźni, którzy zjawiali się po raz pierwszy, zazwyczaj zauważali ładną dziewczynę i taksowali ją wzrokiem, ale Igor rzucał:

– Nie gap się, to jeszcze dziecko. Pomaga mi w domu.

Za drugim razem już jej nie widzieli. Dziecko to dziecko, mało to dorosłych?

– Masz, trzymaj. – Igor podał jej torbę z butelkami. – Włóż na razie do lodówki. Waleczko, kotku, rozbieraj się.

Lera domyśliła się, że Igor przyprowadził kolejną panienkę, i rzuciła krzywe spojrzenie na rywalkę. Jest oczywiście ładna, ale czy Lera jej w czymś ustępuje? Dziewczyna ma głupkowatą minę, no i w ogóle budzi odrazę. Kiedy to się wreszcie skończy? Kiedy Igor pójdzie po rozum do głowy i do niego dotrze, że nie ma nikogo lepszego od Lery?

Wzięła butelki i powłokła się do kuchni. Nagle poczuła zmęczenie. Najpierw biegała po sklepach, ciągnęła przez całe miasto ciężkie siaty, potem pucowała do połysku olbrzymie, zabałaganione mieszkanie. Teraz musi obsługiwać gości do późna, a jutro wstanie skoro świt i pobiegnie na uczelnię.

Wsunęła butelki do lodówki i zaczęła umieszczać na tacy przygotowane przystawki, gdy nagle odstawiła tacę na stół, usiadła na taborecie i się rozplakała.

– Lerka! – rozległ się głos Igora. – Podawaj!

Rozplakała się jeszcze bardziej. Gromadzone latami żal i gorycz, które tłumiała w sobie i usiłowała zignorować, nagle się wylały, w dodatku w najmniej odpowiedniej chwili, gdy Igor ma gości.

– Ej tam! – znowu dobiegł ją jego głos. – Co się dzieje? Ludzie są głodni! No dalej, rusz się!

Lera zerwała się pośpiesznie i rzuciła do zlewu. O makijażu może zapomnieć. Ależ z niej kretynka! Znalazła sobie porę na łzy. Powinna być czarująca i uprzejma, tylko takie zachowanie zdoła zapewnić jej przychyłność ukochanego. Na emocje jest miejsce w domu, tylko w domu, tam może płakać, rozpaczać, złościć się i rozbijać naczynia. Jej relacje z dziadkiem jedynie na tym zyskają. Tutaj musi nad sobą panować, inaczej może stracić Igora na zawsze.

– Co to ma znaczyć?

Obróciła się przestraszona i zobaczyła Igora. Szum wody sprawił, że nie usłyszała jego kroków.

– Przepraszam – wybąkała ze skruchą. – Coś mi wpadło do oka, więc zaczęło łzawić. Zaraz, chwileczkę. Wytrę twarz i wszystko przyniosę.

– Tylko szybko, sytuacja jest niezręczna, goście czekają. Nakryj do stołu i zjeżdżaj, bo już późno.

– Dopiero dziesiąta – zaprotestowała słabo, doskonale wiedząc, że to się na nic nie zda. Tak było zawsze: zrób zakupy, posprzątaj, przygotuj jedzenie i zmiataj, jutro przyjdiesz pozmywać naczynia i zrobić porządki po imprezie. Za każdym razem Igor wysyłał ją do domu, ani razu nie zaproponował, żeby została na noc. Lera domyślała się, że ktoś inny dotrzymuje mu towarzystwa.

– Już późno – powtórzył Wildanow zimno. – Dolicz jeszcze godzinę na drogę. Młoda dziewczyna nie powinna włóczyć się sama o tej porze.

Nigdy nie wezwał jej taksówki, nie dlatego, że był skąpy, ale dlatego, że ta myśl nie przychodziła mu nawet do głowy. Bo niby z jakiej racji? Niech dziewczyna się cieszy, że pozwala jej w ogóle przyjeżdżać. A jak się nie podoba późny powrót do domu, to może wcale nie przychodzić, bez niej też sobie poradzi.

O nie, dosyć tego. Póki go potrzebowała, była posłuszna i wykonywała wszystkie polecenia. Teraz jednak nie zamierza podporządkowywać się bez szemrania, bo to on jej potrzebuje.

– Chciałabym zostać i z tobą porozmawiać – powiedziała stanowczo, odsuwając z czoła pukiel gęstych, wijących się włosów.

– O czym? Zaciążyłaś?

– Nie, ale musimy coś omówić.

W oczach Igora błysnęły złowrogie iskierki. Chyba niepotrzebnie się łudziła, zdaje się, że nic nie wskóra. Igor nie nabierze się na prymitywną sztuczkę.

– Posiedź na razie tutaj, a ja sam zaniosę – powiedział, po czym zdecydowanym ruchem chwycił tacę pełną talerzy i wyszedł.

Wrócił po jakichś dziesięciu minutach i Lera od razu zauważyła, że zdążył wychylić parę kieliszków. Oczy mu płonęły, na twarzy jaśniał uśmiech.

– No to chodźmy.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do sypialni. Pomieszczenie było

przestronne, z olbrzymim łóżkiem przykrytym ładną narzutą. Za każdym razem podczas robienia porządków Lera siadała na łóżku, gładziła narzutę i poduszki, marząc, że będzie tutaj zasypiała i się budziła, przytulona do ramienia swojego bożyszczka, księcia z dziecięcych snów. Bo mimo że Igor sypiał z nią już od roku, nigdy nie uprawiali miłości w sypialni. Robili to wszędzie: w salonie, na podłodze, na fotelu, skórzanych kanapach, w łazience, w pokoju, który Igor nazywał gabinetem, ale w którym tak naprawdę stały lustra i fortepian i w którym przeprowadzał próby, nawet w kuchni. Ale nigdy w sypialni. A ona o tym marzyła! Miała wrażenie, że uprawianie miłości w sypialni to prawie to samo co małżeństwo, w każdym razie oznacza i symbolizuje coś oficjalnego i trwałego. Ale Igor, który widocznie czytał jej w myślach, unikał seksu w sypialni.

Gdy znaleźli się w środku, Wildanow zamknął szczelnie drzwi i oparł się o nie plecami.

– No to mów, czego chcesz.

Lera pośpiesznie wyjęła z kieszeni kartkę, którą dostała od przypadkowego znajomego.

– Weź, to powinno pomóc.

– Co to jest?

Igor rozłożył złożoną we czworo kartkę z notesu i ze zdziwieniem spojrzął na wzór utworzony z przecinających się prostopadle linii.

– Co to za bzdety? Skąd to przywlokłaś? Od wróżki?

– Nie rozumiesz – powiedziała Lera z przejęciem. – To starogrecki meander. Umieszczony na ścianie rysunek będzie chronił przed szkodliwym promieniowaniem.

– I co z tego?

– Jak to co... – Stropiła się. – Wszystko powinno się ułożyć. Będziesz śpiewał, nie spotkają cię żadne przykrości...

– A idź do licha! – krzyknął. – Jak to nie spotkają, skoro już spotkały! Ty zaś zamiast mi pomóc, wymyślasz jakieś brednie. Co pożytecznego dla mnie zrobiłaś? No powiedz co? Nic. Więc się nie wymądrzaj. Zjeżdżaj do domu, goście na mnie czekają.

Lera nie spodziewała się takiego wybuchu. Dlaczego Igor rozmawia z nią w ten sposób? Czyżby nie widział, nie rozumiał, że ona się stara, jak może? Czy to jej wina, że na razie nic nie wychodzi? Łzy znowu

napłynęły do oczu, więc nerwowo przełknęła ślinę i zrobiła głęboki wdech. Igor nie znosi płaczu, woli, gdy jego przyjaciółka jest wesoła i beztroska.

– A dlaczego nie chcesz porozmawiać z wujkiem Sławą, Igorze? Wydaje mi się, że niepotrzebnie się upierasz. Wujek Sława jest mądry, ma kontakty i w ogóle... Coś by wymyślił. Wydaje mi się...

– Wydaje jej się! – znowu wrzasnął Wildanow. – Lepiej puknij się w głowę. Sława i tak śledzi każdy mój krok, przez całe życie traktuje mnie jak ślepe kocię. Mam tego wyżej uszu! Gdy będę do niego biegał po radę w każdej sprawie, styranizuje mnie do reszty i zażąda, żebym prosił go o zgodę nawet na pójście do ubikacji, rozumiesz? Tylko czeka, by mnie dopaść i wleźć mi na kark. Wtedy rozsiądzie się wygodnie i zacznie mną dyrygować. Tego chcesz?

Lera nie wiedziała, czy tego chce, tak naprawdę było jej wszystko jedno, czy Sława Zotow dyryguje Igorem. Dla niej liczyło się tylko to, żeby Igor był z nią, kochał ją i spędzał z nią jak najwięcej czasu. Inne rzeczy interesowały ją o wiele mniej. Nie rozumiała głupiego uporu Igora, który odmawiał zasięgnięcia rady u swojego mentora, człowieka, który zastąpił mu przecież ojca i matkę, utrzymywał go, uczył i wychowywał. Lera domyślała się, że Igor próbuje wywalczyć sobie niezależność i udowodnić, że potrafi rozwiązywać problemy bez pomocy wszechobecnego Zotowa, ale uważała, zresztą całkiem rozsądnie, że o niezależność można i należy walczyć nie ze szkodą dla całej reszty, a już na pewno nie wtedy, gdy z powodów ambicjonalnych kładzie się na szali karierę i reputację.

– Oczywiście, jeśli ci się nie podoba... – powiedziała cicho. – Będę się starać, Igorku, damę słowo, tylko nie wiem jak. Nic mi nie przychodzi do głowy. Widziałeś, że stawałam na uszach, przyprowadziłam ci Saszkę, ale czy to moja wina, że ktoś go zabił?

– Znajdź innego Saszkę – odparł piosenkarz z rozdrażnieniem. – Albo załatw to jakoś sama. Staraj się, kotku, staraj, pamiętaj, że to leży też w twoim interesie. Jeśli nie będę występował, tantiemy za piosenki tatusia przestaną wpływać na twoje konto, a wtedy z czego będziesz żyć? Ze stypendium? Chyba już zapomniałaś, na jak długo ono wystarcza. A może sądzisz, że będę cię utrzymywał?

– No coś ty – odparła przestraszona. – Nie potrzebuję twoich pieniędzy,

nie martw się, nie będę dla ciebie ciężarem.

– Dobrze. – Wildanow się uspokoił i odzyskał humor. – Nie będę się martwił, ale w takim razie martw się ty, kotku. Działaj, rób coś, bo dopóki nie pozbędziemy się tego łajdaka, nie będę mógł występować, rozumiesz? Trzeba go znaleźć i uciszyć na zawsze, żeby nie otwierał gęby.

Cmoknął Lerę zdawkowo, ale ona poczuła się wniebowzięta, chociaż dobrze wiedziała, że gdy wyjdzie, Igor będzie się zabawiał z seksowną Waleczką.

Wagon metra świecił pustkami, więc Lera usiadła w kącie, zamknęła oczy i znowu pograżyła się w gorzkich rozmyślaniach, zastanawiając się, jak pomóc Igorowi.

≡

Mijając pokój Zatocznego, Nastia przystanęła na chwilę, z wahaniem zerknęła na klamkę, po czym ruszyła dalej. Jednakże w drodze powrotnej zmieniła zdanie i weszła do środka.

– Iwanie Aleksiejewiczu, mam hipotezę, którą chciałabym z grubsza sprawdzić.

Generał z wyraźnym niezadowoleniem uniósł głowę znad dokumentów i posłał jej szybkie spojrzenie.

– W czym problem?

– Muszę jeszcze raz porozmawiać z pańskim synem.

– Moje pozwolenie nie jest do tego potrzebne, Anastazjo. Niech pani przestanie zachowywać się jak mała dziewczynka i weźmie się do pracy.

– A więc mogę się z nim spotkać?

– Oczywiście. Chce pani do nas wpaść?

– Jak pan sobie życzy.

Iwan Aleksiejewicz odłożył długopis, którym coś podkreślał, i się roześmiał.

– Jest pani niepoprawna. Dlaczego wciąż pyta mnie pani o zgodę? Nie potrafi pani sama podjąć decyzji?

– Pan tutaj jest szefem – odparła krótko. – Ja tylko wykonuję rozkazy.

– Czy to znaczy, że nawet jeśli nie będę miał racji, zrobi pani, co powiem? – zapytał drwiąco.

– Oczywiście. Muszę przecież słuchać poleceń szefa.

Zatoczny wstał i zrobił parę kroków po pokoju, potem podszedł do Nastii i dotknął lekko jej ramienia.

– Niech pani usiądzie, Anastazjo. Nie powinno być między nami żadnych niedomówień, jeśli chcemy zachować wzajemny szacunek. Co się stało?

– Nic. – Nastia posłusznie usiadła przy stole konferencyjnym. – Na razie jeszcze nic. Zależy mi właśnie na tym, żeby nic się nie stało. Prosił mnie pan o ostrożność i delikatność, bo sprawa może dotyczyć pańskiego syna, dlatego uznałam, że lepiej zapytać o zgodę na rozmowę.

– Asekurowanie się pani. – Generał się uśmiechnął. – No cóż, znam panią tak długo, że mnie to nie dziwi. Ostrożność nigdy nie zawadzi i nigdy nie bywa przesadna. Pani problem polega na czymś innym. Dlaczego wciąż pani nie dorośnie, co? Ma pani już trzydzieści siedem lat, a zachowuje się jak dziewczyna, która przyszła po studiach i boi się skompromitować. Ma pani spory staż, za trzy miesiące, jak wszystko dobrze pójdzie, otrzyma pani stopień podpułkownika, w ministerstwie krążą legendy na pani temat, a pani wciąż boi się zrobić coś nie tak i narazić się szefom. Kiedy to się skończy?

Nastia westchnęła i spuściła wzrok. Pora zrobić manikiur, niespodziewanie przemknęła przez głowę niepożądana myśl, lakier już dawno zszedł i paznokcie wyglądają okropnie.

– Pewnie nigdy – odparła. – Taki mam charakter. Mówi pan, że krążą o mnie legendy, a ja nie wierzę. To znaczy wiem, że one naprawdę krążą, nawet mi je opowiadano, ale nie mogę uwierzyć, że chodzi o mnie. Że mam genialne pomysły albo fantastyczną intuicję. To musi dotyczyć kogoś innego. Bo ja wciąż pamiętam, ile razy się pomyliłam.

– Powinna pani pamiętać raczej to, ile razy próbowano panią podebrać z wydziału Gordiejewa. Kto chciałby przejąć pracownika, który się do niczego nie nadaje, hę? Dlaczego uważa pani innych za głupszych od siebie?

– Wcale tak nie uważam. – Nastia się uśmiechnęła. – Wręcz przeciwnie, sądzę, że inni są mądrzejsi. Dlatego boję się wyjść na głupią.

Zatoczny pokiwał głową z przyganą, ale jego promienny uśmiech nie zwiódł Nastii, która wyraźnie widziała, że szef jest niezadowolony.

– Domyślam się, że nie jest pan tym zachwycony – powiedziała

z przygnębieniem. – Ale doskonale pan wiedział, jaka jestem, proponując mi posadę. Żałuje pan?

– Skąd znowu. Postaram się zmienić pani obyczaje.

– Tylko nie to – jęknęła Nastia. – Jestem już za stara na eksperymenty pedagogiczne.

– No i masz, wspomniała pani o wieku. Raz jest pani małą dziewczynką, a raz dojrzałą kobietą. No dobrze, proszę lepiej powiedzieć, z czym pani przyszła.

Nastia odetchnęła z ulgą. Temat środków wychowawczych już przerobili, rozmowa na temat sprawy będzie znacznie przyjemniejsza.

– Moim zdaniem – zaczęła – wysyłanie młodych ludzi na nasze uczelnie to rzecz ryzykowna. Przecież ktoś, kto na początku studiów był skończonym draniem, pod koniec nauki może się okazać zupełnie inną osobą. Cztery lata w młodym wieku to szmat czasu. Gdzie gwarancja, że delikwent się nie zmieni? Dlatego sędzę, że przestępcy decydują się na to tylko w wyjątkowych przypadkach. Jest inny sposób, skuteczniejszy i pewniejszy.

– Jaki?

Iwan Aleksiejewicz odsunął się od Nastii i znowu zajął swoje miejsce. Słusznie, sentymenty się skończyły, zaczęła się praca.

– Należy werbować studentów drugiego roku, albo nawet starszych, i wyławiać rozrzutnych, łasych na łatwe pieniądze, żeby potem szantażować.

Zatoczny przesunął szczipłymi palcami po skroniach i kiwnął głową.

– Niech pani mówi dalej, zamieniam się w słuch.

– Jedźmy dalej. Kto może najlepiej wiedzieć, którzy chłopcy się do tego nadają? Kto cieszy się zaufaniem studentów? Kto może sprawić, że chłopak będzie się zajmował nie wiadomo czym podczas nauki? Odpowiedź jest niesłychanie prosta: oficerowie – opiekunowie roku. Dowiadywałam się, skąd przychodzą, i okazało się, że znaczna większość to nie milicjanci, ale wojskowi. Zredukowani, pozostający bez mieszkania, obrażeni na armię, która zabrała im najlepsze lata młodości i nie dała niczego w zamian. Ci ludzie na gwałt potrzebują pieniędzy, bo emerytura, jeśli w ogóle ją mają, jest niewielka, oni zaś są za młodzi, by zadowolili ich siedzenie w domu. Oficerowie opiekujący się studentami, zwłaszcza dawni wojskowi, stanowią najślabsze ogniwo. Najpierw są

szantażowani, a potem wciągają w to studentów. Oni z kolei, nawet jeśli w chwili opuszczenia uczelni pójdą po rozum do głowy i postanowią żyć uczciwie, nic już z tym nie zrobią, bo są współwinni, przestępstwo nie było jednorazowe. Wprawdzie chodziło o drobiazgi, ale powtarzające się. Wiem, jak to wszystko sprawdzić z poziomu statystyki, ale żeby zaoszczędzić czas, chciałabym porozmawiać z pańskim synem i uściślić hipotezę.

– Sądzi pani, że on może wiedzieć coś na ten temat?

– Trudno powiedzieć. Ale nie zamierzam go o to pytać. Jak nie wie, to nie wie. Jeśli jednak wie, moje pytania sprawią, że znajdzie się w niezręcznej sytuacji. Donoszenie na kolegów, sam pan rozumie... nie należy do przyjemności.

Zatoczny milczał przez chwilę, potem znowu kiwnął głową.

– Dobrze, Anastazjo, proszę nas odwiedzić dzisiaj o ósmej, zjemy razem kolację. Czy to wszystko?

– Tak.

– W takim razie jest pani wolna. Nie, chwileczkę. – Podniósł rękę, jakby chciał ją zatrzymać. – Mam jeszcze jedno pytanie. Co słyhać w sprawie zabójstwa studenta? Czy pani koledzy poczynili jakieś postępy?

Nastia pokręciła głową.

– Żadnych. Nie ruszyli z miejsca. Ale jest okazja, by podejść dziadka Niemczinowa, właśnie się tym zajmujemy.

– Dlaczego tak długo? Ulotnił się?

– Skąd znowu, nigdzie się nie rusza. Ale boję się go.

– Ach tak? A dlaczego?

– Nie wiem. – Nastia roześmiała się lekko i ruszyła do drzwi. – Budzi we mnie śmiertelne przerażenie. Boję się go spłoszyć, zaraziłam nawet swoim strachem Jurę Korotkowa.

– I Diużyna. – Generał się uśmiechnął. – Nieładnie, Anastazjo.

– No proszę – wycedziła sarkastycznie. – Paweł Michajłowicz zdążył już nakablować? To też nieładnie.

– Zgadzam się. Może pani nie pytać o moją zgodę, ale musi o wszystkim meldować. Umowa stoi?

– Przepraszam – wybąkała Nastia i wyslizgnęła się z pokoju.

Co za drań z tego Diużyna! Język go świerzbi? Nastia nie zrobiła, rzecz

jasna, niczego niedozwolonego, wysyłając go, żeby poznał Lerę Niemczinową. Była to przyjacielska prośba, a nie polecenie, nie musiała namawiać Pawła, chłopak sam podjął się chętnie zadania, chciał spróbować, jak to jest. A potem wrócił i pobiegł prosto do szefa.

W pierwszym odruchu Nastia chciała wstąpić do Diużyna i powiedzieć mu, co o nim myśli. Idąc korytarzem, już niemal dotarła do drzwi jego pokoju, lecz nagle się zreflektowała. Co mu powie? Że postąpił niewłaściwie? A niby czemu niewłaściwie? Dlaczego nie powinien był tego robić? Paweł postąpił tak, jak uznał za stosowne, to znaczy z jego punktu widzenia postąpił zupełnie słusznie, więc to, co na ten temat myśli jego mentorka Kamieńska, nie ma żadnego znaczenia. Oboje różnią się charakterami, więc wyłuszczenie pretensji nic nie da. Ze swojej strony Diużyn też może jej zarzucić, że nie zameldowała o wszystkim Zatoicznemu.

Te myśli sprawiły, że Nastia parsknęła śmiechem i prawie biegiem ruszyła do swojego pokoju. No cóż, przekonanie, że ludzie nie są tacy sami, przynosi wiele zabawnych chwil. Zwłaszcza gdy człowiek łapie się na tym, że próbuje mierzyć innych własną miarą. To bardzo pożyteczna myśl. Można by nawet rzec, że wyjątkowo owocna.



Tego wieczoru Nastia wracała późno, kolacja u Zatoicznego się przeciągnęła, więc teraz musiała pokonać kilkaset metrów dzielących przystanek autobusowy od domu, idąc przez nieoświetlone i puste podwórza. Zawsze bała się tego odcinka drogi, zwłaszcza po tym, jak kiedyś ją tutaj napadnięto. Mogła zadzwonić z metra do Loszki i poprosić, żeby wyszedł jej na spotkanie, ale nie chciała go niepokoić. Stałam się jednak niesłychanie delikatna, pomyślała, uśmiechając się.

Przez cały wieczór wypytywała Maksima o zasady obowiązujące w instytucie, o to, jaką rolę odgrywają oficerowie będący opiekunami studentów, a także jak można opuścić zajęcia bez ważnego powodu. Nie zadała ani jednego podchwytliwego pytania, które zmusiłoby Maksima, by doniósł na kolegów albo na uczelniane władze. Jego swobodna wypowiedź dowodziła jednak, że chłopak o niczym nie wie. To właściwie potwierdzało wysuniętą przez Nastię hipotezę: przestępcy nie ruszają

prymusów, bo ci widzą przed sobą cel i konsekwentnie ku niemu zmierzają, tak więc szanse, by zawrócić ich z obranej drogi, są niewielkie. Prymus, zwłaszcza jeśli w szkole też nim był, chce coś osiągnąć, na przykład po otrzymaniu dyplomu zostać na uczelni i zrobić doktorat, a potem podjąć pracę wykładowcy. Albo inna opcja: zdobyć szeroką wiedzę w dziedzinie ekonomii, prawa cywilnego i finansowego, popracować trochę w milicji, a gdy minie czas poboru do wojska, opuścić milicyjne szeregi i zatrudnić się w dużej prawniczej firmie, w której w porównaniu z milicją zarabia się krocie. Albo kolejna opcja: zrobić specjalizację z prawa międzynarodowego i języków obcych, żeby po skończeniu studiów dostać prestiżową posadę w biurze Interpolu albo w Wydziale Kontaktów Międzynarodowych ministerstwa. Powody przykładania się do nauki mogą być też inne, tak czy owak wiadomo: student widzi przed sobą cel i nie będzie rozmieniał się na drobne. Bycie prymusem na uczelni nie jest bynajmniej łatwe, przedmiotów jest sporo, w dodatku bardzo różnych, więc nie sposób jechać na samych piątkach, wykorzystując jedynie swoją inteligencję i erudycję. Trzeba dużo się uczyć, czasami odmawiać sobie wielu przyjemności, na przykład dyskotek, spotkań z przyjaciółmi i randek, a także krótkich chwil odpoczynku. Jeśli ktoś potrafi rezygnować z tego przez dłuższy czas, nie ma sensu nakłaniać go do głupich czynów, które zwiążą mu ręce i sprawią, że wysiłki, które podjął, by zostać prymusem, pójdą na marne. To zwyczajna strata czasu, nic z tego nie będzie.

Jeśli jednak chodzi o trójkowiczów, tutaj sprawa wygląda zupełnie inaczej. Zwłaszcza gdy mowa o tych, którzy znaleźli się na uczelni nie z wyboru, ale z całkiem innych powodów. Na przykład żeby się wymigać od wojska. Są też i tacy, dla których nie ma znaczenia, gdzie studiują. Indeks załatwili im rodzice. Wielu wybiera uczelnię niedaleko domu, żeby nie tracić rano czasu na dojazd. Nauka jest bezpłatna, stypendium pięć razy wyższe niż na uczelni cywilnej – żyć nie umierać! W dodatku nauka trwa tylko cztery lata. No a dyplom jest taki sam jak po pięcioletnich studiach uniwersyteckich.

Kto zatem najlepiej zna studentów? Oczywiście, że oficer – opiekun roku. Jest ich wychowawcą, przełożonym, a nawet ojcem. Może zwolnić z zajęć. Albo pozwolić nie stawić się na porannym apelu. Nie zauważyć spóźnienia. Może też jednak nie zwolnić, nie pozwolić, nie przyznać

oczu nawet na drobny wybryk. Wszyscy studenci są zależni od oficerów. Oni zaś z tego korzystają, niektórzy całkiem bezwstydnie, o innych wiadomo, że bez butelki czegoś mocniejszego nie ma sensu przynosić im raportu albo zwracać się z jakąś prośbą, nawet w sytuacji, gdy prośba jest błaha, a raport zawiera tylko wniosek o jednodniowe zwolnienie z zajęć z poważnego powodu.

Studenci nie są przecież ślepi, doskonale wiedzą, że nieobecność na zajęciach albo jakiegokolwiek złamanie regulaminu dla jednych kończy się wymierzeniem kary, inni zaś regularnie i przez dłuższy czas naruszają dyscyplinę – i nic się nie dzieje. Niektórzy krnąbrni studenci zawdzięczają to wpływowym rodzicom, a inni... Łatwo się domyślić, że osłania ich oficer.

Maksim miał szczęście, nie skarżył się na żadnego opiekuna, ale gwoli sprawiedliwości należy przyznać, że nie dawał powodu, żeby się go czepiano. Zdyscyplinowany, pilny, uprzejmy, był prymusem w każdym przedmiocie. Dlatego w długiej rozmowie z Nastią nie podał żadnych faktów, bo ich po prostu nie znał, za to opowiedział wiele ciekawych rzeczy. Dzięki temu Nastia zrozumiała, jakich informacji powinna szukać, a także gdzie i kogo o nie pytać. Rozmowa z synem generała służyła temu właśnie celowi.

W drodze do domu Nastia wciąż od nowa przywoływała w pamięci to, co usłyszała, i nawet nie zauważyła, jak znalazła się pod blokiem.

Gdy weszła z ciemnej i cichej ulicy do mieszkania, załało ją jaskrawe światło i otoczyła kaskada dźwięków i zapachów. Zawsze podziwiała męża za to, że potrafił pracować przy telewizorze włączonym na pełny regulator, sama bowiem nie znosiła najłżejszego szmeru i od razu wpadała w rozdrażnienie, gdy coś jej brzęczało nad uchem. Tymczasem Czistiakow siedział bez ruchu, obrócony tyłem do drzwi i pracował na komputerze, słuchając jednocześnie wiadomości na kanale NTW, nadawanych o północy. Świat mógł się walić, ale profesor matematyki musiał obejrzeć wszystkie programy informacyjne (ewentualnie ich wysłuchać). Kiedyś Nastia usiłowała dociec, po co mu to, ale potem porzuciła owo bezowocne zajęcie. O gustach się nie dyskutuje, ludzie mają różne potrzeby informacyjne. Ona na przykład nie słucha żadnych wiadomości i co? Z jednej strony, żyje sobie spokojnie i nie dotknęła jej żadna katastrofa, a z drugiej, Loszka przecież nie próbuje zrozumieć,

dlaczego żona nie interesuje się wiadomościami.

– Losza! – krzyknęła na całe gardło, próbując zagłuszyć głos prezentera. – Można się włamać i wynieść z mieszkania wszystko łącznie z tobą, a ty niczego nie usłyszysz. Ścisz trochę, bardzo cię proszę!

Telewizor natychmiast umilkł, a po chwili w przedpokoju zjawił się Aleksiej. Patrząc na jego zmęczoną twarz i przedwcześnie posiwiałe włosy, Nastia nagle przypomniała sobie słowa Zatochnego: „Wciąż zachowuje się pani jak mała dziewczynka”. Generał ma oczywiście trochę racji, już dawno powinna przestać uważać się za młodą i niedoświadczoną milicjantkę. Niedługo stuknie jej czterdziestka i zacznie dźwigać piąty krzyżyk na barkach. Jest rówieśniczką Czistiakowa, w szkole siedzieli w jednej ławce, a przecież Loszka jest szpakowaty i od jakiegoś czasu nosi okulary. Zaczął cierpieć na dalekowzroczność, a to, jak wiadomo, oznaka wieku.

– Jadłeś kolację? – zapytała, ściągając kozaczki.

– Nie jestem tobą. – Mąż się uśmiechnął. – Tylko ty nie masz apetytu, gdy jesteś sama w domu. Ale mogę cię nakarmić, jeśli chcesz.

– Nie, dziękuję, już jadłam. Co słychać?

– A co może być słychać u skromnego profesora? Koniec roku, sprawozdania naukowe, wszystko jak zwykle. Tylko wy, ludzie walczący z przestępczością zorganizowaną, codziennie macie do czynienia z trupami i świeżymi wiadomościami.

– Kpisz sobie, tak?

Nastia weszła do pokoju, usiadła na kanapie i z ulgą wyciągnęła nogi. Boże, jak dobrze być w domu! Oczywiście już dawno należało zrobić remont mieszkania, choćby niewielki, kosmetyczny, dawniej nie było na to pieniędzy, teraz Loszka zaczął dobrze zarabiać, ale i tak nie ma na to czasu. Oboje pracują całymi dniami, nawet w weekendy. Mimo to mała kawalerka na obrzeżach Moskwy była i jest dla Anastazji Kamieńskiej najcieplejszym i najpogodniejszym miejscem.

– Losza – powiedziała nagle – jesteśmy starzy czy młodzi, jak sądzisz?

Czistiakow zdjął okulary i zachichotał.

– Odwiedzanie generałów dobrze ci robi, Asieńko! W twojej ślicznej główce rodzą się pytania natury filozoficznej. Co cię naszło?

– No powiedz – powtórzyła z uporem. – Jesteśmy starzy czy młodzi?

– Nie prowokuj mnie, żebym prawil ci komplementy. Kobieta jest

zawsze młoda, jeśli tak się czuje. To chcesz usłyszeć?

– Ależ nie, Loszyk, pragnę obiektywnej oceny. Patrząc na ciebie i widząc siwiznę, zmarszczki, przypominam sobie, ile napisałeś podręczników oraz to, ilu twoich uczniów obroniło doktoraty, i dochodzę do wniosku, że jesteś chyba mężczyzną w wieku dojrzałym. Ale ja jestem przecież twoją rówieśniczką, zaledwie o pół roku młodszą, tymczasem w pracy czuję się jak nowicjuszka. Wciąż boję się, że zrobię coś nie tak, jak powinnam, boję się, że szefowie dadzą mi burę. Nawet gdy jestem pewna, że wiem coś lepiej od innych, nie potrafię walczyć o swoje zdanie, bo oni są starsi i bardziej doświadczeni. Mam szacunek dla wieku, stażu i władzy. Pączek zawsze mi mówił, że najwyższy czas, bym wreszcie wydorosła, a Iwan to dzisiaj powtórzył. Obaj nie mogą się przecież mylić, prawda? A więc ich zdaniem zachowuję się niewłaściwie. Ja zaś mam wrażenie, że wszystko w porządku, że jestem młodą stażystką i powinnam słuchać starszych.

– Jasne. – Aleksiej kiwnął głową. – Jakie zadanie widzisz dla mnie w tej sytuacji? Czego oczekujesz?

– Jak zwykle. – Westchnęła z uśmiechem. – Chcę, żebyś mi przemówił do rozumu. Jesteś dla mnie jedynym autorytetem, słucham cię jak wyroczni i przyznaję, że twój potężny intelekt góruje nad moim marnym kobiecym mózdzkiem.

– W takim razie chodźmy się napić herbaty.

Czistiakow wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. Nastia szybko się podniosła, objęła męża za szyję i przytuliła policzek do jego ramienia.

– Losza, kiedy ostatnio mówiłam, że cię kocham?

Czistiakow delikatnie przesunął ręką po jej plecach i włosach.

– Nie pamiętam. Chyba dawno, a może nigdy. Nagle poczułaś przyływ czułości?

– Uhm.

– Bardzo ciekawe. Moja matematyczna precyzja już dawno pozwoliła mi stwierdzić, że czułość ogarnia cię po nieformalnych spotkaniach z uwielbianym generałem. Gdybym był chorobliwie zazdrosny, doszedłbym do przykrego wniosku, że mnie zdradzasz i za każdym razem po spotkaniu ogarnia cię poczucie winy.

Nastia podniosła głowę i cmoknęła go w policzek.

– A ty nie jesteś chorobliwie zazdrosny?

– Nie, moja zazdrość mieści się w granicach normy.
– Ciekawe, ile ona wynosi? – zapytała figlarnie.
– Norma oznacza, że będzie mi na pewno przykro, gdy zastanę cię w łóżku z innym mężczyzną. Ten oburzający fakt, namacalnie świadczący o twojej niewierności, nie pozostawi mnie obojętnym. Ale póki do tego nie doszło, nie mam podstaw, by myśleć, że to się może wydarzyć. Ładnie sformułowane, co? Chodźmy już, pora na herbatę.

Aleksiej zaparzył świeżą esencję i chwilę później Nastia delektowała się gorącym, aromatycznym napojem.

– Skoro jesteś zazdrosny w granicach normy, nic nie stoi na przeszkodzie, żebym powiedziała ci prawdę. Iwan to wyjątkowy facet. Szalenie inteligentny. Jeden jego uśmiech może zawrócić kobiecie w głowie. Potrafi być miły, czarujący i seksowny. Za każdym razem, gdy napotykam ten dżentelmeński pakiet, myślę, że gdyby w moim życiu nie było ciebie, zakochałabym się w Zatocznym na zabój i dbałabym o to świetlane uczucie przez całe swoje niewydarzone życie.

– A ja ci w tym przeszkadzam?

– Oczywiście. – Roześmiała się. – Przecież w ciągu dwudziestu dwóch lat naszej znajomości zmusiłaś mnie, bym pokochała cię tak mocno, że w moim sercu nie pozostało nawet odrobiny miejsca na uczucie do innego mężczyzny. Zająłeś je w całości. A jeśli mówić poważnie, to za każdym razem, gdy łapię się na tym, że zachwycam się Iwanem, mimo woli zaczynam was porównywać i od razu dochodzę do wniosku, że jesteś jednak lepszy. On jest wspaniały, ale wolę ciebie, rozumiesz? Ta myśl sprawia mi radość, dzięki niej uświadamiam sobie, jakiego mam fajnego męża i jaka jestem głupia, że zapominam o tym czasami. No i wtedy ogarnia mnie fala miłości do ciebie. Nie jest to żaden kompleks winy, tylko burzliwy przejaw emocji stłumionych przez pracę. Co powiesz na to sformułowanie?

– Nic dodać, nic ująć. Widać moją szkołę. Nalać ci jeszcze herbaty?

– W żadnym razie. Chcesz, żebym rano miała opuchniętą twarz jak po przepiciu?

– Też mi problem. Chyba że czeka cię ważne spotkanie? – zapytał Czistiakow, dolewając sobie herbaty.

– Owszem, chociaż nie jest bardzo ważne. Ale muszę wyglądać przyzwoicie.

- Kim jest ten szczęściarz?
- Jakiś ekspert od show-biznesu. Orientujesz się w sprawach współczesnej estrady?
- Nie bardziej niż ty. Ale ponieważ częściej oglądam telewizję, wiem co nieco.
- Znasz piosenkarza Igora Wildanowa?
- Oczywiście. To jeden z niewielu, których da się jeszcze słuchać w moim wieku. Nie biega po scenie, nie potrząsa długimi kudłami, nie wrzeszczy i nie mamrocze pod nosem. W odróżnieniu od innych ma przynajmniej głos i nienaganny gust.
- Gust? - zdziwiła się Nastia. - A w czym on się przejawia?
- W repertuarze. Jego piosenki są melodyjne, przyjemne dla ucha i mają normalne, zgrabnie rymowane słowa, czego nie da się powiedzieć o znacznej większości estradowych hitów. Czyżbyś zamierzała go opromienić światłem swojego detektywistycznego zainteresowania?
- Co ty pleciesz?! - Nastia klasnęła w dłonie. - Po co mi on? Ciekawi mnie jego agent.
- O, wydział do walki z przestępczością zorganizowaną wreszcie dobrał się do show-biznesu - z satysfakcją zauważył profesor matematyki, mieszając łyżeczką cukier. - Czyżbyście nie mieli ważniejszych zajęć? Lepiej weźcie pod lupę tych, co obracają środkami budżetowymi, zamiast przekazać je na wypłaty dla górników i nauczycieli. Prawdziwe niebezpieczeństwo dla państwa stanowią protesty głodowe, a nie zamożni agenci, czy to tak trudno zrozumieć? Właściwie nie rozumiem, Asiu, dlaczego zmieniłaś pracę. W wydziale kryminalnym dobrze wiedziałaś, co i w jakim celu robisz. Są zwłoki, trzeba znaleźć zabójcę, bez względu na to, kim się okaże, bo nikt nie ma prawa pozbawiać życia drugiego człowieka. W tej sytuacji zadanie jest oczywiste. A jeśli chodzi o twoje nowe biuro, nie tylko ja nie rozumiem, czym się zajmuje. Nikt tego nie rozumie, nie wykluczając ciebie. Mam rację?
- Po części. To prawda, że przestępczość zorganizowana składa się z wielu pojedynczych działań, które mogą z powodzeniem prowadzić detektywi z wydziału kryminalnego, nasi koledzy ekonomiści, policja podatkowa czy celnicy. Ci, co zajmują się walką z przestępczością zorganizowaną, wciąż muszą iść ręką w rękę z milicjantami z wydziału kryminalnego oraz innych służb, bo właściwie nie wiadomo, kto czym

powinien się zajmować. Na okrągło wchodzimy sobie w drogę i tylko przeszkadzamy. Aż strach mówić. Pora już spać, Losza, problem jest skomplikowany i wymaga długiej rozmowy.

– Słusznie. – Czistiakow jednym łykiem dopił herbatę i odstawił filiżankę na spodek. – Z tego wniosek, że mam rację. A dlaczego „po części”?

– Dlatego że nie zajmujemy się show-biznesem. Muszę pogadać z konkretnym człowiekiem, który przez wiele lat bywał u pewnej rodziny, całkiem przypadkowo został agentem znanego piosenkarza, równie dobrze mógłby być ślusarzem czy wojskowym.

Ostatnie słowa Nastii sprawiły, że Aleksiej, który stał już w drzwiach, usiadł z powrotem przy stole. Popatrzył na żonę uważnie i się zachmurzył.

– Chwileczkę, chyba nie rozumiem, co tu jest grane. Zapewniałaś mnie, że przeszłaś do Zatocznego, by zajmować się ukochaną pracą analityczną i w ramach bezpłatnego dodatku do owej przyjemności zainkasować stopień podpułkownika. Masz pracę biurową i nie prowadzisz działań operacyjnych. Chyba że się mylę?

– Ani trochę. Coś cię niepokoi?

– Więc dlaczego zainteresowałaś się nagle pewną rodziną, którą wiele lat temu znał jakiś impresario?

– Pomagam kolegom. – Nastia wzruszyła ramionami i się uśmiechnęła.

– To normalne. Mają ciało i podejrzanego, ale podejrzanym jest tak mglisty i nieprzewidywalny, że warto się dowiedzieć, jak wyglądał w przeszłości. Niewykluczone, że agent Wildanowa oświeci mnie w tym względzie. To wszystko. Czego się przestraszyłeś, Loszyk? Przysięgam, że nie będzie żadnej strzelaniny i niebezpieczeństwa.

– Kręcisz jak zawsze – burknął Aleksiej. – No dobrze, chodźmy spać, bo i tak nie wyciągnę od ciebie słowa prawdy.

Rozdział 7

Wiaczesław Olegowicz Zotow patrzył na Nastię czujnie, ale raczej życzliwie.

– Dlaczego interesuje się pani tamtymi sprawami? – zapytał. – Minęło wiele lat...

Nastia uśmiechnęła się i sięgnęła po papierosa.

– Niemczinow senior wrócił, więc to całkiem normalne, że chcemy wiedzieć, czego można się po nim spodziewać. Zwyczajna milicyjna ciekawość. On ma wnuczkę, a ona wielbiciela, właściwie narzeczonego. Narzeczony zostaje zabity, więc pierwszą osobą, o której myślą milicjanci, jest dziadek, bo kiedyś popełnił już zabójstwo i odsiedział dziewięć lat. Wydaje się to panu dziwne?

– Nie, takie postawienie sprawy wszystko wyjaśnia. Ale nie wierzę.

– W co pan nie wierzy? – zdziwiła się Nastia. – W to, że Wasilij Pietrowicz Niemczinow może zabić po raz drugi?

– W to też.

Zotow zerwał się z fotela, w którym siedział nonszalancko rozparty, i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju.

– Niechże pani zrozumie, do dzisiaj nie wiem, dlaczego ojciec zabił własnego syna. Było to dla mnie całkowitym zaskoczeniem, podobnie jak dla wszystkich, którzy znali Gienę i Swietę Niemczinowów. Oboje nigdy nie mieli zatargów z ojcem. Nie potrafię sobie wyobrazić, z jakiego powodu mogli się pokłócić, i to tak zażarcie, że doszło do zabójstwa.

Nastia z ciekawością obserwowała Zotowa. Przystojny, postawny mężczyzna nieco po czterdziestce, wspaniałe maniery, dobrze postawiony głos. Świetnie prezentowałby się na scenie. Albo u szczytu stołu negocjacyjnego. Zamiast tego zajmuje się sprawami młodego piosenkarza. Żeby jeszcze pracował w firmie producenckiej i był

profesjonalnym menadżerem, organizował koncerty i występy muzyków. Tymczasem on reprezentuje tylko siebie i pracuje wyłącznie dla Wildanowa. Dlaczego? Wildanow to nie Pavarotti, którego koncerty są zaplanowane do końca dwa tysiące piątego roku, więc to oczywiste, że ze względu na szaloną popularność i obowiązki zawodowe wielki tenor musi mieć własnego agenta. Żeby prowadzić sprawy Igora Wildanowa, nie potrzeba tylu sił i czasu. Dlaczego Zotow nie zajmie się czymś jeszcze, nie weźmie pod swoje skrzydła innych wykonawców? Mógłby założyć własną firmę i zarabiać znacznie więcej.

– A więc twierdzi pan, że ojca i syna łączyły dobre relacje – powiedziała Nastia na wespół pytająco.

– Owszem – przytaknął Wiaczesław Olegowicz.

– Były bliskie?

– Już przecież powiedziałem.

– Nie, relacje mogą być dobre, ale nie bliskie, jak na przykład między przyjaciółmi, którzy widują się rzadko, ale darzą wzajemną sympatią. Bywają też relacje bliskie, a mimo to bardzo złe, na przykład między dwojgiem małżonków. Czy relacje Niemczinowów były bliskie?

– No cóż... – Zotow się zamyślił. – Sądzę, że tak. W końcu to ojciec i syn, a nie obcy ludzie.

– A jak pan określi pańskie relacje z Giennadijem?

– Byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni – odparł krótko.

– Często się widywaliście?

– Owszem. Co tydzień, a czasami dwa, trzy razy w tygodniu.

– Giennadij mówił coś o swoim ojcu?

Zotow znowu się zamyślił, potem uśmiechnął lekko.

– Tak, chyba ma pani rację. Giena prawie go nie wspominał, stąd moje odczucie, że wszystko było w najlepszym porządku. Wie pani, jak to jest: gdy ludzie często się kłócą, stale opowiadają o tym swoim przyjacielom, jeśli zaś nie opowiadają, wtedy odnosi się wrażenie, że nie ma żadnego konfliktu.

– Znał pan Wasilija Pietrowicza?

– Z widzenia. Spotkaliśmy się parę razy, ale przelotnie. Proszę mi wierzyć, że zawsze odbywało się to w obecności Gieny albo jego żony i nigdy nie zauważyłem nawet cienia niezadowolenia czy napięcia. To były zwyczajne relacje.

Nastia milczała przez chwilę, rozważając to, co usłyszała. Chyba niepotrzebnie liczyła na Zotowa, on też nie znał starszego Niemczinowa i chyba nie ma pojęcia, na czym polegał konflikt. Tymczasem on musiał istnieć, to przecież oczywiste. Skoro stosunki rodzinne układały się poprawnie, pierwsza niespodziewana kłótnia nie mogła doprowadzić do strzelaniny. Napięcie musiało narastać przez dłuższy czas. Ale co było powodem, że w ogóle się pojawiło?

– Gdzie pan spotykał ojca Giennadija? W moskiewskim mieszkaniu czy na letnisku?

– Pewnie to zabrzmiało zabawnie, ale na ulicy. Wychodzimy od Niemczinowów, a Wasilij Pietrowicz wraca do domu, albo odwrotnie.

– Ach tak?

– Musi pani wiedzieć, że rzadko spotykałem się z Gieną w jego mieszkaniu. Nie za bardzo lubił przyjmować tam gości. Letnisko to zupełnie co innego, często na nim bywałem, bo Giena spędzał tam więcej czasu niż w Moskwie. Był twórcą, potrzebował ciszy i spokoju na łonie natury.

Ładna mi cisza i spokój, pomyślała Nastia. Sąsiad z letniska, Biełkin, twierdzi, że Niemczinowowie bez przerwy zapraszali gości i urządzali huczne, suto zakrapiane imprezy. Nawiasem mówiąc, właśnie podczas takich imprez Biełkin widział tam pana Zotowa. No cóż, widocznie Wiaczesław Olegowicz nie chce brukać pamięci nieżyjącego przyjaciela.

– Dobrze zrozumiałam, że Giennadij Niemczinow spędzał na letnisku sporo czasu i spotykaliście się przeważnie za miastem?

– I tak, i nie. Spotykaliśmy się też w Moskwie, pracowałem wtedy w wydziale kultury, więc często musieliśmy rozstrzygać różne problemy związane z jego twórczością. Niech pani nie zapomina, co to były za czasy. Cenzurze podlegało wszystko, w tym również twórczość muzyczna. Żeby piosenkarz mógł publicznie wykonać nowy utwór, autorzy musieli uzyskać akceptację komisji, ona zaś mogła uznać, że piosenka jest niemoralna i niewłaściwa pod względem ideologicznym, albo wydać cały szereg wskazówek nakazujących wprowadzenie zmian. Dotyczyły one przeważnie tekstu, a nie muzyki, mimo to obaj autorzy byli w to uwikłani.

– A kto był drugim autorem? – zainteresowała się Nastia. – Kto pisał teksty do jego piosenek?

– Jak to, nie wie pani? – zdziwił się Zotow. – Teksty pisała Swieta, jego żona. Była utalentowaną poetką. Wydała nawet parę zbiorów wierszy.

– Nie wiedziałam. Ale to nie ma związku ze sprawą. Proszę powiedzieć, czy Wasilij Pietrowicz często przyjeżdżał na lotnisko?

Zotow zamyślił się. Stał przed Nastią, kołysząc się na piętach, z kciukami wsuniętymi za pasek dżinsów. Nie usiadł z powrotem w fotelu, więc Nastia czuła się niezręcznie, bo musiała zadzierać głowę, gdy się do niego zwracała. Mogła oczywiście wstać, ale nie miała ochoty. Fotele w mieszkaniu Wiaczesława Olegowicza były bardzo wygodne.

– Właściwie pani pytanie uświadomiło mi, że Wasilij Pietrowicz chyba tam nie bywał. W każdym razie ani razu go nie widziałem. Pewnie przyjeżdżał kiedy indziej. Po prostu na siebie nie wpadaliśmy.

– Czy Giennadij mówił coś na ten temat? Nie wyjaśniał, dlaczego ojciec nie przyjeżdża na lotnisko?

– Ależ nie... Ani razu tego nie omawialiśmy. A dlaczego to takie ważne dla pani?

– Chcę zrozumieć, dlaczego Niemczinow latami nie jeździł na swoje lotnisko, a potem nagle przyjechał i zabił syna oraz synową. Pan nie chce tego zrozumieć? Przecież Giennadij był pańskim przyjacielem.

– Chwileczkę. – Zotow ostrzegawczo uniósł rękę. – Przeinacza pani fakty. Tak nie wolno.

– A jak wolno? – zapytała Nastia.

W końcu zmusiła się do tego, żeby wstać. Oboje z Zotowem byli mniej więcej tego samego wzrostu, więc teraz mogła patrzeć mu prosto w oczy. One zaś były dziwne. Niezwykłe. W pewnej chwili Nastia odniosła wrażenie, że kryje się w nich bezbrzeżny smutek i coś niedobrego, ale zaraz potem dziwne doznanie ustąpiło. Oczy jak oczy, duże, ładne, ciemnoszare.

– To, że nie spotykałem ojca Gieny na lotnisku, wcale nie oznacza, że Niemczinow tam nie bywał. Mógł przyjeżdżać kiedy indziej, po prostu nasze wizyty nigdy nie zbiegły się w czasie. To możliwe?

– Owszem. – Nastia kiwnęła głową. – Z punktu widzenia teorii prawdopodobieństwa bardzo możliwe. Pańskie wyjaśnienie mogłoby mnie zadowolić, gdyby odwiedzał pan przyjaciela raz na dwa miesiące i to zaledwie w ciągu roku. Wtedy przyznałabym panu rację. Ale pan jeździł tam przez parę lat co najmniej raz w tygodniu, prawda?

Prawdopodobieństwo musiałyby być bardzo szczególne, by uprawniało nas do stwierdzenia, że Wasilij Pietrowicz bywał na lotnisku, ale pan ani razu go tam nie spotkał.

– No dobrze.

Nastia zauważyła, że Zotow zaczął się irytować. To jej wina, z przyzwyczajenia prowadzi rozmowę tak, jakby mu coś zarzucała i próbowała przyłapać na kłamstwie. Podobnie wyglądała sytuacja z pułkownikiem Bielkinem, Nastia zachowywała się tak, jakby z góry podejrzewała go o fałszywe zeznania. Nic dziwnego, że Bielkin wpadł w gniew. Zotow też zaczyna zgrzytać zębami...

– W porządku, przekonała mnie pani. Nie będę się upierał. Gotów jestem przyznać, że ojciec Gieny nie przyjeżdżał na lotnisko. I to przez parę lat! Zdaje sobie pani sprawę, o czym to świadczy?

– Owszem. O tym, że ojciec i syn się unikali.

– No właśnie – z nagłym wzburzeniem podjął Zotow. – Giena przyjeżdżał na lotnisko, bo tak naprawdę uciekał z domu, nie chciał się kontaktować z ojcem.

– Albo ojciec nie chciał się kontaktować z synem – podsunęła Nastia.

– Tak, może to ojciec nie chciał – przytaknął Wiaczesław Olegowicz. – A więc już dawno coś między nimi zaszło. Może w dzieciństwie albo w młodości Giena pokłócił się z ojcem tak zażarcie, że nie zdołali się pogodzić, i z biegiem lat napięcie tylko się pogłębiało. Musieli mieszkać razem, ponieważ lokal był spółdzielczy, kupiony za pieniądze ojca, on zaś pod żadnym pozorem nie zamierzał go zamieniać. No a Giena nie mógł kupić własnego mieszkania, bo nie miał dość pieniędzy.

– Czyżby? – Nastia z powątpiewaniem uniosła brwi. – Zdaje się, że Niemczinow dostawał godziwe honoraria.

Zotow się zachmurzył.

– To prawda. Ale pieniądze w ogóle się go nie trzymały. Od razu je wydawał. Drogie koniaki, wyszukane jedzenie, ciągłe taksówki, gdy nie mógł korzystać z własnego samochodu. Uwielbiał dwu-, trzydniowe wypadki do republik nadbałtyckich albo nad morze, w dodatku samolotem, a to przecież kosztuje. Co prawda nad morze jeździli ze Świętą tylko w letnim sezonie, za to do krajów nadbałtyckich przez okrągły rok. Chyba pani pamięta, że w tamtych czasach wyjazd do Wilna czy do Tallina stanowił substytut podróży za granicę. Ładne,

czyste, stare europejskie miasta z brukowanymi jezdniami, wąskimi uliczkami, gotyckimi budowlami i licznymi kafejkami. Ponieważ nie mogliśmy wyrwać się do prawdziwej Europy, tworzyliśmy sobie namiastki. Giena bardzo lubił tam jeździć, więc pieniądze rozchodziły się bardzo szybko.

– Miał jednak własny samochód? – uściśliła Nastia. – Więc dlaczego zamiast kupować auto, nie zapisał się do spółdzielni, skoro w domu panowała napięta atmosfera?

Zotow znowu umilkł. Patrzył ponad głową Nastii i sprawiał wrażenie, jakby błądził gdzieś myślami i był bardzo daleko, lata świetlne stąd.

– Oczywiście zapytałbym o to Gienę, gdybym wiedział, że w jego rodzinie niedobrze się dzieje – odparł w końcu oschle. – Ale jak się pani domyśla, niczego nie podejrzewałem. Giena nigdy nie wspominał, że pokłócili się z ojcem. Mogę tylko przypuszczać, że bardzo mu zależało na własnym samochodzie.

– Przypuszczać? – powtórzyła Nastia. – Nie ma pan pewności?

– Mam. Byłem przy tym, gdy kupował samochód. Gdyby go pani wtedy widziała... Jaśniał szczęściem i powtarzał, że od dzieciństwa marzył o tej chwili. Wszędzie poruszał się autem, przestał gdziekolwiek chodzić pieszo. Gdyby można było jeździć samochodem do toalety, toby jeździł. Wtedy jednak wydawało mi się, że to normalne, nie wiedziałem przecież, że ma problemy z ojcem...

Zotow zerknął na zegarek i pokręcił głową.

– Proszę wybaczyć, muszę zadzwonić.

Aparat stał na ławie, ale Wiaczesław Olegowicz wyszedł z pokoju. Chwilę później Nastia usłyszała jego przytłumiony głos.

– Jeszcze śpisz? Leser. Znowu się zaprawiłeś? No dobrze, odłożmy wyjaśnienia na potem, bo teraz jestem zajęty. Wstań, doprowadź się do porządku i ruszaj do pracy. Weź coś na kaca... ale nie piwo, kretynie, tylko tabletkę, na przykład alka-seltzer. Nie masz? No to wyślij swoją łaskę do apteki, niech leci. Nie zwracaj mi głowy, w metrze jest punkt apteczny. Dobra, Igorku, nie mam czasu się rozwodzić. Wstawaj i bierz się do roboty. Przyjadę za godzinę, musimy poważnie porozmawiać. Poważnie, słyszysz? I żeby w mieszkaniu nie było żadnych panienek, gdy przyjdę. Jasne? No to działaj.

A to dopiero! Czyżby pan Zotow był tak surowy wobec Wildanowa?

Dziwne. Z podsłuchanej rozmowy wynika, że popularny piosenkarz nadużywa alkoholu, lubi urzędować z panienkami, jest leniwy i nie przestrzega harmonogramu dnia. A Loszka przecież twierdzi, że chłopak ma nienaganny gust i śpiewa w poważnym, klasycznym stylu. Jedno nie pasuje do drugiego. Zresztą kto wie, może artyści potrafią to pogodzić.

Pod nieobecność pana domu Nastia rozejrzała się po pokoju. Podczas rozmowy nie wypadało tego robić. Od razu zauważyła, że Zotow zatrudnił dobrego projektanta. Podłoga, wykładzina, meble i tapety doskonale harmonizowały ze sobą kolorystycznie, dzięki czemu powstawało uczucie błęgiego spokoju i bezpieczeństwa. Żadnych nowoczesnych elementów, niczego metalowego i błyszczącego, nie ma nawet zwykłego żyrandola. Pojedyncze i podwójne kinkiety na ścianach, obrazy podświetlone taśmą ledową, oryginalna lampa koło fotela i jeszcze jedna, taka sama, z drugiej strony wyściełanego narożnika. Ciekawe, ile trzeba mieć pieniędzy, żeby urządzić takie wnętrze? Nastia chętnie by w nim zamieszkała, ale honoraria Loszki chyba nie wystarczą. Szkoda. Może zapytać? Nie, od razu zbeształa się w duchu, nie wypada. Chyba całkiem zwariowała, przyszła do Zotowa niemal go przesłuchać, a teraz chce go wypytywać o remont.

Pochłonięta myślami o luksusowym wnętrzu, nie zauważyła powrotu Zotowa.

– Ma pani jeszcze jakieś pytania? – zapytał. – Niedługo muszę wyjść.

– Pozostało mi tylko jedno pytanie – odparła prędko. – Może pan wymienić osoby, które przyjaźniły się z rodziną Niemczinowów i mogły wiedzieć o konflikcie Giennadija z jego ojcem?

Zotow pokręcił głową w zamyśleniu.

– Chyba nie. Byłem najbliżej Gieny, więc skoro nawet ja nie wiedziałem...

– A córka Niemczinowów?

– Lera? Niechże pani da spokój, ona miała przecież osiem lat, gdy to się stało... Mam na myśli śmierć jej rodziców. Jestem pewien, że konflikt powstał i rozwinął się znacznie wcześniej. Może przed jej urodzeniem, a nawet przed ożenkiem Gieny.

– Dobrze, Wiaczesławie Olegowiczu, dłużej nie będę pana zatrzymywać. Ale niech pan nie zapomina o mojej prośbie i gdyby coś pan sobie przypomniał, proszę do mnie zadzwonić, dobrze?

Szybko zapisała na kartce swoje telefony: domowy i służbowy.

– Proszę przekazać panu Wildanowowi, że jego wielbiciele cenią go za dobry gust i eleganckie zachowanie na scenie.

Przez twarz Zotowa przemknął wyraz ni to pobłażliwości, ni to powściąganej kpiny.

– Bardzo mi miło słyszeć te słowa. Dziękuję, Anastazjo Pawłowna. Ale nie przekażę ich Igorowi.

– Dlaczego? Czyżby nie lubił komplementów?

– Bynajmniej. – Wiaczesław Olegowicz się uśmiechnął. – Pragnie ich jak dziecko cukierka. Ono jednak nie powinno jeść za dużo słodczy, bo od tego psują się zęby. Igor jest jeszcze za młody, żeby mieć właściwy stosunek do komplementów. Przyjmuje je za dobrą monetę i przestaje się starać, uznając, że wspiał się już na wszelkie możliwe wyżyny.

– No cóż... Pan wie lepiej.

Nastia zapięła ciepłą kurtkę i podniosła futrzany kołnierz, próbując osłonić uszy. Nigdy nie nosiła czapki, nawet podczas najcięższych mrozów wkładała najwyżej kurtkę z kapturem. Ale dzisiaj warunki pogodowe nie były nadzwyczajne, termometr pokazywał minus trzynaście stopni, a Nastia Kamińska lubiła mieć chłodną głowę. Szkoda tylko, że pozostałych części ciała nie da się trzymać w tropikalnym upale...



Ledwo Zotow przestąpił próg mieszkania Igora, w nozdrza uderzyła go mieszanina odrażających zapachów, które unosiły się jeszcze od wczoraj. Pozostawione na stole resztki jedzenia wydzielały woń cebuli, octu i marynaty, z kieliszków parował niedopity alkohol, a wszystko spowijał dym z papierosów i charakterystyczny fetor niewyrzuconych niedopałków. Gnojek mógłby otwierać lufcik na noc, pomyślał Zotow z nagłą irytacją. Plebejusz nigdy nie zostanie patrycjuszem, choćby go latami trzymał w pałacu ze służbą.

– Otwórz okno! – krzyknął głośno w stronę kuchni, z której dobiegał odgłos lejącej się wody. – Urządziłeś tutaj komorę gazową.

– Daruj sobie – dobiegł go słaby głos Wildanowa. – Bez ciebie też mi niedobrze.

Zotow powiesił kożuszek w przedpokoju i szybko ruszył do kuchni. Igor wyglądał koszmarnie, twarz miał opuchniętą, jak zawsze po libacji, oczy niezdrowe i czerwone. Stał w samych slipach i chciwie, dużymi łykami pił wodę ze szklanego dwulitrowego kufła.

– Co ja ci powiedziałem? Zadzwoiłem półtorej godziny temu i kazałem, żebyś się ogarnął. A ty? Znowu walnąłeś się do wyra, bydlaku? I dopiero teraz wstałeś?

– Nie twoja sprawa – burknął Igor, pośpiesznie dopijając resztę wody. – Czego się czepiasz?

– No pewnie, powiedz jeszcze, że jesteś chory. I wyjęcz to tak żałośnie jak pijacy rano. Że też nie ma na ciebie żadnej kary. Odstaw ten kufel, po co go tak kurczowo trzymasz? Masz, wypij.

Zotow wyjął z kieszeni i rzucił na stół lek, który kupił po drodze. Piosenkarz trzęsącymi się rękami zaczął szarpać plastikową nakrętkę buteleczki, a wtedy Zotow odwrócił się zniesmaczony. Co za bydlak, idiota, głupek! Pół życia spędza na libacjach, które potem odchorowuje, zamiast pracować, urządzić próby, ćwiczyć nowe piosenki. Zawód artysty to codzienna żmudna harówka, a nie ciągłe świętowanie powodzenia na zakrapianych imprezach z panienkami. Ale czy temu kretynowi można przemówić do rozumu? Nawet nie zna takiego słowa jak „praca”, myśli tylko o przyjemnościach.

Wiaczesław Olegowicz wyjął z szafki młynek i słoik z kawą, po czym zabrał się do roboty. Zanim zaparzy się mocna kawa, trzeba zaciągnąć tego skacowanego bydlaka do łazienki i wepchnąć go pod prysznic. Najpierw strumień gorącej, potem lodowatej wody, i tak parę razy. Zotow miał ochotę machnąć ręką na Igora i wyjść, trzasnąwszy drzwiami. Niech chłopak sam walczy z kacem. Nie mógł jednak tak postąpić. Wiele lat temu wzięł na swoje barki brzemię, więc teraz musi je dźwigać, mimo że to niełatwe.

Pół godziny później Igor, wyraźnie w lepszej kondycji i z weselszą miną siedział w kuchni zawinięty w ciepły, puszysty szlafrok i pił drugą filiżankę kawy.

– Zadzwoń do Lerki, Sława, bo długo jej nie ma – poprosił.

– Umawialiście się?

– No.

– Co „no”? Mów po ludzku – zażądał poirytowany Zotow.

- Jeszcze wczoraj jej kazałem, żeby przyszła rano posprzątać.
- A ona nie przyszła – podsumował złośliwie Wiaczesław Olegowicz.
- No. – Igor kiwnął głową, nie wyczuwając ironii, i podjął najzupełniej poważnie: – Myślałem, że wpadnie z samego rana i ogarnie chatę, zanim wstanę. Jak zwykle. Tymczasem wstaję, a tutaj wszędzie burdel, nie ma gdzie nogi postawić. Cholera wie, co to ma znaczyć. Może zachorowała? Zadzwoń, Sława, co?
- Sam zadzwonisz, nie jesteś dzieckiem. Byłoby jeszcze lepiej, gdybyś wziął się w garść i nie czekał na pomoc, to przecież twoje mieszkanie, nie jej. Myślisz, że Lera przez całe życie będzie sprzątała twoje brudy? Że nie znajdzie ciekawszego zajęcia i zawsze będzie usługiwała takiemu draniowi?
- Co ty tam wiesz – odburknął Igor. – Ona mnie kocha.
- Kocha – przyznał Zotowa. – A ty to wykorzystujesz. Zrobiłeś z dziewczyny swoją służącą. Żebyś chociaż poszedł po rozum do głowy i z nią nie sypiał...
- A czemu nie? Ona jest wniebowzięta, a ja to lubię.
- Głupiec z ciebie. – Wiaczesław Olegowicz westchnął. – Co będzie, jak jutro zechce urodzić ci dziecko? Co wtedy? Ożenisz się z nią?
- Też coś!
- No właśnie. A więc co? Kłótnie, awantury, w końcu ona odejdzie od ciebie, żeby zająć się dzieckiem, i kto będzie cię obsługiwał? Kto pójdzie na zakupy, nakryje do stołu i zmyje naczynia?
- Wielkie mi rzeczy. Znajdę inną. Lasek nie brakuje...
- Znowu masz rację. Znajdziesz inną i wszystko od początku. Miłość, łóżko, dom, potem ciąża, żądanie ślubu, kłótnia, rozstanie. I wszystko na nowo. Zauważ tylko, Igorku, że żadna inna nie zniesie tego co Lera. Najpierw znajdź dziewczynę podobną do niej, a potem porozmawiamy. Żeby była młoda, ładna, mądra, znała się na gospodarstwie domowym, kochała cię do szaleństwa i potrafiła w imię miłości poświęcić swoją dumę i godność. Sądzisz, że takie jak ona są na wyciągnięcie ręki? Myślisz, że wystarczy kiwnąć palcem i każda będzie twoja?
- Czemu nie? Zobacz, ile ich kręci się pod domem.
- A pomyślałeś, dlaczego się kręcą?
- To proste. Chcą się pobzykać z gwiazdą. Nie jest tak?
- To prawda, tego właśnie chcą. Ale czy chcą wynosić twoje brudy?

Opróżniać popielniczki, zmywać naczynia, szorować podłogi? Prać twoje slipy? Oglądać tabuny odwiedzających cię panienek? Chcą być przy tobie, brylować razem w towarzystwie, szczytem ich marzeń jest wyjść za ciebie. Oto czego potrzebują. Ty zaś, zakuty łbie, powinieneś od rana do wieczora dziękować Bogu, że masz kogoś takiego jak Lera. Nadchodzą duże zmiany w twoim życiu i tylko ona będzie mogła stawić im czoła razem z tobą.

Igor odstawił na stół pustą filiżankę i spojrzał czujnie na mentora.

– Jakie zmiany? O czym ty mówisz?

– Musimy poważnie porozmawiać, Igorze. Chociaż przez godzinę nie myśl o głupstwach, bo pytanie jest bardzo ważne.

– Nie strasz mnie – powiedział Igor, ale niezbyt pewnie. – Co się stało?

Zotow milczał przez chwilę, zbierając myśli. Niełatwo jest komuś oznajmić, że zostanie sprzedany jak niewolnik na targu. Wiaczesław Olegowicz przystał jednak na propozycję Stelli nie tylko dla pieniędzy. Zrobił to dla Igora. Musi więc go przekonać.

– Trzeba zadbać o twoją karierę – zaczął. – Musisz zostać prawdziwą gwiazdą. Na razie jesteś małą gwiazdką, ale nie powinieneś spoczywać na laurach. Potrzebny ci rozmach, ja jednak nie potrafię zapewnić ci tego, na co zasługujesz. Rozwój kariery wiąże się z dużymi nakładami finansowymi, wymaga licznych kontaktów i sławy osoby, która cię wypromuje. Jasne?

– Mniej więcej – odparł Igor oględnie. – Co dalej?

– Musisz się ożenić.

– Już pędzę na złamanie karku do urzędu – prychnął Wildanow. – Upadłeś na głowę, stary?

– Nie, mój drogi, to chyba ty upadłeś na głowę, skoro myślisz, że wszystko jest takie proste. Musisz poślubić kobietę, którą zna cały kraj. Sławną i bogatą. Która zainwestuje pieniądze w twoją karierę i wykorzysta dla ciebie własną popularność oraz możliwości organizacyjne.

– Uhm, ciekawe, gdzie znajdziesz młodą i sławną dziewczynę, która zechce wydawać na mnie forszę? Młode i sławne laski mają bogatych kochanków, to raczej oni obsypują je szmałem.

Wiaczesław Olegowicz się roześmiał. Tok rozumowania podopiecznego był bardzo naiwny.

- Kto powiedział, że będzie młoda?
- A co, może stara? – Igor się zdumiał. – Masz nierówno pod sufitem? Chcesz, żebym się ożenił ze starą babą? Nigdy w życiu!
- Zaczekaj. – Zotow się skrzywił. Poczł przyptływ irytacji i uczynił wysiłek, żeby się opanować. Nie ma sensu złościć się na chłopaka. To skończony dureń, który nie odpowiada za swoją ignorancję. Trzeba zachować cierpliwość i wszystko mu wytłumaczyć. Spokojnie i przystępnie, żeby zrozumiał. – Pięćdziesięcioletnia kobieta nie jest wcale stara, jeśli ładnie wygląda, jest pełna energii oraz chęci do życia i działania.
- Pięćdziesięcioletnia?! – Brwi Wildanowa podjechały w górę. – Powinna szykować się raczej do grobu, a nie do ślubu.
- Zamknij się! – ordynarnie zawołał Zotow, straciwszy zimną krew, i natychmiast zawstydził się swojego wybuchu. – Co ty o tym wiesz?! Młodej i pięknej możesz poszukać sobie do kochania, tymczasem Stella pomoże ci zrobić karierę.
- Stella?
- Tak, Stella. Nawet gdyby była łysą i bezzębną dziewięćdziesięcioletnią staruchą, musiałbyś się z nią ożenić, bo tak trzeba. Więc podziękuj, że ma nie dziewięćdziesiąt, a czterdzieści dziewięć lat.
- Wielkie dzięki. – Igor się uśmiechnął. – Dziękuję ci, Wiaczesławie Olegowiczu, mój kochany opiekunie, że znalazłeś mi znacznie młodszą żonę. Co będę z tego miał?
- Sławę. Prawdziwą sławę. Ona zaś oznacza prawdziwe pieniądze. Czy to mało?
- A co Stella będzie z tego miała? Rozumiem, że gotowa jest płacić, ale za co? Za to, że będę ją pukał co noc? Zachciało jej się młodego ciała?
- Głupiec z ciebie, nigdy niczego się nie nauczysz. – Zotow machnął ręką. – Na cholerę jej twoje ciało? Znajdzie sobie lepsze, jeśli zechce. Taka kobieta jak Stella może mieć każdego mężczyznę, i to za darmo. Facet, którego wybierze, będzie się uważał za wielkiego szczęściarza. Ona jednak wybierze ciebie. Rozumiesz?
- Nie-e. – Wildanow pokręcił głową. – Ni w ząb. Niby do czego jestem jej potrzebny?
- Do wykreowania odpowiedniego wizerunku. Będiesz wszystkim opowiadał, że zakochałeś się w niej bez pamięci, bo jest piękna,

utalentowana i mądra, seksowna i zmysłowa. A ona skapituluje pod naporem twoich uczuć, bo ty, w odróżnieniu od innych, też jesteś mądry, utalentowany i seksowny. W ten sposób zapewnicie sobie wzajemnie wizerunek i reputację. Ci, którzy kiedyś nawet nie spojrzeli w twoją stronę, zaczną cię zauważać, bo jako wielbiciel Stelli uznają, że skoro potrafiłeś zainteresować taką kobietę, widocznie coś w tym jest, masz rozum, talent i jesteś nietuzinkowy. A o niej zaczną mówić, że skoro w wieku czterdziestu dziewięciu lat potrafiła rozkochać do białej gorączki dwa razy młodszego od siebie chłopaka, to czapki z głów! Fani, którzy zaczęli ją zapominać i którym się znudziła, znowu zaczną popatrywać na nią z sympatią.

– Szlag by to! Reputacja, wizerunek! Wyuczyłeś się paru słówek! A kto ją będzie posuwał, ty? Sprzedajesz mnie starej babie, która wycisnie ze mnie siódme poty nocami! Chcesz, żebym został impotentem? To przecież będą moje ostatnie podrygi, już lepiej założę sobie pętlę na szyję! – wrzasnął Igor. – Nie dam rady się z nią kochać, a ona będzie mnie poniżać i piłować całymi dniami. Postawi przy drzwiach swoich cerberów i nie będę mógł nigdzie się wymknąć.

Zotow nie wytrzymał. Zerwał się z krzesła, chwycił Igora za poły szlafroka i podniósł bez trudu.

– Posłuchaj mnie, głupi gnojku – wysyczał. – Posłuchaj i wysil swój ptasi mózdzek, żeby ogarnąć to, co mówię. Nikt ci nie każe bzykać Stelli, co więcej, nawet jeśli nagle odkryjesz, że z niej świetna laska, i zechcesz się z nią przespać, ona nie pozwoli ci się do siebie zbliżyć. Stella ma swoje życie, a ty swoje. Wasze małżeństwo to umowa, kontrakt. Oboje udajecie szczęśliwą parę małżeńską. Na oczach publiczności odgrywacie żarliwą i dozgonną miłość. To wszystko. Ona ma zrobić z ciebie prawdziwą gwiazdę. Ty masz słuchać jej i mnie, ciężko pracować i jak najrzadziej zaglądać do kieliszka. Stella będzie inkasować wpływy z twoich koncertów, póki nie pokryją poniesionych na ciebie wydatków. Potem będziecie dzielić dochody inaczej, przypadnie ci większa dola. Ale nie od razu. Co się tyczy życia osobistego, nikt ci nie broni go prowadzić, ale wszystko musi wyglądać, że mucha nie siada. Żadnego popisywania się przed ludźmi. Możesz przygruchać sobie jakąś panienkę, tylko dyskretnie. Musi być sprawdzona, żebyś miał pewność, że cię nie wystawi i nikomu nie piśnie, że z nią sypiasz. Bo jeśli informacja

wycieknie, natychmiast dowie się o tym cała Moskwa, a potem cały kraj i nasza umowa ze Stellą wygaśnie. Zniszczysz jej reputację kobiety, której udało się podbić serce młodego utalentowanego mężczyzny, i zrobisz ze swojej żony starzejącą się nimfomankę, niepotrafiącą oprzeć się młodemu alfonsowi. Potem będziesz mógł tylko oddać do czyszczenia swój najlepszy czarny garnitur, żeby dobrze wyglądać w trumnie, bo Stella ci tego nie wybaczy. Dotarło, bałwanie?

– Puść – wychrypiał Igor. – To boli. No puszczaj!

Zotow gwałtownie rozluźnił uścisk i Wildanow opadł na krzesło.

– Wariat – wybąkał. – Czego się wściekasz? Nie mogłeś powiedzieć od razu?

– Tylko takim kretynom jak ty trzeba wszystko dobitnie tłumaczyć. Reszta chwyta w lot. I dbaj o Lerę, bo tylko ona zostanie przy tobie, gdy się ożenisz z Raisą.

– Z kim?

– Stella to pseudonim sceniczny, naprawdę nazywa się Raisa Iwanowna Bajdikowa. Mówiłem ci przecież ze sto razy.

– Wyleciało mi z głowy – jęknął Igor. – Wszystko muszę pamiętać? Niech sobie będzie Raisa, i tak się z nią nie ożenię.

Zotow znowu wstał i podszedł do drzwi. Oparł rękę o framugę, przymrużył oczy i zaczął się wpatrywać w Igora.

– Co powiedziałeś?

– Że nie ożenię się z żadną Stellą. Ogłuchłeś?

– A kto cię, wypierdku, będzie pytał? Jak odmówisz, raz, dwa wylądujesz na bruku. Nie będzie więcej żadnego koncertu ani nagrania. Przestaną się tobą zajmować i koniec, mój drogi, jesteś załatwiony. Nawet nie wiesz, gdzie się obrócić i z kim porozmawiać, żeby zorganizować występ, bo zawsze ja to robiłem. I nie myśl, że agenci ustawią się do ciebie w kolejce, błagając, żebyś zgodził się dać koncert. Na razie jesteś gwiazdą takiego formatu, że trzeba cię prowadzić za rączkę. Więc nie kłóć się ze mną, Igorku, jeśli chcesz mieć dom i smacznie jadać, a nie żebrać na ulicach jak w młodości.

Igor chyba go nie słuchał, bo utkwiał nieruchomy wzrok w jakimś punkcie za oknem. Potem wolno wstał i wyszedł z kuchni, nie mówiąc ani słowa. Trzasnęły drzwi sypialni, zapadła cisza.

Zotow uśmiechnął się z satysfakcją i sięgnął do lodówki po wodę

mineralną. Pijąc małymi łykami lodowaty napój gazowany, myślał, że oczywiście przesadził. Ale przyświecały mu dobre intencje. Igor jest dość znany i popularny, producenci mogą na nim zarobić, więc jeśli on, Zotow, porzuci swojego podopiecznego, od razu znajdą się chętni, by eksploatować jego talent. Przedstawiciele różnych firm już parokrotnie zwracali się do Zotowa, proponując swoje usługi Igorowi Wildanowowi. Gotowi byli w niego zainwestować, zorganizować mu dobrą reklamę i trasę koncertową. Wyliczenia pokazywały, że Zotow otrzymałby tyle samo, a może nawet więcej, mimo to się nie zgadzał. Stworzył Igora własnymi rękami i nie zamierzał wyrzekać się efektów swojej pracy. Producenci są jak sępy, które zlatują się na gotowe, na to, co gwarantuje zysk. Nikt nie chce ryzykować i stawiać na początkujących, nikomu nieznanym artystów. Zotow jednak zaryzykował. Zaopiekował się małym włóczęgą, w każdej chwili spodziewając się, że ten najzwyczajniej w świecie ucieknie, zabierając pieniądze i cenne rzeczy z mieszkania. Od początku naraził na szwank swoje małżeństwo, w końcu pierwsza żona od niego odeszła i zabrała dzieci, nie wytrzymała obecności małego potwora, któremu mąż poświęcał cały swój czas i oddawał wszystkie siły. Po jakimś czasie Zotow ożenił się po raz drugi, ale nowa żona też nie pogodziła się z tym, że mąż interesuje się Igorem, a nie życiem rodzinnym. Wiaczesław Olegowicz zszargał sobie nawet reputację, ponieważ wszyscy zgodnie uznali, że jego związek z Igorem opiera się na seksie. Żadnego seksu, rzecz jasna, nie było, obaj mężczyźni mieli tradycyjną orientację, ale przez długi czas plotki o Zotowie nie cichły. Teraz też je powtarzano. Na przykład Lewczenko, stary cap, za każdym razem robił niewybredne aluzje.

Zotow nie odda Igora żadnej firmie producenckiej. Ale odda go Stelli. Po pierwsze dlatego, że Stella kiedyś już przeprowadziła podobną operację, i to z powodzeniem, udowadniając zainteresowanym stronom, że potrafi dotrzymać warunków kontraktu. Pomogła w karierze młodemu, nieznanemu piosenkarzowi, który dzięki niej wypłynął na szerokie wody. To nie jej wina, że młodzieniec długo się nie utrzymał, sam sobie zaszkodził, w dodatku zabrakło mu talentu. Oddanie Igora Stelli oznacza, że chłopak trafi w pewne ręce, Zotow musi tylko zagwarantować sobie prawo, by pozostać jego menadżerem artystycznym, bo Stella ma kiepski gust, a o Igorze szkoda mówić. To po

pierwsze. Po drugie... Zotow nigdy nie przystałby na tę umowę. Gdyby nie okoliczności.

Jakieś dwadzieścia minut później Wiaczesław Olegowicz uznał, że Igor zdążył już wszystko przemyśleć i można wrócić do przerwanej rozmowy. Wszedł bez pukania do sypialni. Piosenkarz leżał z rękami pod głową na szerokim łóżku niedbale przykrytym narzutą i wpatrywał się w sufit.

– No jak, zastanowiłeś się? – zapytał Zotow pojednawczo, przysiadając na skraju łóżka.

Igor milczał i nawet nie drgnął. Mogło się wydawać, że nie zauważył obecności Wiaczesława Olegowicza.

– Uwierz mi, Igorku, że tak będzie lepiej. To dla twojego dobra. Proszę cię, weź się w garść, ubierz i ruszajmy do pracy. A wieczorem spotkamy się z przedstawicielami Stelli i uzgodnimy pierwsze kroki. Wszystko należy robić z rozmysłem i po kolei, żeby kontrakt przyniósł pożądane efekty.

Wargi Igora poruszyły się lekko.

– Nie mogę – niemal wyszeptał.

– Czego nie możesz?

– Nie mogę się z nią ożenić.

– Dlaczego?

– Nie mogę.

Zotow po ojcowsku poklepał go po ręce.

– Bzdury, Igorku. Co to znaczy „nie mogę”? Dlaczego nie możesz?

– Sam powiedziałeś, że najważniejszy w tej historii jest wizerunek. Zgadza się?

– Owszem. I co z tego?

– Powiedziałeś, że jeśli zniszczę wizerunek, Stella mnie zabije, tak?

– To prawda. Ona cię oczywiście nie ruszy, ale zleci to odpowiednim ludziom. Boisz się, że nie wytrzymasz, narobisz głupstw, a potem będziesz musiał za to zapłacić?

– Tak. Boję się. Nie jestem pewien, czy nie zniszczę wizerunku.

– No co ty, Igorku – powiedział Zotow łagodnie. – Niczego się nie bój. Przez cały czas będę przy tobie, jak przez ostatnie lata, i w razie czego cię przyhamuję. Nie powinieneś się bać, zapomnij o tym. No to jak, dzwonię i umawiamy się na spotkanie wieczorem?

– Nie!

Igor zerwał się z łóżka jak oparzony i chwycił Zotowa za rękaw.

– Nie! Nie dzwoń. Nie dam rady. Nie, proszę, nie, nie trzeba...

Twarz wykrzywił mu grymas, głos się załamał. Zotow silnie pchnął go w ramię, umieszczając z powrotem na łóżku.

– Przestań histeryzować! – powiedział surowo. – Co niby takiego się dzieje? Ktoś proponuje ci pieniądze i sławę, palancie, w dodatku za darmo. Masz dziewczynę, wspaniałą, dobrą, mądrą i ładną, która kocha cię do szaleństwa, wszystko zrozumie i pozostanie przy tobie. Masz zaprzyjaźnionego nauczyciela, który pomaga dobierać repertuar i udziela ci korepetycji. Co cię powstrzymuje? Czego się przestraszyłeś?

– Boję się, że Stella się dowie... – powiedział Igor cicho. – Zresztą nie tylko ona. To będzie jej koniec.

– O czym się dowie?

– No... O tym. Sam wiesz.

– Skąd? Ty jej nie powiesz, nie jesteś skończonym idiotą. Ja też nie. Nikt inny nie ma o tym pojęcia.

– Nieprawda.

– Czemu tak sądzisz?

– Ktoś mnie szantażuje – wyszeptał Igor i nagle wybuchnął płaczem.

Rozdział 8

Gdy Lera Niemczinowa obiecywała wieczorem Igorowi, że przyjdzie nazajutrz posprzątać po imprezie, nie pamiętała, że tego dnia czeka ją kolokwium z układu trawiennego. Przypomniała sobie dopiero wczesnym rankiem, gdy obudziło ją natarczywe terkotanie budzika. Nie chciała dzwonić do Igora, bo wiedziała, że o tej porze jeszcze mocno śpi, i to raczej nie sam. Nie szkodzi, pomyślała, gorączkowo wsuwając do torby konspekty i podręczniki, zgłoszę się pierwsza do odpowiedzi, zdobędę zaliczenie, a potem od razu do niego pojedę. Igor nie wstaje przed dwunastą, więc zdążę wpaść do wujka Sławy po klucze i posprzątać.

Nic jednak nie poszło zgodnie z planem. Wykładowca wpuścił całą grupę do sali i zaczął długo i drobiazgowo egzaminować studentów z całego tematu, nikomu nie dając zaliczenia. Lera denerwowała się i zamiast myśleć o układzie trawienia, zastanawiała się, co będzie, gdy Igor się obudzi i zobaczy nieposprzątane mieszkanie. Rozgniewa się i uzna, że Lera do niczego się nie nadaje i nie ma z niej żadnego pożytku. Nie dość, że nie pomoże mu rozwiązać jego problemu, to jeszcze nie przychodzi w porę, żeby zrobić porządek. Po co mu ona?

Lera odpowiadała ni w pięć, ni w dziewięć i w efekcie nie dostała zaliczenia.

– A pani Niemczinowej radzę posiedzieć dzisiaj w prosektorium i zjawić się jutro z inną grupą – powiedział wykładowca, rozdając studentom indeksy.

Lera wypadła z sali i popędziła do aparatu znajdującego się w holu. Telefon domowy Zotowa nie odpowiadał, więc zadzwoniła na jego komórkę, ale wujek Sława rozmawiał z nią oschłym tonem i powiedział, że nie powinna teraz przyjeżdżać do Igora, bo chłopak jest bardzo zajęty.

– A co ze sprzątaniem? – zapytała stropiona. – Igor będzie się gniewał, przecież obiecałam, że zrobię wszystko, zanim wstanie.

– On już wstał i zaraz przyjdą do niego ludzie. Sami tu posprzątam, a ty zadzwoń wieczorem – odparł Zotow i się rozłączył.

Lera omal się nie rozplakała ze złości. Ale głupio wyszło! A ona pragnęła wpaść do Igora rano. Lubiła te chwile, wiązała z nimi wszystkie swoje nadzieje i za każdym razem liczyła, że wydarzy się cud. Podobny do tego, którego się spodziewała, gdy Igor przyprowadzał gości. Wyobrażała sobie taką oto scenę: Igor budzi się i widzi koło siebie wymiętą i opuchniętą z przepicia twarz rozczochranej dziewczyny, której brzydko pachnie z ust. Zarzuca szlafrok i idzie do łazienki. Wszędzie panuje czystość i wzorowy ład, powietrze jest świeże, z kuchni dochodzi zapach świeżo zaparzonej kawy. Lera, ładnie uczesana i umalowana, roztaczająca woń dobrych perfum, czule się do niego uśmiecha. Wówczas do niego dociera, jakim był głupcem, wybierając nieciekawe panienki. Od razu przepędza na cztery wiatry przypadkową przyjaciółkę, chwyta Lerę na ręce i zanoszą do sypialni, a potem jej się oświadcza... Czasami marzenie się urzeczywistniało, ale nie do końca i w sposób raczej żałosny. Igor wychodził z sypialni, na widok świeżej młodej dziewczyny oczy zaczynały mu błyszczeć pożądaniem. Niemal na siłę wpychał swoją partnerkę pod prysznic, mówiąc: „Zaczekaj chwilę, zaraz do ciebie przyjdę”, po czym rzucał się na Lerę, nawet nie zdejmując szlafroka i nie pozwalając, żeby się rozebrała. Po prostu zadzierał jej spódnicę i zionąc przetrawionym alkoholem, zaciągał tam, gdzie było najbliżej: na stół albo na kanapę. Wszystko kończyło się prawie natychmiast, Igor zawiązywał szlafrok, rzucał zdawkowo: „Jesteś cudowna, kotku” i biegł do łazienki. Było to wstrętne i poniżające, ale Lera cieszyła się nawet z tego i uparcie czekała na dzień, w którym wszystko potoczy się tak, jak sobie wymarzyła. Cierpliwość to klucz do sukcesu, przekonywała się w duchu. Przecież najpierw nie miała żadnych szans u Igora, mimo to nie poddała się i czekała, aż w końcu zaznała szczęścia. Teraz też się doczeka. Szkoda tylko, że nie tym razem. A wszystko przez głupie kolokwium!

Noga za nogą powlokła się do szatni po futerko. Ubierając się przed dużym, odbijającym całą postać, lustrem, przyjrzała się sobie krytycznie. Zgrabna, z wysuniętym do przodu biustem i długimi nogami,

z kasztanowymi lokami, bez wątpienia prezentowała się świetnie. Czego Igor od niej chce? Dlaczego jest taki... Nie, ofuknęła się w myślach, Igor jest najlepszy. Wspaniały. Najprzystojniejszy, najzdolniejszy i najukochańszy. Trzeba tylko umieć czekać, a wszystko się ułoży.

Zapięła futerko i wyszła na ulicę. Promienie zimowego słońca były tak samo oślepiające jak latem, więc od razu wyjęła z torby i włożyła ciemne okulary: osłaniała oczy, bojąc się przedwczesnych zmarszczek. Do prosektorium pójdzie później, wieczorem. W ciągu dnia odbywają się tam zajęcia, a wieczorami zbierają się ci, co chcą się poduczyć. Lera nie chciała wracać do domu, znenawidzony dziadek wziął dzisiaj wolne, do Igora nie wolno jej jechać, nie miała też przyjaciół, do których mogłaby wpaść na kawę. Nieudany od rana dzień okazał się byle jaki i nedorzeczny. Nie pójdzie przecież do kina! Ani do muzeum.

Nieśpiesznie przemierzała Komsomolski Prospekt, oglądała witryny sklepowe i ogłoszenia, zastanawiając się, jak zabić czas. Na widok szyldu salonu piękności zdecydowanie pchnęła drzwi prowadzące do środka. W drogich salonach usługi są oczywiście na zapisy, ale niewykluczone, że jakiś klient nie przyszedł i któryś z pracowników ma okienko. Było jej wszystko jedno, gdzie trafi: do fryzjera, kosmetyczki czy na masaż. Pójdzie tam, gdzie znajdzie się wolne miejsce.

Okazało się, że było ono w gabinecie kosmetycznym. Dwie dziewczyny zajmowały się klientkami, a trzecia piła kawę w recepcji i czytała nowy numer magazynu „Cosmopolitan”. Udawała, że nie widzi Lery i nie słyszy jej pytania, jednakże surowy wzrok właścicielki sprawił, że wstała niechętnie z krzesła.

– Chodźmy.

Parę minut później rozebrana do pasa Lera leżała na wysokim stole do masażu, przykryta grubym, włochatym ręcznikiem. Z obu stron, odgrrodzone zasłonami, leżały panie z maseczkami na twarzach. Klientki milczały, ale słysząc było dość głośne dźwięki radia i paplaninę kosmetyczek, które ochoczo obgadywały moskiewskie znakomitości. Lera zamknęła oczy i oddała się w ręce Nataszy – miłośniczki „Cosmopolitan”.

– Czyli zmywamy makijaż, robimy masaż, nakładamy maseczkę witaminową i nawilżającą, a następnie robimy świeży makijaż. Coś jeszcze? – zapytała Natasza.

– Jak pani uważa – wybąkała Lera, prawie nie otwierając ust. – Proszę zrobić coś jeszcze, jeśli zostanie trochę czasu.

Nagle ogarnęło ją zmęczenie, wczoraj położyła się późno, wstała skoro świt, zdenerwowała się na uczelni i dlatego, że nie trafiła do Igora. Chciała tylko poleżeć, o niczym nie myśląc, a jeśli się uda, to nawet się zdrzemnąć.

Ręce Nataszy zwinnie fruwały koło twarzy, zmywając makijaż miękkimi gąbkami zwilżonymi lotionem, i Lera się odprężyła. Niedługo potem poczuła, że zapada w przyjemną drzemkę, z daleka dobiegały ją przytłumione głosy. Zaczęła śnić jakiś niewyraźny sen, gdy usłyszała głos Igora. Nie, nie zjawił się, rzecz jasna, w salonie. Jego głos rozbrzmiewał w radiu. Lera natychmiast się ocknęła, a kosmetyczki zmieniły temat rozmowy.

– Oj, ten Wildanow! – Westchnęła jedna z nich. – Uwielbiam go! Mało nie umarłam z zachwytu podczas jego ostatniego koncertu.

– Na żywo jest tak samo przystojny jak w telewizji? – zainteresowała się inna.

– No wiesz! – oburzyła się pierwsza. – Na żywo wygląda jeszcze lepiej. Wysyła takie fale... Nawet sobie nie wyobrażasz! Komuś takiemu jak on oddałabym się za darmo.

– A co, facet jest oziębły? – zapytała Natasza drwiąco.

– Przeciwnie, podobno to niezły babiarz. Nawiasem mówiąc, niedawno miałam klientkę, której koleżanka nocowała u niego. Pytam, czy koleżanka jest ładna. Ona na to, że brzydka jak noc. Więc chyba Wildanow nie jest wybredny.

Lera uśmiechnęła się w myślach. A jednak ma rację, panienki Igora są nic niewarte i nie jest to kwestia zazdrości, ale obiektywnej oceny.

– Co jeszcze mówiła twoja klientka? – znowu zapytała Natasza. – Jakie facet ma mieszkanie, jaki jest w łóżku?

– Jej koleżanka była zachwycona. Facet jest bezpośredni, mówi, i nie zadziera nosa, lubi się pośmiać i poopowiadać sprośne żarty. Ale w łóżku rozczarowuje.

– No tak – włączyła się inna dziewczyna. – Jaki w życiu, taki w łóżku. Przeciętniak.

– Przestań się wyzłośliwiać! – obruszyła się pierwsza i Lera poczuła coś na kształt wdzięczności dla niewidocznej dziewczyny, która próbowała

wziąć Igora w obronę. – Ideały nie istnieją, nawet na słońcu są plamy. Za to jak facet śpiewa! Nie uwierzysz, ale zawsze płaczę, gdy słyszę *Requiem*. To śliczna piosenka, a on wspaniale ją wykonuje.

– A ja słyszałam, że Wildanow zatrudnia pomoc domową. Kobieta tyra za darmo, tylko za to, że on ją od czasu do czasu puknie – powiedziała Natasza. – Twoja klientka nie wspominała o tym?

– Wspominała. Wyobrażasz sobie, jaka to odjazdowa sytuacja? Też chciałabym znaleźć takiego faceta, który robiłby wszystko w domu, a ja bym mu łaskawie pozwalała czasami się popieścić.

Dziewczyny roześmiały się chórem. Lera pragnęła zapaść się pod ziemię. To przecież o nią chodzi! O nią. Pomoc domowa, którą Igor czasami pieści dla zachęty. Ale to nieprawda! Nieprawda! Ona nie jest pomocą domową, jest przyjaciółką, prawdziwą przyjaciółką, wierną ukochaną, i gdy Igor ją pieści, nie robi tego z łaski, w tych chwilach zdaje sobie sprawę, że ona jest najlepsza i że nikogo prócz niej nie potrzebuje. Te wszystkie jego panienki rozsiewają tylko plotki. Żmije! Są na niego wściekłe, że zostawia je po tygodniu, tymczasem ona, Lera, jest z nim już ponad rok, i dlatego złośliwie plotkują.

– A jak wygląda pomoc domowa Wildanowa? – znowu rozległ się głos Nataszy. – Jest młoda czy stara?

– To jakaś smarkula, chyba chodzi jeszcze do szkoły – lekceważąco odparła najbardziej zorientowana. – Jest szkaradna, chuda i głupia, należy do grona fanek, które gotowe są oderwać guzik od marynarki swojego bożyszczka i nosić go potem w spoconej piątce. Uważa się za szczęściarę, że może go odwiedzać. Moja klientka mówiła, że spija mu słowa z ust i tylko czeka na jego rozkazy.

– Że też daje się tak poniżać – powiedziała Natasza z westchnieniem. – Nie czuje do siebie wstrętu?

– Może tego nie rozumie – zaoponowała tamta, która była nastawiona najbardziej sceptycznie i nazwała Igora przeciętnikiem. – Przecież mówisz, że to smarkula.

– No jasne, nie rozumie! Za to doskonale wie, jak mu wskoczyć do łóżka – kategorycznie oświadczyła Natasza. – Nie, moje kochane, ona to rozumie. Są tacy ludzie, którzy powinni urodzić się psami. Sens życia widzą w tym, żeby być absolutnie wiernym, kochać właściciela bez względu na to, kimkolwiek się okaże, i zaglądać mu w oczy. Inaczej nie

potrafią i nie chcą żyć. Widocznie dziewczyna jest właśnie taka. Nawiasem mówiąc, to najlepszy materiał na żonę. Facet to prymitywna i ograniczona istota, najlepiej czuje się przy kobiecie, która jest w niego ślepo zapatrzona i łowi każde słowo, nigdy go nie krytykuje i znosi wszystkie wyskoki. Taki facet zdradza ją oczywiście na prawo i lewo, ale nigdy jej nie porzuci. Nigdy, wspomnicie moje słowa. Zobaczycie, że Wildanow ożeni się jeszcze ze swoją pomocą domową.

Lera miała ochotę krzyczeć. Ból był tak dotkliwy, jakby ktoś przypalał jej ciało gorącym żelazem. W pierwszym odruchu chciała się zerwać i pobiec, gdzie oczy poniosą, ale wtedy wszyscy by się domyślili, że mowa o niej, no bo niby dlaczego się zdenerwowała? Nie, za nic nie przyzna, że to wszystko dotyczy właśnie jej. Boże, co za wstyd! Czy to znaczy, że cała Moskwa myśli to samo co te dziewczyny? Jak to dobrze, że nikomu nie powiedziała o swoim związku z Igorem Wildanowem. Że trzymała język za zębami i się nie pochwaliła. Zrobiła to oczywiście z innego powodu: potrzebowała tajemnicy, która wyróżniałaby ją spośród innych, i uczyniła kimś wyjątkowym i wybranym. Nie chciała, żeby wszyscy dowiedzieli się o jej znajomości z gwiazdorem estrady i bożyszczem młodych dziewcząt. Sądziła, że nagłośnienie tego faktu nie zrobi z niej kogoś wyjątkowego. Owszem, koleżanki będą jej zazdrościły, a w oczach chłopców znacznie wzrośnie jej wartość, ponieważ sam Wildanow zwrócił na nią uwagę. Ale co ją obchodzą rówieśnicy? Czy ich zdanie ma jakiegokolwiek znaczenie? Czy ich oceny są ważne? To jeszcze smarkacze, nie zasługują na to, żeby się na nich oglądać. Dla Lery Niemczinowej liczyli się zupełnie inni ludzie, dorośli i poważni, oni zaś mogli wyśmiać dziewczynę zakochaną w znanym piosenkarzu. Takich dziewcząt są całe rzesze, znani artyści zmieniają je jak rękawiczki. Gdy jednak wszyscy się dowiedzą, że Igor Wildanow zamierza ożenić się z Walerią Niemczinową, sprawa zyska nowy wymiar. Każdy zrozumie, że Lera nie jest jedną z wielu, że to ta jedyna i najlepsza, którą Igor wybrał, by wieść z nią długie i szczęśliwe życie. Ale póki to się nie stało, ich znajomość i zażyłość należy trzymać w głębokiej tajemnicy, bo gdyby coś poszło nie tak, Lera stanie się obiektem powszechnej litości. W najlepszym razie litości. Bo przecież posypią się też szyderstwa...

Jak to dobrze, że nikomu nie wyjawiała tajemnicy. Czy mogła przewidzieć, że ludzie zaczną opowiadać o niej takie plugastwa? Nawet

nie pomyślała, że jej zachowanie wygląda z boku tak ohydnie. Na szczęście kosmetyczki nie podejrzewają, że obiekt ich ożywionej dyskusji leży tuż przed nimi z maseczką witaminową na twarzy.

Wytrzymała tortury do końca i nawet się nie poruszyła. Zniosła wszystko bez słowa. Natasza zdjęła maseczkę i wklepała krem.

– Gotowe, może pani wstać. Proszę się ubrać i usiąść w fotelu. Zawsze jest pani taka blada?

– Owszem – wycedziła Lera.

– Podkład zrobimy ciemniejszy, żeby twarz wyglądała zdrowo, dobrze?

– Wszystko mi jedno.

– Makijaż dzienny czy wieczorowy?

– Jak najmocniejszy.

Miała kłopoty z mówieniem, emocje sprawiły, że nie mogła otworzyć zaciśniętych szczęk. Pomoc domowa! Czy Igor też ją tak nazywał? Czy to jego słowa wszyscy teraz powtarzają, mówiąc, że Wildanow ma służącą, która pracuje nie za pieniądze, tylko za krótkie chwile pośpiesznego, wspaniałomyślnego, bezdusznego seksu? Nie, wykluczone, to sprawa jego panienek, głupich i zawistnych. Przecież widzą, że Lera jest ładna, nie mogą tego nie widzieć, mają oczy, więc zmyślają bajeczki o tym, że jest głupim brzydactwem. Zdziiry, bezczelne zdiiry! Lera powie Igorowi, że jego przypadkowe kochanki obrzucają ją błotem, niech on też poczuje wstyd.

– Jaki kostium pani włoży?

– Słucham? – zapytała zdezorientowana Lera. – Kostium?

– Pytam, do jakiego kostiumu zrobić makijaż – cierpliwie wyjaśniła Natasza. – Do ciemnego czy jasnego? Fryzura będzie inna?

– Nie, nie, wszystko pozostanie jak teraz. Chcę tylko mieć mocny makijaż. Jak najmocniejszy.

– Ekstrawagancki?

– Tak.

Intuicyjnie chciała zmienić swój wygląd, bo wpadła w popłoch. A jeśli ktoś ją rozpozna? Pół Moskwy już wie, że Wildanow ma pomoc domową, służącą. Tego jeszcze brakuje, żeby ktoś, kto widział Lerę u Igora, rozpoznał ją na ulicy. Wtedy wszyscy zaczną wytykać ją palcami i się z niej śmiać. O Boże, to nie do wytrzymania!

Gdy Lera wyszła z salonu, na dworze panował już zmrok. Powinna

wypić kawę gdzieś niedaleko, a potem pójść do prosektorium, żeby się przygotować do jutrzejszej poprawki. Posępnie wlokła się Komsomolskim Prospektem w stronę metra Frunzienskaja, bojąc się podnieść oczy. A nuż trafi na jakiegoś znajomego Igora?



Gdy znalazła się w budynku instytutu, poczuła pewną ulgę. Tutaj nie było przyjaciółek Igora, nikt też nie wiedział o jej hańbie. Zostawiła futerko w szatni, wyjęła z torby fartuch i ruszyła do prosektorium.

– Cześć – przywitał ją kolega niosący tacę z czaszką. – Mieliście już kolokwium u Tunkina?

– Dzisiaj – odparła niechętnie.

– I co? Facet bardzo się czepia?

– Nie, nie bardzo. – Lera postanowiła być sprawiedliwa. – Tak sobie. Odpowiadałam słabo, więc to moja wina.

– Czyżbyś nie dostała zaliczenia? – Kolega się zdumiał. – Zawsze byłaś prymuską.

Lera wzruszyła ramionami i ruszyła dalej. Nie będzie przecież wyjaśniała każdemu po kolei, dlaczego nie dostała zaliczenia, dlaczego nie mogła się skoncentrować i z jakiego powodu była zdenerwowana. Kim oni wszyscy są, żeby miała się przed nimi tłumaczyć i składać im wyjaśnienia? Nie dorastają jej do pięt, prymitywne istoty.

Wzięła tacę z preparatami i umieściła ją na szerokim marmurowym stole, wokół którego stali studenci z takimi samymi tacami i otwartymi podręcznikami. Położyła torebkę na podłodze i zdjęła z palca pierścionek z brylantem. Zawsze go zdejmowała przed włożeniem rękawiczek, i zawieszała na złotym łańcuszku. Gdy podniosła jak zwykle ręce, żeby rozpiąć łańcuszek, nagle przypomniała sobie niedawnego znajomego, który opowiadał interesujące rzeczy o polu i promieniowaniu. Mówił, że noszenie zawieszki na łańcuszku jest szkodliwe. A jeśli to prawda? Może wszystkie niepowodzenia związane z Igorem biorą się stąd, że Lera niewłaściwie nosiła pierścionek? Gdy Igor ją zauważył i uczynił swoją wybranką, jeszcze go nie miała, pojawił się dopiero potem i od razu wszystko poszło na opak.

Zdecydowanym ruchem wyjęła z torebki portfel i włożyła do niej

pierścionek. Nie powinna ryzykować, gdy sprawy źle się układają. Mimo że nie miała do niczego głowy, spróbowała skoncentrować się na leżących przed nią preparatach żołądka i jelita. Kłopoty kłopotami, ale jutro czeka ją ponowne kolokwium, wykładowcy zaś nie obchodzą urazy psychiczne studentek.

Udało jej się oderwać myśli od swoich przeżyć, gdy nad pochylonymi głowami rozległ się gromki głos.

– Proszę o chwilę uwagi, adepci medycyny! Zobaczcie, proszę, czyja to torebka!

Lera odwróciła się w stronę głosu dobiegającego od strony drzwi i zobaczyła nieznanego mężczyznę, który trzymał damską torebkę w wysoko podniesionej ręce. Jej torebkę. Nie, to niemożliwe, jej torebka leży na podłodze, zdaje się, że jeszcze niedawno trącała ją nogą. Opuściwszy wzrok, stwierdziła, że torebka zniknęła. Co to ma znaczyć?

– To moja torebka! – krzyknęła głośno, bojąc się, że nie zostanie usłyszana, i wyrzuciła w górę rękę w gumowej rękawiczce. – Należy do mnie!

Zaczęła pośpiesznie przeciskać się między studentami, obawiając się, że mężczyzna z torebką zaraz sobie pójdzie. On jednak się nie ruszał, stał spokojnie przy drzwiach i patrzył na zbliżającą się dziewczynę.

– A więc to pani torebka? – zapytał, gdy Lera stanęła przed nim.

– Moja. Czemu pan ją zabrał? Ukradł ją pan?

– Ależ nie, co pani przyszło do głowy? – Mężczyzna się roześmiał. – To prawda, że została ukradziona, ale zrobił to tamten typek, nie ja.

Pokazał ręką gdzieś za drzwi. Lera wyjrzała na korytarz. Dwaj wysocy młodzi mężczyźni trzymali mocno za przedramiona niepokaźnego faceta koło czterdziestki, niewysokiego i wąłęgo. Taki wszędzie się wciśnie, bezwiednie zauważyła Lera.

– Jestem milicjantem – ciągnął mężczyzna wesoło. – Przechodziłem koło waszego instytutu, widzę: z budynku wypada gość z damską torebką w rękach. Coś tu nie gra, myślę. Skoro mężczyzna ma torebkę, gdzieś niedaleko musi być jego towarzyszka, tymczasem nikogo takiego nie zauważam w pobliżu. Oko mam wyćwiczone, więc od razu zagiąłem na niego parol. „Czyja to torebka?” | – pytam. „Gdzie jest właścicielka?” Facet okazał się miękki, zaczął nawijać, że znalazł ją na ulicy i teraz chodzi po wszystkich okolicznych budynkach i pyta, czy ktoś jej nie

zgubił. Krótko mówiąc, pospolita historyjka, wszyscy złodzieje ją opowiadają, gdy zostają przyłapani na gorącym uczynku. Bo przecież pani chyba nie zgubiła ani nie zostawiła swojej torebki?

– Oczywiście, że nie. – Lera trochę się uspokoiła i usiłowała nawet uśmiechnąć się miło. Mężczyzna zaczynał jej się podobać, emanował pewnością siebie i spokojem, który jednak nie wydawał się smętny, lecz pogodny, w każdej chwili gotów obrócić się w żart i śmiech. – Weszłam z torebką do prosektorium, położyłam ją na podłodze przy sobie. Wydaje mi się, że widziałam ją jeszcze parę minut temu.

– Jeśli chodzi o czas, to chyba pani przesadza. – Milicjant pokręcił głową. – Od chwili kradzieży upłynęło co najmniej dziesięć albo piętnaście, a może nawet dwadzieścia minut. Ale to rozumiałe, gdy człowiek jest zajęty, czas szybko biegnie.

– Dziękuję panu. – Lera wyciągnęła rękę po torebkę, ale mężczyzna, o dziwo, trzymał ją mocno i najwyraźniej nie zamierzał oddać.

– Chwileczkę – powiedział surowo. – Nie mogę tak po prostu zwrócić pani torebki. Musi pani pojechać z nami na komisariat i załatwić wszystkie formalności.

– Jakie formalności? – zdziwiła się Lera. – Torebka należy przecież do mnie, mogę to udowodnić. Są w niej moje dokumenty.

– Ależ ja pani wierzę – powiedział milicjant uspokajająco. – Złodziej dopuścił się jednak przestępstwa, więc należy pociągnąć go do odpowiedzialności. Żeby to zrobić, musimy określić rozmiar i wartość straty, rozumie pani? Od tego zależy kwalifikacja czynu i zakres zarzutu.

Lera nie знаła się na tego rodzaju sprawach, pojęcia „kwalifikacja” czy „zakres zarzutu” były jej obce. Ale przecież nie przyzna się temu sympatycznemu mężczyźnie do swojej ignorancji!

– Tak, oczywiście – zgodziła się z poważną miną. – Rozumiem. Muszę zwrócić preparaty...

– Zaczekamy.

Lera oddała tacę z preparatami, odebrała legitymację studencką i wróciła do milicjanta, który cierpliwie czekał przy drzwiach.

– A gdzie pozostali? – zapytała, rozglądając się.

– W samochodzie – odparł krótko. – Chodźmy.

Parę minut później dotarli na miejsce. Lera jechała skromnym żiguli

milicjanta, który zatrzymał złodzieja, rabuś znalazł się w innym aucie. Pomieszczenie komisariatu zrobiło na niej odpychające wrażenie. Było zimne i obskurne, ściany pomalowano farbą olejną, na podłodze leżało podarte linoleum. Zaraz przy wejściu znajdowało się zakratowane „piekiełko”, w którym siedzieli z posępnymi minami jacyś niechlujni mężczyźni, Lera dostrzegła wśród nich nawet jedną kobietę. Od razu ją rozpoznała, była to młoda Cyganka, która często kręciła się po skwerze między dwoma instytutami: medycznym i chemiczno-technologicznym w poszukiwaniu ufnych studentów pragnących poznać przyszłe smutki i radości.

– Ej, ślicznotko! – Na widok dziewczyny Cyganka się ożywiła i zatrajkotała: – Nudno mi tutaj, zaczynam tracić wprawę. Może ci powrózę, zrobię to za darmo, nie wezmę pieniędzy, niczego nie wezmę, powiem całą prawdę, co było, co będzie, co ci leży na sercu i jak się skończą twoje kłopoty.

Kobieta zerwała się z ławki i wyciągnęła ręce przez kraty. Z okienka od razu wyjrzał dyżurny major ze znużoną miną.

– Ucisz się, Zioma, daj spokojnie pracować. Wrzeszczysz jak opętana.

– Nie mówisz prawdy, naczelniku! – obruszyła się Cyganka. – Czy ja ci przeszkadzam? W ogóle ci nie przeszkadzam, chcę tylko pomóc dobrej dziewczynie, bo ma duży kłopot i nie wie, jak sobie z nim poradzić. Jest młoda, niedoświadczona i nie zna życia, dlatego dała się oszukać. Powiem jej całą prawdę, a ona mi za to jeszcze podziękuje. Podejdz tutaj, ślicznotko, daj rączkę.

Lera odsunęła się przestraszona. Przez chwilę ich spojrzenia się spotkały i dziewczyna poczuła się tak, jakby spadała w przepaść. Oczy Cyganki nie były straszne, o nie, były wyraziste, błyszczące i duże, obramowane długimi, gęstymi rzęsami. Ale, nie wiedzieć czemu, paraliżowały Lerę. Zapomniała nawet, gdzie jest i po co przyszła.

– Daj rączkę, nie bój się, nie zażądam pieniędzy ani złota, siedzę za kratami, nie zrobię ci krzywdy...

Głos Cyganki, mamroczącej słowa zachęty, dobiegał jak gdyby z daleka.

– Walerio Giennadjewna! – rozległo się tuż nad jej uchem.

Lera ocknęła się.

– Tak? Słucham.

Milicjant imieniem Władimir, ten, który przywiózł ją do komisariatu, stał obok, trzymając ją za ramię.

– Proszę ze mną, Walerio Giennadjewna – powiedział surowo i dobitnie.

Lera posłusznie ruszyła za nim na piętro. Nogi miała jak z waty, w głowie jej się kręciło. W małym pokoju, gdzie siedzieli już dwaj mężczyźni, Władimir pomógł jej zdjąć futerko i pokazał miejsce przy stole.

– Nigdy bym nie pomyślał, że tak łatwo poddaje się pani sugestii – powiedział z uśmiechem. – W przyszłości proszę pamiętać, żeby omijać Cyganki szerokim łukiem. Puszczą panią z torbami, a pani nawet tego nie zauważy. Zioma ledwo zaczęła z panią rozmawiać, a pani już się poddała. Za chwilę rozebrałaby się pani do naga, a potem długo się dziwiła, jak mogło do tego dojść.

– Wcale nie jestem podatna na sugestię – odparła Lera z gniewem. – Miałam po prostu ciężki dzień i jestem zmęczona, w dodatku ukradziono mi torebkę, nic więc dziwnego, że się zdenerwowałam. Nie boję się Cyganek.

– Niech się pani nie oszukuje. – Do rozmowy włączył się jeden z nieznanym jej mężczyzną. – Zmęczenie nie ma tu nic do rzeczy. To szczególna właściwość psychiczna, wrodzone skłonności, one zaś są albo ich nie ma, zmęczenie może je tylko zmniejszyć albo powiększyć. Jest pani podatna na sugestię, to zupełnie oczywiste, dlatego musi pani uważać i tyle. Gdyby pani wiedziała, ile ofiar Cyganów zjawia się u nas po pomoc! Żadna z tych osób nie jest głupia, to porządni, inteligentni i wykształceni obywatele. Docenci, profesorowie. Swoją drogą warto zauważyć, że większość ludzi jest podatna na sugestię. Nieliczni potrafią jej się oprzeć. Proszę więc nie myśleć, że tylko pani ma ten problem.

Jego słowa nie spodobały się Lerze. Czy to znaczy, że jest taka sama jak inni? Tego jeszcze brakowało! Nigdy nie będzie taka sama. Gdy skończy się zamieszanie z torebką, wróci do domu, zajrzy do książek z dziedziny psychologii oraz psychiatrii i przestudiuje zagadnienie. Jeśli się okaże, że naprawdę jest podatna na sugestię, popracuje nad sobą i się zmieni. A jeśli to będzie niemożliwe, nauczy się zachowywać tak, by wszyscy sądzili, że jest inaczej. Lera nigdy nie będzie należała do większości. Bo większość to bydło, nie miała co do tego żadnych

wątpliwości i nawet nie podejrzewała, że jej postawa jest nieetyczna. Ona, Lera Niemczinowa, zawsze i w każdej sytuacji będzie wyjątkowa, niepowtarzalna i jedyna.

– No dobrze, zaczynajmy w imię Boże – powiedział Władimir z westchnieniem. – Sasza, wyjmij potrzebne formularze.

Okazało się, że Sasza to milicjant, który przed chwilą wyjaśnił Lerze problem Cyganek. Wyjął jakieś druki z szuflady biurka i zaczął zadawać pytania. Nazwisko, imię, patronimik, rok i miejsce urodzenia, adres, nazwa uczelni...

– Teraz opisujemy zawartość torebki. Nawiasem mówiąc, ile ona jest warta?

– To droga rzecz – ostro odparła Lera, poirytowana całą sytuacją.

– Widzę. – Sasza się uśmiechnął. – Mandarina Duck to znana marka. Zachowała pani może paragon?

– Oczywiście, że nie. Skąd miałam wiedzieć, że się przyda?

– Nie szkodzi, złożymy zapytanie w sklepie firmowym, tam podadzą nam cenę. Jedziemy dalej. Dowodu nie da się niestety wycenić. Okulary ochronne przeciwsłoneczne marki Christian Dior, na pewno kosztują co najmniej milion. Mam rację?

– Milion dwieście – odparła oschle.

– Świetnie, tak zapiszemy. Jeszcze jedno okulary, z jasnymi szklami. Oprawa... zaraz... tak, marki Karl Lagerfeld. Te pewnie są jeszcze droższe?

– Półtora – rzuciła Lera krótko, myśląc z przerażeniem, że jeśli milicjanci zaczną wyceniać każdy przedmiot znajdujący się w torebce, procedura zajmie mnóstwo czasu. Nie było jej to na rękę, bo wujek Sława, gdy rozmawiała z nim przez telefon po nieudanej próbie zaliczenia kolokwium, powiedział, żeby zadzwoniła do Igora wieczorem. „Zadzwoniła” w tym przypadku oznaczało, że pozwala jej go odwiedzić. Igor na nią czeka, potrzebuje jej, ona zaś musi siedzieć w zatęchłym komisariacie i przypominać sobie, co ile kosztuje. W imię czego? Poza tym za każdym razem, gdy musiała wymienić wcale nie niską cenę tego czy owego przedmiotu, czuła się nieco niezręcznie wobec skromnie ubranych milicjantów.

– Zestaw kosmetyków marki... marki Max Factor. Ile jest wart?

– Nie pamiętam – odparła Lera szybko. – Niedużo. Poza tym kupiłam

go jakiś czas temu.

Chciała, żeby wszystko jak najprędzej się skończyło, więc była gotowa twierdzić, że cały jej majątek nie jest wart nawet trzech rubli.

– W porządku – rzekł Sasza polubownie. – Dowiemy się. Portfel ze skóropodobnego materiału w czerwonym kolorze...

Lera już otwierała usta, żeby go poprawić, bo portfel był z naturalnej skóry, w dodatku bardzo drogiej, ale ugryzła się w język. Po co przeciągać procedurę i ustalać prawdziwą cenę? Rzeczy zostaną jej zwrócone, co za różnica, jaki będzie „zakres zarzutu”.

– Pieniądze w kwocie... raz, dwa, trzy... – Sasza zaczął metodycznie liczyć banknoty. – W kwocie sześciuset osiemdziesięciu siedmiu tysięcy pięciuset rubli. Nieźle się powodzi studentom! Tak, to banknoty. Teraz policzymy bilon.

Szczęknął zamek kieszonki, która służyła do przechowywania monet, i razem z drobnymi na biurko wypadł pierścionek.

– Oho! Nosi pani pierścionek w portfelu? Dlaczego nie na palcu? – zapytał.

– Byłam w prosektorium, tam trzeba wkładać rękawiczki, a pierścionek przeszkadza – wyjaśniła Lera. – Jest tani, to podróbka.

– W portfelu jest prawie milion, a na palcu szkiełko. – Władimir, który do tej pory się nie odzywał, z niedowierzaniem pokręcił głową. – Pozwól, że zerknę, Sania.

Uniósł pierścionek pod światło.

– Pierwszy raz widzę na szkiełku szlif szmaragdowy. W dodatku pięknie się mieni. Nie, Walerio Giennadjewna, to nie podróbka, tylko brylant. Nieładnie jest kłamać. Czemu pani to robi?

– Bo mam już tego dość – oznajmiła Lera wyzywająco. – Skłamałam, żeby to wszystko jak najprędzej się skończyło. Wielkie mi rzeczy! Możecie napisać w swoim głupim protokole, że wartość ukradzionych przedmiotów wynosi sto rubli, a potem mnie zwolnić. Nie będę zgłaszać pretensji.

– To mi się nie podoba – nagle odezwał się trzeci funkcjonariusz, który do tej pory nie brał udziału w rozmowie. – Madame nie rości pretensji. A do czego, moja droga, może pani rościć pretensje w tej sytuacji? Nie musi pani robić nam łaski. Nawiasem mówiąc, schwytaliśmy złodzieja, który panią okradł, równie dobrze mogliśmy tego nie zrobić. Chce pani

szybko stąd wyjść, ma pani swoje sprawy, śpieszy się pani, ale co by było, gdyby złodziej uciekł z pani torebką i musiałyby pani wysiadywać godzinami pod drzwiami różnych pokojów, żeby wyrobić sobie nowe dokumenty? Wie pani, jakie są kolejki do urzędów? A z nowymi książeczkami oszczędnościowymi męczyłaby się pani przez parę miesięcy, bo bank to nie milicja.

– Ciszej, Witia – powiedział Władimir uspokajająco. – Wyhamuj, nie atakuj dziewczyny. Bądź wyrozumiały, bo rzeczywiście miała powód do zdenerwowania. A pani, Walerio Giennadjewna, też coś powiem. Możemy oczywiście napisać w protokole, co nam się żywnie podoba, między innymi to, że ukradzione rzeczy nie są warte funta kłaków, a w portfelu były dwie kopiejki. Ale ponieważ to, co pani ukradziono, nie ma żadnej wartości, złodzieja trzeba będzie wypuścić z uwagi na niską szkodliwość czynu. To tak, jakby buchnął pudełko zapalek. Jutro ten miły facet wróci do swojego procederu. Zauważyłem, że groźba kradzieży niezbyt panią obeszła, widocznie to nie były ostatnie pieniądze i nie zostałyby pani bez kawałka chleba. Ale co w sytuacji, gdy następną ofiarą okaże się emerytka, która zostanie bez grosza przy duszy? Nie żal jej pani? Może pani oczywiście zaprotestować i powiedzieć, że to nie jedyny złodziej w Moskwie, że po mieście grasują dziesiątki tysięcy rabusiów, i będzie pani miała rację. Nie tylko on może okraść emerytkę. Ale jeśli będziemy podchodzić do przestępstw w ten sposób, niedługo ze strachu nie wyjdziemy na ulicę. No bo rzeczywiście, co za sens łapać przestępców, skoro wszystkich nie da się złapać, prawda? Niech sobie rabują, gwałcą i zabijają. Nie zawstydzą pani ta logika?

Lera nie czuła wstydu, jej egoistyczna natura nie była zdolna do uogólnień, mimo to poczuła się niezręcznie, jakby przyłapano ją na czymś niewłaściwym. Obiektywnie rzecz biorąc, argumenty Władimira wydawały się słuszne, nie wypadało się z nimi nie zgodzić. Ale przecież nie będzie tłumaczyła milicjantom, że ich słuszne zasady są odpowiednie dla nich, ludzi zwyczajnych i niczym się niewyróżniających, nie mogą jednak obowiązywać i dotyczyć jej, Lery Niemczinowej, która jest wyjątkowa i do nikogo niepodobna.

– Przepraszam – wybąkała. – Jestem naprawdę bardzo zmęczona. Ma pan rację, pierścionek jest drogi, to złoto z brylantem.

– Ile jest wart?

– Jakieś... właściwie nie wiem.

– Jak to nie wie pani?

– To prezent.

– W takim razie będziemy musieli zapytać tego, kto go kupił. Musimy ustalić dokładną wartość. Może osoba, która podarowała pani pierścionek, zachowała paragon albo certyfikat. W najgorszym razie powie nam, gdzie go nabyła, a wtedy złożymy zapytanie w sklepie jubilerskim i dostaniemy oficjalne potwierdzenie jego wartości.

Lera milczała z rękami splecionymi na kolanach i wzrokiem utkwionym w podłogę. Powiedzieć, że odziedziczyła pierścionek po matce? Ale co z napisem? Mogła dostać pierścionek od ojca, stąd napis, milicjanci pójdą jednak do dziadka i go zapytają, czy nie zachował się cennik, on zaś im powie, że mama nie miała żadnego pierścionka z brylantem. Nie, to odpada.

– Nie da się zapytać tej osoby – powiedziała w końcu.

– Dlaczego?

– Nie żyje.

– Od dawna?

– Od paru tygodni. Została zabita.

– Chodzi o pani narzeczonego?

– Właściwie... tak. A co? – zapytała wyzywająco, podnosząc wzrok.

– Nic. – Sasza wzruszył ramionami. – Proszę podać jego nazwisko i adres.

– W jakim celu?

– Porozmawiamy z krewnymi, poprosimy, żeby poszukali paragonu w jego rzeczach.

– Aleksander Barsukow.

– Tak, Barsukow... – powtórzył Sasza, zapisując. – Gdzie mieszkał?

Lera się zawahała. Nie знаła adresu. Barsukow do niej przychodził, ale ona ani razu nie była u niego, mimo że ją zapraszał. Nie miała na to ochoty, nie potrzebowała ani rodziców narzeczonego, ani tak naprawdę jego samego. Potrzebowała lokaja, oddanego i gotowego na wszystko. No a służby się nie odwiedza.

– Nie znam dokładnego adresu, gdzieś w okolicach metra Kołomienskaja.

– To dopiero pokolenie! – znowu odezwał się trzeci funkcjonariusz,

który się nie przedstawił. – Narzeczony przynosi drogie prezenty, a narzeczona nie zna nawet jego adresu. Dobrze, że przynajmniej nie zapomniała, jak chłopak się nazywa.

– Daj spokój. – Władimir znowu próbował wziąć ją w obronę i Lera poczuła coś na kształt wdzięczności dla niego. – Nic nie szkodzi, ustalimy adres. Mówi pani, że narzeczony został zabity?

Lera kiwnęła głową w milczeniu.

– Wszczęto śledztwo w tej sprawie?

– Tak.

– A może zna pani nazwisko śledczego? Na pewno panią przesłuchiwał.

– Nazywa się Olszański.

– Kostia? – zawołał uradowany Władimir. – Kostia Olszański? Z miejskiej prokuratury?

– Chyba tak... – odparła Lera niepewnie. Dobrze pamiętała nazwisko oraz to, że prokuratura, do której ją wezwano, była miejska, ale nie miała pewności co do imienia.

– W takim razie sprawa jest prosta. Zadzwonimy do Kostii i poprosimy o adres Barsukowa. Nie ma problemu.

Problem jest, posępnie myślała Lera, odtwarzając w pamięci rozmowę z milicjantami w drodze do metra. I to duży. Gdyby oni wiedzieli... Czyżby antypatyczny dziadek miał rację, gdy ją uprzedzał, że pierścionek przyniesie jej nieszczęście? Nie, to niemożliwe, dziadek nie ma racji, bo to łajdak i zabójca, a łajdacy i zabójcy nigdy jej nie mają.

Rozdział 9

Nastia Kamińska rzadko bywała u rodziców. Mieszkali na drugim końcu Moskwy, ona zaś nie miała zbyt dużo wolnego czasu. Odkąd jednak generał Zatoczny przydzielił jej zadanie zbadania sytuacji w resortowych uczelniach miasta, Nastia odwiedzała ich już po raz trzeci. Ojczym, Leonid Pietrowicz, był cennym źródłem informacji, wykładał bowiem na jednej z owych uczelni. W dodatku przedstawił Nastię kolegom z innych instytutów, a oni chętnie dzielili się swoją wiedzą i wprowadzali Anastazję w zawiłości uczelnianego życia, nieznane osobom z zewnątrz. Spędziwszy niejedną godzinę na rozmowach z nimi, Nastia zaczęła się orientować, jak można dostać się do instytutu i zdać egzamin, za co można zostać relegowanym i jak tego uniknąć, co się dzieje podczas pełnienia służby w ciągu dnia, a także w nocy, jak układają się stosunki studentów z oficerami w sytuacji, gdy uczelnia dysponuje akademikami, a także gdy ich nie ma. Skąd biorą się środki pozabudżetowe i na co są wydawane, na jakich zasadach zleca się remonty firmom budowlanym. W sumie dowiedziała się wielu ciekawych rzeczy. Pomysł, by zebrać informacje nie od studentów, ale od pracowników instytutu, okazał się słuszny. Student jest osobą młodą, wiecznie zajętą i mało doświadczoną, nie rozgląda się na boki, bo z reguły zaprzatają go problemy osobiste, i nie rozumie, że nie rozwiąże ich, zamykając się w swoim świecie. Nie potrafi dokonywać syntezy ani analizować tego, co widzi i słyszy, nawet jeśli widzi i słyszy bardzo wiele. Człowiek dorosły na ogół zauważa znacznie więcej wokół siebie, bo już dawno pojął, że rozwiązanie niemal każdego problemu w dużej mierze zależy od tego, w jakim środowisku żyje, oraz od zasad i praw, jakimi ono się rządzi. Dorośli o niebo lepiej rozumieją konieczność przystosowania się do istniejącego porządku i dlatego biorą go pod lupę,

gdy tymczasem młodzi ludzie stawiają siebie i swoje potrzeby w centrum wszechświata i uważają, że cała reszta powinna wokół nich krążyć.

Fura zdobytych informacji posłużyła Nastii do opracowania ze dwudziestu różnych hipotez. Przemyślawszy sposoby ich weryfikacji, przygotowała odpowiednie ankiety, z którymi inni pracownicy wydziału ruszyli do trzech moskiewskich uczelni milicyjnych. Zbierali teraz niezbędne dane, wypełniając dziesiątki rubryk w formularzach. Zajmie im to grubo ponad miesiąc. Potem przekażą ankiety do centrum obliczeniowego, gdzie wszystkie informacje zostaną przeniesione na nośniki elektroniczne. Wtedy Nastia sporządzi tabele zadaniowe dla programistów, zaznaczając, jakie powiązania interesują ją w pierwszej kolejności. Dopiero potem na jej biurko trafią kilometrowe wstęgi wydruków, które pokażą, w jaki sposób odpowiedzi na pytanie numer osiemnaście łączą się z odpowiedziami na pytania numer sześć, dziesięć oraz trzynaście. Po przeprowadzeniu pierwszego etapu analizy wyznaczone zostanie jeszcze jedno zadanie, potem znowu analiza i znowu zadanie. Nastia niezmiernie lubiła taką pracę, gotowa była ślęczeć nad tabelami całe dni i noce, nie bała się cyfr, umiała z nimi rozmawiać i zmuszać do opowiadania różnych ciekawych historii, w dodatku robiła to nierzadko lepiej niż niejeden funkcjonariusz, przesłuchując świadka. Ale to wszystko było dopiero przed nią...

Dzisiaj zjawiała się u rodziców nie służbowo, ale po to, żeby spotkać się z krewnymi, którzy przyjechali z prowincjonalnego miasteczka. Mimo że rodzina utrzymywała regularne kontakty telefoniczne, jej członkowie nie widzieli się od wielu lat. Tak wielu, że kuzyni Nastii, których ani razu nie widziała, zdążyli dorosnąć. Więc chociaż Nastia wolała spędzać wolny czas w domu i nie przepadała za składaniem wizyt, z niespodziewanym dla siebie entuzjazmem wybrała się do rodziców.

– Mój Boże, Lariso, kiedy ty zdążyłaś tak wyrosnąć?! – zapytała zdumiona, zobaczywszy w przedpokoju rodziców wysoką, postawną czarnowłosą dziewczynę, córkę swojego brata ciotecznego.

– Podobno cudze dzieci szybko rosną – zauważyła tamta, obejmując Nastię, która, jak wszystko na to wskazywało, była dalszą ciotką tej dorosłej dziewczyny.

Matka Nastii, Nadieżda Rostisławowna, nie bacząc na długo wyczekiwany przyjazd siostry, nie zrezygnowała z dawno przyjętego

zwyczaju lustrowania ubioru córki.

– Znowu chodzisz bez czapki – powiedziała z wyrzutem, patrząc, jak Nastia się rozbiera. – Dostaniesz w końcu zapalenia opon mózgowych. Jesteś jak małe dziecko, słowo daję!

– Całe życie chodzę z gołą głową, mam, i ani razu się nie przeziębiłam.

– W końcu się rozchorujesz – oznajmiła matka autorytatywnie. – Boże, czyżbyś chodziła do pracy w tym wyciągniętym swetrze? Nie wstyd ci? Popatrz na inne kobiety, one noszą przyzwoite kostiumy, czemu i ty nie włożysz spódnicy, bluzki i żakietu? Wyglądałabyś wspaniale! Ale ty wiecznie chodzisz w swetrach i starych dżinsach.

– Mam, ten sweter jest bardzo modny i kosztuje krocie. – W takich sytuacjach Nastia okazywała niesłychaną cierpliwość, mimo że rozmowa powtarzała się od ponad dziesięciu, a właściwie piętnastu lat, to znaczy odkąd trafiła po studiach do pracy w milicji. – To prezent od Loszki na Dzień Milicjanta. Przyzwyczyłaś się nosić kostiumy i ubierać się elegancko, więc wszystko, co wygląda inaczej, wydaje ci się okropne. Otwórz dowolny katalog, a zobaczysz takie same swetry w każdej zimowej kolekcji. Jeśli chodzi o dżinsy, to nie są stare, mają najwyżej trzy miesiące. Jak zacznę nosić kostiumy, będę musiała wkładać cienkie rajstopy, a wtedy na pewno zmarznę i się przeziębię. Chyba nie chcesz, żeby do tego doszło?

– Jadłaś dzisiaj obiad? – zapytała matka surowo, przechodząc do kolejnego interesującego ją tematu.

– Jadłam.

– A co konkretnie?

– Mam – jęknęła Nastia. – Błagam cię, nie zapominaj, ile mam lat. Niedługo stuknie mi czterdziestka, a ty wciąż traktujesz mnie, jakbym chodziła do pierwszej klasy.

Nadzieńda Rostisławowna roześmiała się i poklepała córkę po policzku.

– Chociaż jesteś dorosła, zawsze będę od ciebie starsza o dwadzieścia lat. Poza tym nikt i nic, nawet twój dojrzały wiek, nie zdoła zmienić faktu, że jestem twoją matką. Musisz wziąć to pod uwagę, Nastiuszo, podobnie jak mój uwiad starczy, gdy wreszcie nastąpi.

– A co, są podstawy do niepokoju? – zapytała Nastia wesoło. – Widać pierwsze symptomy?

– Zapytaj taty, to ci powie. Nie dalej jak wczoraj dałam znakomite przedstawienie, ojciec zaśmiewał się przez pół godziny i nie mógł się uspokoić.

Nastia weszła do pokoju, w którym przy nakrytym stole siedzieli Leonid Pietrowicz i goście: siostra mamy, Wiera Rostisławowna, oraz jej wnuki: piętnastoletni Jura i osiemnastoletnia Larisa. Przez jakieś dziesięć minut wszyscy wydawali okrzyki radości, obejmowali się, przyglądali sobie, rozstrzygali kwestię podobieństwa dzieci do rodziców i narzekali na to, że rzadko się widują.

– Opowiedz naszej córce, Lonia, jaka z jej matki sklerotyczka – powiedziała Nadieżda Rostisławowna, stawiając na stole olbrzymi półmisek z ciastem. – Niech się nie łudzi nadzieją, że skoro jestem panią profesor, to pozostanę do końca życia mądra.

Leonid Pietrowicz miał godny pozazdroszczenia talent aktorski, toteż opowiedział historię z taką swadą, że całe towarzystwo pokładało się ze śmiechu. Historia była rzeczywiście zabawna. Miesiąc temu rodzice kupili nowy radiotelefon. Jego model w ogóle nie spodobał się Nadieżdzie Rostisławownie, ale ojczym Nastii się przy nim uparł. Poprzedniego dnia, to znaczy wczoraj, Nadieżda Rostisławowna usiadła w miękkim fotelu przed telewizorem i postanowiła zadzwonić do przyjaciółki. Parę razy wybrała numer, po czym z rozdrażnieniem oznajmiła mężowi, że niepotrzebnie mu ustąpiła i zgodziła się na ten model, bo chociaż minął dopiero miesiąc od zakupu, telefon już nie działa. W ogóle nie ma sygnału. Leonid Pietrowicz podszedł, żeby zobaczyć, co się stało, i stwierdził, że jego ukochana żona próbuje zadzwonić do przyjaciółki, trzymając w ręce pilot do telewizora.

– To profesorskie roztargnienie – zauważyła Nastia, gdy otarła łzy płynące jej po policzkach. – Loszkę też ono cechuje. Na przykład zawsze myli czwartek z czwartym dniem miesiąca, a piątek z piątym.

Pół godziny później, oddawszy sprawiedliwość wyszukanej matczynej kuchni, Nastia wzięła papierosy i poszła do kuchni.

– Mogę z ciocią? – nieśmiało zapytała Larisa.

– Oczywiście – odparła zdziwiona Nastia. – Nie musisz pytać. Nawiasem mówiąc, już nie jesteśmy na ty? Uważasz mnie za sędziwą staruszkę?

– Przepraszam. – Uśmiech Larisy był olśniewający. – Spotkałyśmy się

pierwszy raz, więc nie byłam pewna, czy się nie obrazisz, jak zacznę cię tykać.

Usiadły naprzeciwko siebie przy kuchennym stole.

– Palisz? – zapytała Nastia.

– Nie. – Larisa znowu się uśmiechnęła. – Prawie wszystkie dziewczyny na roku palą, ale ja się trzymam.

– Dla zasady?

– Nie wiem. Po prostu nie palę. Nie mam ochoty.

– A czemu masz smutne oczy? Jesteś zmęczona po podróży?

Larisa milczała, w zamyśleniu kreśląc łyżeczką od herbaty wzory na stole.

– Jesteście zupełnie inni – powiedziała w końcu.

– My to znaczy kto?

– Wy, moskwianie. Macie inne życie. Sami też jesteście inni.

– Niby jakie mamy życie?

– Barwne, hałaśliwe, ciekawe. Ale straszne. Nie potrafiłabym mieszkać tutaj. Nigdy nie byłam w Moskwie, widziałam ją tylko w telewizji, no i czytałam o niej w książkach, słyszałam różne opowieści. Zawsze mi się wydawało, że życie w Moskwie to szczyt marzeń. Ten, komu to się udało, jest szczęściarzem, cała reszta powinna do tego dążyć. Sklepy, restauracje, szerokie ulice, zagraniczne wozy – jak w filmach o Europie.

– To prawda – przytaknęła Nastia. – Więc czego się boisz?

– Jesteście obcy. Wszyscy jesteście sobie obcy. I nie macie racji.

– W czym?

– We wszystkim. Jesteście zaaferowani, zabiegani i nieustannie zajęci. Nie dostrzegacie wokół siebie tego, co najważniejsze.

Nastia poczuła ciekawość. Coś takiego, nawet nie podejrzewała, że ma taką myślącą krewną.

– A co jest najważniejsze? Co powinniśmy dostrzegać?

– Moim zdaniem siebie. – Larisa się uśmiechnęła. – A także innych ludzi wokół. Wiesz na przykład, że sąsiad wujka Loni i cioci Nadii jest narkomanem?

– Nie – zdziwiła się Nastia. – Pierwsze słyszę, nie mówili mi o tym.

– Nie mówili, bo sami nie wiedzieli.

– Więc skąd ty się dowiedziałas?

– Widziałam go – odparła Larisa krótko. – Wychodził akurat

z mieszkania. Gdyby twoi rodzice chociaż raz mu się przyjrzeni, też by to zauważyli. Nie mam pojęcia, jak możecie tak spokojnie sobie żyć. W drodze z dworca przyglądałam się przechodniom i zauważyłam, że średnio co piąty jest ćpunem. A potem wujek Lonia oprowadzał mnie i Jurkę po Moskwie, więc obserwowałam mieszkańców. Wiem, jak wyglądają ci, co są na heroinie, dlatego na ulicach waszego miasta ogarnia mnie strach. Czyżbyście nie widzieli, co się dzieje? Albo jeszcze jedna rzecz. Gdy szliśmy na parking, na którym wujek Lonia zostawił samochód, a potem do metra, widziałam wielu nędzarzy. Prosimi o jałmużnę. Kaleki, inwalidzi, starcy. Chciałam dać coś jednemu, ale wujek Lonia mi zabronił, a w samochodzie wyjaśnił, że spośród całej rzeszy moskiewskich biedaków najwyżej pół procenta jest naprawdę potrzebująca, reszta działa w zorganizowanych grupach i zrobiła biznes z żebractwa. Ci ludzie nie są kalekami, namalowali sobie blizny na twarzach, a choroby, na które niby cierpią, tylko odgrywają. Są oczywiście wśród nich osoby bez rąk i nóg, ale i one pracują dla organizacji, nie żebrzą dla siebie o kawałek chleba. Nie umierają jednak z głodu. Początkowo nie wierzyłam, lecz wujek Lonia zapewnił mnie, że to prawda, bo jest milicjantem i wie, co mówi. To się nie mieści w głowie, Nastiu! Przecież ludzie dają im jałmużnę, a zatem wierzą w ich cierpienia, tymczasem wygląda na to, że owi zawodowi żebracy żerują na cudzej litości i współczuciu dla bliźnich. W małym mieście takie rzeczy są nie do pomyślenia. W ten sposób nikt nikogo nie oszuka.

– Możliwe – przyznała Nastia. – Ale nie dlatego, że ludzie są tam uczciwsi i przyzwoitsi. Po prostu wszyscy się znają, przynajmniej z widzenia, więc nikt nie może udawać biednego inwalidy, bo sąsiedzi albo znajomi świetnie wiedzą, kto kim jest. Za to w Moskwie, gdzie codziennie przewija się trzynaście, a nawet piętnaście milionów ludzi, prawdopodobieństwo spotkania znajomego jest raczej nikłe. To kwestia matematyki, a nie moralności, Laroczko.

Larisa znowu umilkła, kreśląc coraz bardziej skomplikowane i wymyślniejsze wzory na stole.

- Nie powinnam była przyjeżdżać tutaj – powiedziała z przygnębieniem.
- Niby dlaczego? Co złego w tym, że przyjechałaś?
- Do tej pory żyłam nadzieją. Może była ona głupia i dziecinna, mimo to wierzyłam, że jest gdzieś takie miejsce, w którym da się spokojnie,

a nawet dostatnio żyć. Wiesz, jak wygląda życie w naszym mieście? Pracy nie ma, więc każdy, kto tylko może, uprawia ogródek, żeby związać koniec z końcem. W sklepach jest oczywiście wszystko, nawet towary importowane, ale przecież nikt nie ma pieniędzy, żeby cokolwiek kupić, bo ludzie nie dostają pensji. Miasto funkcjonuje dzięki fabryce, ponad połowa mieszkańców jest w niej zatrudniona. Gdy więc wypłaty zostają wstrzymane, każdego uderza to po kieszeni. Skoro nie ma dochodów, do kasy miejskiej nie wpływają też podatki, nauczyciele i lekarze nie otrzymują wynagrodzenia, ulice wyglądają okropnie – gdybyś je mogła zobaczyć, Nastiu! Latem można nosić tylko kalosze, w sandałach się nie pochodzi, a przecież każdy chce ładnie wyglądać. Przekłęta bieda stłamsiła wszystkich, domy niszczeją, mieszkańcy stali się posępni i źli. Ja jednak zawsze pocieszałam się myślą, że jest przecież Moskwa – miejsce, w którym można znaleźć pracę, duże, wspaniałe miasto, czyste i przyjazne. Więc jeśli życie w mojej dziurze stanie się nie do zniesienia, wyrwę się tutaj, do cioci Nadii i wujka Loni, oni mnie przygarną, a potem szybko znajdę pracę i stanę na nogi. To była nadzieja, moja jedyna nadzieja, która dodawała mi sił. Pomagała znosić przeciwności, rozumiesz? Może nigdy nie zdecydowałabym się na przyjazd do Moskwy, może tkwiłabym na prowincji aż do śmierci, ale człowiek potrzebuje nadziei, nikt nie potrafi bez niej żyć. Tymczasem okazało się, że nie potrafię tutaj funkcjonować.

Wargi jej drgnęły, zdradziecka łza potoczyła się po delikatnym policzku. Nastia pogłaskała Larisę po głowie.

– Nie powinnaś się tak przejmować, my przecież żyjemy tutaj i nie narzekamy. Ty też sobie poradzisz.

– Niczego nie rozumiesz! – krzyknęła dziewczyna porywczo. – Oczywiście, że sobie poradzę. Poradzę sobie wszędzie, nawet na końcu świata, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ale nie chcę tutaj mieszkać, nie chcę! Nie chcę żyć według waszych zasad, które nakazują widzieć w każdym oszusta i nie okazywać nikomu serdecznego współczucia z obawy, że ten ktoś mnie naciągnie i wyjdę na głupią. Nie chcę żyć wśród narkomanów i bandytów, kłamców i aferzystów. Jeśli ktoś zwróci się do mnie i powie: „Umarło mi dziecko, pomóż zebrać pieniądze na pogrzeb”, oddam mu ostatnią koszulę, bo nie ma większej tragedii. Zrobię to szczerze, z całego serca litując się nad nieszczęsną matką i próbując chociaż

w ten sposób ulżyć jej cierpieniu. Będę jednak miała pewność, że nikt nie wyśmieje mojej szczerości. Na moskiewskim dworcu widziałam kobiety z tabliczkami: „Moje dziecko nie żyje, zbieram na pogrzeb”, ale wujek Lonia mówi, że to oszustwo. Nikt im nie umarł, to członkinie zorganizowanej grupy. Więc jeśli dam pieniądze, okaże się, że zostałam oszukana. Wasze potworne miasto pozbawiło ludzi prawa do normalnych uczuć. Cała Moskwa to jedno wielkie szalbierstwo. To nie miasto, nie ma w nim ludzi, to iluzja życia, tak naprawdę wszyscy zamieniliście się w roboty pozbawione emocji. Nie chcę tak żyć. Może będę biedna i obszarpana, bez pracy i pieniędzy, ale pozostanę prawdziwym człowiekiem, a nie nakręcaną lalką.

Nagle Larisa rozplakała się tak gorzko i rozdzierająco, że Nastia też omal nie wybuchnęła płaczem. Objęła dziewczynę i zaczęła łagodnie głaskać po ramionach i plecach, żeby się uspokoiła. Jej wywody i odczucia nie są oczywiście wolne od młodzieńczego maksymalizmu. Zobaczywszy dwa czy trzy negatywne zjawiska, Larisa gotowa jest odnieść je do wszystkich mieszkańców olbrzymiej metropolii, wyciąga daleko idące wnioski i zamienia wszystko w małą tragedię. Trzeba jednak przyznać, że... nie do końca się myli. Nastia nie spodziewała się, że młoda prowincjuszka popatrzy w ten sposób na Moskwę. Jakże się różni od Lery Niemczinowej! Obie mają po osiemnaście lat, ale są zupełnie inne.

– Co to ma znaczyć? – rozległ się surowy głos ojczyma. – Skąd te łzy? Kto kogo obraził?

– To tylko niewinne dziewczęce zwierzenia – wykręciła się Nastia nieszczerze. – Dziewczyny tak mają.

– Aha-a – wycedził Leonid Pietrowicz uspokojony. – No to w porządku. Odbierz telefon, Nastazjo, twój Korotkow się do ciebie dobija.

– Swoją drogą mógłbyś przynieść ten nowy telefon, zamiast kazać słabej kobiecie biegać po mieszkaniu – zauważyła Nastia, wychodząc z kuchni. – Kupiliście go tylko na pokaz?

– Idź, idź – rzucił za nią ojczym. – Ruch ci się przyda.

Ciekawe, jak Korotkow się domyślił, że jestem u rodziców, pomyślała Nastia z niepokojem. Czyżby zadzwonił do domu i Losza mu powiedział? Z moich kalkulacji wynika, że Czistiakow powinien być już w drodze tutaj, a nie w domu. Może coś się stało?

– Mam dla ciebie, Asiu, meldunek z frontu – żartobliwie zaraportował Jura do słuchawki.

Nastia podjęła żartobliwy ton.

– Meldujcie, majorze, słucham.

– Kradzież poszła znakomicie, odegraliśmy swoje role śpiewająco. Lera nam wyjaśniła, że niewiadomą ozdobę jubilerską z brylantem podarował jej nie kto inny jak nieżyjący Aleksander Barsukow.

– Całe szczęście. – Nastia westchnęła z ulgą. – Teraz pójdzie łatwo. Zameldowałeś Olszańskiemu?

– Za kogo mnie masz?! Niezwłocznie. A ponieważ to on prowadzi sprawę zabójstwa Barsukowa, będzie mógł zaprosić Lerę na rozmowę, zarekwirować pierścionek i pokazać mężowi kobiety, którą zamordowano dziesięć lat temu. Grunt, że teraz możemy z czystym sumieniem i podniesionym czołem porozmawiać z dziadkiem, którym nas śmiertelnie nastraszyłaś. Że niby jak to, pańska wnuczka nosi na paluszku trefny pierścionek i prowadzi się z podejrzanymi młodzieńcami, którzy robią jej takie prezenty, a starsze pokolenie nie ma oczu? Niewykluczone, że wśród jej znajomych są też inne typy spod ciemnej gwiazdy.

– Zgadza się – przyznała Nastia. – Najważniejsze, że w sprawie pierścionka możemy ograniczyć się do Barsukowa i Lery, udając, że w ogóle nie łączymy jej z dziadkiem. A jak się dowiedziałeś, Jura, gdzie mnie szukać? Zadzwoń do domu?

– Czyżby to było zabronione? – odparł pytaniem na pytanie. – Zdaje się, że nigdy nie robiłaś z tego problemu.

– Czyli że zastałeś Czistiakowa?

– Złapałem go w drzwiach. Tak w każdym razie oświadczył. Nie mać mi w głowie, Aśka, bo i tak nie mogę zebrać myśli, a ty mnie jeszcze rozpraszasz.

– Przepraszam. Co chciałeś powiedzieć?

– Że Barsukow był jednak powiązany ze światem przestępczym, skoro miał ten pierścionek.

– Chyba masz rację.

Nastia rozmawiała z Korotkowem w sypialni rodziców, ale rozłączywszy się, zauważyła, że drzwi do pokoju są uchylone, a na progu stoi Jura. Oczy błyszczały mu gorączkowo.

– Z kim rozmawiałaś? – zapytał szeptem.

– Dlaczego szepczesz? – odparowała. – Mów normalnie.

Jura odkaslnął i Nastia z rozbawieniem odnotowała, że chłopiec stracił głos z przejęcia.

– Łapiesz przestępców, tak? – powiedział tym razem głośno.

– Już nie. Dawniej się tym zajmowałam. Nikt ci nie mówił, że to nieładnie podsłuchiwać?

– Nie zrobiłem tego specjalnie. Wszedłem po prezent dla ciebie, zostawiłem tutaj torbę. A o czym teraz rozmawiałaś, Nastiu? O jakim dziadku? Czy to przestępca?

– Nie, to zwyczajny dziadek. Ciekawość nie jest oczywiście wadą...

– Co innego wścibstwo. – Chłopiec posepnie dokończył powiedzenie. – Nie jestem już dzieckiem, mimo to nikt mi o niczym nie mówi.

– Nie powinieneś się obrażać – powiedziała Nastia bardzo poważnie. – Gdybym rozmawiała teraz o przestępcach, osobie dorosłej też bym niczego nie zdradziła. No bo sam pomyśl: jak można złapać złodzieja albo jakiegoś rabusia, rozpowiadając o tym na prawo i lewo? Mam rację?

Jura kiwnął głową. Wyraz przygnębienia od razu zniknął z jego twarzy, w końcu ktoś potraktował go jak dorosłego!

– A teraz proszę o prezent.

Chłopak sięgnął do dużej podróżnej torby, która stała w kącie między szafą a drzwiami balkonowymi, i wyjął z niej nieduże pudełko.

– To dla ciebie.

Nastia otworzyła pudełko i rozwinęła bibułkę, która skrywała gustowny dzwoneczek z jasnoliliowego szkła. Gdy nim potrząsnęła, w pokoju rozległ się czysty, przyjemny dźwięk.

– To prawdziwe cudencko! Dziękuję, kochanie.

– Poprosiłem kolegę, żeby go dla ciebie zrobił – powiedział Jura z dumą. – Uczy się w stolicy obwodu, chce zostać dmuchaczem szkła.

– Dziękuję – powtórzyła Nastia ciepło.

Czistiakow zjawił się po jakichś czterdziestu minutach, zasapany i z potarganymi włosami.

– Na drogach panuje taka gołoledź, że nie zaryzykowałem jazdy samochodem – oznajmił, rozbierając się. – Gdy biegłem z metra, z pięć razy się pośliznąłem, mało nie wywinąłem koziołka.

– Coś mi się zdaje, że jednak do tego doszło – zauważyła Nastia,

podejrzliwie popatrując na jego płaszcz.

– Jeden raz się nie liczy.

– Dlaczego jesteś tak późno? Coś się stało? – zapytała.

– Kolejny doktorant zaczął mi wiercić dziurę w brzuchu, błagając, żebym przejrzał jego artykuł, który jutro ma przekazać do druku. Wiłem się jak piskorz, mówiłem, że jestem umówiony i że nie mogę się spóźnić, ale przecież nie wypadało mi wyrzucić go za drzwi, skoro się pofatygował do domu. W końcu chodziło o spóźnienie nie na samolot, tylko na rodzinne spotkanie. Gdzie są wszyscy? Z kim mam się przywitać?

Profesor Czistiakow zrobił duże wrażenie na rodzinie, zwłaszcza na młodszym pokoleniu. Krewni Nastii nie widywali podobnych naukowców. Obraz profesora wiązał się w ich wyobraźni z książkowo-filmowym wizerunkiem poważnego, niemłodego mężczyzny w okularach, ze szlachetnie posiwiałymi skroniami i najlepiej z brodą, powściągliwego w ruchach i wytwornego. Ów obraz po części utrwaliła w nich Nadieżda Rostisławowna Kamieńska, która zawsze, nawet w warunkach domowych, prezentowała się niezwykle elegancko. Natomiast Czistiakow, pomimo okularów na nosie i wyraźnej siwizny, wyglądał w ich oczach jak niezdarny i bezceremonialny chłopak. Zaśmiewał się nawet z niewyszukanych żartów, opowiadał zabawne historie o zagranicznych naukowcach, sypał komplementami pod adresem imponującej brunetki Larisy, sprawiając, że ta oblewała się pąsem, umiejętnie adorował sąsiadki przy stole: teściową i jej siostrę. Krótko mówiąc, okazał się duszą towarzystwa. Nastia była mu wdzięczna za ten zryw otwartości, dzięki temu rodzina przestała zwracać na nią uwagę, mogła więc pomilczeć albo porozmawiać po cichu z ojczymem.

– Czego chciał Korotkow? Czyżbyście znowu pracowali razem? – zapytał półgłosem Leonid Pietrowicz.

– Tak się złożyło. Iwan polecił mi, żebym pogrzebała w pewnym zabójstwie, które jego zdaniem ma bezpośredni związek z moją pracą analityczną. No to grzebiemy.

– Masz na myśli sytuację na naszych uczelniach?

– Owszem. Nie mówiłam wcześniej, bo nie chciałam zawracać ci głowy. Zabójstwo studenta.

– Tęsknisz za pracą operacyjną?

– I tak, i nie. Wiesz przecież, że lubię analitykę. Ale tęsknię oczywiście

za chłopcami i za Pączkiem. Gdybym mogła pracować razem z nimi i zajmować się wyłącznie analityką, spełniłoby się moje największe marzenie. To jednak niemożliwe.

– No cóż, nie ma darmowych hamburgerów – filozoficznie zauważył ojczym.

– O czym ty mówisz? – zapytała zdziwiona Nastia.

– Tak w tłumaczeniu angielskim brzmi nasze wyrażenie „za wszystko trzeba płacić”. Co z twoim językiem, dziecko?

Nastia roześmiała się.

– Mój język, tatusiu, ma się całkiem dobrze, ale nie zdążyłam się przestawić. Mówiliśmy o mojej pracy, a tutaj nagle hamburgery.

≡

Gdy Lera zadzwoniła do Igora po wyjściu z komisariatu, telefon znowu odebrał wujek Sława.

– Przyjeżdżaj, Leroczko – powiedział. – Jesteś nam bardzo potrzebna.

Jego głos był obcy i zatroskany, więc Lera przeraziła się nie na żarty. Co się mogło stać? Dlaczego Igor sam nie odbiera telefonu? Może zachorował albo spotkało go jakieś nieszczęście? W każdym razie jest w domu, a nie w szpitalu, to oczywiste, inaczej wujek Sława nie powiedziałby: „Jesteś nam potrzebna”.

Wbrew swoim zasadom i obawom chciała złapać taksówkę, żeby jak najprędzej znaleźć się u Igora, ale tego wieczoru samochody wlokły się w żółtym tempie z powodu gołoledzi i korki tworzyły się w niespodziewanych miejscach, nawet tam, gdzie nigdy przedtem ich nie było. Metrem dojadę szybciej, pomyślała Lera, szybkim krokiem ruszając ku stacji Frunzienskaja.

Drzwi otworzył jej wszechobecny wujek Sława.

– A gdzie Igor? – rzuciła Lera niecierpliwie. – Wszystko z nim w porządku?

– Nie, nie wszystko – odparł Zotow surowo. – Nie udawaj, że nie wiesz. Jestem oburzony twoim zachowaniem. Igor, wiadomo, to skończony dureń, nie ma za grosz rozumu, no ale ty?! Jesteś przecież rozsądna, dlaczego mi o niczym nie powiedziałaś? Wpakowałaś w tę sprawę obcego faceta, w efekcie on zginął, a problem pozostał nierozwiązany. Już wtedy

powinnaś była dojść do wniosku, że sobie z tym nie poradzisz, i zwrócić się do mnie. Postąpiłaś jak zatwardziała egoistka, na twoim miejscu spaliłbym się ze wstydu.

– Nie jestem egoistką! – obruszyła się Lera, której przez ostatnie dziesięć lat nikt nie odważył się i nawet nie próbował z czegokolwiek rozliczać. – Egoiści myślą tylko o sobie i nie pomagają innym, a ja chciałam pomóc Igorowi. Zrobiłam, co mogłam, żeby mu pomóc. Spotykałam się nawet z Barsukowem, mimo że czułam do niego wstręt. Dlaczego nazywasz mnie egoistką?

Ze złości zbladły jej usta, oczy zaczęły błyszczeć i wydawało się, że zaraz rzuci się z pięściami na Zotowa.

On jednak chwycił ją za ramię i zaciągnął do kuchni, nawet nie pozwalając, żeby zdjęła futerko. Zamknął szczelnie drzwi i z irytacją powiedział:

– Dlaczego jesteś egoistką? Dlatego, że myślisz tylko o sobie. Chcesz, żeby Igor uważał cię za najlepszą i jedyną, więc zamiast rozsądnie mu poradzić, by zwrócił się do mnie, sama rzuciłaś się na pomoc. Myślisz, że nie wiem dlaczego? Chcesz, żeby Igor był ci nieskończenie wdzięczny, chcesz go do siebie przywiązać i w ogóle się nie zastanawiasz, jak będzie dla niego lepiej. A byłoby lepiej, gdyby od razu, zaraz po telefonie od szantażysty, wyznał mi wszystko. Mam kontakty, możliwości, pieniądze, a przede wszystkim doświadczenie, więc wytłumaczyłbym mu, jak i co załatwić. I już dawno zapomnieliby o problemie. Za dwa tygodnie ma duży koncert, tymczasem boi się wyjść na scenę, trzęsie się jak galareta. Musi dużo ćwiczyć, szykować nowy repertuar, a ze strachu nie pamięta nawet swojego imienia. W tej sytuacji nadal uważasz, że nie jesteś egoistką?

Lera się rozplakała. Tyle rzeczy zważyło się na nią od rana, że puściły jej nerwy. Parę tygodni temu Igor się przyznał, że zadzwonił do niego nieznajomy mężczyzna i zaczął go szantażować. Najpierw Lera nie mogła się zorientować, o co chodzi, bo Igor był tak przestraszony i zdenerwowany, że mówił nieskładnie i nielogicznie. Gdy wreszcie udało mu się opanować, opowiedział Lerce historię, która nią wstrząsnęła.

W wieku piętnastu lat, będąc bezdomnym włóczęgą, spotkał na peronie kolejki podmiejskiej porządnie wyglądającego faceta. Mężczyzna dał mu pieniądze na jedzenie i zaproponował niezły interes. Praca

wydała się wprawdzie Igorowi nieco dziwna, ale nie było w niej niczego szczególnego. Mimo że ciągle nie dojadał, był rostry, wdał się w tatę, dawnego koszykarza. Nad górną wargą zaczął mu się sypać wąs, więc podobnie jak inni jego towarzysze, nastoletni kloszardzi, raz po raz oddawał się cielesnym przyjemnościom. Jego partnerkami były niczym się od niego nieróżniące rozwiązłe, bezdomne dziewczyny. Facet na peronie zaproponował, żeby robił to samo, tylko z dorosłymi kobietami. Igor uznał, że to żadna różnica. Skoro dostanie pieniądze, nie ma problemu. W końcu baby, stare czy młode, ulepione są z jednej gliny. Zamieszkał za miastem, w jakimś zapyziałym domku letniskowym, razem z czterema innymi chłopakami i dziewczynami, których też zatrudniono. Ich pracodawca przyjeżdżał raz albo dwa razy w tygodniu, pakował dwie, trzy osoby do auta i zawoził na inne letnisko, gdzie wszyscy byli już pod dobrą datą. Chłopcy robili, co do nich należało, po czym odstawiano ich z powrotem. Na letnisku wiedli luzackie życie, nikt ich nie pilnował, żarcia było w bród, dostawali nawet alkohol, więc niczego im nie brakowało. Na początku ich uprzedzono, że praca jest tymczasowa, podano też kwotę, którą mogli uczciwie zarobić, i powiedziano, że po zakończeniu kontraktu będą wolni, a jak się komuś nie podoba, to droga wolna, nikt tu nie trzyma nikogo na siłę. Młodzi włóczędzy przystali na zaproponowane warunki. Z jednej strony nikt nie czyhał na ich bezcenną wolność, nie było zamków w drzwiach ani ogrodzenia, więc w każdej chwili mogli dać nogę. Z drugiej zaś, mieli sposobność odpocząć trochę, powylegiwać się, najeść do syta i zarobić na dalsze koczownicze życie, z którego nie chcieli zrezygnować. Niespodziewaną pracę traktowali jako sposób spędzenia czasu, w dodatku niepozbawiony przyjemności, a także możliwość złapania oddechu i zregenerowania sił.

Igor rzetelnie wykonywał swoje obowiązki, które nie były trudne, jako że wcześniej poczuł pociąg do seksu, a kobietom, do których go wysyłano, bardzo się podobał, bo był zabójczo przystojny. To, co dobre, szybko się jednak kończy, więc jego kontrakt też wygasł. Pewnego dnia chlebodawca przyjechał na letnisko i wesoło oznajmił, że nadeszła pora, by towarzystwo się wyniosło i zwolniło pomieszczenie. Towarzystwo wyniosło się oczywiście z tupotem i wrzaskiem, przyciskając do piersi łatwo zarobione pieniądze.

Na stację ruszyli razem, ale później się rozdzielili. Nie łączyły ich wspólne interesy. Jedni chcieli jechać do Moskwy, inni do Petersburga. Ktoś oznajmił, że jego marzeniem jest dotrzeć nad Morze Północne, inny zamierzał ruszyć na południe, żeby się powygryzewać na słończku. Dwie dziewczynki, mniej więcej dwunastoletnie, postanowiły nieodwołalnie, że nie ruszą się nigdzie z moskiewskiego dworca, bo dworce, ich zdaniem, najlepiej nadają się do życia i pracy. Ich opinia podyktowana była praktyką, bo przecież właśnie tam znalazł je chlebowdawca.

Wyjeżdżali pojedynczo, nauczeni gorzkim doświadczeniem, żeby się nie gromadzić. Nikt nie zwróci uwagi na dwie dziewczynki wracające z letniska, co innego, gdy będą w towarzystwie pięciorga źle ubranych nastolatków z beczelnymi minami. Ktoś mógłby wezwać straż kolejową, po pasażerach wszystkiego można się spodziewać.

Igor wyjeżdżał ostatni. Chciał poczuć się wolny i dorosły, więc pozbył się reszty i usiadł na ławce, pociągając alkohol z butelki i ćmiąc papierosa. Alkohol i papierosy zabrał z letniska, nie mógł przecież pozwolić, żeby zmarnowało się tyle dobra. No więc siedział sobie na ławce niedaleko peronu, popijając tanie wino, które przelał na wszelki wypadek do butelki po soku winogronowym. Dobrze pamiętał rok osiemdziesiąty piąty i szósty, kiedy to pojawienie się nastolatka z alkoholem w miejscu publicznym było bardzo niebezpieczne. Gliniarzy interesował nie tyle problem bezdomnych dzieci, ile obowiązek realizowania postanowień ustawy o walce z pijaństwem. Teraz zrobiło się spokojniej, ale lepiej nie pchać się w oczy.

Była wczesna złota jesień, przejmująco smutna, a zarazem tak piękna, że nagle Igora zaczęło rozpierać uczucie radości. Nawet nie zauważył, kiedy zaczął sobie nucić pod nosem. Robił tak zresztą często, nigdy tego nie zauważał, bo śpiewanie było dla niego niemal tym samym co oddychanie.

– Zwariowałeś? – Usłyszał głos tuż obok.

Obejrzał się i zobaczył faceta, który patrzył na niego ze zdumieniem i wyrzutem. Młody kloszard obrzucił nieznajomego wprawnym okiem i należycie ocenił jego ubiór, który w ubogim siedemdziesiątym siódmym roku wydawał się niezwykle wyszukany. Jednym słowem, facet miał styl i na pewno nie był gliniarzem.

– Niby dlaczego zwariowałem? – zapytał niezbyt uprzejmie. – Co ci nie

pasuje, gościu?

– Czemu palisz, mały potworze? – zapytał nieznajomy łagodnie. – Masz piękny głos, a niszczysz sobie struny głosowe. Siedzisz na żyle złota, ale wytrawiasz ją kwasem. Brak ci rozumu?

Słowa mężczyzny zbiły Igora z tropu. Po pierwsze, nikt nigdy nie nazwał go potworem, wręcz przeciwnie, wszyscy zachwycali się jego piękną twarzą i dużymi, wyrazistymi oczami. Dziewczęta zazdrościły mu długich, gęstych, wywiniętych do góry rzęs. A po drugie, mimo szyku i, zdaniem Igora, podeszłego wieku facet mówił prostym i zrozumiałym językiem. To jakiś dziwak, pomyślał. Licho wie, po co się przyczepił. Może to pedzio? Tego tylko brakowało. I od razu zanucił inną piosenkę, którą słyszał w radiu, gdy był mały: „Tego mi tylko brakowało...”.

Nieznajomy przysiadł na ławce, ale wbrew obawom Igorka, nie próbował się do niego przysunąć. Po prostu usiadł i tyle.

– Zaśpiewaj coś normalnego – nie poprosił, lecz raczej zażądał, a Igor ze zdziwieniem stwierdził, że nie potrafi mu odmówić.

– Na przykład co? – zapytał skwapliwie.

– Znasz jakiś romans?

– Romans... Może być *Mglisty poranek*?

– Zgoda – odparł nieznajomy.

– A co za to dostanę? – Igor pokonał zmieszanie i odzyskał zuchwałą pewność siebie.

– Co byś chciał?

– Forsę, a niby co innego? – odburknął chłopak.

– Ile?

– No... Czerwońca – wypalił, oszołomiony własnym tupetem.

W osiemdziesiątym siódmym roku dziesięć rubli stanowiło olbrzymią sumę, można było za nią kupić dwie butelki dobrej wódki po cztery ruble dwanaście kopiejek, a za resztę, to znaczy rubla siedemdziesiąt sześć, prawie pół kilo szynki albo kilogram pasztetowej. A gdyby wziąć tańszą wódkę, zostałyby jeszcze na konserwy typu *Szprotki w sosie pomidorowym* albo *Śniadanie turysty*.

Nieznajomy wyjął z portfela czerwony banknot i położył go na środku ławki.

– Śpiewaj. Tylko się nie wydzieraj.

– *Wstał dziś za oknem mglisty poranek, drzewa skąpane stoją we*

mgle... – ryknął Igor, starając się śpiewać jak najgłośniej. Pieniądze są jednak spore, więc trzeba je odpracować.

– Powiedziałem, żebyś nie wrzeszczał! – przerwał mu szykowny facet. – Dobry śpiew powinien pieścić ucho, a nie je razić.

Igor nie rozumiał zagadkowego zdania, ale zaczął romans od początku, tym razem półgłosem. Spodziewał się, że nieznajomy mu przerwie, ten jednak słuchał do samego końca. Przez chwilę się nie odzywał, w zamyśleniu kiwając głową.

– Masz rodziców? – zapytał w końcu.

– Nie – skłamał Igor. – Jestem sierotą.

– Już ja znam takie sieroty – Tamten się uśmiechnął. – Dałeś nogę, co?

Włóczęga milczał posępnie. No proszę, wszystko zaczęło się pięknie, miał tylko coś zaśpiewać, banknot już leżał przed nim i kusił oko, a teraz facet zaczął gadkę o rodzicach i o ucieczce, zaraz pewnie zacznie się wymądrzać. Zaproponuje Igorowi, żeby wrócił do domu i zabrał się do nauki. To dopiero frajda!

– Jasne – skonstatował nieznajomy. – Zamierzasz włóczyć się przez całe życie czy masz jakieś plany na przyszłość?

– Nie robię planów – odpalił Igor. – Czego się czepiasz?

Rozległ się dźwięk nadjeżdżającego pociągu, więc zręcznie chwycił leżący na ławce banknot i szybko wstał.

– To mój pociąg, muszę się zbierać.

Jednakże nieznajomy złapał go mocno za rękaw kurtki.

– Siadaj – polecił. – I się nie ruszaj. Najpierw porozmawiamy, potem pojedziesz. Jeśli oczywiście zechcesz.

Tak zaczęła się znajomość Igora Wildanowa z Wiaczesławem Olegowiczem Zotowem. Teraz, gdy młody piosenkarz był niemal u szczytu sławy, zadzwonił jakiś typ i powiedział:

– Mam kasetę, na której zabawiasz się z różnymi paniusiami. Wyobrażasz sobie, w jaki zachwyt wpadną twoje fanki, gdy się dowiedzą, czym zajmowałeś się w młodości? Dziennikarze nie dadzą ci spokoju, to pewne. A konkurencja nie zostawi na tobie suchej nitki. Więc się zastanów, gwiazdorze.

– Ile pan chce? – natychmiast zapytał Igor.

Miał pieniądze, więc gotów był zapłacić tyle, ile trzeba, oczywiście w granicach rozsądku.

– Życie to nie bajka – wypalił rozmówca. – Nie potrzebuję pieniędzy, tylko innych kaset.

– Jakich innych? – zapytał zdumiony Igor.

– Tych, które były w domu Niemczinowów w chwili ich śmierci. Jak je zdobędziesz, zwrócę ci twój nieskazitelny wizerunek. Ale jak się nie spiszesz, pretensje miej tylko do siebie. Skompromituję cię podczas koncertu.

– A niby skąd mam je wziąć?! – krzyknął Igor z rozpaczą.

– Zapytaj swojej laski, ona ci powie, gdzie są kasety, które trzymano na letnisku.

– Ale ona była przecież dzieckiem, gdy zginęli jej rodzice. Skąd miałyby wiedzieć?

– Niech zapyta swojego dziadziusia. On był dorosły, gdy zabijał syna i synową. Krótko mówiąc, kochany, działaj, a ja od czasu do czasu zadzwonię. Jak nie zdobędziesz kaset, obiecuję, że gorzko tego pożałujesz.

Pierwszą myślą Wildanowa było jak zwykle pobiec do opiekuna. Zawsze tak robił, odkąd się z nim związał. Zotow rozwiązywał każdy problem, nawet najtrudniejszy, i dosłownie prowadził swojego podopiecznego za rączkę, żeby ten się nie potknął na wybojach życiowych. Igor nie potrafił podjąć najprostszej decyzji, tak bardzo przywykł polegać na opiece. Ale tym razem coś się w nim odezwało. Może była to ambicja (co jest godne pochwały), a może głupia duma (to z kolei zasługuje na ostrą krytykę), w każdym razie nie zwierzył się Zotowowi ze swoich kłopotów. I nie chodziło wcale o to, że się wstydził, bo Wiaczesław Olegowicz dobrze wiedział o poprzednich rozrywkach Igora, wiedział od samego początku, ponieważ ten mu od razu wszystko wyznał. Dwudziestopięcioletni Wildanow wreszcie postanowił, że będzie samodzielnie rozwiązywał swoje problemy, dzięki czemu uwolni się od opieki Zotowa i od swojej zależności. Zotow wciąż poniżał Igora, wytykał mu potknięcia i błędy, nazywał durniem, kretynem i małym potworem, mimo to Igor, który reprezentował ten sam poziom kultury osobistej co w czasach, gdy po raz pierwszy uciekł z domu, nie widział w tych słowach niczego niestosownego, sam też ich używał w rozmowach z innymi. Zotow wciąż dawał mu jednak do zrozumienia, że jest kompletnym zerem, mięczakiem i debilem. Piosenkarz zapragnął obejść

się bez pomocy, rozwiązać niespodziewany i nieprzyjemny problem, a jednocześnie udowodnić sobie i Zotowowi, że potrafi myśleć i nie potrzebuje ciągłej opieki. Poza tym żał mu było doli, którą odpalał Wiaczesławowi Olegowiczowi i dlatego chciał się go pozbyć. Na swoje przyjemności wydawał pieniądze lekką ręką, ale nie lubił dawać ich komuś, od kogo, jego zdaniem, nie otrzymywał niczego w zamian. Żeby jednak uwolnić się od Zotowa, musiał wykazać się samodzielnością.

Najpierw porozmawiał z Lerą. Dziewczyna nie słyszała o kasetach i nie miała pojęcia, o czym mowa. Opcja, żeby zapytać dziadka, natychmiast odpadła. Lera długo tłumaczyła ukochanemu, że nie potrafi rozmawiać z człowiekiem, którego szczerze nienawidzi, toteż nie może mu zadać pytań i żądać, by na nie odpowiedział. Igor tego nie rozumiał, subtelne niuanse psychologiczne były dlań zbyt skomplikowane, więc usiłował wyrzucić presję na Lerze. Ale ona, o dziwo, pozostała nieugięta.

– Jak zacznę z nim rozmawiać, to mi wsiądzie na głowę. Nie mogę na to pozwolić, bo jest zabójcą moich rodziców – powtarzała, błagalnie patrząc Igorowi w oczy. – Trzeba wymyślić inny sposób, żeby dowiedzieć się czegoś o kasetach.

– No to go wymyśl – naiwnie odparł Igor, który tracił zdolność rozumowania, gdy mu coś nie wychodziło za pierwszym razem.

Lera zastanawiała się przez parę dni. W końcu znalazła rozwiązanie.

– A gdybyśmy znaleźli tego szantażystę i go zabili? – powiedziała, siedząc na kolanach swojego bożyszcza przed kominkiem w ładnym podmiejskim domu.

– Oszalałaś?!

Wzburzony Igor zepchnął dziewczynę z kolan i zerwał się z kanapy.

– Co ty pleciesz? Jak to zabić? Chcesz trafić do więzienia?

– Czemu od razu do więzienia? – Lera się uśmiechnęła. – Nie wybieram się za kraty. Musimy wymyślić, jak go znaleźć. Trzeba namierzyć faceta. Potem wynajmiemy kogoś, żeby go zabił, i to wszystko. Przeczytałam sporo kryminałów, które opowiadały o szantażu, i dobrze wiem, że ten, kto kogoś szantażuje, nigdy o tym nie mówi. Nikt nawet nie podejrzewa, że coś go łączy z szantażowaną osobą. Jeśli pomiędzy tobą a szantażystą będzie stał jeszcze płatny zabójca, gliniarze się w tym nie połapią. Rozumiesz?

Po krótkiej chwili zastanowienia Igor doszedł do wniosku, że słowa

Lery nie są pozbawione logiki. Pocałował przyjaciółkę i z aprobatą poklepał po plecach.

– A jak będziemy szukać tego typu? – zapytał, przyjmując zaproponowane rozwiązanie.

– Musimy znaleźć kogoś, kto się na tym zna – odparła Lera rzeczowo. – Wszystko już przemyślałam. Mam znajomego, studiuje na uczelni, która przygotowuje do pracy operacyjnej w milicji. Chłopak już dawno robi do mnie słodkie oczy, ale go nie zachęcałam. Mogę zacząć się z nim widywać, a potem poprosić o pomoc.

– Za darmo? – Wildanow się uśmiechnął. – Czy za ładne oczy?

– Nie bądź cyniczny, Igorku. To tylko ty z niejednego pieca chleb jadłeś, a Saszka to normalny chłopak. Gdy mu zasugeruję, że z czasem może liczyć na coś więcej, wyjdzie ze skóry, żeby mnie zadowolić.

Igor dał zielone światło, nie zastanawiając się nad tym, jakiej zachęty zamierza udzielić swojemu adoratorowi jego oddana przyjaciółka. W ten sposób szeregowy milicjant, student drugiego roku Aleksander Barsukow, został włączony w rozwiązanie problemu. Zdaje się, że chłopak wpadł na jakiś trop, ale od razu go zabito. Trzeba było zacząć wszystko od początku. Lera nie miała innych znajomych milicjantów, więc całe dni i noce łamała sobie głowę nad tym, co jeszcze może zrobić, żeby pomóc Igorowi. A czas płynął. Szantażysta dzwonił co dwa, trzy dni i nieprzyjemnym głosem wypytywał o przebieg poszukiwań. Dzień wielkiego koncertu nieubłaganie się zbliżał.

Rozdział 10

Zotow czekał cierpliwie, aż Lera wreszcie się uspokoi i przestanie płakać.

– Chodźmy do pokoju – powiedział gniewnie. – Trzeba usiąść i wszystko dokładnie omówić. I zapamiętaj, dziecko, że jeśli chcesz pomóc Igorowi, powinnaś słuchać nie jego, lecz mnie. Sądzisz, że nie wiem, co o mnie myślisz? Twój ukochany Igorek jest dla ciebie całym światem, a wszystko, co ci przeszkadza z nim być, tylko cię drażni. No więc weź pod uwagę, że Igor to osobnik całkiem bezradny i pozbawiony rozumu. Chociaż przykro ci tego słuchać, powinnaś o tym pamiętać. Chłopak nie potrafi sam sobie pomóc, więc jeśli chcesz być mu przydatna, musisz zdać się na mnie, a nie na niego. Rozumiesz?

Lera kiwnęła głową w milczeniu, wycierając łzy chusteczką skropioną perfumami. Nałożony niedawno makijaż oczywiście spłynął, ale jakie to ma teraz znaczenie, skoro wszystko legło w gruzach!

Igor z tępym wyrazem twarzy leżał na kanapie w salonie. Nawet nie wstał na widok dziewczyny, tylko machnął apatycznie ręką.

– Cześć.

– Wstań, potworze – powiedział Zotow surowo. – Do pokoju weszła kobieta. Znowu muszę cię uczyć?

– Przecież to Lerka – zaoponował z prostodusznym zdziwieniem. – Nie jest obcą osobą.

– Powiedziałem, żebyś wstał – powtórzył Wiaczesław Olegowicz. – Idź się umyć, a potem wróć tutaj.

Piosenkarz posłusznie zwlókł się z kanapy, zawiązał szlafrok, w którym paradował od samego rana, i poczłapał do łazienki. Wrócił odświeżony, nie wyglądał już jak z krzyża zdjęty.

– Omówmy zaistniały problem – powiedział Zotow, zwracając się do Lery. – Jeśli dobrze zrozumiałem Igora, chodzi o jakieś kasety, które

rzekomo były na lotnisku twoich rodziców. Naprawdę nie wiesz, o czym mowa?

– Nie. – Lena pokręciła głową. – Nie mam zielonego pojęcia.

– Cały dzień zastanawiałem się nad tym, co mi powiedział Igorek – podjął Wiaczesław Olegowicz w zamyśleniu. – I przyszła mi do głowy pewna myśl. Wśród przyjaciół twojego taty byli zagraniczni dziennikarze, dwóch albo trzech, teraz dokładnie nie pamiętam. W tamtych czasach oboje byliście jeszcze dziećmi, więc nie rozumieliście, co się działo w kraju. Po śmierci Breżniewa... Wiecie przynajmniej, kto to był?

– Oczywiście – odparła Lera.

Igor tylko skinął głową, ale niezbyt pewnie.

– No więc po śmierci Breżniewa zaczął się proces odbrażawiania władzy, najpierw bardzo dogłębny, a potem, po śmierci dwóch kolejnych genseków, coraz gwałtowniejszy. Zagraniczni dziennikarze, a zwłaszcza obcy wywiad, bardzo się tym interesowali. Wszyscy chcieli zdobyć kompromitujące materiały na temat nie tylko wysoko postawionych urzędników, ale wszystkich jak leci. Nie wykluczam, że twoi rodzice, Leroczko, pomagali zaprzyjaźnionym dziennikarzom. Nie zbierali oczywiście informacji, bo tego nie potrafili, jako twórcy nie mieli też w tym żadnego interesu. Mogli jednak oddać do dyspozycji swój dom za miastem, w którym organizowano różne spotkania i przechowywano owe materiały w czasie, gdy dziennikarze oraz agenci wywiadu i kontrwywiadu zaczęli się podgryzać. Rozumiesz, o czym mówię?

Lera zauważyła, że Zotow zwraca się tylko do niej, Igor nie bierze udziału w rozmowie, mimo że siedzi obok. W dodatku Wiaczesław Olegowicz zwraca się do niej łagodnie, jakby przed chwilą nie było żadnej awantury w kuchni. Wiedziała oczywiście, o czym mówi wujek Sława. Była czytana, w książkach często poruszano te problemy.

– Jeżeli twoi rodzice przechowywali kasety z kompromitującymi materiałami, niewykluczone, że ktoś ich teraz szuka. Minęło dziesięć lat, ale zainteresowanie informacjami nie osłabło. Pomyślałem jednak jeszcze o czymś. Twój dziadek zabił twoich rodziców. Rozumiem, Leroczko, że to dla ciebie wielka tragedia i nie możesz wybaczyć dziadkowi. Ale czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że dziadek zabił nie tylko twojego tatę? Zabił przecież własnego syna. Musiał mieć ważny powód ku temu. Radzę ci, żebyś to rozważyła.

– Nie miał żadnego powodu – przerwała mu Lera. – Po prostu się upił i chwycił za broń. Łajdak, kanalia! Nienawidzę go!

Zotow podniósł rękę, jakby chciał ją powstrzymać.

– Nie wszystko jest takie proste, moje dziecko. Nie wierzę, że twój dziadek zwyczajnie się upił i strzelał do kompanów od kieliszka. Tę historijkę kupiła milicja, ale ci, którzy dobrze znali rodzinę, mają wątpliwości. Twój dziadek był człowiekiem spokojnym i zrównoważonym, nigdy nie reagował agresywnie. Bardzo kochał twojego tatę. I pamiętaj, że prawie nie pił. Co więc się stało, że zrobił to, co zrobił? Nigdy go o to nie zapytałaś?

– Nie. O co tu pytać? Zabił moich rodziców, przez niego w wieku ośmiu lat zostałam sierotą. Po co mam o tym rozmawiać? Rodziców i tak mi nie zwróci – odparła Lera z goryczą.

– To prawda – przyznał Zotow. – Tyle że niecała. Twoi rodzice nie żyją, Leroczko, ale dziadek jest twoim jedynym bliskim krewnym. Mieszkasz razem z nim. Czyżbyś nie chciała się dowiedzieć, co wtedy zaszło? Wiem, że nie darzysz dziadka uczuciem, że go nienawidzisz, ale tak się nie da żyć, dziecko. Nie możesz go nienawidzić za to, co zrobił, nie wiedząc, dlaczego tak postąpił. Poza tym trzeba umieć wybaczać.

– Czy coś takiego można wybaczyć? – krzyknęła Lera. – Łatwo ci mówić, bo to nie twoi rodzice zginęli! Zróbmy tak: jutro ich zabiję, a potem zobaczymy, czy mi wybaczysz. Że też masz czelność...

– Wystarczy – przerwał jej Zotow. – Przestań histeryzować. Nie da się usprawiedliwić zabójstwa, ale to nie znaczy, że nie powinniśmy próbować dotrzeć do prawdy. Swoją drogą, moja droga, do dzisiaj nosiłaś się z planami pozbycia się szantażysty. Czyżbyś zamierzała wysłać go na wczasy, żeby nie dzwonił więcej do naszego cudownego Igorka? Chciałaś go zabić.

– Też mi porównanie! – burknęła. – Ja chciałam zabić szantażystę, a dziadek zabił własnego syna, uczynił mnie sierotą.

– A jeśli wasz szantażysta ma pięcioro dzieci? One też zostałyby sierotami. Szatańskie rozumowanie, gołąbeczki! Wy oczywiście możecie zabijać, ale inni nie mogą. Jak to się nazywa? Podwójna moralność! Nie tylko podwójna, ale przestępcza!

– Skoro ktoś ucieka się do szantażu, to znaczy, że sam jest przestępcą. – Lera nie ustępowała. – A moi rodzice nikogo nie szantażowali.

– Skąd wiesz? – Zotow zmrużył oczy.

– Gdyby zrobili coś złego, a dziadek by ich za to zabił, powiedziała by o tym w sądzie, żeby uniknąć kary. I co, powiedział? Nie. A więc nie miał nic do powiedzenia. Upił się i zastrzelił, drań! Tak właśnie było!

Lera posłała Zotowowi zwycięskie spojrzenie. Niech spróbuje podważyć jej żelazną logikę. Że też wpadł na pomysł, by porównywać rodziców z jakimś parszywym szantażystą. Usiłowała mówić głośno i dobitnie, żeby zagłuszyć głos, który wziął się nie wiadomo skąd i zaczął jej coś szeptać... Coś nieprzyjemnego, groźnego, budzącego strach.

– I znowu masz rację – stwierdził Zotow ugodowo. – Twój dziadek nie powiedział niczego takiego ani podczas śledztwa, ani w sądzie. Ale nie zapominaj, że chodziło o jego syna. O jego jedyne go syna, ojca jedynej wnuczki. Syna już nie ma, ale pozostaje jego reputacja, no i żyje też jego córka. Co ona pocnie, jeżeli wszyscy łącznie z nią się dowiedzą, że jej ojciec dopuścił się przestępstwa? Twój dziadek mógł znać straszliwą prawdę o twoich rodzicach, ale ją ukrył, wziął winę na siebie, żeby ułatwić ci życie, Lero. Martwił się o ciebie. Myślał o tobie, dlatego poszedł do więzienia nie na trzy lata, ale aż na dziewięć lat. Poświęcił się, żebyś mogła spokojnie żyć. Zastanów się nad tym, a potem z nim porozmawiaj.

– Skąd pewność, że to prawda? Wymyśliłaś sobie głupią historyjkę i w nią uwierzyłaś! – obruszyła się. – To, co powiedziałaś, jest niemożliwe. Dziadek nie mógł się poświęcić. A w ogóle to potwornie głupie. Gdyby się troszczył o mnie i moją przyszłość, nie chciałby, żebym została sierotą. To wszystko. Nie ma sensu dłużej tego omawiać. Też mi pomysł!

Wewnętrzny głos przybierał jednak na sile. Lera rzeczywiście nie myślała o swojej tragedii w taki sposób, w jaki przedstawiał ją wujek Sława. Ale to przecież niemożliwe! Niemożliwe! Jej rodzice byli najlepsi, najzdolniejsi i najpiękniejsi, nie mogli zrobić czegoś, za co można ich było zabić, a na dodatek martwić się o reputację. Wstrętny Zotow wszystko sobie wymyślił.

Lera zerknęła z ukosa na Igora, licząc na to, że chłopak włączy się do rozmowy i powie coś, co zmusi Zotowa do tego, by przestał pastwić się nad jej rodzicami. Dlaczego Igor jej nie broni? Dlaczego nie pomoże w trudnej chwili? Przecież ona zawsze gotowa jest mu pomóc na każde

skinienie.

Igor jednak milczał i na nią nie patrzył. Uważnie oglądał swoje paznokcie i Lera odniosła wrażenie, że unika jej wzroku.

– Jak chcesz, to powiem, o czym teraz myślisz. – Zotow przerwał milczenie. – Myślisz, że twoi rodzice byli najlepsi na świecie. Zgadłem?

Lerę ogarnęło nieprzyjemne uczucie. Jak to możliwe, że ten niemiły człowiek tak łatwo odgadł jej myśli?

– No i co? – powiedziała wyzywająco. – Co z tego?

– A to, że chyba mam rację. Twój dziadek tego właśnie chciał. Miałaś zapamiętać rodziców właśnie w ten sposób: jako najlepszych i najpiękniejszych ludzi pod słońcem. Dlatego ukrył prawdę.

Dziewczyna pokręciła głową, jakby usiłowała otrząsnąć się ze złego snu. Nie chciała wsłuchiwać się ani w słowa wujka Sławy, ani we własny wewnętrzny głos. Słowa i głos jej przeszkadzały, burzyły świat, który z takim trudem tworzyła przez dziesięć lat i strzegła jak źrenicy oka.

– Gdyby ich nie zabił, niczego nie musiałby ukrywać. Sam sobie przeczysz.

– Ani trochę. Mógł ich zabić w chwili, gdy pojawiła się obawa, że to, co zrobili, ujrzy światło dzienne. Wybuchłby skandal, twoi rodzice trafiliby do więzienia, a wtedy ucierpiałyby zarówno ich reputacja, jak i twoje życie. Przyznaj, że wygodniej być sierotą, której rodzice okazali się niewinnymi ofiarami, niż córką przestępców.

Tego Lera nie zdołała już znieść. Jak on śmie rozmawiać z nią takim tonem? Jak śmie mówić te potworne rzeczy o jej ukochanych rodzicach? Co za drań! Cyniczny drań! „Wygodniej być sierotą”. Nie ma pojęcia, co to znaczy zostać sierotą w wieku ośmiu lat.

– Przestań w tej chwili! – krzyknęła na całe gardło, zrywając się z miejsca. – Nie waż się tak mówić! Nie masz prawa tak myśleć! Dlaczego bronisz dziadka? Kto ci pozwolił znieważać moich rodziców?

Odwróciła się do Igora i chwyciła go za rękę.

– Dlaczego milczysz, Igorze? Ten... mówi takie rzeczy, a ty milczysz, jakby nic się nie działo. Czyżbyś się z nim zgadzał? Ty też myślisz, że moi rodzice byli przestępcami, a dziadek to anioł dobroci? Odezwij się wreszcie!

Wildanow niechętnie podniósł głowę.

– Nie wiem, Lerka... Licho wie, jak naprawdę było... Może Sława ma rzeczywiście rację.

– Doprawdy?! Cudownie! A więc niech wszyscy mieszają mnie z błotem, dla ciebie to nic takiego.

– Niepotrzebnie się wściekasz, wyhamuj... – apatycznie zaproponował Igor. – Jacy wszyscy? Nikt nie miesza cię z błotem, przecież chodzi o twoich rodziców, a nie o ciebie. No i w ogóle Sława to przecież nie wszyscy.

– Tak? A co powiesz na to, że w całej Moskwie aż huczy, że niby zatrudniasz niepełnoletnią pomoc domową, brzydką jak noc i głupią, która pracuje nie dla pieniędzy, tylko dla seksu? To przecież ty przedstawiasz mnie swoim przyjaciołom i paniąkom jako służącą, to dzięki tobie po mieście chodzą takie słuchy. Jak twoim zdaniem się czułam, gdy się o tym dowiedziałam? No to zatrudnij sobie służącą i każ jej szukać dla ciebie płatnych zabójców, szantażystów i jakichś kretyńskich kaset! Zatrudnij, zatrudnij, a ja popatrzę, co z tego wyjdzie. I nie płąć jej za to ani kopiejki.

Żal, który się w niej nagromadził, nagle się wylał, i rozgorączkowana Lera zaczęła mówić nawet to, czego nie zamierzała. Igor znowu wbił wzrok w swoje paznokcie, a Zotow przesuwiał zdziwione i niezadowolone spojrzenie to na nią, to na podopiecznego.

– O co tu chodzi, Igorze? – zapytał surowo. – Czy Lera mówi prawdę?

– Coście się do mnie przyczepili? Mamy ważny problem, a wy zajmujecie się głupstwami – odparł Wildanow niechętnie.

– On ma rację – powiedział Zotow stanowczo. – Ma rację, Leroczko. Odłóżmy na bok urazy i pretensje, później do nich wrócimy. Teraz musimy rozwiązać kwestię kaset, których żąda szantażysta, całą resztę zostawimy na potem. Do koncertu pozostały dwa tygodnie, umówiłem się z paroma gazetami, że w ciągu najbliższych dwóch dni Igor udzieli wywiadów, by przypomnieć o sobie i zwiększyć zainteresowanie przed występem. Koncert się odbędzie, odwołanie go byłoby rzeczą niewłaściwą. Igor musi wyjść na scenę bez strachu. Dwa tygodnie, które dzielą go od występu, powinien poświęcić na próby i przygotowania, no i nie wolno mu pić w tym czasie. Musimy o to zadbać, Leroczko. Na tym właśnie będzie polegała nasza pomoc, nie na szukaniu szantażystów i zabójców. Rozumiesz, dziecko? Powinnaś wziąć się w garść

i porozmawiać z dziadkiem. Na waszym lotnisku przechowywano jakieś kasety. Niewykluczone, że dziadek wie, co to za kasety i gdzie one są teraz. Musisz spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że rozmowa z nim jest nieunikniona, jeśli chcesz pomóc zarówno Igorowi, jak i sobie.

– Ja nie potrzebuję pomocy – rzuciła Lera pogardliwie. – Ale dla Igora zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Nie oszukuj się, Leroczko. – Głos Zotowa złagodniał. – Jesteś rozsądna, masz głowę nie od parady, nie to, co ten kretyn. Na pewno zastanawiałaś się nad tym, o czym ci powiedziałem dzisiaj. Nie wierzę, żeby ktoś tak mądry jak ty nie doszedł do tego prostego wniosku. Założę się, że wszystko sobie przemyślałaś, w dodatku nie raz, i do twojego serca już dawno zakradły się wątpliwości. Odsuwałaś je od siebie, bo były nieprzyjemne, a tobie wygodniej było obarczyć dziadka winą za nieszczęścia, które cię dotknęły. Nie twierdzę, że mam rację, przedstawiłem tylko swoje domysły. Gdy jednak człowiek ma wątpliwości, zawsze powinien dążyć do tego, żeby je wyjaśnić aż do końca, inaczej nie będzie szanował sam siebie.

Lera zdała sobie sprawę, że Zotow zapędził ją w kozi róg. Powiedział, że jest mądra, ma głowę nie od parady, więc gdyby teraz oznajmiła, że nic podobnego nie przeszło jej nawet przez myśl i że nie dręczyły jej żadne wątpliwości, toby się przyznała do własnej głupoty. Ona jednak naprawdę nie miała wątpliwości! Ani razu się nie zawahała! Wujek Sława uważa jednak, że powinna była to rozważyć, w dodatku mówi tak przekonująco... Więc chociaż Lera była przekonana, że Zotow nie ma racji, nie pozostawało jej nic innego, jak tylko się z nim zgodzić, inaczej wyjdzie na kompletną idiotkę przed Igorem. Ale gdy raz przyzna mu słusność, później też będzie musiała to robić. I zaakceptować to, że musi porozmawiać z dziadkiem. Tymczasem rozmowa wcale jej się nie uśmiecha. Nawet sobie nie wyobraża, jak miałyby przekroczyć granice, które sama nakreśliła.

– To prawda, kotku, porozmawiaj z dziadkiem – odezwał się Igor, tym razem z własnej inicjatywy. – Zapytaj go o kasety. Porozmawiasz?

– Porozmawia – powiedział Zotow zdecydowanie. – Nasza Lera nie jest tak głupia jak ty, ośle, i doskonale wie, że nie da się tego uniknąć. I nie trzeba unikać, już dawno należało to zrobić. Wzajemne stosunki, nawet najbardziej skomplikowane i poplątane, trzeba wyjaśniać od razu, nie

powinno się przeciągać sprawy i odkładać jej w nieskończoność. Zgadza się, Leroczko?

– Dobrze – powiedziała cicho. – Porozmawiam.

– Obiecujesz? – Wildanow poderwał się ucieszony. – Na pewno porozmawiasz? Kiedy? Zrób to jeszcze dzisiaj, od razu po powrocie do domu. Może już jutro wszystko będziemy wiedzieli, co, kotku?

– Zamknij się – przerwał Wiaczesław Olegowicz zimno, posyłając mu mordercze spojrzenie. – Śpieszno ci załatwić sprawę cudzymi rękami. Myślisz, że łatwo jest stłumić własne uczucia? Trzeba zebrać myśli, znaleźć w sobie siłę moralną. I poczekać na odpowiednią chwilę, żeby przeprowadzić taką rozmowę. Ty jednak sobie poradzisz, Leroczko, prawda? Wiem, że tak będzie. Masz silną i niezłomną osobowość. Nie spotkałem takiej osoby jak ty nawet wśród dojrzałych, doświadczonych przez życie mężczyzn. Czeka cię trudny krok, ale jestem pewien, że go zrobisz.

– Zrobię – obiecała Lera tak cicho, że nie usłyszała własnego głosu.

Gdy zamknęły się za nią drzwi mieszkania, Zotow szybko podszedł do Igora i mocno pchnął go z powrotem na kanapę.

– Posłuchaj mnie, zafajdany gnojku – powiedział z furją. – Od jutra będziesz zmiatał kurz spod jej stóp, jasne? I koniec z przyprowadzaniem parszywych dziwek i pijanych koleśków. Póki sytuacja się nie wyjaśni, Lera ma być jedyną osobą blisko ciebie. Bądź czuły i delikatny, obiecuj jej złote góry, nawet małżeństwo, ale spraw, żeby poruszyła niebo i ziemię dla ciebie. Bo szukanie szantażysty i wynajmowanie zabójcy to kompletne bzdury, o których nie warto nawet wspominać. Jedyna droga to jej dziadek, tylko ona może z nim porozmawiać. Bo tylko jej wyzna prawdę, całą resztę pośle do diabła i powie, że niczego nie wie o kasetach.

– A jeśli jej też nic nie powie? – bojaźliwie zapytał Igor, niezdarnie obracając się na kanapie, żeby ułożyć się wygodniej.

– Powie – powiedział Zotow twardo. – Ten stary piernik mieszka z nią i zależy mu na niej. Jeśli pojawi się cień szansy na to, że będzie mógł usprawiedliwić się przed jedyną wnuczką, na pewno to wykorzysta. Gdy ona da mu do zrozumienia, że gotowa jest poznać straszliwą prawdę o rodzicach i mu wybaczyć, powie jej wszystko.

– A jeśli naprawdę nie wie nic o kasetach? Co wtedy zrobimy?

– Gdy się okaże, że nie wie, wtedy się zastanowimy. Ale jestem pewien, że wie. Nie przypadkiem zastrzelił syna i synową. Musiał mieć jakiś powód, i to poważny.

– Skąd wiesz?

– Umiem liczyć do dwóch. Byłem bliskim przyjacielem Gieny i Święty Niemczinowów, często się z nimi spotykałem. Ale nie słyszałem ani słowa o kasetach. To znaczy, że oboje coś przede mną ukrywali. No dobrze, przypuśćmy. Przypuśćmy, że dziadek zabił ich nie z powodu kaset, ale w wyniku jakiegoś rodzinnego konfliktu. Trzeba jednak pamiętać, że konflikt prowadzący do tego, że jeden człowiek podnosi rękę na drugiego, na dodatek ten drugi okazuje się rodzonym synem, nie rodzi się nagle i z niczego, w ciągu dwóch minut. Takie rzeczy się nie zdarzają, Igorku, możesz mi wierzyć. To znaczy, że konflikt był zadawniony, długotrwały. Ale o tym też nigdy nie słyszałem ani od Gienki, ani od jego żony. Wygląda na to, że bliski przyjaciel miał dwa sekrety, których nawet mnie nie zdradził. Trudno w to uwierzyć. Jeden sekret można zrozumieć, dwa są raczej mało wiarygodne, biorąc pod uwagę zażyłość naszych relacji. A więc sekret musiał być tylko jeden. Pojawiły się jakieś kasety i to z ich powodu stary Niemczinow popełnił zabójstwo. Ta sprawa cię jednak przerasta, nie masz dość rozumu, żeby się nad nią pochylić. Lepiej kładź się spać.

– Dlaczego wciąż mnie upokarzasz? – zapytał Igor płacząco. – Wiecznie mi wymyślasz...

– A co mam robić? Zachwycać się tobą, durniu? Układać dytyramby na twoją cześć, wysławiać pod niebiosą wyjątkową urodę i niezwykły talent? Od tego masz wielbicieli. Ja zawsze mówiłem ci prawdę i będę ją mówił, choćbyś się przed nią bronił rękami i nogami. Gdybyś od razu mi powiedział, że dostajesz telefony od szantażysty, tego samego dnia porozmawiałbym z Lerą i sytuacja wyglądałoby teraz inaczej. Szykowałbyś się spokojnie do koncertu, a my organizowalibyśmy twój ślub ze Stellą. Przez ciebie wszystko omal nie przepadło, bałwanie! Włożyłem wiele wysiłku w to, żeby dziennikarze się tobą interesowali, podsuwałem im informacje, że pracujesz nad nowym wizerunkiem i nowym repertuarem, szukałem dla ciebie kompozytorów i dobrych tekstów, dniami i nocami uczyłem cię śpiewać i co w efekcie? Boisz się wyjść na scenę, bo problem do tej pory nie został rozwiązany,

a szantażysta grozi, że cię publicznie skompromituje. Łamałem sobie głowę nad ścieżką twojej dalszej kariery i znalazłem zwycięską opcję ze Stellą, chociaż Bóg jeden wie, ile mnie to kosztowało. I co w rezultacie? Nie możesz się z nią ożenić, bo póki istnieje problem, nie masz prawa ryzykować. Ty będziesz czekał, aż sprawa się skończy, a Stella machnie na ciebie ręką. Znajdzie sobie innego męża i zacznie go wspierać. Młodego, przystojnego i utalentowanego wokalnie, tylko w odróżnieniu od ciebie rozgarniętego. Więc nie jęcz i nie narzekaj, bo ode mnie dostajesz to, na co zasłużyłeś.

Zotow odwrócił się gwałtownie i opuścił pokój. Parę minut później znowu zajrzał do Igora, tym razem ubrany do wyjścia.

– Idź spać. I nie waź się sięgać po alkohol. Jutro przyjdę wcześniej i weźmiemy się do pracy. Jak nie będziesz w formie, to cię zabiję.



Śledczy stołecznej prokuratury Konstantin Michajłowicz Olszański należał do grona osób, które szczerze żałowały odejścia Nastii Kamieńskiej z wydziału kryminalnego. Kiedyś ich relacje układały się, mówiąc delikatnie, nie najlepiej, Olszański nie zauważał kobiety oficera i był wobec niej grubiański, podobnie jak wobec większości osób. Nastia z kolei nie znosiła najmniejszych przejawów chamstwa, więc unikała śledczego, a jeśli nie było to możliwe, próbowała się odcinać, mimo że nie czuła się z tym dobrze. Z czasem wzajemne stosunki się unormowały, Konstantin Michajłowicz otwarcie przyznał, że Nastia ma przenikliwy umysł, i wyjaśnił, że nie chce jej obrazić, tylko w specyficzny sposób prawi jej komplementy. Była to forma przeprosin, które Nastia przyjęła chętnie i bez zastrzeżeń, bo wiedziała, że Olszański jest profesjonalistą najwyższej klasy. Od tamtej pory wspólna praca stała się dla obojga przyjemnością, której zostali pozbawieni na skutek przejścia Nastii do pracy analitycznej. Dlatego zobaczywszy ją w swoim pokoju, śledczy nie ukrywał radości.

– Któż to zawitał w moje progi?! – zawołał wesoło, gdy weszła do środka. – Czyżbyś wróciła, Kamieńska?

– Do pana zawsze. – Uśmiechnęła się w odpowiedzi. – Nigdy nie porzucę pana z własnej woli, będę przy panu trwać do grobowej deski.

Znowu ma pan nowe okulary. Nie znudziła się panu pogoń za modą?

Olszański zdjął okulary w modnych, ładnych oprawkach, obejrzał je ze zdziwieniem, mrugając bezradnie krótkowzrocznymi oczami, po czym włożył z powrotem.

– Jaka moda, co ty pleciesz? – Machnął ręką ze skruszoną miną. – Niedawno odwiedziła nas sąsiadka z trzyletnim brzdącem. Akurat moczyłem się w wannie po dwudziestoczworgodzinnej dyżurze. Okulary zostawiłem na kanapie, razem z gazetą, którą wcześniej czytałem. No więc relaksuję się w wannie, a tymczasem berbecę też się relaksuje, niszcząc moje okulary. Żona z sąsiadką gadają jak najęte i cieszą się, że smarkacz nie płacze. A niby czemu, kochaniutki, miałby płakać, skoro wpadła mu do rąk wspaniała zabawka, w dodatku ze szkiełkami, przez które świat wygląda zupełnie inaczej. Krótko mówiąc, tamtego dnia musiałem włożyć stare oprawki, chyba je pamiętasz, były całe poklejone. Moja Nina popatrzyła na mnie, pokiwała głową i pojechała, nie mówiąc dokąd. Wróciła z nowymi oprawkami. Naprawdę są modne?

– Na czasie – zapewniła Nastia. – To ostatni krzyk mody. Mogę poprosić o herbatę po starej znajomości?

– Obrażasz mnie, moja droga. – Konstantin Michajłowicz pokręcił głową z wyrzutem. – Jeżeli po starej znajomości, to pamiętam, że pijasz kawę, a nie herbatę. Chciałaś mnie sprawdzić? Nie patrz tak na mnie swoimi niewinnymi oczkami, bo nie dam się oszukać. Dobrze wiem, po co się zjawiałaś. Nie ze szczerą miłości do mnie, tylko z miłości do sztuki. Interesuje cię pierścionek?

– Owszem. Ale pan bardziej.

Olszański roześmiał się, błyskając równymi białymi zębami, a Nastia po raz nie wiadomo który zdziwiła się, jak to możliwe, że ten atrakcyjny, obiektywnie rzecz biorąc, mężczyzna wygląda na niechlujnego fajtlapę.

– Nie kupisz mnie tym, Kamieńska, nawet nie próbuj. Nie nabiorę się na twoje sztuczki. Lepiej mi powiedz, co takiego zobaczyłaś w pierścionku. I nie wąż się kłamać, pięć lat temu uprzedzałem cię, że nie wolno ukrywać informacji przed śledczym.

– Po pierwsze, nie pięć, tylko cztery – poprawiła go Nastia. – A po drugie, nie jestem już oficerem operacyjnym, który nie może ukrywać przed panem informacji. Nieokreślony status służbowy sprawia, że nie

mam wprowadzić praw, ale też obowiązków. Więc niech mnie pan nie straszy.

– Naprawdę to było cztery lata temu? – zdziwił się. – A ja sądziłem, że minęło pięć.

– Zabójstwo Wiki Jerominej, rok dziewięćdziesiąty trzeci – przypomniała Nastia. – Wtedy po raz pierwszy pracowaliśmy razem, trafiłam do zespołu na miejsce Wołodii Łarcewa, a pan stawał na uszach, żeby się mnie pozbyć.

– No tak, no tak. Zgadza się. To co z tym pierścionkiem? Mów szybko, bo wezwałem Niemczinową na jedenastą trzydzieści, a na dwunastą trzydzieści Sołowiowa, męża tamtej zabitej kobiety, której skradziono pierścionek. Dokonamy identyfikacji. – Zerknął na zegarek. – Daję ci dwadzieścia minut na wyznania. Wystarczy?

Nastia opowiedziała zwięźle o swoich podejrzeniach pod adresem Wasilija Pietrowicza Niemczinowa i jego udziale w historii z pierścionkiem.

– Lera twierdzi, że pierścionek podarował jej Barsukow. Jeśli to prawda, rodzi się pytanie: skąd go miał? Pierścionek jest niesłychanie drogi, wypływa w związku z zabójstwem, przez długi czas figuruje jako skradziony, ale nigdzie się nie pojawia: ani w skupach złota, ani w lombardach, ani u handlarzy. Nigdzie. Jak kamień w wodę. I nagle się okazuje, że ma go chłopak, który spotyka się z mężczyzną zwolnionym niedawno z kolonii karnej. Podziela pan moje podejrzenia?

– W całej rozciągłości – przytaknął śledczy. – Więc co mogę dla ciebie zrobić?

– Proszę zapytać Lerę Niemczinową o relacje, które łączyły Barsukowa z jej dziadkiem. Mam wrażenie, że dziewczyna czegoś nie mówi. Ich znajomość musiała być chyba bardziej zażyła, niż próbuje nam wmówić. Potrząśnij ją pan jak należy?

– Ona będzie mnie jeszcze uczyć!

Olszański teatralnym gestem wznosił ręce ku sufitowi, jakby przyzywał siły niebieskie na świadków lekceważącego stosunku do swojej osoby. Rękaw marynarki podjechał przy tym nieco w górę, odsłaniając śnieżnobiały mankiet koszuli, na której tuż przy spince widniała świeża plama zrobiona niebieskim długopisem. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, Konstantin Michajłowicz potrafił w jednej chwili

pognieść i pobrudzić ubranie, które jego żona Nina niemal każdego dnia prała i starannie prasowała.

– Tylko spójrzcie na tę impertynentkę! – ciągnął. – Nieźle masz o sobie mniemanie, Kamieńska! Sądzisz, że musisz mi mówić, co i jak należy robić? Pytam cię, co mogę zrobić dla ciebie. Bo co zrobić dla dobrej sprawy karnej, którą prowadzę, wiem sto razy lepiej niż ty.

Było to owo grubiaństwo, co prawda w nieco łagodniejszej formie, którego Nastia niegdyś tak się bała, ale teraz obcesowe słowa jej nie dotknęły. Wiedziała, że Olszański żartuje, może nieco niezręcznie i w oryginalny sposób, nie ma jednak złych intencji.

– Proszę nie straszyć, bo i tak wiem, że mnie pan lubi – powiedziała wesoło. – Dla mnie osobiście może pan zrobić tylko jedno: podzielić się ze mną wynikami rozmowy z Lerą Niemczinową. Mogę na to liczyć?

– No jasne – burknął, uśmiechając się. – Ten, kto cię nastraszy, długo nie pożyje.

– Jednemu się udało – zauważyła. – I to nawet dwukrotnie. Pamięta pan czarującego filatelistę Arsena, który dwa razy się na mnie zasadził? Nawiasem mówiąc, za pierwszym razem podczas sprawy Wiki Jerominej, przy której się poznaliśmy.

– I czym to się skończyło? Biedak skonał przecież na twoich rękach.

– W sumie ma pan rację. No to jak, Konstantynie Michajłowiczu? Podzieli się pan ze mną wrażeniami? Niech pan szybko powie „tak”, za pięć minut przyjdzie Niemczinowa, a ja nie mogę się z nią spotkać, bo ona myśli, że pracuję w instytucie.

– Wielkie mi rzeczy. Czyżbym nie miał prawa wezwać pracownicy instytutu w związku z zabójstwem studenta? Chyba straciłaś operacyjną smykałkę, moja droga.

Serce Nastii aż podskoczyło z radości, bo odebrała słowa śledczego jako zachętę do pozostania na przesłuchaniu Lery. Nie będzie mogła, rzecz jasna, wtrącać się i zadawać pytań, ale usłyszy na własne uszy i zobaczy na własne oczy reakcje dziewczyny na te czy inne treści rozmowy. A to już coś.

– Nazywam się teraz Aleksandra Wasiljewna. Zapamięta pan?

Nagle Olszański umilkł i zapatrzył się w okno. Wydawało się, że zapomniał o obecności Nastii.

– Zapamięta pan? – powtórzyła z uporem, bojąc się, że śledczy zaraz

się rozmyśli.

– Co? – Olszański się ocknął i ze zdumieniem spojrzął na Nastię, jakby nie pamiętał, kim jest i po co przyszła. – Gdzie teraz znajdę Korotkowa?

– Nie wiem – zdziwiła się. – Mogę zadzwonić i się dowiedzieć.

Śledczy znowu zerknął na zegarek. Jego twarz przybrała rzeczowy i skupiony wyraz.

– W tej chwili go odszukaj – zarządził, jakby Nastia wciąż była oficerem operacyjnym i pracowała pod jego kierownictwem. – Niech pędzi do Niemczinowa i zapyta go o pierścionek. I niezwłocznie mi zamelduje. Szybko, szybko, potrzebuję odpowiedzi od dziadka, póki wnuczka stąd nie wyjdzie. Ruszaj się, Kamińska!

– Mogę potem wrócić?

– Możesz. A teraz biegnij.

Nastia wypadła z gabinetu i pognąła do sekretariatu, bo ją tam lubiono i zawsze pozwalano skorzystać z telefonu.



Jura Korotkow dostał nowe, niespodziewane zadanie od Olszańskiego akurat w chwili, gdy cały zespół sekcji do walki z przestępczością przeciwko życiu i zdrowiu zajmował się ważną i odpowiedzialną sprawą. Grafiki dyżurów dobowych tworzone z wyprzedzeniem, więc już od dawna było wiadomo, że w sylwestrową noc owo wielkie szczęście przypadnie Igorowi Lesnikowowi. Jednakże dzisiaj rano przyszła smutna wiadomość, że Lesnikow, przebywając w delegacji, został ranny i na pewno nie wyjdzie ze szpitala przed Nowym Rokiem. Należało więc ustalić zmiennika, a ponieważ sylwester był tuż za progiem, wszyscy mieli swoje plany oraz rodzinne zobowiązania, toteż chętni się nie znaleźli. W takich wypadkach przeważnie urządzano losowanie, co też właśnie czyniono. Przygotowano odpowiednią liczbę karteczek, na jednej z nich nakreślono starannie krzyżyk, ale procedurę naruszyło lekkomyślne zachowanie Koli Siełujanowa, który nie byłby sobą, gdyby nie wykorzystał okazji do wygłupów. Po kryjomu zamienił karteczkę z krzyżykiem na inną, na pierwszy rzut oka podobną, ale pustą. Panowie z dziarskimi minami bez wahania sięgnęli po losy umieszczone w czyjejs służbowej czapce, rozwinęli karteczki i westchnęli z ulgą.

Dopiero po chwili okazało się, że wszyscy bez wyjątku są szczęściarzami. Taka sytuacja była jednak nie do zaakceptowania. Zaczęło się skrupulatne przesłuchanie z żądaniem, by każdy pokazał swoją karteczkę. Wszyscy się podporządkowali. Nikt się nie wykręcał.

– Znowu trzymają się ciebie głupie żarty, Kola? – groźnie zapytał Korotkow. – Przyznaj się, łachudro.

– Nie będę zaprzeczać. – Siełujanow od razu wyznał prawdę. – Trzeba z humorem przełknąć tę gorzką pigułkę, bo przez cały dzień będziecie chodzić nadmuchani. No dobra, ciągnijmy jeszcze raz.

Znowu przeliczono karteczki i umieszczono je do czapce. W tej samej chwili zadzwoniła Kamieńska.

– Losuję pierwszy – zawołał Korotkow. – Wzywa mnie sprawa najwyższej wagi.

Chwycił pierwszą z brzegu karteczkę, która na szczęście okazała się pusta, zawołał z radością: „Pudło!”, po czym zerwał z wieszaka kurtkę oraz czapkę i rzucił się do drzwi. W tym momencie nad głowami zebranych rozległ się oburzony krzyk.

– Siełujanow, ty draniu, coś ty znowu wykombinował?

Okazało się, że nieposkromionemu Nikołajowi, mimo ścisłej kontroli, udało się spletać figla i wsunąć do czapki trzy karteczki z krzyżykami. Wszystko należało zacząć od początku, ale Korotkow nie mógł już czekać, czas go naglił.

– Kolka, wylosuj za mnie – poprosił w biegu. – Nie będę miał pretensji, jak coś pójdzie nie tak.

Shczęście mu dopisało, przestraszeni wczorajszą gołodzią kierowcy wybrali metro, na ulicach nie było dużego ruchu, więc bardzo szybko dotarł do domu Niemczinowów.

Wasilij Pietrowicz przywitał go spokojnie, a nawet przyjaźnie. Nie było czasu na długie rozmowy, więc Korotkow od razu przystąpił do rzeczy.

– Wasiliju Pietrowiczu, wyszły na jaw niespodziewane okoliczności. Okazuje się, że Sasza Barsukow podarował pańskiej wnuczce bardzo drogi pierścionek. Nie pamięta pan, kiedy to było i z jakiej okazji? Może chodzi o prezent urodzinowy albo na ósmego marca?

Odpowiedź Niemczinowa go zaskoczyła. Gotów był usłyszeć wszystko, tylko nie to.

– Mówi pan o pierścionku z brylantem?

– Tak, o nim.
– W kształcie kwiatka z listkami? – sprecyzował Niemczinow.
– Tak, tak, właśnie o ten pierścionek mi chodzi – odparł Korotkow niecierpliwie.

– Lera nie dostała go od Saszy.
– Jak to?
– Ano tak. Ktoś inny dał jej go w prezencie. Nie wiem kto, ale jestem pewien, że nie Sasza.

– Skąd pewność?
– Sasza zaczął nas odwiedzać niecałe dwa miesiące temu. A Leroczka nosi ten pierścionek prawie od roku. Pojawił się, gdy wróciłem do Moskwy.

– A więc to tak...
Jura zerknął na zegarek. Jedenasta zero pięć. Aśka kazała mu stanąć na uszach i najdalej o wpół do dwunastej zadzwonić do Olszańskiego z informacją, co dziadek Lery wie na temat pierścionka. Ale nie trzeba się śpieszyć, jest jeszcze trochę czasu.

– Mogę na chwilę usiąść? – zapytał grzecznie.
– Oczywiście. Napije się pan herbaty?
– Z przyjemnością.

Niemczinow wyszedł z pokoju, a Jura rozejrzał się i wybrał miejsce koło drzwi, tyłem do ściany. Licho wie, co facet knuje, a nuż Aśka ma rację i jest naprawdę niebezpieczny? Lepiej nie ryzykować, w razie gdyby przyszedłby mu do głowy jakiś numer.

Czekając na obiecaną herbatę, major Korotkow obmyślał przebieg rozmowy. Zawsze jest tak samo: wywiadowca podkrada się do figuranta, boi się go spłoszyć, starannie planuje operację, która pozwoliłaby mu zbliżyć się do groźnego obiektu, nie zdradzając podejrzeń, traci mnóstwo czasu i energii, a potem pojawia się „sprawa najwyższej wagi”, więc pędzi na złamanie karku i zapomina o uprzednio przygotowanych okrągłych zdaniach i nawet nie ma czasu przyjrzeć się osobnikowi podczas rozmowy. No dobra, skoro nadarzyła się okazja, trzeba uważnie obejrzeć Niemczinowa.

Pierwsze wyrażenie było, o dziwo, niejednoznaczne. Krzepki, postawny mężczyzna, o wieku świadczą jedynie zmarszczki i siwizna, bo sprężystego kroku i lekkości ruchów mogą mu pozazdrościć nawet

młodzi chłopcy. Mało komu udaje się zachować taką formę po dziewięciu latach spędzonych w kolonii, Korotkow dobrze o tym wiedział. Facet nie ma rozbieganego wzroku, patrzy otwarcie na rozmówcę, to jednak może być dowodem nie uczciwości, ale wielkiego kunsztu aktorskiego, którym obdarzony jest niejeden boss świata przestępczego. Nie wymiguje się od rozmowy, nie powołuje się na pośpiech, żeby jak najprędzej pozbyć się nachalnego milicjanta, przeciwnie, zaproponował nawet herbatę. Co to może znaczyć? Brak złych intencji czy doskonałe opanowanie i pewność siebie? Trzeba to ustalić. Żeby to zrobić, Korotkow musi tutaj siedzieć, póki pan domu go nie wyprosi, i rozmawiać z nim na różne delikatne tematy. Nie wolno mu tylko zapomnieć o telefonie do Olszańskiego.

Niemczinow przyniósł herbatę, cukier i pudełko czekoladek.

– Proszę się częstować.

Usiadł przy stole naprzeciwko gościa i nalał mu herbaty do ładnej porcelanowej filiżanki.

– Od razu mi się nie spodobało, że ktoś podarował Leroczce taką drogą rzecz – powiedział. – Miała dopiero siedemnaście lat. Nie urodziłem się przecież wczoraj, więc wiem, że takich prezentów nie daje się bez powodu. Bardzo mnie to zaniepokoiło.

– Powiedział jej pan o tym?

– Próbowałem. – Niemczinow uśmiechnął się gorzko. – Ale czy ona będzie ze mną rozmawiać? Chyba zna pan naszą historię, więc na pewno rozumie.

– Owszem. – Korotkow kiwnął głową. – A nie zapytał pan, skąd ma pierścionek?

– Zapytałem. Odburknęła, że dostała od chłopaka i że to nie moja sprawa. Nie kwapi się do rozmowy ze mną. A ja nie mam prawa nalegać.

– Wasiliju Pietrowiczu, czemu jest pan pewien, że to nie Barsukow podarował wnuczce pierścionek? Owszem, zaczął odwiedzać Lerę niedawno, ale przecież mogli się znać od dłuższego czasu.

– Przepraszam, jak mam się do pana zwracać? Aha... No więc, Juriju Wiktorowiczu, rzadko rozmawiam z Leroczką, ale mam uszy. To moja jedyna wnuczka, jest wszystkim, co mam, więc nie jest mi obojętne, co się z nią dzieje. To prawda, że mi się nie zwierza. Dlatego muszę podsłuchiwać. Wstyd mi o tym mówić, podsłuchiwanie jest godne

potępienia, podobnie jak przeglądanie jej rzeczy i książek, ale robię to, bo boję się przegapić chwilę, kiedy niczego nie da się już odwrócić. Kiedyś usłyszałem kłótnię młodych. Chłopak chciał, żeby Leroczka go odwiedziła, a ona odmówiła. Wtedy powiedział: „Jesteśmy razem już od miesiąca, ja wpadam do ciebie prawie codziennie, moi rodzice chcą poznać dziewczynę, którą kocham”. Było to całkiem niedawno, niedługo przed jego śmiercią. Słyszałem też, jak omawiali swoje pierwsze spotkanie. Okazuje się, że poznali się pod koniec sierpnia, Sasza próbował poderwać Leroczkę, ale ona patrzyła na niego krzywym okiem. Dopiero później przyjęła jego zaloty. Rozumie pan? Poznali się w sierpniu tego roku, a pierścionek nosiła od ubiegłej jesieni. To nie dawało mi spokoju. Ale co ja mogę? – Rozłożył ręce. – Tylko podsłuchiwać i podglądać.

Korotkow zdziwił się, że niedawny więzień posługuje się poprawnym, niemal literackim językiem. Zdaje się, że Aśka mówiła coś na ten temat... Niemczinow jest rzeczywiście dziwny. Jurę zaniepokoił fakt, że mężczyzna chętnie otwiera się przed nieznanym, opowiada mu nawet o tym, czego się wstydzi. Przedstawienie obliczone na wzbudzenie współczucia? Całkiem możliwe. A więc nie tylko doskonale nad sobą panuje, będąc pewnym swego, jest nie tylko świetnym aktorem, ale też dobrym psychologiem. Ktoś taki może naprawdę okazać się niebezpieczny, i to bardzo.

Nagle poczuł się nieprzyjemnie.

– Mogę zadzwonić?

– Proszę.

Niemczinow ruchem głowy pokazał aparat i taktownie wyszedł z pokoju. Korotkow wybrał numer i czekał, aż usłyszy dźwięk świadczący o tym, że mężczyzna podniósł słuchawkę drugiego telefonu. Ale niczego nie usłyszał. Z kuchni dobiegał odgłos lejącej się wody, brzęczały pokrywki garnków albo patelni. Wasilij Pietrowicz wyraźnie nie interesował się rozmową.

– Tu Korotkow, Konstantynie Michajłowiczu – powiedział Jura półgłosem, gdy Olszański odebrał telefon. – Nie za późno dzwonię?

– Mów.

– Niemczinow jest pewien, że pierścionka nie podarował Barsukow. Lera poznała go w sierpniu, a pierścionek zaczęła nosić we wrześniu

ubiegłego roku. Tak przynajmniej twierdzi Niemczinow.

– Jakież szczegóły?

– Na razie nie.

Olszański rozłączył się, nie pożegnawszy się ani nie powiedziawszy dziękuję, co zresztą było dla niego typowe.

Rozdział 11

Olszański odłożył słuchawkę i nie patrząc na siedzącą z boku Nastię, kontynuował przesłuchanie Lery Niemczinowej.

– Skończyliśmy na tym, że zabity Barsukow parę razy proponował pani małżeństwo, ale pani najpierw mu odmawiała. Mam rację?

– Owszem – potwierdziła Lera.

– Kiedy zgodziła się pani zostać jego żoną?

– W listopadzie, w Dniu Milicjanta. Postanowiłam zrobić mu prezent z tej okazji.

– Szeroki gest – skomentował śledczy bez cienia uśmiechu. – A Barsukow, żeby uczcić pani zgodę...

– Tak, żeby uczcić nasze bądź co bądź zaręczyny, podarował mi pierścionek.

Nastia zerknęła na zegarek. Jedenasta dwadzieścia pięć. Ciekawe, czy to Korotkow dzwonił przed chwilą? Trudno się domyślić na podstawie wypowiedzi Kostii. Jeśli to był Jurka, co powiedział? Olszański ani na jotę nie zmienił kierunku przesłuchania, więc to raczej niemożliwe, żeby usłyszał coś interesującego, diametralnie zmieniającego sytuację. Pewnie był to jednak Korotkow, który oznajmił, że Niemczinow potwierdził słowa wnuczki, dlatego nie było sensu zmieniać scenariusza rozmowy. Przez pierwsze pół godziny Kostia sondował, skąd młody Barsukow mógł wziąć pieniądze na zakup drogiej rzeczy. Wiadomo, że kupił pierścionek nie w sklepie, prędzej od osoby prywatnej, cena była wprawdzie niższa od detalicznej, mimo to nie chodziło o kopiejkę. Brylant jest prawie karatowy. Przesłuchania rodziców i przyjaciół Barsukowa niczego nie wniosły, nikt bowiem nie widział, żeby chłopak gdziekolwiek dorabiał i miał inne źródła dochodu oprócz stypendium. Rodzice nie dawali mu dużych sum, on jednak wcale nie prosił

o pieniądze. Nie był zadłużony, w każdym razie do tej pory nie udało się ustalić kredytodawców. Więc skąd gotówka? Odpowiedź nasuwała się sama: chłopak zwąchał się z przestępcami. Wykonywał dla nich zadania, które hojnie opłacali. Niewykluczone, że otrzymywał wynagrodzenie również w naturze, w tym konkretnym przypadku zapłacono mu pierścieniem z brylantem. Nastia już wcześniej wysunęła taką hipotezę, a teraz jej domysły się potwierdzały.

Równo o jedenastej trzydzieści zapukano do drzwi. Stawił się pan Sołowiow, żeby wziąć udział w procedurze identyfikacji pierścionka.

– Będziemy musieli przerwać, Walerio Giennadjewna – powiedział Olszański, chowając druk protokołu do teczki. – Zaraz odbędzie się identyfikacja pierścionka i w zależności od jej wyników będziemy rozmawiali dalej. Proszę wejść – zwrócił się do mężczyzny i sięgnął po słuchawkę telefonu.

Chwilę później w pokoju pojawiły się jeszcze trzy osoby. Dwie były świadkami, których wezwano, trzecia osoba położyła na biurku przed Olszańskim nieduże pudełko. Konstantin Michajłowicz otworzył sejf i zniknął za masywnymi drzwiami. Nastia domyśliła się, że wkłada do pudełka pierścione, który pół godziny wcześniej skonfiskował Lerze. Niedługo potem pięć pierścionków z brylantami leżało na blacie olbrzymiego biurka, z którego Olszański odsunął uprzednio dokumenty. Zaraz potem znużonym głosem wypowiedział z pamięci formułę prawną, wyjaśniając obecnym istotę przeprowadzanej czynności i uprzedzając o odpowiedzialności za składanie fałszywych zeznań.

– A więc, Jewgieniju Siemionowiczu, niech pan podejdzie do biurka i obejrzy ozdoby jubilerskie. Czy nie ma wśród nich znajomego panu pierścionka?

Sołowiow, tęgi i niemłody, z widocznym trudem wstał z krzesła przy ścianie i ruszył do biurka, wyraźnie pociągając nogą. Uważnie przyjrzał się leżącym przed nim pierścionkom. Jego twarz wykrzywił grymas bólu. Sięgnął po jeden z pierścionków, ale Olszański go powstrzymał.

– Na razie nie wolno niczego dotykać. Proszę tylko wyjaśnić ustnie.

– Ten tutaj, drugi z lewej...

– Mówi pan o obiekcie numer cztery? – Olszański końcem długopisu dotknął lekko pierścionka.

– Tak, to... To pierścionek Tamary.

– Ten pierścionek jest podobny do tego, który podarował pan niegdyś swojej małżonce – sprecyzował śledczy. – Ma identyczny kamień i ten sam wzór. Dobrze pana zrozumiałem?

– Tak... To jej pierścionek.

– Chwileczkę, na razie ustaliliśmy, że jest bardzo podobny. By zdobyć pewność, że to właśnie ten pierścionek, musimy określić jego znaki szczególne. Na podstawie jakich znaków rozpoznałby pan własność swojej małżonki wśród takich samych pierścionków? Może niewielkie skazy, rysy, ślady naprawy?

– Był na nim wygrawerowany napis. Zamówiłem pierścionek w prezencie z okazji trzydziestej rocznicy ślubu.

– Jak brzmiał napis?

– „Mojej jedynej”.

– Z której strony go zrobiono: wewnętrznej czy zewnętrznej?

– Wewnętrznej.

– Świadkowie, proszę podejść i wziąć pierścionek oznaczony numerem cztery, a następnie zobaczyć, czy w środku jest napis.

Świadek, kobieta koło trzydziestki z surową nauczycielską miną i ustami, o dziwo, skłonny do uśmiechu, sięgnęła po pierścionek i zaczęła go oglądać.

– Widzę napis.

– Proszę przeczytać – zażądał Olszański.

– „Mojej jedynej”.

– Pytanie do pana Sołowiowa. W jakich okolicznościach doszło do utraty pierścionka?

– Żona została zabita, a pierścionek ktoś ukradł. Nie widziałem go od chwili jej śmierci.

– Kiedy to się wydarzyło?

– Dawno temu. W osiemdziesiątym ósmym roku.

Przez jakiś czas w pokoju panowała cisza, śledczy kończył protokół, świadkowie cierpliwie czekali, aż będą go mogli podpisać. Nastia czuła napięcie, które unosiło się w powietrzu, i miała wrażenie, że zaraz dostanie zawału. Sołowiow siedział przygarbiony i chyba nawet nie dostrzegał spływających po twarzy łez. W jego otyłej, niezgrabnej postaci i obrzmiałej, zalanej łzami, niemłodej twarzy malowało się tyle cierpienia, że przykro było patrzeć. Lera z kolei, przeciwnie, jak gdyby

skamieniała. Nie uroniła łezki, na jej twarzy zastygł wyraz przerażenia i rozpacz.

Wreszcie wszyscy wyszli. Oprócz śledczego w pokoju zostały tylko Lera Niemczinowa i Nastia.

– A zatem kontynuujemy, Walerio Giennadjewna – powiedział Olszański, ponownie wyciągając blankiety protokołu przesłuchania. – Aleksandro Wasiljewna, chciałem panią zwolnić, bo zabrałem pani dużo czasu, ale niestety, sama pani widzi, jak wszystko się potoczyło. Okazuje się, że student waszej uczelni podarował narzeczonej pierścionek zamordowanej kobiety, więc proszę, żeby pani została. Będziemy musieli wrócić do pytania, skąd studenci, przyszli funkcjonariusze milicji, biorą tak dziwne przedmioty.

– Dobrze, zaczekam – odparła Nastia z obłudną pokorą, ciesząc się w duchu, że Olszański się nie pomylił i nie nazwał jej Anastazją Pawłówną.

– Co zatem mamy na tapecie, Walerio Giennadjewna? – zaczął śledczy.
– Prezent niejasnego pochodzenia...

Nastia poczuła niepokój. Kostia gwałtownie zmienia styl rozmowy. Przed identyfikacją mówił oficjalnym tonem, budował suche, długie i nużące zdania, nie pozwalał sobie ani na jedno słowo, które mogło zostać odebrane jako poufale czy nazbyt swobodne. Teraz nagle odezwał się inaczej, dowcipkuje, zaraz zacznie jak zwykle prawić impertynencje. Co się dzieje? Dlaczego się zmienił? Przecież wynik identyfikacji nie stanowił dla niego zaskoczenia, oboje z Nastią byli niemal na sto procent pewni, że Sołowiow rozpozna swój pierścionek. Tak się też stało. To znaczy, że identyfikacja nie wniosła niczego nowego. Ale najwyraźniej było inaczej, skoro zmienił ton. Kostia coś kombinuje, chyba chce przyłapać dziewczynę, tylko na czym? Czyżby telefon był rzeczywiście od Korotkowa i Jura powiedział coś ciekawego?

– Jak wyjaśni pani fakt, że narzeczony miał pierścionek należący do zabitej kobiety?

– Nie wiem – odparła Lera obojętnie i od razu było wiadomo, że zamierza iść w zaparte. O niczym nie wiem, niczego nie podejrzewałam, nikt mi nic nie mówił.

– Proszę sobie dokładnie przypomnieć, jak i w jakich okolicznościach Barsukow wręczył pani prezent i co wtedy powiedział. I niech pani nie

pomija żadnych szczegółów – dodał śledczy z naciskiem. – Ważne jest wszystko. Gdzie to się odbyło, kiedy, o której godzinie, kto jeszcze był przy tym obecny i tak dalej.

Lera przystąpiła do relacji, a Nastia dopiero teraz uświadomiła sobie, co się dzieje. Chwył był stary, ale skuteczny. Olszański chce przyłapać dziewczynę na drobiazgach, które ta zacznie wymyślać na poczekaniu. To raczej mało prawdopodobne, żeby przygotowała historię w najdrobniejszych szczegółach i nauczyła się jej na pamięć. Będzie to raczej improwizacja, w której się pogubi. Wniosek jest tylko jeden: Olszański wie, że wszystko odbyło się inaczej. I chce udowodnić, że Lera kłamie, w dodatku zrobić to w taki sposób, żeby dziewczyna nie mogła się wyprzeć i przyciśnięta do muru wyznała prawdę. A zatem Niemczinow powiedział, że to nie Barsukow podarował pierścionek wnuczce. Chociaż może być też inaczej: Olszański wierzy Lerze i sądzi, że to jej dziadek kłamie, dlatego chce poznać jak najwięcej szczegółów, by mieć punkty zaczepienia w rozmowie, którą z nim przeprowadzi. Bardzo ciekawe!

Lera mówiła przez dłuższy czas, pochłonięta opowieścią, i powoli się uspokajała. Olszański co rusz dopytywał o szczegóły, dziewczyna je podawała, ale Nastia zauważyła, że zaczęła się plątać. Kłamca musi mieć jednak dobrą pamięć i na okrągło ją trenować. Tymczasem wyglądało na to, że Lera nigdy przedtem nie znalazła się w sytuacji, w której ktoś próbował przyłapać ją na nieścisłościach i dlatego z każdą chwilą popełniała coraz więcej błędów.

– Przepraszam, nie zapisałem, więc proszę powtórzyć, co pani zamówiła w restauracji, gdy poszła tam z Barsukowem. Julienne z grzybów, szaszłyk barani i coś jeszcze...

– Kawior.

– Czerwony czy czarny?

– Czarny.

– Aha, dobrze. Chociaż nie, chwileczkę, wydaje mi się, że wspominała pani o julienne z kurczaka.

– Nie, z grzybów – odparła Lera.

Tymczasem Nastia dobrze pamiętała, że julienne był najpierw z kurczaka, a szaszłyk jeszcze pięć minut temu wieprzowy. Kawior też jakoś szybko szerniał, a przecież Lera powiedziała, że był czerwony.

Dziewczyna zmęczyła się swoimi kłamstwami i nie zwracała uwagi na szczegóły, o które wypytywał dociekliwy Konstantin Michajłowicz.

– Odniosła pani wrażenie, że Barsukow bywał już w tej restauracji?

– Nie wiem, nie wspominał o tym.

– Proszę sobie przypomnieć, w jaki sposób rozmawiał z kelnerem, oraz to, jak przeglądał menu. Na tej podstawie można się domyślić, czy ktoś przychodzi po raz pierwszy, czy jest stałym bywalcem.

Lera znowu wdała się w szczegóły i znowu się w nich zaplątała. Wreszcie Olszański uznał, że pora kończyć zabawę.

– No cóż, Walerio Giennadjewna – powiedział ze znużeniem, odsuwając na bok kolejną kartkę protokołu. – Niech pani przestanie mącić mi w głowie. Aleksander Barsukow nie podarował pani żadnego pierścionka, nie było też wzruszających oświadczeń w Dniu Milicjanta. Wszystko to wymyśliła pani na poczekaniu, na moich oczach. I zrobiła to nieporadnie i nieumiejętnie. Zaczniemy od początku. Skąd pani ma ten pierścionek?

– Podarował mi go mój narzeczony Barsukow – odparła Lera twardo. – Nie rozumiem, czego pan ode mnie chce.

– Prawdy, niczego więcej. Poznała pani Barsukowa w sierpniu bieżącego roku, to pani słowa. Czy może się przesłyszałem?

– Powiedziałam tak, bo to prawda. Naprawdę poznaliśmy się w sierpniu.

– I przedtem nigdy się nie spotkaliście?

– Nie.

– Skąd w takim razie ma pani ten pierścionek?

– Mówiłam panu ze sto razy. Dostałam od Saszy! Czego pan jeszcze chce?!

– Litości, Walerio Giennadjewna! – Zdumienie odegrane przez Olszańskiego było tak szczere, że w pierwszej chwili Nastia w nie uwierzyła. – Jak Sasza mógł podarować pani pierścionek, skoro poznaliście się dopiero w sierpniu, przedtem nigdy się nie spotkaliście, a pierścionek nosiła pani na palcu co najmniej od roku. Sądzi pani, że nie umiem posługiwać się kalendarzem i nie znam nazw miesięcy?

Policzki dziewczyny zapłonęły ogniem, leżące na biurku ręce zadrżały.

– To nieprawda. Kto panu powiedział te bzdury?

– Ci, którzy widzieli pierścionek na pani ręce. Parę osób, wszyscy nie

mogą się mylić.

– Kto konkretnie? Co pan insynuuje?

– Koledzy i koleżanki ze studiów, a także wykładowcy. Pierścionek jest duży, drogi, zwraca uwagę. Zaczęła go pani nosić we wrześniu ubiegłego roku, wtedy właśnie dostała się pani na uczelnię. Ktoś go pani podarował z tej okazji? Proszę podać nazwisko osoby, która to zrobiła.

– To nie pańska sprawa.

– Przeciwnie, moja.

– Nie, nie pańska. To sprawa osobista, nikomu nie muszę się spowiadać. Czyżbym nie mogła mieć wielbiciela, który robi mi prezenty?

– Może pani, Walerio Giennadjewana, oczywiście, że może. Ale ten pani wielbiciel maczał palce w zabójstwie Tamary Sołowiowej, a to już moja sprawa. Więc kto to taki?

– Nie jest zabójcą. Niech go pan zostawi w spokoju.

– Więc skąd wziął pierścionek?

– Kupił.

– Od kogo?

– Nie wiem. Pewnie w sklepie. Co za różnica?

– Skradzionych klejnotów nie sprzedaje się w sklepach, moja droga, więc jeśli ktoś pani tak powiedział, to znaczy, że panią oszukał. Krótko mówiąc, nadal pani kłamie i osłania zabójcę. Mówiła pani nieprawdę przez dwie godziny, moja cierpliwość się wyczerpała. Albo poda mi pani nazwisko ofiarodawcy, albo wydam postanowienie, żeby panią zatrzymano.

– Za co?! – Lera się przestraszyła. – Nic nie zrobiłam! Nie ma pan prawa mnie zatrzymywać.

– Doprawdy? – Olszański zmrużył oczy. – Uważam inaczej. Jest pani właścicielką pierścionka skradzionego z miejsca zabójstwa i odmawia podania nazwiska osoby, która go podarowała, a więc musi pani wiedzieć, że owa osoba brała udział w zabójstwie, i nie chce jej pani wydać. To się nazywa zatajanie przestępstwa i odmowa składania zeznań, oba występki podlegają odpowiedzialności karnej. Sama pani widzi, że to bardzo proste. Pewnie pani przywykła, że nie spotykają pani żadne przykrości, bo nikt nie może się pani oprzeć. Muszę jednak panią rozczarować, ten przypadek jest inny. W kodeksie karnym nie ma nic na temat urody. Proszę wybierać: albo nazwisko, albo areszt. Co pani woli?

– On nie jest zabójcą – powtórzyła Lera z uporem.

– Dobrze. – Śledczy niespodziewanie ustąpił. – Gotów jestem uwierzyć. Ale musi to pani udowodnić. Spróbujmy nie podawać jego nazwiska, skoro tak bardzo pani na tym zależy, musi pani być jednak przekonująca i udowodnić, że ten człowiek nie ma związku z zabójstwem Tamary Sołowiowej. A zatem słucham.

Lera milczała przygnębiona. Chyba nie spodziewała się takiego obrotu sprawy i nie wiedziała, co powiedzieć.

– No słucham – niecierpliwie powtórzył Konstantin Michajłowicz. – Niech pani zaczyna.

– Ale ja nie wiem... Nie wiem, jak to udowodnić – wybąkała, nie patrząc na niego.

– Zaczniemy od rzeczy najprostszej. Do zabójstwa Tamary Sołowiowej doszło osiemnastego marca osiemdziesiątego ósmego roku. Gdzie w tym czasie był pani znajomy, ofiarodawca pierścionka?

– Skąd mam wiedzieć? Wtedy się nie znaliśmy. To było przecież dziesięć lat temu.

– Ale skoro to pani bliski znajomy, powinna pani wiedzieć coś o jego dawnym życiu – zaproponował Olszański. – Może na przykład wspominał, że pod koniec lat osiemdziesiątych nie było go w ogóle ani w Rosji, ani w Moskwie, bo pracował za granicą. Albo że siedział w tym czasie w więzieniu, więc nie mógł popełnić zabójstwa. Niech pani sobie przypomni wszystko, co wie.

– Oczywiście! – Twarz Lery się rozjaśniła. – Wiem, o co panu chodzi. Nie mógł nikogo zabić, bo był wtedy jeszcze dzieckiem. Teraz ma dwadzieścia pięć lat, a więc wtedy miał piętnaście albo szesnaście. Sam pan widzi, że nie jest zabójcą!

– Na razie niczego jeszcze nie widzę, zakłady dla nieletnich pełne są młodych zabójców, tak więc wiek w danym wypadku nie jest żadnym argumentem. Gdyby pani znajomy miał wtedy siedem czy osiem lat, przyznałbym pani rację. Ale szesnaście to już poważna sprawa. Nawiasem mówiąc, gdzie on się wychowywał, w Moskwie? A może nie jest moskwianinem? Kim są jego rodzice, gdzie teraz przebywają?

– On... – Lera się zawahała. – Jest sierotą.

– A więc wychowywał się w domu dziecka albo w internacie?

– Nie... zdaje się, że opiekował się nim krewny. Albo przyjaciel jego

rodziców... Nie pamiętam dokładnie.

– Mieszkali w Moskwie?

– Tak.

– No właśnie. Gdyby mieszkali w Magadanie, tobym pani uwierzył. Proszę poszukać innych argumentów, Walerio Giennadjewna, jeśli chce mnie pani przekonać. Chyba widać, że poważnie traktuję pani uczucia i rozumiem, że młoda kobieta nie zawsze może podać nazwisko swojego ukochanego, zwłaszcza jeśli jest żonaty i zajmuje ważne stanowisko. Mam słuszość?

– On nie jest żonaty – odparła Lera porywczo. – Skąd ten pomysł?

– W takim razie, moja droga, przestaję panią rozumieć. – Olszański wymownie rozłożył ręce. – Ja tu się z panią cackam, mam na uwadze pani młodość, jestem delikatny, wysłuchuję niezdarnych kłamstw, zamiast zajmować się sprawą. Dość tego, nadużywa pani mojej życzliwości. Albo poda mi pani zaraz nazwisko tego mężczyzny, albo panią zatrzymuję.

Nastia domyśliła się, że Olszański gra na zwłokę. Mógłby pozostać oschły i surowy, przycisnąć Lerę, a wtedy dziewczyna już dawno powiedziała mu to, co trzeba. Urabiał ją oczywiście zgodnie z zasadami sztuki, ale Lera nie była warta jego starań, wydawała się słaba i niedoświadczona, więc zmuszenie jej do podania nazwiska nie stanowiło żadnego problemu. Kostia na coś czeka. Ale na co? Może na telefon od Korotkowa i nowe informacje?

Ledwo zdążyła to pomyśleć, zadzwonił telefon na biurku śledczego. Olszański podniósł słuchawkę.

– Tak? Tak. Tak. Naprawdę? Dobrze. Jesteś wolny.

Odłożył słuchawkę, zdjął okulary, w zamyśleniu poobracał je w dłoniach, po czym znowu włożył.

– Walerio Giennadjewna, jak długo zna pani Igora Wildanowa?

– Skąd pan wie... – niemal wyszeptwała Lera.

– Co za różnica? Wiem. Więc jak długo?

– Od dawna.

– Dokładniej – zażądał Olszański.

– Od trzech lat.

– Znowu pani kłamie?

– Nie! – prawie krzyknęła i powtórzyła nieco spokojniej: – Nie, mówię

prawdę. Od trzech lat.

– Czy to on podarował pani pierścionek?

Lera pochyliła głowę tak nisko, że długie, opadające falami włosy całkiem zasłoniły jej twarz.

– Tak, to on.

– Kiedy?

– No... Sam pan powiedział. W ubiegłym roku, z okazji rozpoczęcia studiów.

– Łączy was bliska zażyłość?

– Tak.

– Wiedziała pani, że pierścionek jest kradziony?

– Nie! Daję słowo – powiedziała Lera impulsywnie i ze wzburzeniem. – Nie wiedziałam. Jestem pewna, że Igor też nie wie. On nikogo nie zabił, jest dobry i łagodny, nie ma wrogów. Był przecież jeszcze dzieckiem...

– Walerio Giennadjewna! – powiedział Olszański surowo. – Trzy lata temu miała pani piętnaście lat i uważała się za wystarczająco dorosłą, żeby nawiązać bliskie stosunki z młodym dwudziestodwuletnim mężczyzną. Niech więc mnie pani nie przekonuje. Gdzie był i co robił Wildanow w osiemdziesiątym ósmym roku?

– Mieszkał u wujka Sławy. Tam się wychowywał.

– Nazwisko wujka Sławy?

– Zotow. Wiaczesław Olegowicz Zotow.

– Kim Zotow jest dla Wildanowa? Krewnym?

– Nikim. Igor był bezdomnym sierotą, włóczył się po ulicach. Wujek Sława usłyszał, jak śpiewa, i uznał, że ma duży talent. Przygarnął go, został jego opiekunem i pomagał mu doskonalić umiejętności wokalne.

– Czy Zotow znał pani rodziców?

– Czemu pan o to pyta?

– Niech mnie pani nie zmusza, Walerio Giennadjewna, żebym powtarzał swoje pytania. Nie jest pani na towarzyskiej imprezie, ale w pokoju śledczego.

Lera westchnęła głęboko i na chwilę wstrzymała oddech. Był to sprawdzony sposób na opanowanie łez, Nastia często się nim posługiwała. Przez chwilę zrobiło jej się żal dziewczyny.

– Tak, wujek Sława był przyjacielem moich rodziców.

– A potem się okazało, że jest opiekunem pani kochanka?

Pytanie było bezpośrednie i obcesowe, ale konieczne. Nastia wiedziała, co Olszański ma na myśli. Czy nie za dużo zbiegów okoliczności? Co prawda w życiu zdarzają się różne rzeczy... Pytanie było jednak czysto retoryczne i nie wymagało odpowiedzi, bo Konstantin Michajłowicz od razu ruszył dalej.

– W jakich okolicznościach poznała pani Wildanowa? Z otow was ze sobą poznał?

– Nie, skąd, ja sama... Sama przyszedłam do Igora. Podobało mi się, jak śpiewa, więc chciałam go poznać. Dopiero w jego mieszkaniu spotkałam wujka Sławę. Nie wiedziałam, że coś go łączy z Igorem. Niech pan posłucha... Proszę nie podejrzewać Igora o zabójstwo, wiem na pewno, że nikogo nie zabił. Nie mógł zabić, nie skrzywdziłby nawet muchy.

– Nie przekonała mnie pani. Wielu dziewczętom podoba się ten czy ów piosenkarz, ale nie wszystkie odwiedzają swojego idola w domu. Większości nie przyjdzie to nawet na myśl. Pani nie chodziło tylko o jego piosenki. Była w nim pani zakochana?

Lera znowu zniżyła głos do ledwo słyszalnego szeptu.

– Tak.

– Kiedy?

– Co „kiedy”? – zapytała.

– Kiedy zakochała się pani w Wildanowie?

– Pierwszy raz zobaczyłam go w telewizji. Trzy lata temu.

– Rozumiem. Teraz pani wyjaśnię, skąd moje pytania, i spróbujemy wspólnie ustalić, co tak naprawdę się wydarzyło. Czyje portrety malowała pani w dzieciństwie?

Lera zrobiła się purpurowa. Bładość wywołana gniewem i strachem ustąpiła bez śladu, teraz policzki dziewczyny pałały rumieńcem wstydu.

– To nie pańska sprawa. Maluję, kogo chcę.

– Słusznie. Malowała pani Wildanowa?

Dziewczyna posłała mu zdumione spojrzenie, zapominając o zażenowaniu i konsternacji.

– Nie, przecież go nie znałam w dzieciństwie. Po prostu malowałam... niech pan uzna, że było to marzenie. Książę z bajki.

– Pani książę jest ładząco podobny do Igora Wildanowa. Ma nawet pieprzyki w tym samym miejscu. Czy to pani nie zastanawia?

– Pieprzyki? Ale ja nie... Nie rozumiem.

– Co tutaj jest do rozumienia, moja droga? Wymarzony księżę, którego pani malowała, odkąd skończyła osiem lat, ma twarz prawdziwego Igora Wildanowa ze wszystkimi jego znakami szczególnymi. Ponieważ oboje jesteśmy rozsądni i nie wierzymy w nadprzyrodzone siły, wyjaśnienie może być tylko jedno: gdzieś już pani widziała tego chłopaka, wywarł na pani tak silne wrażenie, że jego obraz zapadł pani głęboko w serce. Zakochała się pani, gdy była jeszcze dzieckiem. A gdy spotkała dorosłego Igora i rozpoznała w nim swojego księcia, postanowiła go poznać. Dawno już jednak zapomniała pani o tamtym spotkaniu w dzieciństwie. Pewnie nie ma pani zielonego pojęcia, skąd wziął się obraz księcia z bajki? A może doskonale pani wie, ale znowu udaje?

Lera milczała, patrząc na Olszańskiego ze strachem i niedowierzaniem. Nastia była pełna podziwu dla Korotkowa. Spisał się na medal, w niezwykle krótkim czasie udało mu się skłonić dziadka Lery do pokazania albumów z rysunkami wnuczki! Ale Kostia też stanął na wysokości zadania, błyskawicznie przeanalizował informację i splótł całą historię! Niewykluczone, że mała Lera zobaczyła Igora, bo przecież Zotow, który go wychowywał i był przyjacielem jej rodziców, mógł przyprowadzić do nich swojego podopiecznego. Zwłaszcza że chłopak miał talent muzyczny, a ojciec Lery był znanym kompozytorem. Poza tym się przyjaźnili... Dziwne jest coś innego. Skoro rzeczywiście tak było, dlaczego Zotow zataił to przed Lerą? Dlaczego nie powiedział: „Pamiętasz Igora, Leroczko? Odwiedzaliśmy was razem, gdy byłaś mała”. Wygląda jednak na to, że Zotow nie powiedział owego magicznego zdania i Lera nie miała zielonego pojęcia o ich dawnym spotkaniu, uważała, że pierwszy raz zobaczyła Wildanowa trzy lata temu w telewizji. Dlaczego Zotow to przemilczał? Coś tutaj nie pasuje, Kostia też to wyczuwa, dlatego otwiera rozmaite drzwi, próbując znaleźć właściwą drogę. Z jakiegoś powodu Zotow nie powiedział Lerze, że spotkała Igora w dzieciństwie, Igor z kolei stał się właścicielem pierścionka skradzionego podczas zabójstwa Tamary Sołowiowej. Dręcząc Lerę nietaktownymi pytaniami, Olszański usiłuje uchwycić nić, która połączyłaby te okoliczności. A może niepotrzebnie się wysila, bo owe okoliczności nie mają ze sobą żadnego związku? Każda istnieje samoistnie i żyje własnym życiem.

Trzeba jednak przyznać, że Leroczka to twarda sztuka. Nie wie

oczywiście, skąd Igor Wildanow wziął pierścionek zabitej Tamary Sołowiowej, ale za wszelką cenę chce ukryć tę historię, inaczej po co miałyby zwać wszystko na biednego Barsukowa, którego teraz nikt już o nic nie zapyta. Tak bardzo pragnęła odwrócić uwagę od Igora, że kłamała jak najęta, zapominając o wszystkim na świecie. Nawet o tym, co niedawno mówiła na pierwszych przesłuchaniach Olszańskiemu, a także Nastii – Aleksandrze Wasiljewnie – że nie traktowała poważnie zalotów Barsukowa i uważała go za żółtodzioba. Co próbowała ukryć? Czyżby Wildanow naprawdę maczał palce w zabójstwie Sołowiowej? Wybuchnie głośny skandal, jeśli trzeba będzie aresztować gwiazdora estrady za zabójstwo sprzed dziesięciu lat, które popełnił w dodatku jako nastolatek.

W tej samej chwili wydarzyło się coś niespodziewanego. Lera gwałtownie zbladła, krew odpłynęła jej z twarzy. Wbiła w Olszańskiego niewidzący wzrok i powiedziała niejasno:

– To niemożliwe... niemożliwe... Oszaleję, jeśli to prawda... Boże, co za wstyd!

Zachwiała się i niebezpiecznie przechyliła. Nastia rzuciła się, żeby ją złapać, ale dziewczyna niezgrabnie i nieelegancko osunęła się na podłogę koło biurka śledczego.

– Zemdlała – skonstatowała Nastia, uniósłszy jej powieki. – Niech pan wezwie lekarza.

≡

– No to się doigraliśmy – powiedział Korotkow z westchnieniem, skręcając z prospektu Mira w Pierścień Sadowy.

Nastia milczała przygnębiona. Ocuconą Lerę odwieziono do szpitala i umieszczono na oddziale ratunkowym. Doznała silnego wstrząsu psychicznego, do nikogo się nie odzywała, lekarze zabronili jej niepokoić. Sytuacja była jednak poważna i należało koniecznie zebrać informacje na temat Igora Wildanowa, jego młodzieńczych lat i nieszczęsnego pierścionka. Wildanow nie odbierał telefonów – ani stacjonarnego, ani komórkowego, ale udało się dodzwonić do Zotowa, który ogromnie się przejął chorobą Lery, zaprosił milicjantów do siebie wieczorem i zadeklarował, że odpowie na każde pytanie.

Nastia i Jura opuścili właśnie szpital i jechali do Wiaczesława Olegowicza.

– Opowiedz dokładnie o dziadku – poprosiła. – Jaki jest, jak mówi i się zachowuje.

– Mówi tak samo jak pisze! – zawołał patetycznie Jura. – Ale jeśli mam być szczery, to słuchając go, nikt by się nie domyślił, że facet spędził dziewięć lat za kratkami. Istnieje pewien typ wykwalifikowanych robotników, którym jeszcze w dzieciństwie wpojono, że każda praca jest godna szacunku, jeśli wkłada się w nią serce, rozum i energię, a to, że w rubryce „pochodzenie społeczne” ktoś napisze, że jest robotnikiem, wcale nie oznacza, że ma prawo być nieokrzesanym analfabetą. Kiedyś miałem do czynienia z tego rodzaju ludźmi, nie było ich wprawdzie wielu, za to teraz, o dziwo, ich liczba znacznie wzrosła.

– To wynik obalenia starej ideologii. – Nastia się roześmiała. – Dawniej szanowano tylko tych, których pozwalał albo kazał szanować CK[3]. Na przykład kosmonautów, aktorów, wybitnych naukowców, bossów partyjnych. Robotników też należało szanować, ale wszyscy robili to tak nieszczerze, że trudno było kogokolwiek oszukać. A teraz wszystkim rządzi pieniądz. Jeżeli praca wiąże się z godziwymi zarobkami zapewniającymi wysoki standard życia, nikogo nie interesuje, co to za praca, fizyczna czy umysłowa. Profesor z tytułem akademika, laureat wielu nagród, nic dzisiaj nie znaczy, gdy utrzymuje się z państwowej pensji, tymczasem fachowcy od remontów cieszą się społeczną estymą i zarabiają bardzo przyzwoicie. Właśnie dlatego dawni pracownicy umysłowi i artyści rzucili się do prostych robót. Jak się z nimi rozmawia, można odnieść wrażenie, że jest się na uroczystym raucie. Stasow remontował niedawno nowe mieszkanie, majster okazał się zawodowym muzykiem, a kierownik robót artystą. Wszyscy w brygadzie urabiali sobie ręce po łokcie, od mieszkania nie można teraz oczu oderwać, a Stasow przyjeżdżał czasami do nich po pracy, bo już dawno nie czuł takiej satysfakcji, gawędząc z mało znanymi bądź co bądź ludźmi.

– A co z bandytami i opryszkami? Oni też przecież zajęli się przestępczym procederem, bo dzisiaj żadna praca nie hańbi, jeśli przynosi pieniądze.

– No cóż, każdy medal ma dwie strony. To normalne, że jeśli skutki

procesu są pozytywne, rewers jest jak na zawołanie. Nie bez powodu Amerykanie mówią, że przestępczość stanowi cenę, którą społeczeństwo płaci za demokrację. Za wszystko trzeba płacić. Jak mówi mój tata, nie ma darmowych hamburgerów. Zdaje się, że opowiadałeś o Niemczinowie, a sprowokowałeś mnie do polityczno-filozoficznych refleksji. Wracaj na grzeszną ziemię.

– Zwyczajnie cię sprawdzam – bezceremonialnie oznajmił Korotkow. – Teraz jesteś ważnym analitykiem, no to dokonaj podsumowania, pokaż mi, skromnemu, niepozornemu wywiadowcy, na jakie wyżyny myślenia się wspinasz.

– Chcesz w dziób? – zapytała Nastia bez ogródek.

– Lepiej w gębę – odparł szybko. – No dobrze, nie obrażaj się, to tylko wygłupy. A więc Niemczinow. Dziadek, dziadek, dziadek... – powtarzał w zamyśleniu, nie spuszczać oczu z drogi i szukając luki między samochodami, w którą mógłby się wcisnąć, żeby zmienić pas przed zakrętem. – Lera Niemczinowa ma niezwykłego dziadka. Wspaniałego, by tak rzec. Jeśli odłożyć na bok emocje, to można powiedzieć, że Niemczinow strasznie się boi o swoją jedyną wnuczkę, w dodatku źródło jego strachu nie jest określone, jak gdyby unosi się w powietrzu. Sama wiesz, jak niektórzy rodzice się boją, żeby dziecko się nie zmarnowało. Niby nie zrobiło jeszcze niczego niewłaściwego, uczy się dobrze, nie pije, nie pali, nie zadaje się z podejrzanym towarzystwem, ale oni wciąż się boją, że to się może wydarzyć. Tak właśnie jest z Niemczinowem. Jego zdaniem Lera jest normalną, dobrą dziewczyną, nie kręcą się wokół niej podejrzeni osobnicy, on jednak żyje w ciągłym strachu, że coś jej się stanie. Nie chodzi o to, że spadnie jej cegła na głowę albo dziewczyna wpadnie pod samochód, ale o to, że zejdzie na złą drogę. Nie wiem, na czym Niemczinow opiera swoje obawy, ale to pewne, że go nie opuszczają. Wciąż podgląda i podsłuchuje wnuczkę, przeszukuje jej rzeczy. A co najdziwniejsze, sam mi o tym powiedział.

– Co w tym dziwnego? Dlaczego nie mógł ci o tym powiedzieć?

– Ja bym za nic nie przyznał się do tego komuś obcemu. Chodziłbym jak struty, ale bym nie powiedział. Sama pomyśl, powiedziałaś tak po prostu, że podglądasz kogoś bliskiego?

– Ty byś nie powiedział, ale on powiedział. Czemu mierzysz go swoją miarą? Facet różni się od ciebie. Ma inny charakter i sposób myślenia,

no i inne życie.

– Ciekawe, czy ty byś powiedziała?

– Ja? – Nastia się zamyśliła. – Nie wiem. – Po pierwsze, chyba bym nie podglądała. To znaczy musiałabym mieć podstawę, bardzo ważne powody, żeby to zrobić. Ale gdyby powody się znalazły, to znaczy pojawiłby się problem, który nie dawałby mi spokoju, byłabym zdolna do wszystkiego. Poświęciłabym miłość własną, żeby go tylko rozwiązać. W tej sytuacji przyznałabym się, rzecz jasna, gdybym doszła do wniosku, że to pomoże. To po drugie.

– Nie teoretyzuj, Asiu, użyj w swoim rozumowaniu faktów, wtedy stanie się czytelniejsze.

– Dobrze, oto fakty. Podejrzewam na przykład, że mój ukochany mąż jest szpiegiem obcego wywiadu. Chociaż nie, sformułuję to inaczej. Wiem, że wokół mojego męża kręcą się jacyś podejrzani osobnicy. Wydaje mi się, że chcą go wciągnąć w jakąś aferę, na przykład kombinują, żeby został ich szpiegiem. Rozmawiam z nim oczywiście na ten temat, ale on posyła mnie razem z moimi podejrzeniami do diabła i wyjaśnia mi w niewybredny sposób, że to bardzo dobrzy i przyzwoici pod każdym względem ludzie, więc nie mogę źle o nich myśleć, a jeśli tak myślę, to znaczy, że jestem kompletną kretynką. Jego słowa mnie nie przekonują, wiem, że się nie mylę, moim zdaniem mąż nie ma oczu i jest zbyt łatwowierny. Ale ponieważ nadal obraca się wśród tych ludzi, wyteżam całą uwagę, podglądam, podsłuchuję i przeszukuję jego rzeczy, żeby nie przegapić zagrożenia. Na razie nic się nie dzieje, nie znajduję podejrzanych dokumentów czy pieniędzy niewiadomego pochodzenia. Ale jestem czujna. Pragnę go w porę ochronić, jeśli coś zacznie się kroić. Na mojej wyboistej drodze staje milicjant... A właściwie dlaczego milicjant? Przecież podejrzewam męża o szpiegostwo, więc to facet z FSB. Zdaję sobie sprawę, że w odróżnieniu ode mnie jest profesjonalistą, jeśli chodzi o szpiegowanie, ma dostęp do niezbędnych informacji i posiada odpowiednią wiedzę, umiejętności i nawyki, których ja jestem pozbawiona. Mąż jeszcze niczego nie zrobił, więc nie grozi mu odpowiedzialność karna. Bardzo chętnie opowiem facetowi z FSB o swoich obawach, licząc na to, że zwróci uwagę na osoby, które mi się nie podobają, i jeśli okaże się, że są w coś zamieszane, zdemaskuje je, zanim wciągną w coś mojego męża. W razie potrzeby przyznam się, że

podglądałam i podsłuchiwałam. Przyznam się do wszystkiego, byleby tylko nie doszło do nieszczęścia! Nie chodzi oczywiście o mnie osobiście, bo ze względu na swój charakter nie mogłabym wyjść za mężczyznę, którego trzeba pilnować na każdym kroku i prowadzić za rączkę, w tym wypadku występuję w imieniu kobiety abstrakcyjnej, ale z konkretnymi problemami. Oto cała historyjka, moje kochane słoneczko. Przekonująca?

– Jak najbardziej. Idąc za tokiem twojego rozumowania, Niemczinow próbował podsunąć nam Wildanowa. Nie bez powodu pokazał mi przecież album z rysunkami i powiedział, że Lera często rozmawia przez telefon z niejakim Igorem, a chłopak na rysunkach jest uderzająco podobny do znanego piosenkarza, którego można zobaczyć w telewizji. Chciał, żebyśmy się dowiedzieli o jej znajomości z Wildanowem. Z tego wniosek, że spodziewa się nieszczęścia z tej strony?

– Na to wygląda – przyznała Nastia. – Jeśli go dobrze zrozumiałeś. Ale jeśli Niemczinow jest mądrzejszy, niż myślimy, niewykluczone, że prowadzi jakąś skomplikowaną grę. A my nie wiemy jaką. Gdzie jedziesz? Miałaś skręcić tutaj.

– Przepraszam. Mogłaś mnie uprzedzić, przecież nie byłem u Zotowa.

– Nie szkodzi, pojedziemy równoległą ulicą.

Zotow wrócił do domu chyba parę minut przed ich przyjściem. W przedpokoju wisiał mokry od śniegu kożuszek, na podłodze widać było świeże ślady butów.

– A gdzie zniknął pan Wildanow? – zainteresował się Jurij, zdejmując kurtkę. – Dzisiaj nie odbierał telefonu. Czyżby wyjechał z Moskwy?

– Jest w domu – odparł Zotow krótko. – Zabroniłem mu odbierać telefony. Niedługo ma duży koncert, musi dużo ćwiczyć, a nie raczył nauczyć się nawet tekstów nowych piosenek. Muszę z nim siedzieć jak z dzieckiem i zmuszać do odrabiania lekcji.

– Ale dla milicji zrobi chyba wyjątek? Musimy się z nim koniecznie spotkać.

– Naturalnie.

Zotow nie zapytał, co się stało, że funkcjonariusze milicji zamierzają porozmawiać z Igorem. Zaniepokoiło to Nastię. Czyżby Wiaczesław Olegowicz nie martwił się o swojego podopiecznego?

Usiedli w pokoju, w którym całkiem niedawno, jeszcze wczoraj, Zotow

rozmawiał z Nastią. Nic się tutaj nie zmieniło, wszędzie panował porządek, na szerokiej ławie nie poniewierała się żaden zbędny karteluszek. Jedyne wyjątkiem stanowił magnetowid, ostatnim razem leżała koło niego kasetka z nagraniem jakiegoś koncertu, a dzisiaj Nastia zobaczyła znajomy film *Amadeusz*. Można było odnieść wrażenie, że pan domu właściwie tutaj nie mieszka, wraca tylko na noc i ogląda przed snem film albo słucha koncertu.

– Pewnie spędza pan sporo czasu ze swoim wychowankiem – powiedziała.

– Owszem. Zwłaszcza przed koncertami. Muszę być przy nim całymi dniami. Nie jestem przecież tylko menadżerem, ale też nauczycielem i akompaniatorem Igora. Kompanem do tańca i do różańca. Więc o czym chcecie państwo ze mną porozmawiać? Znowu o zabójstwie Niemczinowów?

– Nie – odparł Korotkow. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko, dzisiaj porozmawiamy o Wildanowie.

– Nie mam. – Zotow uśmiechnął się ujmująco. – Proszę pytać. Co państwa interesuje?

– Drogi prezent, który Igor zrobił swojej przyjaciółce w ubiegłym roku. Domyśla się pan, o czym mowa?

– Naturalnie. Mówi pan o pierścionku, który Igor podarował Leroczce. Wiedziałem, że prędzej czy później do tego dojdzie.

– Niby do czego? – zapytał Jurij szybko.

– Ktoś zapytał o pierścionek, a wtedy Igor będzie musiał się tłumaczyć, skąd go wziął. Uprzedzałem chłopaka, ale czasami mnie nie słucha i popełnia głupstwa.

– Więc skąd Wildanow wziął pierścionek? Znalazł na ulicy? Dostał w przesyłce od anonimowego wielbiciela?

– To prezent.

– Jasne. – Korotkow kiwnął głową. – Tak przypuszczałem. Prezent od ukochanej kobiety, tak?

Zotow roześmiał się niewesoło, podszedł do meblościanki, wyjął butelkę wody mineralnej i trzy szklanki, postawił je na stole przed gośćmi.

– O nie, prezent pochodził od kobiety kochającej, ale bynajmniej nie kochanej. Zresztą trudno ją też nazwać kochającą, była kochliwa,

kapryśna, zepsuta i rozpuszczona. Tamara kochała tylko siebie i swoje przyjemności, ale potrafiła okazać wdzięczność tym, którzy ich dostarczali. Igor jej się spodobał, więc podarowała mu pierścionek.

– Tamara? – zapytała Nastia, nie wierząc własnym uszom.

– No tak, Tamara Sołowiowa.

– Znał ją pan?

– Trochę. Przyjaźniła się ze Swietą Niemczinową, więc widziałem ją parę razy na ich letnisku.

– Kiedy sprezentowała pierścionek Wildanowowi? – zapytał Korotkow z niedowierzaniem.

Nastia odniosła wrażenie, że słucha kolejnej nieprawdziwej historyjki. Zaraz Zotow powie, że Tamara Sołowiowa miała z Igorem gorący romans, który skończył się, zanim ten spotkał Lerę. Pewnie facet nie wie, że Sołowiowa nie żyje. Ale w takim razie po co kłamie? Skoro nie wie o zabójstwie, nie ma powodu, żeby osłaniać Igora. A może Wildanow wywinął coś jeszcze?

– To było dawno temu. Tamara nie żyje już przecież od dziesięciu lat, została zabita. Pierścionek podarowała Igorowi jakieś pół roku przed śmiercią.

– Wolnego – obruszył się Korotkow, do głębi duszy wzburzony tym, że mężczyzna próbuje go haniebnie oszukać. – Dziesięć lat temu Wildanow miał piętnaście lat, a Tamara Sołowiowa czterdzieści trzy lata. Zdaje pan sobie sprawę z tego, co mówi?

– Oczywiście. Muszę przedstawić Igora w nie najlepszym świetle, ale rozumiem, że chodzi o zabójstwo i o pierścionek ofiary, który znalazł się u Igora. Dlatego wolę powiedzieć prawdę.

Nastia i Jurij słuchali z zapałym tchem. Co za historia! Gdzieś pod Moskwą działał podziemny burdel, który odwiedzali zblazowani, pozbawieni zahamowań klienci, żeby zabawić się z niepełnoletnią młodzieżą pragnącą szybko i bez wysiłku dorobić. Burdel, do którego parokrotnie przywieziono Igora Wildanowa, obecnego gwiazdora estrady. Gdzieś pod Moskwą było też lotnisko Niemczinowów, na którym ich zabito. I jeszcze gdzieś, w jakimś innym miejscu, doszło do przelotnego spotkania piętnastoletniego Igora z ośmioletnią Lerą. Czy nie za dużo tych miejsc pod Moskwą? Może było tylko jedno miejsce? A teraz dochodzi do tego szantaż. Właściciele burdelu filmowali orgie, które

sami organizowali, i w czyjeś ręce wpadła kasetka, na której uwieczniono seksualne igraszki z udziałem młodziutkiego Igora Wildanowa.

– Nie sądzi pan, że pańscy przyjaciele Niemczinowowie mogli mieć z tym coś wspólnego? – nagle zapytała Nastia.

Zotow patrzył na nią ze smutkiem, popijając małymi łykami wodę mineralną z gustownej szklanki.

– Niestety ma pani rację. Przykro mi to mówić, wolałbym, żeby Giennadij i Swietłana pozostawili po sobie dobrą pamięć. Dowiedziałem się o tym całkiem niedawno i uznałem, że będzie lepiej, jeśli to nadal pozostanie tajemnicą.

– Jak się pan dowiedział?

– Leroczka nosi w portfelu zdjęcia rodziców. Kiedyś wyjęła pieniądze w obecności Igora, a on zobaczył fotki. Później mi powiedział, że rozpoznał właścicieli letniska, na które ich przywożono, żeby zapewnić gościom rozrywkę. Jak najsurowiej zabroniłem mu wtedy wspominać o tym Leroczce. Po co dziewczyna ma wiedzieć, czym się zajmował w młodości jej ukochany. Nie powinna też źle myśleć o swoich nieżyjących rodzicach. Kiedy Igor mi powiedział, że ktoś go szantażuje nagraniem i żąda w zamian innych kaset, domyśliłem się, że Giena i Swieta też byli w to zamieszani. Ale jak mogłem wyznać Lerze prawdę o jej rodzicach? Zacząłem ją namawiać, żeby porozmawiała z dziadkiem, miałem nadzieję, że on jej o tym powie. Jemu dziewczyna uwierzy. Nie zniosłaby prawdy z moich ust. Zresztą nie potrafiłbym jej wyznać. Nie wykrztusiłbym z siebie ani słowa. Pewnie to oznaka słabości, ale są rzeczy, których nie jestem w stanie zrobić. Próbowałem ją oszczędzić. Czyżbym źle zrobił?

– Postąpił pan słusznie – zapewniła go Nastia. – Jak to się stało, że pan, bliski przyjaciel rodziny, nie wiedział, czym Niemczinowowie zajmują się na letnisku? Przecież bywał pan tam niemal codziennie.

– Proszę nie traktować moich słów zbyt dosłownie. Zdarzały się przerwy między spotkaniami. A zresztą były to spontaniczne, pojedyncze imprezy. Goście się zjeżdżali, pili alkohol, relaksowali się, zabawiali ze smarkaczami i na tym koniec. Wracali do siebie. I życie znowu płynęło dostojnie i leniwie. Igor opowiadał, że przywożono ich w weekendy, w tym czasie prawie nie bywałem u Niemczinowów. Miałem swoje letnisko, musiałem się nim zająć, ciągle coś dobudowywałem,

remontowałem, sadziłem, zabierałem tam żonę i dzieci.

– Wiczesławie Olegowiczu, nie dalej jak wczoraj pytałam, czy się pan nie domyśla, dlaczego Wasilij Pietrowicz Niemczinow zabił syna i synową. Nie sądzi pan, że należało powiedzieć o tym wczoraj?

– Nie – odparł Zotow gwałtownie. – Nie sądzę. Wczoraj rozmawialiśmy na temat ojca Giennadija, który już swoje odsiedział. Nie zamierzałem nagłaśniać haniebnych uczynków moich nieżyjących przyjaciół tylko po to, żeby zaspokoić pani ciekawość. Dzisiaj jednak rozmawiamy o Igorze, na chłopaka może paść podejrzenie i zostanie oskarżony o zabójstwo, którego nie popełnił i z którym nie ma nic wspólnego. Chodzi o karierę i dobre imię Igora, dla nich można coś poświęcić.

– A więc Igor tak wiele dla pana znaczy? – zapytała.

– Zainwestowałem w niego całą swoją wiedzę i umiejętności – powiedział Zotow otwarcie. – Uczyłem go nut i podstaw techniki wokalne, próbowałem wyprowadzić na ludzi, żywiłem i ubierałem. Jedyna rzecz, która mi nie wyszła, to jego wykształcenie. Igor nie skończył średniej szkoły. Dwa lata spędził w ósmej klasie, mimo to nie dostał promocji. Nie był dość bystry. Ale zrobiłem z niego piosenkarza, stworzyłem go własnymi rękami, to moje dzieło. Czy mogłem pozwolić, żeby stał się ofiarą skandalu, za który nie odpowiada? Igor jest bezradny jak dziecko, nie potrafi się obronić i może narobić głupstw, toteż będzie lepiej, jeśli sam powiem państwu prawdę. On pewnie się na to nie zdobędzie, spróbuje ukryć swoją znajomość z Tamarą, powodowany całkiem zrozumiałym uczuciem wstydu. W efekcie zapłacze się, będzie wymyślał kolejne kłamstwa, a tym samym potwierdzi podejrzenia pod swoim adresem. Potem oczywiście wszystko się wyjaśni, zanim jednak do tego dojdzie, rozpęta się skandal i sprawa trafi do sądu.

Stojąc już w drzwiach, Nastia nagle zapytała:

– Wiczesławie Olegowiczu, dlaczego nie powiedział mi pan wczoraj, że Igor jest w zażyłych stosunkach z córką pańskich przyjaciół?

– Nie pytała pani. W ogóle nie zapytała pani o Leroczkę.

– A gdybym zapytała, toby pan powiedział?

Zotow się zamyślił.

– Nie. Nie powiedziałbym, gdyby pytanie nie zabrzmiało tak poważnie jak dzisiaj.

– Dlaczego?

– Po co psuć opinię dziewczynie? Miłość do Igora nie przynosi jej chluby, podobnie jak każdej innej kobiecie.

– Ale dlaczego? – zapytała z uporem.

– Bo Igor to potwór. Okrutne i prymitywne zwierzę, głupie, lubieżne i ograniczone. Miłość do niego nie jest powodem do dumy.

– A pan? Przecież go pan chroni i się o niego troszczy. Czyżby go pan nie kochał?

Zotow spojrział na Nastię dziwnym wzrokiem.

– Kocham i szanuję swoją pracę, nigdy nie zatrzymuję się w pół drogi i doprowadzam do końca sprawę, której się podjąłem. To wszystko.

W samochodzie Nastia długo milczała, bezwiednie obracając w palcach zapalniczkę. Korotkow odczekał chwilę, potem nie wytrzymał. Nie znosił długiego milczenia, a za kierownicą czuł gwałtowną potrzebę rozmowy.

– O czym tak dumasz, koleżanko?

– O Niemczinowie.

– I co wymyśliłaś?

– Zastanawiam się, dlaczego nie opuścił miejsca zabójstwa pierwszym pociągiem.

– No dlaczego? Mów, bo nie lubię, gdy rozważasz coś w milczeniu. Myśl na głos.

– Ukrywał kasety. Albo je niszczył. Zabrał z domu i gdzieś zaniósł. Póki nie zrobił tego, co chciał, nie wrócił do miasta. Dowiedział się, czym zajmują się na lotnisku syn z synową, przyjechał i ich zabił. A podczas śledztwa powiedział, że się upili i wybuchła kłótnia. Nie mógł znieść myśli, że haniebny proceder ujrzy światło dzienne. Teraz wiadomo, dlaczego boi się o wnuczkę.

– Dlaczego?

– Dlatego że kiedyś nie upilnował syna.

Rozdział 12

Dziennikarka okazała się nad wyraz skrupulatna. Była dobrze przygotowana do wywiadu z Wildanowem, przeczytała na jego temat całe mnóstwo materiałów, które wcześniej opublikowano. Nie znosiła przystojnych mężczyzn i wcale nie była wielbicielką twórczości piosenkarza, dlatego jej pytania miały na celu przede wszystkim to, żeby pokazać czytelnikom głupotę i prostactwo Igora.

– Powiedział pan, że obok nowych piosenek ma pan w swoim repertuarze stare piosenki, ale w nowej aranżacji. Czy chodzi także o jeden z najbardziej popularnych i lubianych utworów – *Requiem*?

– Tak, *Requiem* też wykonam w nowej aranżacji – odparł Igor wyuczone na pamięć zdanie, po raz kolejny dziwiąc się przezorności swojego opiekuna. Sława przewidział, że takie pytanie na pewno padnie, i nalegał, żeby Igor nauczył się mówić płynnie o nowej aranżacji, zamiast używać sformułowania „zaśpiewam inaczej”.

– Nasi czytelnicy chętnie się dowiedzą, na czym polega istota nowej aranżacji ich ulubionego hitu. Może pan powiedzieć o tym parę słów?

– Powstała nowa instrumentacja.

Tego zdania nauczył go również Zotow.

– Ale po co? Dlaczego zależy panu na tym, żeby piosenka, do której wszyscy się przyzwyczaili i którą polubili, brzmiała inaczej?

– No... to...

Cholera, pomyślał z gniewem Igor. Sławka coś tam głądził, wyjaśniał, ale zapomniałem. Coś o filozoficznej wymowie wiersza... Ale co konkretnie? Wildanow rzucił spłoszone spojrzenie na Wiaczesława Olegowicza, który jak zwykle był obecny podczas wywiadu. Ten z niezadowoleniem poruszył brwiami, nie uznał jednak za stosowne się wtrącić.

– Myślę, że gdy wszyscy usłyszą nową aranżację, zrozumieją, dlaczego się na nią zdecydowałem – odparł Igor wymijająco. – Nie chcę zbyt szybko zdradzać sekretu.

– A dlaczego jest pan pewien, że nowa aranżacja starej piosenki przypadnie do gustu pańskim słuchaczom? Nie boi się pan ryzyka? Przecież poprzednia aranżacja wszystkim się podobała, nie wiadomo, jak zostanie przyjęta nowa.

Igor spieszył się do reszty. Właściwie nie miał pojęcia, jaki był cel nowej aranżacji. Sława co prawda przekonująco dowodził, że trzeba zdobywać kolejnych fanów, których nazywał „nowymi kręgami słuchaczy”, ale Igor Wildanow, nawet mimo swojej ignorancji wiedział, że nie powinien wspominać o tym dziennikarce. Nie był przygotowany na to pytanie i od razu rozżłościł się na Zotowa, że nie przewidział kierunku rozmowy i nie przećwiczył z nim odpowiedzi.

Dziennikarka chyba zauważyła oznaki niepewności na twarzy znanego piosenkarza i przyczepiła się do niego jak pijawka. Pytania sypały się jedno za drugim, Igor nie rozumiał do końca ich sensu, odpowiadał więc na chybił trafił, nawet nie zauważając drwiącego uśmiechu, który raz po raz wykrzywił usta dziennikarki. Wreszcie kobieta zadała łatwe pytanie, więc chętnie wdał się w dyskusję.

– Wiem, że zawsze udziela pan wywiadów w obecności tego pana. – Ruchem głowy pokazała Zotowa, obdarzając go promiennym uśmiechem. – Dlaczego? To pański impresario czy rzecznik prasowy?

– Pozwoli pani, że sam odpowiem? – zapytał Zotow dobrze postawionym głosem. – W końcu pytanie dotyczy mojej osoby.

– Oczywiście – łaskawie zezwoliła dziennikarka i sięgnęła po dyktafon, żeby przesunąć go bliżej Zotowa.

Ale Igor chwycił ją za rękę, nie pozwalając ruszyć dyktafonu. Jeszcze czego! Wreszcie padło pytanie, na które może odpowiedzieć sam, nie oglądając się na Sławę. Niech Zotow wie, że Igor nie jest tępy i też potrafi myśleć.

– Nie trzeba – powiedział pośpiesznie. – Odpowiem. To przecież pytanie do mnie, a nie do niego. Wiaczesław Olegowicz organizuje moje występy i prowadzi wszystkie sprawy. Jest też moim rzecznikiem prasowym, układa plan spotkań z dziennikarzami...

Igor mówił z zapałem, zadowolony, że odpowiada sam, i nie odrywał

wzroku od dziennikarki, dlatego nie zauważył, że twarz Zotowa wykrzywił grymas obrzydzenia. Co prawda na mgnienie oka, ledwo dostrzegalnie. Igor wiedział, że dzisiaj to ostatnie spotkanie z prasą, odwiedziło go już dwoje dziennikarzy, ta kobieta jest trzecia w ciągu pięciu godzin, po jej wyjściu wreszcie będzie mógł się odprężyć i sobie golnąć. Sława się nie sprzeciwi, zawsze pozwala mu przepłukać gardło po wywiadzie, wie, że Igor się denerwuje i że to dla niego stres. Po występach nie potrzebuje jednak alkoholu, wychodzi na scenę chętnie i z radością. Gdyby to było możliwe, śpiewałby nie dwie godziny, ale choćby do samego rana. Na scenie nie męczył się i nie denerwował, tam było jego prawdziwe życie, nigdy nie panikował jak inni, nie dopadała go trema za kulisami. Nie rozumiał tego. Czego miałby się bać? Śpiewa dobrze, publiczność go uwielbia, ludzie na sali nie są jego wrogami, a myśl, że może zaśpiewać źle, nawet nie przychodziła mu do głowy. Jednakże dziennikarze działali mu na nerwy. Musiał się przygotowywać, uczyć czegoś i coś zgłębiać, a za tym nie przepadał. Nigdy i pod żadną postacią. Gdyby to od niego zależało, nie uczyłby się też słów piosenek, o wiele bardziej wolał sobie ponucić.

Wreszcie dziennikarka zadała wszystkie pytania i się pożegnała. Dbając o wizerunek kulturalnego młodego mężczyzny, Igor odprowadził ją do drzwi, a potem szybko przemknął do kuchni i wyjął z lodówki napoczętą butelkę dżinu. Nalał sobie pół szklanki, rozejrzał się ukradkiem i wypił. Poczuł pieczenie w gardle i przyjemne ciepło w żołądku.

– Sława, masz ochotę na coś mocniejszego? – zawołał głośno.

– Nie – dobiegł go głos z pokoju. – Przynieś mi wody mineralnej.

Igor wyjął drugą butelkę, tym razem wódki, postawił na stole słoiki z marynowanymi korniszonami, cebulką perłową i faszerowanymi oliwkami. Lerka się spisała, kupuje świetne przekąski, potrafi je wybrać. Ułożywszy na talerzu kolorową mieszankę, już miał ruszyć do pokoju, ale się zawahał. Odstawił talerz i wódkę na stół, po czym znowu sięgnął do lodówki. Sława pozwoli mu oczywiście wypić, ale niewiele, tymczasem Igor potrzebował słusznej porcji alkoholu. Ostatnie dwie doby były ciężkie, musiał przyznać się do swojej amatorszczyzny i dwa dni z rzędu wysłuchiwać od Sławy grubiańskich obelg, jaki to z niego kretyn, gamoń i potwór. A potem Lerka zaczęła histeryzować... Igor, rzecz jasna,

zarówno wczoraj, jak i przedwczoraj miał ochotę „się zrelaksować”, ale Zotow mu zabronił, a w jego obecności Igor nie ośmielił się pisnąć słowa na temat alkoholu. Mógł oczywiście złamać zakaz wieczorem, gdy Zotow wracał do domu na noc, ale bał się kolejnej awantury, bo gdyby nazajutrz rano Sława wyczuł od niego zapach alkoholu, to gorzkim i obraźliwym wyrzutem nie byłoby końca. Musiał więc męczyć się do czasu, aż udzieli wszystkich wywiadów. Za to teraz nie musi się bać. Ma oficjalne pozwolenie, żeby wypić kieliszek wódki, więc na to konto może zatankować. Wyjął z lodówki dzin, upił parę łyków prosto z butelki, z żalem obejrzał resztki. Będzie musiał dolać wody z kranu, inaczej czujny Zotow na pewno zobaczy, że dzinu ubyło, i to znacznie, i znowu się rozkrzyczy. Oszustwa nie zauważy, bo sam nie pije i nie będzie próbował zawartości butelki. Szkoda jednak rozcieńczać trunek i go marnować.

Igor szybko dopił to, co zostało, dolał wody do butelki, zakręcił ją i wstawił z powrotem do lodówki.

W pokoju nie zbliżał się do Zotowa, żeby ten nie wyczuł od niego zapachu alkoholu. Postawił talerz, wódkę i kieliszek w pierwszym lepszym miejscu, pośpiesznie nalał i od razu wypił. No i załatwione, operacja przebiegła pomyślnie, Sława nie zauważył, że Igor jest już „łyknięty”.

– Tak ci się pali, co? – Zotow uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Nie możesz podejść do stołu?

Igor odzyskał już równowagę, zresztą nie zamierzał klócić się teraz z Zotowem. Najpierw niech mu pomoże uporać się z szantażystą, a potem zobaczymy, kto bez kogo nie może się obejść.

– Daj spokój, Sławka, czego się czepiasz? Jestem zmęczony, denerwowałem się, muszę się odprężyć.

Wziął talerz i usiadł na kanapie naprzeciwko Zotowa. Łapczywie odgryzł kawałek korniszona i od razu wsunął do ust parę oliwek z czerwoną papryką i małych cebulek perłowych.

– Po co, kochany, fatygowałeś się w kuchni? – zapytał Zotow łagodnie.

– O co ci chodzi?

– Jakbyś mi powiedział, tobym ci wszystko przyniósł.

– Ty?

Igor omal się nie zakrztusił ze zdumienia. Kiedy to Zotow przynosił mu

wódkę i przekąski? Nie poda mu nawet szklanki wody, a gdy go poprosić, to jeszcze zrugą.

– Czemu się dziwisz? Przecież pracuję u ciebie jako rzecznik prasowy. Masz chociaż pojęcie, tępaku, co w ogóle mówisz? Ja. U ciebie. Pracuję. Jak śmiałeś, gnojku, powiedzieć to dziennikarce?

– Niby co takiego? Powiedziałem prawdę. Organizujesz moje spotkania z dziennikarzami? Organizujesz. A więc jesteś moim rzecznikiem prasowym. Dostajesz ode mnie pieniądze? Dostajesz. To znaczy, że u mnie pracujesz. Co się tak wściekasz? Nie powiedziałem przecież, że jesteś służącym.

– Piękne dzięki, Igorku, nie wiem, jak ci się zrewanżuję! Nie nazwałeś mnie służącym. A dlaczego, skoro jesteś taki samodzielny, nie powiedziałeś jej, że od lat cię niańczy, ratuję tyłek, przygotowuję do spotkań z dziennikarzami takimi jak ona? No dlaczego, mój drogi, tego nie powiedziałeś? Kto ci, cholerny głupku, pozwolił otwierać gębę? Powiedziałem, że odpowiem na jej pytanie, więc powinienes natychmiast się zamknąć i siedzieć jak trusia. Nie ruszać się i słuchać, co starsi mówią. Po co się popisywałeś swoim, pożał się Boże, intelektem?

– Czego się wydzierasz? – odparował Igor ogarnięty nagłą złością. – Jest tak, jak powiedziałem.

Znowu sięgnął po butelkę i napełnił kieliszek po brzegi.

– Nie waż się pić! Jutro rano masz próbę, a pojutrze nagranie.

– A idź w cholere!

Igor podniósł kieliszek do ust i go opróżnił. Odczekał chwilę, zmrużył oczy i sięgnął po oliwki. Bardzo dobrze, niech Sława wie, że nie będzie mu wечно rozkazywał. Przyzwyczał się na niego wydzierać z powodu byle głupstwa, uczy go życia, robi uwagi. Kim on jest? Zakichanym menadżerem, który dorabia się na jego, Igora, talencie, wsuwa do swojej kieszeni trzydzieści procent z każdego występu i nagrania. To powszechne zjawisko, zawsze jeden utalentowany człowiek haruje jak wół, a wokół niego zbiera się banda lizusów, którzy udają, że są potrzebni i żądają za to pieniędzy, nieszczęśni lokaje!

Wypity duszkiem dzin, rozcieńczony wódką i okraszony delikatnymi marynatami, uderzył mu do głowy i zaczął w niej triumfalny pochód, z każdą chwilą zajmując coraz więcej miejsca. To chyba zdarzyło się po raz pierwszy. Igor lubił sobie pofolgować i należycie „się zrelaksować”,

ale przeważnie odbywało się to w towarzystwie przyjaciół i pańienek. Zotow nie brał udziału w tych imprezach, więc jego zwyczaj poniżania Igora jeszcze ani razu nie zetknął się z pijacką odwagą wychowanka.

– I nie rozkazuj mi. Chcę pić, to będę. Zaraz dokończę tę butelkę i otworzę następną – oznajmił Igor, rozochocony własną śmiałością.

– Jesteś samodzielny, tak? – drwiąco powiedział Zotow, który wydawał się rozbawiony nieposłuszeństwem Igora.

– Tak! Samodzielny! I nie będziesz mnie pouczał! Czy ja jestem małym dzieckiem? Zarabiam takie pieniądze, o jakich ci się nawet nie śniło, więc podziękuj, że odpalam ci dolę, tak jak się umówiliśmy. Bo przecież kiedyś to ustaliliśmy? Gdy tylko zaczynałem występować i nikt mnie nie znał. Teraz jestem Wildanowem, zna mnie byle łachudra w kraju, dostaję pieniądze za swój talent, a ty co masz z tym wspólnego? Jestem jednak uczciwy, zawarliśmy umowę, więc ci płacę, chociaż już dawno powinienem był przestać to robić.

Znowu sięgnął po butelkę, nie zdziwiwszy się nawet, że Zotow nie zareagował na jego zuchwalstwo. Trzeci kieliszek mu zaszkodził, więc uznał, że nie powinien więcej pić, wystarczy. Napięcie ostatnich dni ustąpiło, nie czuł już znużenia, ale teraz stanął przed zasadniczym problemem: albo wywalczy sobie wolność, albo nie. Początkiem owej wojny o niezależność staną się kieliszki wódki, które zuchwale, jeden po drugim będzie opróżniał na oczach Zotowa. Musi mu raz na zawsze pokazać, kto tutaj rządzi.

– Uhm, pij sobie, pij – zauważył Wiaczesław Olegowicz spokojnie. – Pokaż mi, jaki jesteś dorosły. Bo nie wiem i wciąż myślę, że jesteś jeszcze dzieckiem, sadzam cię na nocnik, zamierzam rozprawić się z twoim szantażystą, przygotowuję ci prasę przed koncertem. A tymczasem okazuje się, że jesteś już duży, wszystko wiesz i potrafisz. No to dalej, Igorze, do boju. Tylko nie zapomnij wziąć flagi do ręki. Powystępujesz sobie bez mojej pomocy przez parę miesięcy, a potem wiesz, co się stanie? Nie wiesz? To ci powiem. Dostaniesz bębenek i pałeczki i staniesz na czele kolumny artystów maszerujących w siną dal. Cieszy cię ta perspektywa?

Myśl była trudna, Igor jej nie zrozumiał. Jaka kolumna? Dlaczego w siną dal? I co ma z tym wspólnego bębenek i pałeczki? No cóż, podobno najlepszą obroną jest atak.

– Nie strasz mnie – zripostował ze złością. – Myślisz, że nic nie rozumiem? Że nie wiem, dlaczego wciąż mnie straszysz i obrażasz? Boisz się, że cię przepędzę na cztery wiatry i zatrudnię innego menadżera, a wtedy pa, pa, pieniążki! Dlatego właśnie chcesz, żebym myślał, że jestem jeszcze młody i głupi i że bez ciebie sobie nie poradzę.

Igor zachichotał. Ta myśl przyszła mu do głowy dopiero teraz, ale uznał ją za odkrywczą i logiczną. Nawet zaczął być z siebie dumny. Niezły z niego gość, nie da sobie w kaszę dmuchać, zaraz załatwi Zotowa na cacy.

– I w dodatku mi zazdrościsz! Zostałem gwiazdą, a z ciebie, Sławka, żaden artysta. Dlatego wyładowujesz na mnie swoją złość, obrażasz bez potrzeby. A ja co? Jestem cierpliwy, potrafię zrozumieć twoje udręki, wiem, jak czuje się człowiek, którego codziennie zżera zazdrość, który codziennie na mnie patrzy i wie, że żyje za moje pieniądze. Jesteś stary, Sławka, twoje życie już się kończy, a moje dopiero zaczyna. Skoro na samym początku zarabiam taką kasę, to masz pojęcie, co będzie za dziesięć lat? Będę żył jak krezus, już jestem milionerem. A ty chcesz się do tego wkręcić, przykolegować do mnie i urwać coś dla siebie. Dlatego wsadź sobie swoją zazdrość w dupę i znoś mój talent, tak jak ja znoszę twoje zniewagi. Starość należy szanować, tego uczono mnie w szkole. No więc szanuję cię za zasługi dla ojczyzny.

Odchylił się na kanapie i wbił w Zotowa triumfujące spojrzenie. No nareszcie, niech Sławka wie, że Igorek nie wypadł sroce spod ogona. I żeby postawić kropkę nad i, powoli i ostentacyjnie wypił jeszcze jeden kieliszek. Wszystko rozmyło mu się przed oczami.

– Skończyłeś, gnojku? – zapytał Zotow ugodowym tonem.

– Uhm – wymamrotał Igor.

– Wobec tego odpocznij sobie i mnie posłuchaj. Nie możesz dużo mówić, bo szybko się męczysz. Rozum masz wielkości orzeszka, powiesz parę słów i koniec, jesteś wykończony. A jutro czeka cię próba, dlatego chcę, żebyś był wypoczęty i pełen sił. Relaksuj się, kochany, relaksuj, a ja tymczasem ci wytłumaczę, kim tak naprawdę jesteś. No więc jesteś, Igorku, kompletną miernotą, niewartą funta kłaków. Innymi słowy, gównem, jeśli to lepiej do ciebie przemawia. Co masz w życiu własnego? Talent. Temu nie przeczę. Czym jednak jest twój talent? Umiejętnością przekazywania uczuć głosem. Owa umiejętność jest wrodzona – co

prawda, to prawda, tego ci nie odmówię. Ale jadąc wyłącznie na talencie, nie zarobiłbyś nawet rubla. Przypomnij sobie, przypomnij, za co dostawałeś pieniądze, gdy wałęsałeś się po całym kraju. A może zapomniałeś, jak wskakiwałeś starym babsztylom do łóżka? Czemu nie śpiewałeś im serenad, skoro przed spotkaniem ze mną byłeś tak samo utalentowany? Nie śpiewałeś, bo nie potrafiłeś, sukinsynu. Niczego nie potrafiłeś, z trudem dukałeś tekst z kartki i pisałeś z błędami. Śpiew to nie tylko sztuka, to praca, która wymaga specjalnego wykształcenia i długich ćwiczeń, zresztą podobnie jak każde uczciwe zajęcie. Gdzie byś teraz był, gdybym cię nie uczył i nie szkolił?

Igor nieco oprzytomniał po kolejnym kieliszku i znowu poczuł potrzebę sprzeciwu.

– Znalazłby się ktoś inny, wielkie mi halo. Nie ma innych nauczycieli prócz ciebie? Myślisz, że jesteś pępkiem świata?

– Ktoś inny? Gdybyś miał bogatych rodziców, którzy zapłaciliby fortunę za twoją naukę, wtedy oczywiście. Wtedy nauczycieli byłoby w bród. Wynajęcie nauczyciela za pieniądze to żaden problem. Ale znajdź takiego, który zajmie się tobą za darmo, w dodatku przyjmie cię do swojego domu i będzie utrzymywał. Własnym dzieciom odejmie od ust, żeby wykarmić też ciebie, darmozjada. Rozstanie się z ukochaną żoną, bo ona nie zechce żyć pod jednym dachem z brudnym, śmierdzącym włóczęgą, od którego czuć psami, który spluwa na podłogę, kradnie papierosy i alkohol i nie umie się zachować przy stole. Budziłeś obrzydzenie, nie można było podejść do ciebie bez wstępu, bo cuchnąłeś, ale znośłem to, bo chciałem zrobić z ciebie prawdziwego piosenkarza, chciałem zadbać o twój wrodzony dar, żeby nie zginął razem z twoim niepotrzebnym nikomu życiem. A teraz idź na ulicę i przyprowadź kogoś takiego jak ja.

– Łżesz jak pies! – oburzył się Igor. – Wcale nie cuchnąłem.

– Cuchnąłeś. Psami, brudem i śmieciami. Przypomnij sobie, jak długo się męczyłem, żeby ci wpoić nawyk codziennego mycia się? Zapomniałeś? Ale ja pamiętam. Nauczyłem cię śpiewać, operować głosem, słuchać akompaniamentu. Co dalej? Zacząłem wybierać piosenki, które będziesz śpiewał, bo sam nie masz nie tylko rozumu, ale też wyczucia i smaku, niczego nie potrafisz zrobić przyzwoicie. Gdybym cię wtedy wypuścił na scenę, co byś zaśpiewał? Piosenkę o Luboczce

w niebieskiej spódniczce? O kapitanie Katałkinie? Wybierałem ci repertuar, żebyś nie był podobny do całej reszty i mógł zademonstrować to, czym cię obdarzyła natura i czego się ode mnie nauczyłeś. Potem pokazałem ci, jak masz się zachowywać na scenie. Wymyśliłem i wybierałem kostiumy sceniczne. Szukałem muzyków, którzy podejmą się akompaniowania. Szukałem kompozytorów, którzy napiszą dla ciebie odpowiednią muzykę i płaciłem im z własnej kieszeni. Szukałem wierszy do tej muzyki. Potem przynosiłem ci nuty z tekstem i kazałem się uczyć. Dopiero później wyszedłeś na scenę. Więc kim naprawdę jesteś, Igorze Wildanowie? Myślisz, że wielkim piosenkarzem i gwiazdą pierwszej wielkości? Otóż nie, jesteś nikiem, lalką, którą stworzyłem, nakręciłem i pokazuję ludziom. A ona porusza się tak, jak ją zaprogramowałem. Od początku do końca zrobiłem cię własnymi rękami. Lalka ma moją technikę wokalną, mój styl wykonania i gust muzyczny. Nie ma niczego swojego, rozumiesz, parszywcu? Gdy twoi fani zachwycają się tobą, a gazety wychwalają pod niebiosa twój subtelny gust i wyrafinowaną muzykalność, pamiętaj, że to mój gust i moja muzykalność. Mógłbyś chociaż raz, niewdzięczny bydlaku, powiedzieć, że to ja nauczyłem cię wszystkiego. Ale ty pozujesz na wielkiego artystę i przyjmujesz komplementy, jakby ci się należały. W gruncie rzeczy nie jesteś wart nie tylko komplementów, ale nawet splunięcia. Spróbuj zaśpiewać nie to, co ci każę, i nie tak, jak cię uczyłem, a zobaczymy, ile osób zostanie na sali po paru minutach twojego koncertu. Chcesz spróbować? Nie? Wobec tego kładź się spać i do rana nie wstawaj. I żeby to, na co sobie dzisiaj pozwoliłeś, było ostatni raz. Będiesz mnie słuchał i robił, co każę. I nigdy więcej nie ośmielisz się powiedzieć, że u ciebie pracuję. Nie ośmielisz się nawet tak pomyśleć. Jestem twoim nauczycielem, ale wykonuję zadania menadżera z najlepszych pobudek, żeby ci pomóc. Dotarło, śmierdząca łachudro?

Igor zamierzał odpowiedzieć kolejną ripostą, ale zadzwonił telefon. Chciał wstać, żeby podnieść słuchawkę, Zotow go jednak uprzedził.

– Igora nie ma – oznajmił zdecydowanie. – Nie, jutro też go nie będzie. Pojutrze też. Dopiero za dwa tygodnie. Nie, przykro mi, wcześniej się nie pojawi, jest bardzo zajęty. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i spojrzał drwiąco na Igora.

– Gdzie wyciągnąłeś rączkę? Po słuchawkę? Przecież zabroniłem ci

odbierać telefony. Odwaga chyba uderzyła ci do głowy.

Oczy Igora zaszyły mgłą. Stek obraźliwych uwag, który zwałił się na zatruty alkoholem mózg, wywołał w nim taką wściekłość, jakiej nigdy przedtem nie czuł. Zerwał się z kanapy i ruszył do drzwi.

– Ty dokąd? – zapytał Zotow, jak zwykle kontrolując każdy jego krok.

– Do toalety.

Igor opuścił pokój, nie wiedząc, gdzie idzie. W głowie tłukła mu się tylko jedna myśl: Ja ci pokażę, kto tutaj rządzi!



Wasilija Pietrowicza Niemczinowa nie wpuszczono do wnuczki, ale mężczyzna nie opuścił szpitala. Nastia znalazła go na skwerze koło izby przyjęć. Siwy, sztywno wyprostowany, o pomarszczonej twarzy, siedział bez ruchu na ławce i wydawało się, że nie czuje chłodu. Nastia przysiadła obok.

– Wasiliju Pietrowiczu? – odezwała się łagodnie.

Niemczinow lekko odwrócił głowę w jej stronę.

– Kim pani jest?

– Mam na imię Nastia – odparła, dziwiąc się samej sobie.

Nie wiedziała, dlaczego przedstawiła się tylko imieniem, nie tak, jak powinna.

– Nastia – powtórzył Niemczinow. – Ładne i proste rosyjskie imię. Byłem przeciwny, żeby nazwać wnuczkę Walerią. To obce imię, nie nasze, Pan Bóg nie ustrzeże.

– A jakie imię by pan wolał?

– Anna. Aniutka. Annuszka.

Pan Bóg Anny też nie ustrzegł, pomyślała Nastia, wspominając ubiegły rok i nieszczęsną Anię Łazariewą, która spotkała mężczyznę swojego życia, ale nie zdążyła nacieszyć się szczęściem, bo mężczyzna z zimną krwią ją wykorzystał i doprowadził do śmierci. Myśli Nastii pobiegły ku okolicznościom sprawy i nagle umysł podsunał jej obraz sprzed roku, gdy podobnie jak teraz siedziała na ławce w parku szpitalnym ze starszym siwym mężczyzną. Groźny mafioso Eduard Denisow, umierając, wezwał ją, żeby przedstawić swoją przedśmiertną prośbę. Minął rok i koło się zamknęło, Nastia znowu jest w parku szpitalnym,

a obok niej znowu siedzi udręczony stary człowiek.

– Jest pan wierzący? – zapytała.

– To zależy – odparł Niemczinow z roztargnieniem. – W Boga nie wierzę, tak mnie wychowano. Ale wierzę w miłosierdzie losu. Sam jestem sobie winien, miałem nadzieję, że życie mnie oszczędzi. Tymczasem wyszło inaczej, dzień gniewu nikogo nie minie. Jestem głupcem, kazałem synowi studiować tę pieśń, wytykałem mu lenistwo, zmuszałem do czytania, tłumaczenia ze słownikiem, chciałem wbić mu słowa do głowy. A sam... Byłem dobrej myśli, sądziłem, że skoro mam dobre intencje, jakoś to będzie. Stało się jednak inaczej.

Nastia drgnęła, nagle nasunęła jej się myśl, która była tak prosta i oczywista, że aż się zdziwiła, dlaczego wcześniej na nią nie wpadła. Najśłynniejsza piosenka Wildanowa to *Requiem*. Ale to również najlepsza piosenka Giennadija Niemczinowa, najbardziej poruszająca ze wszystkich. Jedyna, do której kompozytor sam napisał tekst, pozostałe piosenki powstały do wierszy jego żony Swietłany. Dlaczego właśnie ta piosenka, dlaczego *Requiem*? Dlatego że te rzeczy od dzieciństwa wbijano mu do głowy, no i została napisana, kiedy Giennadij nie był jeszcze żonaty i pozostawał pod duchowym wpływem ojca.

– A pan liczył na to, że jakoś to będzie? – zapytała delikatnie. – Nie można było ukrywać tego w nieskończoność, musiał pan przecież wiedzieć, że prędzej czy później wszystko wyjdzie na jaw i może dojść do tragedii. Lera dowiedziała się o tym nie od pana, ale od obcych ludzi, coś usłyszała, czegoś się domyśliła, porównała fakty i nie wytrzymała tego psychicznie. „Sędzia tedy, gdy się zjawi, co się kryło, jawnym sprawi, nic bez pomsty nie zostawi”^[4]. Tak przecież brzmi *Dies irae*?

– Tak. – Niemczinow kiwnął głową. – Pani z milicji?

– Owszem.

– Znowu mnie zamkniecie?

– Ależ skąd, oczywiście, że nie. Za co? Odsiedział pan już wyrok za syna i synową, odpokutował ponad winę.

Niemczinow milczał. Nastia widziała parę idącą z jego ust i zastanawiała się, dlaczego ona nie czuje zimna. Zawsze, gdy się denerwowała, tak było. Domyśliła się, o co chodziło Niemczinowowi. Wtedy, dziesięć lat temu, dowiedział się o przestępstwie i nie złożył zawiadomienia, mimo że prawo nakazywało to zrobić. Skłonienie

niepełnoletnich do grupowego seksu to poważna sprawa. Wtedy obowiązywał jeszcze stary kodeks karny, był w nim artykuł dotyczący niezłożenia zawiadomienia o przestępstwie, na tej podstawie nawet bliski krewny mógł trafić do więzienia. Teraz jest inaczej, zgodnie z nowym kodeksem bliscy krewni nie mogą być pociągnięci do odpowiedzialności za niezłożenie zawiadomienia, wtedy były jednak inne czasy... Ale ponieważ ustrój, jak powiedzieliby uczeni prawnicy, uległ dekryminalizacji, Wasilij Pietrowicz nie ma powodu do niepokoju, nie można go już sądzić za to, że dziesięć lat temu nie złożył zawiadomienia, nawet jeśli ktoś miałby na to wielką ochotę.

– Leroczka, niewinne dziecko – powiedział nagle Niemczinow. – Miałem nadzieję, że nie będzie cierpiała, nie zrobiła przecież nic złego. Zapomniałem, że w *Requiem* powiedziano: „Quid sum miser tunc dicturus? Quem patronum rogaturus, cum vix justus sit securus”. Ale pani pewnie nie rozumie?

– „Cóż ja powiem, człek ubogi: w czyje mi się schronić progi, gdy i święci nie bez trwogi?”

– Zna pani łacinę?

– Trochę. Uczyłam się na studiach. Ale szczerze mówiąc, muzykę znam lepiej. Wasiliju Pietrowiczu, nie chce mi pan opowiedzieć o wszystkim?

– Po co? To nie ma sensu. Wszystko przepadło, Leroczka się dowiedziała. Jak teraz będzie żyć? Mój Boże, robiłem, co mogłem, zdawałem sobie sprawę, że mnie nienawidzi, ale nie próbowałem się usprawiedliwić, nie chciałem, żeby się dowiedziała się, że jej rodzice byli skończonymi łajdakami. Historia się skończyła, nie ma potrzeby do niej wracać.

– Historia się nie skończyła – zaoponowała Nastia. – Gdzieś pojawiła się jedna kaseta i stała się narzędziem szantażu. Musimy wiedzieć jak najwięcej, żeby znaleźć szantażystę. Proszę nam pomóc.

≡

W Moskwie trwały przygotowania do sylwestra. Z każdym dniem miasto wyglądało coraz strojniej i weselej, w witrynach sklepowych i na ulicach pojawiły się choinki oraz łańcuchy świąteczne, ludzie w metrze wieźli olbrzymie kolorowe pudła, które skrywały ozdoby choinkowe. Przyszedł

czas na robienie prezentów dla rodziny i przyjaciół. Nastia co prawda odwlekała tę chwilę tak długo, jak to było możliwe, ale w końcu musiała wyruszyć na zakupy.

Ponieważ nie miała zaufania do swojej wyobraźni, po wyjściu z pracy od razu kupiła kartę telefoniczną, żeby w razie czego zadzwonić do męża po radę. Przejechała pięć przystanków metrem, wysiadła na placu Maneżowym i od razu znalazła się w olbrzymim, niedawno otwartym podziemnym centrum handlowym. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie trafiła. Miejsce przypominało nie Moskwę, ale jakieś nieznane europejskie miasto z drogimi sklepami, licznymi kafejkami i knajpkami, szklaną windą i wielką fontanną pośrodku.

Nastia zaczęła wędrowkę po sklepach i już jakieś dwadzieścia minut później miała gotową pierwszą partię pytań. Wjechała na górę, znalazła automat i zadzwoniła do Aleksieja.

– Jak ci się podoba pomysł, żebyśmy podarowali paniom bibeloty od Swarovskiego? – zapytała. – Wybór jest duży, można kupić coś eleganckiego, a zarazem zabawnego. Ceny co prawda...

– Asieńko, niedawno dostałem przecież duże honorarium, więc możesz je wydać. A co podarujemy panom?

– Jeszcze nie dotarłam do sklepów z prezentami dla mężczyzn, zwiedziłam dopiero parter. A więc dajesz zielone światło na Swarovskiego?

– Jak najbardziej – odparł Czistiakow.

Na piętrze Nastia natknęła się na sklep z akcesoriami dla palaczy i pomyślała, że dla wszystkich palących przyjaciół i krewnych można wybrać wspaniałe popielniczki, papierośnice i zapalniczki. No cóż, to załatwia połowę sprawy, teraz trzeba znaleźć prezenty dla niepalących i dla dzieci, potem będzie musiała jeszcze raz omówić wszystko z Loszką, następnie kupić to, co sobie upatrzyła – i można wracać do domu. Aha, musi jeszcze wybrać prezent dla Loszki. Szkoda, że nie może się go poradzić, prezent powinien być jednak niespodzianką.

Jeszcze dwukrotnie pobiegła do telefonu, bo nie potrafiła się zdecydować, co kupić dzieciom. Podobało jej się wszystko, co widziała, tak więc problem wyboru wydawał się nie do rozstrzygnięcia. Boże, pomyślała z ironią, za komuny żyło się tak wygodnie! Człowiek bez namysłu chwycił pierwszą napotkaną rzecz, bo inna mogła się nie

pojawić w ciągu najbliższego pół roku. Zero problemów z wyborem, brało się to, co rzucono do sklepów. I nikogo głowa nie bolała.

Wreszcie wszystkie prezenty zostały kupione i Nastia wróciła na plac. Z metra zadzwoniła ponownie do męża.

– Loszyk, wracam do jednostki. Za pół godziny będę na Szczołkowskiej. Wyjdiesz po mnie? Bo mam ciężkie torby.

– Korotkow będzie na ciebie czekał. Twój przyjaciel wciąż do mnie wydzwania i próbuje cię znaleźć. Jeśli dobrze zrozumiałem, siedzi w samochodzie koło metra i cię wypatruje.

– Coś się stało? – zawołała Nastia ze strachem.

– A co u was może się stać? Znalezione czyjeś zwłoki – odparł nieporuszony Aleksiej.

– Czyje?

– Nie wiem, Asieńko, Jura nie zameldował.

Nastia odwiesiła słuchawkę, weszła na stację Plac Rewolucji i zjechała na peron. Tak, biedakami i inwalidami można sobie nie zawracać głowy, Nastia przyzwyczała się ich nie zauważać, bo znała prawdziwy stan rzeczy i wiedziała, że owi poranieni i zapomniani przez Boga ludzie działają w grupach i firmach. Ale dla osoby niewtajemniczonej, zwłaszcza przyjezdnej, widok był rzeczywiście wstrząsający.

Nie udało jej się znaleźć wolnego miejsca w wagonie, całą drogę stała oparta plecami o drzwi i przypominała sobie słowa Niemczinowa. Nie do wiary, jak radykalnie może się zmienić obraz człowieka albo jakiegoś wydarzenia! Niemczinow wydawał jej się niebezpiecznym i doświadczonym przestępcą, który obracał się w kryminalnym świecie. A co się okazało? Że to nieszczęśliwy stary człowiek, który poświęcił życie dla wnuczki. I nie ma nic wspólnego z zabójstwem Saszy Barsukowa... No a kto ma?

Aleksiej się nie mylił, Korotkow rzeczywiście czekał koło metra, Nastia od razu poznała jego stare, rozklekotane żiguli.

– Co się stało? – zapytała, wsiadając do środka.

– Zotow – odparł Jura krótko i niezrozumiale.

– Co – Zotow?

– Zabity.

– A niech to! Gdzie?

– W mieszkaniu Wildanowa. Igor poczęstował go nożem... Czternaście

ran penetrujących. Widok tylko dla osób o silnych nerwach.

– Zaczekaj, Jura, nie gorączkuj się. Mów po kolei.

– Jaka tu może być kolejność, Aśka! Sąsiedzi Wildanowa zadzwonili na numer alarmowy. Z mieszkania dobiegały niewyraźne, ale straszliwe jęki, więc zadzwonili do drzwi, Igor je otworzył, i wtedy zobaczyli. Wildanow wydawał się niespełna rozumu, wył jak pies i chodził wokół ciała. Wysłano grupę, która przywiozła go na Pietrowkę, ale facet nie powiedział nic sensownego, w kółko tylko powtarzał: „Nie będzie mnie więcej poniżał ani obrażał”.

– Przyznał się do zabójstwa?

– Owszem. Chociaż trudno w to uwierzyć.

– Dlaczego? – zdziwiła się Nastia. – Sądzisz, że nie jest zdolny do zabójstwa?

– Wildanow? Oczywiście, że mógł zabić. Tylko nie widzę powodu. Może mi go podasz?! Dlaczego facet miałby zabijać swojego menadżera, który zastępował mu ojca? Nie, Asiu, w grę muszą wchodzić jakieś pieniądze, w show-biznesie wszystko zawsze się kręci wokół forsy, na dodatek lewej, i to właśnie z jej powodu zabito Zotowa. Nie wykluczam też, że zrobił to ktoś inny. A może Wildanow, ale nie sam. Musiał tam być ktoś jeszcze. Wspomnisz moje słowa.

W tym momencie Nastia zauważyła, że Korotkow jedzie w jakimś dziwnym kierunku. W każdym razie na pewno nie w stronę jej domu.

– Gdzie mnie pan wiezie, panie kierowco? – zapytała. – Proszę nazwać miejsce.

– Jedziemy do mieszkania Zotowa, zaraz będzie tam rewizja.

– Co niby chcecie znaleźć?

– Dowody machinacji finansowych w show-biznesie, które mogły stanowić podstawę konfliktu. Dalej według przyjętego schematu: kto odniósł korzyść, ten zabił.

– Dobrze, ale co ja mam z tym wspólnego? Po co mnie tam wiesz? Poza tym śledczy od razu pokaże mi drzwi, nie jestem przecież wywiadowcą.

– Śledczy cię nie wyrzuci, dzisiaj dyżuruje Borka Gmyria, a on cię lubi. Pamiętasz, jak we troje przeszukiwaliśmy bez świadków mieszkanie Aliny Waznis? Ktoś inny stanąłby okoniem, a Borka przyjął to jako coś normalnego. Dobrze się z nim pracuje, bo był kiedyś wywiadowcą i nie

szarpie sobie nerwów bez potrzeby.

– I nie otacza wciąż kodeksu postępowania karnego, podobnie jak każdy porządny wywiadowca – zauważyła Nastia. – Mimo to nadal nie rozumiem, po co mnie tam ciągniesz.

– Bądźże człowiekiem, Asiu. Pączek zapowiedział, że jeśli zabójstwo Zotowa nie zostanie wyjaśnione na gorąco, od jutrzejszego ranka spocznie na moich barkach. Jesteś moją wierną i starą przyjaciółką, więc chyba mogę na ciebie liczyć? Będziesz obecna podczas rewizji, przejrzysz papiery, a nuż zauważysz to, czego ja nie dostrzegę. Nawiasem mówiąc, gdzieś ty się dzisiaj szlajała? Pół dnia nie mogłem się do ciebie dodzwonić.

– Rozmawiałam ze starym Niemczinowem.

– Naprawdę? No i co o nim powiesz? Moje obserwacje były trafne?

– I to bardzo. Podobnie jak moje przypuszczenia. Niemczinow znalazł kasety syna i je przejrzał. Był na nich między innymi Igorek. Gdy więc nagle się okazało, że ukochana wnuczka zadaje się z rozwiązłym i niemoralnym, jego zdaniem, typem, omal nie oszalał z przerażenia. Nie może niczego zabronić wnuczce, bo ona nie widzi w nim człowieka. Z tego powodu nie może też powiedzieć jej prawdy. Jednym słowem, klincz! Starszy pan zdradził mi coś ciekawego. Rodzice Lery nie kręcili filmów dla lubieżnej przyjemności. Mieli zleceniodawcę, a raczej chlebodawcę, który kazał im organizować orgie i dokładnie wskazywał, kogo mają zaprosić. Potem kupował od nich kasety i hojnie płacił. Żeby Niemczinowowie nie podskakiwali, podsunął im heroinę. Działka kosztuje sporo, więc Giennadij i Swieta gotowi byli sprzedać nie tylko kasety, ale nawet swoje dusze, żeby zdobyć pieniądze. Dziadek oczywiście najpierw o niczym nie wiedział, znalazł przypadkiem kasety i rozpoznał sfilmowane wnętrza. Pojechał więc na lotnisko, żeby porozmawiać z synem. Do ostatniej chwili miał nadzieję, że Giennadij poda mu rozsądne wyjaśnienie i jakoś się wytłumaczy. Ale synek od razu do wszystkiego się przyznał, nie ukrywał też uzależnienia od narkotyków. Stary Niemczinow to facet niegłupi, więc szybko doszedł do wniosku, że skoro syn i synowa się szprycują, zostało im niewiele życia. Jeśli jednak umrą śmiercią naturalną, ktoś na pewno znajdzie kasety, a wtedy nie da się uniknąć rozgłosu. Wszystko wyjdzie na jaw: i orgie, i narkotyki. Syn zostanie zniesławiony na cały kraj. Dlatego rozwiązał

sprawę po swojemu.

– To nie było mądre. – Korotkow wzruszył ramionami. – Mógł wymyślić coś innego, żeby nikogo nie zabijać i nie trafić za kratki.

– Pewnie tak – przyznała Nastia. – Ale po co to teraz roztrząsać? Postanowił, co postanowił, i zrobił, co zrobił. Znowu minąłeś zakręt, Jurka! Wczoraj ci go przecież pokazywałam.

– Przepraszam, zamyśliłem się. Trudno, pojedziemy tak jak wczoraj, równoległą ulicą.

Śledczy przywitał Nastię zafrasowaną miną i kiwnięciem głowy.

– Witaj, Kamieńska, wchodź, może nam pomożesz. Co słychać?

– W porządku, Borisie Witaljewiczu, dziękuję. A co tutaj?

– Na razie nic, przeszukaliśmy już sypialnię, kuchnię i łazienkę, został gabinet i salon. Możesz wybierać.

Nastia wybrała salon, chociaż wiedziała, że jeśli Zotow przechowywał jakieś dokumenty i korespondencję dotyczące show-biznesu, to raczej w gabinecie. Ale nie interesowała jej korespondencja handlowa, intrygował ją sam Wiaczesław Olegowicz Zotow, dobrze wykształcony, niespełniony, ale niepozbawiony zdolności artysta, który okazał się dobrym nauczycielem. Mężczyzna, który patrząc na chłopca z wrodzonym talentem, ubolewał nad tym, że ów talent przypadł nie jemu, osobie mądrej i odcytanej, ale nędznemu małemu potworowi. Zgodnie z klasycznym wariantem Salieri zabija Mozarta. Ale dzisiaj Nastię Kamieńską interesował Salieri, który zginął z ręki genialnego rywala. Od wczoraj, od chwili, gdy zobaczyła u Zotowa kasetę z filmem Formana *Amadeusz*, nie przestawała myśleć o tym fenomenie, o skomplikowanych relacjach, które mogą połączyć człowieka szlachetnego, ale z przeciętnymi zdolnościami, z człowiekiem genialnym, lecz pustym i próżnym. Przecież filmowy Salieri właśnie w ten sposób postrzegał Mozarta i usiłował zrozumieć, co się dzieje, dlaczego Pan Bóg obdarzył talentem małego, źle wychowanego człowieczka, uganiającego się za każdą spódniczką i niezdającego sobie sprawy z własnego daru. Salieri odwiedza Mozarta w jego mieszkaniu, dotyka jego rzeczy, oddycha powietrzem, którym oddycha geniusz, i wciąż usiłuje zrozumieć, usiłuje... i nie rozumie. A jak Zotow postrzegał swojego wychowanka Wildanowa? Teraz już chyba nikt się nie dowie. Oglądał jednak film, wytarte pudełko świadczy o tym, że musiał to robić

wielokrotnie.

No cóż, całkiem możliwe, że prawdziwy Salieri zabił prawdziwego Mozarta. Tam i wtedy. Ale tutaj i teraz stało się odwrotnie, Mozart zabił Salieriego.

Nastia zaczęła oglądać kasety wideo umieszczone na półkach meblościanki. Były ustawione w szeregu jak książki. Nagrania muzyki klasycznej i koncerty śpiewaków operowych, koncerty piosenkarzy estradowych, filmy fabularne, osobno rodzime i zagraniczne. Wiaczesław Olegowicz lubił porządek.

Nastia stała zamyślona, zastanawiając się, co chce tutaj znaleźć, i bezwiednie wodziła palcem po pudełkach. Madonna, Michael Jackson, Scorpions... A co robi tutaj rosyjska grupa Trali-Wali, kasetka z nagraniem koncertu powinna stać w innym rzędzie, tam gdzie Doctor Watson i Waleri Meladze. Nastia sięgnęła po kartonowe pudełko, nie wyczuwając pod palcami plastikowej kasetki. W tej samej chwili z pudełka wypadł dyktafon.

– Borisie Witaljewiczu! – zawołała. – Proszę tutaj przyjść ze świadkami!

Było to naruszenie zasad, ale Nastia wiedziała, że Gmyria zlekceważy tę błąhą okoliczność. Rewizja powinna odbywać się w obecności świadków, żeby nikt potem nie mógł powiedzieć, że milicjanci podłożyli znaleziony dowód. Ale czy wszystko da się przewidzieć?! Ekipie zależy na tym, żeby jak najprędzej skończyć rewizję, dlatego przeszukiwanie odbywa się jednocześnie w paru miejscach, a świadkowie nie są w stanie wszystkiego dopilnować.

– Proszę. – Pokazała na dyktafon, który upadł na podłogę. – Z jakiegoś powodu Zotow ukrył go między kasetami.

– Może to nie Zotow – zauważył Gmyria roztropnie. – Może ktoś mu podłożył, żeby nagrać rozmowę. Chyba miałaś rację, Korotkow, mówiąc, że chodzi o jakąś cwana intrygę. Musin, chodź no tutaj, zabezpieczymy dowód rzeczowy.

Ekspert Musin, którego Nastia widziała po raz pierwszy, nachylił się nad dyktafonem.

– Zdjąć odciski? – zapytał śledczego. – Czy tylko oglądamy sprzęt?

– Zdejmij. Dowiemy się, czy Zotow dotykał tej zabawki. Bo jeżeli nie, to znaczy, że ktoś mu ją podłożył.

– Tutaj jest napis, Borisie Witaljewiczu.

– Czytaj na głos – polecił Gmyria.

– „Zwycięzcy międzyuczelnianych zawodów w walce wręcz, Naticowi Ajwazowowi, rok 1997”.

– Ajwazowowi? – od razu odezwała się Nastia. – Znam to nazwisko, chłopak był w tej samej grupie co Barsukow. Wykułam na pamięć całą listę. Zgadza się, Natic Rachmanowicz Ajwazow.

– A kim jest Barsukow? – zapytał Gmyria podejrzliwie. – Dlaczego nic o nim nie wiem?

– To chłopak, którego Igor Wildanow wynajął do poszukiwania szantażysty – wyjaśnił Korotkow.

– I gdzie teraz się podziewa ten młodzian?

– Tam, gdzie Zotow. Nie żyje.

– No to pięknie. – Gmyria westchnął gniewnie. – Musin, kończ zdejmowanie odcisków, zobaczymy, co jest w środku.

Wewnątrz dyktafonu była kasetka.

– Dobra, posłuchamy. Włącz, Musin – polecił śledczy. – A ty, Korotkow, nie zasypiaj gruszek w popiele, dzwoń, gdzie trzeba, szukaj tego Ajwazowa i dowiedz się, komu i po co dał swój dyktafon.

Nagranie okazało się nie najlepsze, ale głosy brzmiały wyraźnie i można było rozróżnić każde słowo, mimo że rozmowa odbywała się chyba w miejscu publicznym.

„... wciąż choruje ostatnio. Już nie wiem, co robić. Dzisiaj miał przyjść lekarz, więc zostawiłem Katkę, najstarszą, w domu, ale ona, biedaczka, uderzyła w płacz, poczuła się skrzywdzona, że Witia może pójść na basen, a ona nie, bo musi zostać z mamą. Mogę zadzwonić?” „Dzwoń, nie ma problemu”.

Nastia poczuła dreszcz przebiegający po plecach, jakby człowiek, którego zabito, ożył. Głos bez wątpienia należał do Wiaczesława Olegowicza Zotowa. Teraz z dyktafonu dobiegał dźwięk wciskanych guzików komórki. „Katiunia? Jak mama? Był lekarz? Co powiedział? Dobrze, opowiesz, jak przyjdę. Dałaś Witii kolację? Jak to nie wrócił? Miał wrócić godzinę temu! Dobrze...” „No co tam z twoją żoną?” „Katka nie wie, mówi, że lekarz zapisał wszystko na kartce. Witia gdzieś się zapodział. Do tej pory nie wrócił z basenu, bezczelny gówniarz. Mogę zadzwonić jeszcze raz?” „Dzwoń”.

Znowu klikanie guzików.

„Halo, Gosza, cześć. Słuchaj, nie ma u was mojego chłopaka? A twój wrócił już z basenu? Dawno? Aha, to dzięki”.

Pauza.

„Sława, zadzwonię jeszcze raz, dobrze? Nie mogę sobie znaleźć miejsca”. „Ależ dzwoń, na litość boską”. „Katia? Witka wrócił? Nie? Dobrze, przygotuj mamie coś do jedzenia, zaraz będę”. „No co tam u ciebie?” – to znowu głos Zotowa. „Jeszcze go nie ma. Muszę jak najprędzej wracać. Jeśli do tego czasu chłopak się nie pokaże, pojedę na basen, żeby się zorientować, co i jak. Chyba już pora, żeby zadzwonić?” „No to biegnij”.

Kliknięcie, nagranie się skończyło. Gmyria już otwierał usta, żeby skomentować to, co usłyszał, ale dyktafon znowu się odezwał. „No i co?” „Nic. Wciąż zajęte, pewnie z kimś gada. Przepraszam, Sława, ale muszę poszukać gówniarza. Może zadzwonię do niego później?” „Zgoda, ale od razu do mnie oddzwoń, zamelduj, jak się sprawy mają, jasne?” „Tak jest, szefie. No to lecę”.

Teraz nagranie naprawdę się skończyło. Niczego więcej nie było na taśmie.

– No i co to ma być? – zapytał Gmyria surowo.

– Pan Zotow rozmawiał z mężczyzną o nieustalonej tożsamości – odparła Nastia.

– A co w tym podejrzanego, bo nie rozumiem? Żona jest chora, syn nie wrócił z basenu. I co dalej?

– Dalej, Borisie Witaljewiczu, pojawia się ciekawe pytanie: dlaczego mężczyzna o nieustalonej tożsamości poszedł gdzieś, żeby zadzwonić, skoro miał pod ręką telefon. Najprawdopodobniej telefon komórkowy Zotowa, skoro wciąż pytał, czy może z niego skorzystać, a rozmowa, wnioskując z odgłosów, toczyła się na ulicy. Co to za miejsce, do którego musiał zadzwonić, ale nie mógł się dodzwonić z komórki? I dlaczego ta sytuacja tak bardzo kogoś zainteresowała, że postanowił ją nagrać? No i w jaki sposób dyktafon znalazł się w mieszkaniu Zotowa?

– Jak zwykle masz furę pytań, Kamieńska. Tylko kiepsko z odpowiedziami. Jakies pomysły?

Nastia nie zdążyła zareagować, bo do pokoju wszedł Korotkow.

– Znalazłem Ajwazowa. Powiedział, że pożyczył dyktafon Saszy Barsukowowi, ale nie wie, co chłopak z nim zrobił.

– A do czego Barsukow go potrzebował? – zapytała Nastia.

– Ajwazow mówi, że nie wie. Przyjaciel poprosił, więc mu dał, nie wnikał w szczegóły.

Gmyria milczał niezadowolony. Właśnie zdał sobie sprawę, że zabójstwo, którym miał się zająć, wiąże się w jakiś sposób z zabójstwem prowadzonym przez innego śledczego. Teraz zaczną się korowody z połączeniem obu spraw i przekazaniem ich jednej osobie. Nie daj Boże, jeśli tą osobą okaże się on, Gmyria. Boris Witaljewicz nie znoślił kończyć pracy rozpoczętej przez innych. Ale nic na to nie poradzi, jest tutaj najstarszym rangą przedstawicielem prawa, osobą urzędową, więc musi wziąć na siebie odpowiedzialność.

– Zadzwoń na Pietrowkę, Korotkow, niech zapytają zatrzymanego Wildanowa, kiedy i w jakich okolicznościach rozmawiał ostatnio z tym waszym Barsukowem. Bo zdaje się, że go o to nie zapytaliście?

– Nie zdążyliśmy, Borisie Witaljewiczu – powiedział Jurij tonem usprawiedliwienia. – Dopiero wczoraj późnym wieczorem dowiedzieliśmy się, że Barsukow znał Wildanowa. Nawiasem mówiąc, Zotow nam o tym powiedział. Umówił nas na spotkanie z Wildanowem dzisiejszego wieczoru i uprzedził, że przed południem Igor udziela wywiadu trzem dziennikarzom, termin został uzgodniony i trudno go odwołać, ale potem dopuści nas przed oblicze geniusza. Miałem zadzwonić koło siódmej. A o szóstej otrzymaliśmy informację o zabójstwie.

– Dobrze. – Gmyria kiwnął głową z satysfakcją. – Idź zadzwonić, a my jeszcze poszukamy.

Nastia nie brała już udziału w rewizji, nagle poczuła, że nie obchodzi jej, co jeszcze może się znaleźć w mieszkaniu Zotowa. To, co najważniejsze zostało już znalezione, brakuje tylko małego szczegółu, żeby elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca. Jurij Korotkow próbował właśnie znaleźć ów szczegół, rozmawiając przez telefon. Jak go znajdzie, wszystko będzie jasne. A jak nie, to znowu nieprzenikniona ciemność i działanie po omacku.

Nagle poczuła, że dławi ją tęsknota za pracą operacyjną. Jest tutaj obca, nie zajmuje się wyjaśnianiem zabójstwa, wezwano ją po przyjacielsku, nawet nie może podejść do śledczego i podzielić się z nimi swoimi przypuszczeniami. Jest teraz nikim w odwiecznej wojnie między przestępcami i milicją.

Korotkow dzwonił z aparatu stojącego w kuchni, żeby nie przeszkadzać tym, którzy pracowali w gabinecie i salonie. Nastia podeszła do niego i usiadła naprzeciwko, uważnie wsłuchując się w każde słowo.

– Tak, z Barsukowem... Kiedy, gdzie, w jakich okolicznościach... Wszystko w szczegółach. To pilne, Kola, od razu oddzwoń. Dobrze, przekażę.

Odłożył słuchawkę i z uśmiechem popatrzył na Nastię.

– Masz pozdrowienia od Siełujanowa. Bierze ślub.

– Naprawdę? – Nastia się ucieszyła. – Z Walentiną?

– A jakże. Więc szykuj się, koleżanko, kup prezent i tak dalej. Czemu posmutniałaś? Przed chwilą wyglądałaś normalnie i nagle mina ci zrzędała.

Nastia westchnęła, poprawiła włosy.

– Chcę wrócić, Jura.

– Niby gdzie? – Korotkow się zachmurzył.

– Do was, do Pączka.

– Masz babo placek! Jeszcze parę dni temu, jeśli mnie pamięć nie myli, zrobiłaś mi cały wykład na temat zalet pracy analitycznej. Aż ci oczy błyszczały z przejęcia. Przecież ci się podobało, Asiu. Co się stało?

– Nadal mi się podoba. Ale myślałam, że potrafię obejść się bez was i bez naszej pracy. Tymczasem okazało się, że nie potrafię. Aż mi się na płacz zbiera.

– Tylko nie to! – Korotkow się spłoszył, bo nie znosił łez i nie umiał pocieszać płaczących kobiet. – Nie waż się tutaj szlochać. Też wymyśliłaś!

Nastia się roześmiała, zrobiło jej się lekko i błogo na duszy. Jak to dobrze, że są na świecie przyjaciele tacy jak Jurka. Z nimi można być sobą i nie bać się, że czegoś nie rozumieją.

– Nie bój się, tylko tak obrazowo się wyraziłam. Ale mówiąc szczerze, dopiero teraz zrozumiałam, że się stęskniłam. To chyba minie, jak sądzisz?

– Na pewno – stwierdził Korotkow autorytatywnie. – Najpierw zaczekaj, aż dostaniesz stopień podpułkownika, a potem będziesz sobie tęsknić. Jak myślisz, jest w tej chacie popielniczka czy muszę strząsać popiół do zlewu jak prostak?

– Widziałam ją w pokoju, idź i sobie weź.

– Ale tam kręci się Borka, zły jak cholera. Lubi robić wszystko od samego początku, a gdy się okazuje, że denat, do którego go wezwano, jest zamieszany w inną aferę, zamienia się w dzikie zwierzę. Dlatego nie lubi pracować w zespołach śledczych. No trudno, będę strząsać popiół do zlewu, zaraz puszczę wodę z kranu i wszystko będzie okej. Przyszło ci może coś do głowy?

– Przyszło, nawet zdążyło się odleżeć – zażartowała Nastia. – Sasza Barsukow chyba coś odkrył, skoro uznał za konieczne, żeby śledzić Zotowa i nagrywać jego rozmowy. Kombinacja z telefonem jest wyraźnie podejrzana. Coś w tym musi być.

Przez chwilę oboje palili w milczeniu, póki wreszcie nie zadzwonił Siełujanow. Igor Wildanow powiedział, że ostatni raz rozmawiał z Barsukowem w swoim domu za miastem. Barsukow przyjechał, zadał parę pytań na temat kasety wideo, którą szantażowano Igora, i poszedł. Ale niedługo potem wrócił i poprosił Wildanowa o numer jego komórki. W tej samej chwili przyjechał Zotow, więc Igor szybko odprowadził Saszę do drzwi, przedstawiając go jako swojego fana. Wtedy usiłował jeszcze obejść się bez pomocy opiekuna. Słabo pamięta szczegóły, bo przed powrotem Barsukowa znowu zadzwonił szantażysta, więc się zdenerwował. I to właściwe wszystko.

– I to wszystko – powiedziała Nastia, uśmiechając się. – Zrobiliśmy swoje, Jura. Ułożyliśmy pasjansa. Sasza Barsukow, wychodząc od Wildanowa, przypadkiem zobaczył to, co usłyszeliśmy na kasecie. Chodzi mi o dziwną sytuację, gdy człowiek ma pod ręką komórkę, ale idzie zadzwonić z automatu. Barsukow stał pewnie koło automatu i dostrzegł wybierany numer. Nagle wpadła mu do głowy genialna myśl, więc pobiegł do Wildanowa, żeby ją sprawdzić. Zapytał go o numer komórki i stwierdził, że oba numery są identyczne. W chwili, gdy to odkrył, w domu Wildanowa zjawił się stały bywalec – jeden z mężczyzn, których właśnie widział koło automatu. Wtedy zaczął śledzić Zotowa. I zrobił owo nagranie, gdy Zotow znowu spotkał się z facetem, z którym widział go za miastem. Dalej wszystko jest proste. Barsukow był chłopakiem bystrym, ale niedoświadczonym, więc Zotow i jego pomocnik go usunęli. Musimy się tylko dowiedzieć, kto go zabił, sam Wiaczesław Olegowicz czy jego wspólnik.

– No tak, koniec wieńczy dzieło – burknął Korotkow. – No ale dlaczego akurat z automatu, co? Wildanow nie ma w komórce identyfikatora numeru, sam widziałem. Czego się bali?

– Rachunków, które Wildanow dostaje raz w miesiącu. W bilingach podawana jest dokładna godzina rozmowy, czas jej trwania i numer, z którym się łączono. Jak sądzisz, co by pomyślał Igor, gdyby stwierdził, że numer komórki Zotowa figuruje obok godziny, w której dzwonił do niego szantażysta? Mimo że Zotow usiłował zrobić ze swojego wychowanka kompletnego idiotę, wydaje mi się, że trochę przesadzał. Nawet Igor miałby dość rozumu, żeby na to wpaść. Moim zdaniem, Jurik, najtrudniejsze do rozszyfrowania jest kłamstwo bliskie prawdy.

– Zgadza się. Zotow powiedział nam prawie wszystko, zataił tylko drobny szczegół, bez niego wszystko wygląda całkiem niewinnie. I co najważniejsze, wszystko to prawda, nie ma się do czego przyczepić. Czy Niemczinowowie filmowali seksualne orgie na swoim letnisku? Owszem, filmowali. Czy ojciec Giennadija się o tym dowiedział? Dowiedział. Czy były jakieś kasety? Prawdopodobnie były, ale Zotow nie wie na pewno, bo nie miał z tym nic wspólnego. Igor jest szantażowany i wynajmuje Barsukowa, którego przyprowadza mu Lera. Zotow nie ma o tym zielonego pojęcia, póki Igor, spróbowawszy rozwiązać problem na własną rękę, sam mu o tym nie mówi. Zotow strofuje Igora za głupotę i namawia Lerę, żeby porozmawiała z dziadkiem. Wszystko to przecież prawda, nie ma tu ani jednego fałszywego słowa.

Tak, była to prawda. Z jednym małym wyjątkiem. Zotow wiedział o kasetach już wtedy, gdy żyli rodzice Lery Niemczinowej. Nie tylko wiedział, ale zainicjował całe przedsięwzięcie. Był pracodawcą Niemczinowów, podsunął im narkotyki i zmuszał do przygotowywania materiałów kompromitujących odpowiedzialnych urzędników oraz ich żony. Gdy stary Niemczinow zabił syna i synową, proceder ustał. A teraz, po dziesięciu latach, ktoś zażyczył sobie materiałów. Pewnie ten, kto dziesięć lat temu sprawował kontrolę nad Zotowem. Sytuacja się zmieniła, ludzie, których filmowano, wrócili do gry, więc ktoś zapragnął zdobyć narzędzie pozwalające nimi sterować. Niewykluczone też, że ten, kto wie o istnieniu materiałów, chce poznać ich los. Zadaje pytanie Zotowowi, a właściwie stawia mu zadanie: dowiedzieć się. I to tak, żeby zdobyć pewność. Ale pewność może mieć tylko jeden człowiek: Wasilij

Pietrowicz Niemczinow. Trzeba więc znaleźć sposób, żeby go o to zapytać, na dodatek zrobić to tak, żeby ani on, ani ktokolwiek inny nie domyślił się, że Zotow miał z tym coś wspólnego. Sakramentalne pytanie powinna zadać osoba, której Niemczinow odpowie, a nie każe iść do diabła. I wyzna prawdę. Tą osobą jest wnuczka Lera. Zotow nie może, rzecz jasna, zapytać, bo oficjalnie historia z kasetami go nie dotyczy.

Mężczyzna obmyśla więc prostą, ale niezawodną intrygę. Ktoś zaczyna dzwonić do Igora i go szantażować. Zotow liczy na to, że słaby i bezradny Igorek natychmiast pobiegnie do niego na skargę. Wtedy poradzi Leroczce, żeby porozmawiała z dziadkiem, znajdzie słowa i argumenty, żeby przekonać krnąbrną dziewczynę. Sam dowie się o wszystkim od Igora i dzięki temu pozostanie z boku.

Nie wszystko poszło jednak zgodnie z planem. Igor postanowił być samodzielny i nie poprosił o pomoc. Razem z niedoświadczoną, po uszy zakochaną Lerą wpadł na idiotyczny pomysł i wynajął Saszę Barsukowa. Zotow się denerwował, nie miał pojęcia, dlaczego Igor milczy i nie szuka u niego ratunku. Zrobił więc ryzykowny krok, nastraszył piosenkarza małżeństwem ze Stellą. To poskutkowało, chłopak się załamał. Potem wszystko potoczyło się zgodnie z oczekiwaniami, Zotowowi udało się namówić Lerę, w końcu był człowiekiem bystrym i potrafił znaleźć sposób, żeby ją przekonać.

Gdy zjawiała się u niego Kamieńska i zapytała o relacje panujące między Niemczinowami – ojcem i synem, Wiaczesław Olegowicz zrobił, co tylko w jego mocy, żeby zasiać w jej umyśle wątpliwości dotyczące przyczyny zabójstwa. Plótł coś na temat zadawnionego konfliktu rodzinnego, bo chciał nakłonić milicjantów do tego, żeby wrócili do starej historii i zaczęli analizować dziwne zachowanie starego Niemczinowa. A gdy Kamieńska ponownie przyszła do niego z innym wywiadowcą i zaczęła wypytywać o pierścionek, chętnie zdradził to, co mógł. Miał nadzieję, że milicja zajmie się bliżej sprawą kaset i pozna ich los. Dzięki temu on, Zotow, przynajmniej w ten sposób dowie się tego, co go interesuje. Co za różnica, kto pierwszy odniesie sukces, Lera czy milicja, byleby tylko Wiaczesław Olegowicz miał co zameldować swojemu zleceniodawcy.

Wszystko by się udało. Gdyby nowo objawiony głupkowaty Mozart się nie zbuntował, próbując stanąć w obronie swojego nieszczęsnego

honoru, i nie zabił Salieriego.



Zadanie było typowe w takich przypadkach: przeanalizować wszystkie kontakty Zotowa. Nie tylko obecne, ale też, co było szczególnie ważne, te sprzed dziesięciu i więcej lat. Źródłem informacji stały się jak zwykle notesy, a także osoby obecne na pogrzebie. Przesłuchano obie żony zabitego, jego współpracowników z wydziału kultury, kolegów z dawnej pracy w filharmonii, a nawet ze studiów. Kola Siełujanow miał szczęście, bo obok szeregu niełatwych czynności przypadło mu też niezwykle proste zadanie: miał się dowiedzieć, jakie restauracje odwiedzał denat, i porozmawiać z personelem. Tak wyłoniła się postać Nikołaja Stiepanowicza Lewczenki.

Kolejnym szczęściarzem okazał się Jura Korotkow, któremu polecono zająć się filharmonią znajdującą się w stolicy obwodu. Tam właśnie wyszło na jaw, że Wiaczesław Olegowicz był w zażyłych stosunkach z kierownicą dyrektora. Znajomość wynikała stąd, że Zotow potrzebował pomocy w obsłudze i naprawie swojego auta, nie miał bowiem smykałki do spraw technicznych i nie potrafił niczego zreperować. Nikt nie wiedział, gdzie teraz pracuje ów chłopak, ale jego tożsamość podano bez szemrania. Siergiej Iwanowicz Biełozierow.

Zadanie znalezienia go nie było skomplikowane, chłopak się nie ukrywał, pracował w prywatnym autoserwisie i sumiennie stawiał się tam co rano. Gdy tylko Korotkow usłyszał jego głos, przeżegnał się w duchu. Jak to jednak dobrze, że współczesna technika osiągnęła tak wysoki poziom, nawet niedrogi dyktafon nagrywa głos bez zniekształceń.

Okazało się, że Biełozierow ma sękatą naturę. Długo się trzymał, udawał, że nic nie rozumie. Co złego jest w przyjaźni z Zotowem? Nie, do nikogo nie dzwoniłem. Nic nie wiem. No dobrze, dzwoniłem i co? Sława mnie poprosił. Dlaczego miałem nie pomóc przyjacielowi? Nie wiem, do kogo dzwoniłem, Sława dał mi numer i powiedział, żebym zadzwonił. Raz. Tylko raz. No dobrze, dwa. I co?

I tak w nieskończoność. Biełozierow szedł w zaparte, wywiadowcy i śledczy Olszański dwoili się i troili, między poprzednim „i co?” a następnym „no dobrze” mijała niejedna godzina. Czasami noc,

a czasami doba. Nie wolno na okrągło prowadzić przesłuchań, od jedenastej wieczorem do siódmej rano zatrzymany powinien odpoczywać, to rzecz święta, broni jej prokuratura i konwencja praw człowieka. Wywiadowcy też potrzebują odpoczynku, no i czasu, żeby zdobyć dodatkowe dowody, które pozwolą wyciągnąć z upartego Biełozierowa kolejne „no dobrze”.

Wreszcie Siergiej Iwanowicz złożył broń.

– Zadbacie o moją żonę? – zapytał z rezygnacją. – Dzieci są jeszcze małe, same sobie nie poradzą.

– Zadbamy – obiecał Korotkow z ulgą.

Wszystko odbyło się zgodnie z przypuszczeniami Jury i Nastii. Zotow nie zwrócił szczególnej uwagi na chłopaka, którego zobaczył w podmiejskim domu Igora, ale zapamiętał twarz. I bardzo się zdziwił, gdy dostrzegł go w centrum Moskwy, parę metrów od siebie. Chłopak najwyraźniej się chował, starał się pozostać niezauważony, ale robił to nieumiejętnie i niezręcznie.

– Sława mi go pokazał i kazał sprawdzić. Coś mu się nie spodobało. Zacząłem śledzić chłopaka i szybko przyparłem go do muru. Był jeszcze głupi, od razu się zdradził, że coś wie. Pewnie chciał się przede mną popisać. Był późny wieczór, na ulicy pusto. To wszystko. Miał dyktafon, więc na wszelki wypadek go zabrałem i oddałem Sławie.

– Siergieju Iwanowiczu, kim jest Lewczenko? – zapytał Jurij.

– Lewczenko? – zdziwił się szczerze tamten. – Czyżbyście dotarli też do niego? Czy może pyta pan w swoim interesie?

Korotkow ziewnął i się przeciągnął.

– Mój interes, Siergieju Iwanowiczu, polega na tym, żeby pójść do domu i się przespać, bo zajeżdżał mnie pan jak konia na meksykańskim rodeo. Za dwa dni sylwester, w tym roku mam akurat dyżur, a nie kupiłem jeszcze choinki dla syna ani prezentów. Więc jeśli chodzi o mój interes, to mam czym się zająć. Ale w interesie służby muszę zapytać o Lewczenkę.

– Stiepanycz wszystkim kierował.

– Czym kierował?

– Preparowaniem materiałów kompromitujących. Zrobił z tego dochodowe przedsięwzięcie, zadbał też o zbyt, nic dziwnego, że zarabiał kupę forsy. Zorganizował parę punktów, takich jak u Niemczinowów,

zatrudniał też specjalnych ludzi, których nazywano naganiaczami. Zawierali znajomość ze wskazanymi delikwentami, prowokowali ich do antyradzieckich wypowiedzi, nagrywali je, a potem sprzedawali. Ależ to byli mistrzowie! Człowiek nawet nie zauważył, jak nazwał genseka dupkiem. Lewczenko specjalizował się w tych sprawach, Sława opowiadał, że trudnił się tym od połowy lat siedemdziesiątych. Burdele pojawiły się później, razem z magnetowidami.

– Jasne – wycedził Korotkow. – A więc Lewczenko był szefem, a Zotow nadzorował burdele?

– Niezupełnie. Zotow odpowiadał tylko za Niemczinowów, każdy burdel miał innego nadzorującego.

– No a pan? Jakie było pańskie zadanie?

– Sława kazał mi wyszukiwać smarkaczy. Niech pan nie myśli, że ich straszylem albo zmuszałem, wszystko odbywało się po dobroci. Jak się nie podoba, to droga wolna, nikt nie trzyma.

– No i co, wielu odchodziło?

– Oni mieliby odchodzić?! Cieszyli się z łatwej okazji do zarobku. Niektórzy nie chcieli odchodzić, nawet gdy ich zwalniałem, prosili, żeby dać im kolejną pracę. Czego się spodziewać po bezdomnych włóczęgach?

– Czy to pan znalazł Igora Wildanowa?

– A niby kto? Pewnie, że ja. Sława zobaczył go u Niemczinowów i zdębiał z wrażenia. Chłopak był naprawdę zabawny, wciąż coś nucił. Sława powiedział, że taki talent pojawia się raz na sto lat. Kazał, żebym go uprzedził, gdy będę zwalniał całą grupę.

– Uprzedził pan? – zapytał Jura.

– A jakże. Dwa dni później. Sława specjalnie przyjechał, czekał na peronie, patrzył, jak smarkacze się rozjeżdżają. Wolał, by Igorek nie wiedział, że coś go łączy z burdelem. Nigdy się nie pokazywał podczas tych ... no, imprez u Niemczinowów, siedział w komórce i podglądał przez dziurkę od klucza, więc Igor go tam nie widywał. Chciał wyglądać nienagannie w jego oczach, żeby mieć autorytet. Dlatego tak to się potoczyło. Sława nie mógł poprosić Lery, żeby porozmawiała z dziadkiem. To przecież normalna dziewczyna, na pewno zapytałaby wujka, skąd wie o kasetach. On zaś nie mógł o nich wiedzieć, dlatego kombinował na wszelkie sposoby, żeby ktoś mu o nich otwarcie powiedział. Właściwie nie wiem, dlaczego tak wyszło, ja tylko dzwoniłem

do Igora, straszyłem go i mu groziłem, on jednak wciąż krył się przed Sławą.

– Czy Zotow bardzo się denerwował?

– Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Czas leci, Lewczenko go szarpie, a sprawa nie rusza do przodu. Naprawdę postawicie zarzuty Stiepanyczowi? Czy to tylko takie puste gadanie?

– Nie wiem – odparł Korotkow szczerze. – Trudno będzie zebrać dowody. Pan opowiedział o wszystkim, ale Lewczenko się wyprze, i co wtedy? Czy chociaż raz zastanawiał się pan nad tym, dlaczego wciąż pan żyje, mimo że wie o działalności Lewczenki? Nie? Ano dlatego, że Lewczenko się pana nie boi, wie, że niczego nie można mu udowodnić, a to, co można – za to nikt nie trafia do pudła. Nie jest od nas głupszy, ale ze sto razy ostrożniejszy. Trzeba szukać mocnych dowodów, a przecież minęło tyle lat... Nie wiem, Sergieju Iwanowiczu, czy się uda, nie będę kłamać.

– Tak też myślałem. – Biełozierow westchnął z goryczą. – Wszystko jedno, komuna czy demokracja – zawsze znajdziecie sobie kozły ofiarne. Żeby mnie zapuszkować, nie musicie się specjalnie wysilać, a ja mam chorą żonę i dwójkę dzieci. Spróbujcie wsadzić za kratki kogoś takiego jak Stiepanycz. Ale wątpię, żebyście zechcieli to zrobić. A jeśli nawet zechcecie, facet się wywinie, ma tyle szmalu, że może wykupić całe wasze ministerstwo razem z prokuraturą i sądem.

Nagle Korotkow się rozgniewał.

– Bez względu na to, kim jest, nikogo nie zabił. A pan pozbawił człowieka życia i, nawiasem mówiąc, nie pomyślał ani o nim, ani o jego rodzinie. Więc dlaczego żąda pan współczucia? Współczucie należy się Saszy Barsukowowi, nie sądzi pan?

Widząc zacięty i nieobecny wyraz twarzy Biełozierowa, Jura pożałował, że zebrało mu się na demagogię. Nie powinien był... Ale winę za to ponosiło straszliwe zmęczenie.

≡

Nastia Kamińska spała przytulona do ramienia męża, obejmując go za szyję. Śniło jej się coś dziwnego i poruszającego. Sen z filmową precyzją ukazywał to, co jej powiedział Wasilij Pietrowicz Niemczinow. Widziała,

jak mężczyzna przyjechał na lotnisko, słyszała, jak rozmawiał z synem i jego żoną. Syn był roztrzęsiony oczekiwaniem na kolejną działkę i potrafił myśleć tylko o heroinie, dlatego szybko wpadł we wściekłość i w uniesieniu wykrzykiwał ojcu w twarz straszliwą prawdę.

Widziała, jak Niemczinow wystrzelił, jak upadły ciała syna i synowej. Widziała, jak błądził po domu w poszukiwaniu kaset. Chciał je znaleźć i zniszczyć, żeby nikt więcej nie dowiedział się o grzechach jego rodziny. Wiedział, że zainstalowano gdzieś aparaturę nagrywającą, ale nie znał się na technice wideo. Dlatego postanowił spalić dom. Może uda mu się coś znaleźć, resztę niech strawi ogień. Najważniejsze, żeby uratować rodzinę przed hańbą, uratować Leroczkę, ukochaną wnuczkę, i jej przyszłość. Wasilij Pietrowicz nie wątpił w to, że ten, kto brał w tym udział, będzie milczał. Nikt więcej nie powinien się o niczym dowiedzieć.

Spakował kasety do torby, podpalił dom i poszedł w stronę lasu. Dotarł do bagna, przysiadł na pniu i zaczął metodycznie rozbijać kamieniem kasety i wrzucać je do trzęsawiska. Kiedy zniszczył ostatnią kasetę, skierował wzrok ku lotnisku i zobaczył dym, który unosił się wysoko nad prastarymi świerkami.

Nastia widziała we śnie, jak jego usta poruszyły się szeptem:

„Requiem aeternam dona eis, Domine”.

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie.

[4] Przekład oo. Benedyktynów z 1963 roku.

CARYCA ROSYJSKIEGO KRYMINAŁU POWRACA!



Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Polecamy również](#)